









KOMITET REDAKCYJNY: adw. HENRYK CEDERBAUM, adw. MIECZYŚLAW ETTINGER, adw. JAN NOWODWORSKI, adw. FRANCISZEK PASCHAŁSKI, prok. KAZIMIERZ RUDNICKI, adw. STANISŁAW SZURLEJ

---

---

# MOWY SĄDOWE

## II

Adw. WACŁAW BROKMAN  
Adw. HENRYK CEDERBAUM  
Adw. LUDWIK DOMAŃSKI  
Adw. HENRYK ETTINGER  
Adw. JAN JAKÓB LITAUER

Adw. LEON NOWODWORSKI  
Prok. BOLESŁAW POHORECKI  
Prok. KAZIMIERZ RUDNICKI  
Adw. ZYGMUNT SOKOŁOWSKI  
Adw. STANISŁAW SZURLEJ

ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ  
Dr. SZYMON GELERNTER

WARSZAWA — 1926  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F. HOESICKA

A. 300. 11 f

3

MOWY SĄDOWE

II

# MOWY SĄDOWE

## II



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-230 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 25-68-63

23.739

WARSZAWA — 1926  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F. HOESICKA



---

Korsarstwo przemysłowe. Sprawa o bezprawne używanie nazwiska,                      adw. HENRYK CEDERBAUM.

Skarga kasacyjna w sprawie zakresu działania ustawy z dnia 1-go lipca 1921 r. o rozszerzeniu praw mężatki,                      adw. LUDWIK DOMAŃSKI.

Sprawa „Teatru Małego“ ze Skargi Magistratu m. stoł. Warszawy na decyzję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych,                      adw. LEON NOWODWORSKI.

Imunitet sądowy przedstawicieli dyplomatycznych,                      prok. BOLESŁAW POHORECKI.

Stosunek adwokata do klienta,                      adw. ZYGMUNT SOKOŁOWSKI.

Sprawa Michała Glücksberga przeciwko Skarbowi Państwa o odszkodowania za zabór mienia przez organy władzy wojskowej,                      adw. JAN JAKÓB LITTAUER.

Sprawa Huberta Lindego i innych o nadużycie w Pocztowej Kasie Oszczędności w Warszawie,                      prok. KAZIMIERZ RUDNICKI,  
adw. STANISŁAW SZURLEJ,  
adw. WACŁAW BROKMAN,  
adw. HENRYK ETTINGER.

---

Odbito w „Drukarni Krajowej”  
w Warszawie  
Żelazna 89.  
1926.

KORSARSTWO PRZEMYSŁOWE.  
SPRAWA O BEZPRAWNE UŻYWANIE NAZWISKA.

## KORSARSTWO PRZEMYSŁOWE.

M. MALINOWSKI — A. MALINOWSKI i S-ka.

Sąd Okręgowy w Warszawie.

26 stycznia — 4 lutego 1925 r.

Przewodniczący sędzia St. Zaborowski.

(Okoliczności czynu ujawnione są w głosie rzecznika powoda i w wyroku sądu, który przytaczamy poniżej).

### *PRZEMÓWIENIE ADW. HENRYKA CEDERBAUMA.*

Powództwo, które wyniosłem, wydać się może Wysokiemu Sądowi na pierwszy rzut oka zuchwałem, a konkluzja jego ryzykowną.

Bo jakże! Zabronić komuś posługiwania się własnym nazwiskiem! Czyż nie jest to dążenie do pogwałcenia przyrodzonego prawa, czyż nie obala zasadniczych pojęć naszych o tem, że każdy korzystać powinien z nazwiska, które przypadło mu udziale z chwilą urodzenia?

Śmiem mniemać jednakże, że żądania moje będą uwzględnione, gdyż oparte są na tkwiącem w każdym człowieku poczuciu słuszności, walkę zaś wszcząłem nie przeciwko prawu, lecz jego nadużyciu.

Przedewszystkiem niech mi wolno będzie przedstawić sądowi powoda. Trzymam się poniekąd rzymskiej zasady. Tego, który uciekał się pod opiekę sprawiedliwości, pytano na wstępie: *Quis es, quod petis?* Kim jesteś i czego żadasz?

Mocodawca mój nie potrzebuje chyba długich rekomendacji. Pracą całego życia zasłużył sobie na dobre i znane imię, a że w zawodzie, któremu poświęcił się

od lat wielu zdobył powodzenie, dowodem proces niniejszy. Bo nic tak nie budzi zawiści i złych instynktów, jak prawdziwa zasługa ciężkim trudem okupiona.

Dwadzieścia dziewięć lat temu Marjan Malinowski nabył od Eugenjusza Jarnuszkiewicza aptekę i laboratorium chemiczno-farmaceutyczne przy ulicy Nowy Świat Nr. 31. Od tego czasu poświęciwszy cały zasób kapitału i pracy na wyrób produktów kosmetycznych, jak to: mydeł przetłuszczonych, pudrów, kremów i tym podobnych przedmiotów, pochwalić się mógł wciąż wzrastającym powodzeniem na rynku miejscowym.

Pracował stale pod własną firmą i pod tą też firmą zdobył szereg odznaczeń na różnych wystawach przemysłowych. Wyliczać ich nie będę. Znajdziecie je, panowie, na prospektach i ogłoszeniach, których kilka załączyłem do akt. Ambicją p. Malinowskiego było, jeżeli nie przewyższyć, to przynajmniej dorównać produkcji zagranicznej i przyczynić się tą drogą ku podniesieniu przemysłu krajowego.

Zdawało się, że tak skromne zamierzenia, uwieńczone już dobrymi skutkami, będą mogły i nadal rozwijać się normalnie, aż osiągną cel zamierzony. Okazało się wszakże, że powód jest w błędzie, okazało się, że jak są przyjaciele cudzego mienia, tak są też nieprzyjaciele cudzego powodzenia. Tylko że ci ostatni działają podstępniej wedle z góry ułożonego planu i nie w zamiarze zagarnięcia jakiegoś danego obiektu, ale bezprawnego przywłaszczenia sobie wszystkich owoców cudzej pracy, a nadto pozbawienia fabrykanta i reputacji handlowej, a nawet dobrego imienia.

Dnia pewnego Malinowski dowiedział się, że w magazynach detalicznych ukazały się wyroby kosmetyczne w pudełkach i etykietach naśladowujących jego własne, a co najważniejsza, nawet nazwiskiem jego opatrzone. Przy bliższych oględzinach okazało się, że są też drobne różnice, jak np. zamiast pierwszej litery imienia „M“ (Marjan), na falsyfikatach—bo tak je z góry nazywam—znajduje się litera „A.“ ale nazwisko „Malinowski“ figuruje w całej pełni bez żadnych zmian i dodatków.

Zdumiał się powód. Nie słyszał dotąd o żadnym

konkurencie, noszącym toż samo nazwisko, nie wiedział o laboratorium chemiczno-farmaceutycznym, prowadzonym przez imiennika. Po zdumieniu zaś przyszła zupełnie usprawiedliwiona chęć dowiedzenia się, kim jest ów nieznan, a tak bliźniaczo podobny wytwórca?

I oto po zaciągnięciu źródłowych informacji powód stwierdził, że pod datą 22 sierpnia 1924 r. do rejestru firmowego przy sądzie tutejszym wciągnięto firmę pod nazwą: „Laboratorium Kosmetyczne Adam Malinowski i S-ka“ z siedzibą przy ulicy Ogrodowej Nr. 27 i że współnikami firmowymi przedsiębiorstwa są obywatele: Jakób Mojżesz Petszaft, Bajrich Rosenberg i Adam Malinowski.

Jak dotąd zdawałoby się wszystko w porządku. Trzej ludzie, zapewne dobrej woli, boć przecież ta domniemywa się zawsze, podjęli prowadzenie przedsiębiorstwa, które monopolem niczym nie jest. Powód miałby niewątpliwie prawo domagać się wprowadzenia takich zmian w nazwie firmy, które usuwałyby możliwość pomyłek i wprowadzenia w błąd klienteli, ale żądania takie wyczerpywałyby prawa powoda, gdyby... gdyby konkurenci jego działali istotnie w dobrej wierze.

Ale na nieszczęście dla pozwanych Malinowski był nadto ciekawy i dotarł do aktu ukonstytuowania spółki, a po przeczytaniu go powiedział sobie: „To nie spółka; to obleczone w formę uroczystą oszustwo cywilne, zdziałane na moją szkodę“.

Toż samo powtarza i teraz, upraszając, ażeby sąd to jego głębokie przekonanie wyrokiem swym usankcjonował.

Rozejrzyjmy się w tym tak poważnym dokumencie.

Akt zawiązania spółki zeznany był w dniu 1 sierpnia 1924 r. przed notariuszem Nieznańskim w Warszawie za Nr. rejestru 513. Stawili się trzej mężowie, których nazwiska wyżej wymieniłem, oświadczając bez ogródek w paragrafie pierwszym, że prowadzić będą wspólnie przedsiębiorstwo laboratoryjno-kosmetyczne pod firmą „Adam Malinowski i S-ka“.

W paragrafie trzecim powiedziano:

„Kapitał zakładowy spółki strony ustalają na tysiąc pięćset złotych, przyczem wkład każdego współ-

nika z wyjątkiem Malinowskiego, który zwolniony został od wniesienia wkładu gotówkowego, wynosi po 750 złotych”.

A więc p. Jakób Mojżesz Petszaft i p. Bajrich Rosenberg zwalniają łaskawie p. Adama Malinowskiego od wniesienia gotówki. Dobroczyńcy wchodzą zapewne w trudne położenie finansowe mniej zasobnego współnika, który powetuje prawdopodobnie brak środków materialnych dokładną znajomością fachu i służyć będzie koneserstwem zawodowem i tajemnicami fabrykacji kosmetyków.

O specjalności jego dowiemy się niebawem. Ale jakże będzie w razie potrzeby powiększenia kapitału, który ab initio jest przecież dość mizerny?

Na to odpowiada paragraf czwarty.

„W razie potrzeby powiększenia kapitału obrotowego spółki, wszyscy wspólnicy obowiązani będą wnieść do kasy spółkowej odpowiednie fundusze w częściach odpowiadających ich udziałom w kapitale zakładowym”.

Że zaś, jak wiemy, Malinowski żadnego udziału w kapitale zakładowym nie posiada, więc konkluzja oczywista. Nigdy i przy najpomyślniejszych nawet dla przedsiębiorstwa konjunkturach, nie wniesie on grosza do kasy spółkowej. Szczęśliwiec!

Ale prawo przewiduje wypadki, gdy spółnik zamiast gotówki wnosi do interesu swój „przemysł”. Zobaczymy więc, jakimi wartościami powiększył Malinowski zasoby nowopowstałej firmy? Jest zapewne dobrym administratorem, a może wybitnym technikiem, a wreszcie handel szczyci się nim zapewne, jako kupcem wytrawnym?

Tymczasem z treści aktu płynie dowód, że

„całkowity zarząd interesami spółki spoczywać będzie w rękach Jakóba Mojżesza Petszafta i Bajricha Rosenberga. Umowy i zobowiązania, weksle, чеки i akcepty, cesje oraz pełnomocnictwa winny być pod pieczęcią firmową podpisywane obowiązkowo przez obu zarządców łącznie” (paragraf 7).

A dalej, ażeby nie pozostawiać żadnych iluzji co

do roli p. Malinowskiego, w paragrafie poprzedzającym czytamy:

„Dział techniczny prowadzić będzie Bajrich Rosenberg, dział handlowy Jakób Mojżesz Petszaft. Kasa przedsiębiorstwa spółkowego spoczywać będzie w rękach Jakóba Mojżesza Petszafta“.

Więc jakąż twoja rola p. Malinowski? Zarządcą nie jesteś, do fabrykacji, jak również do handlu przystępu nie masz, kasy prowadzić Ci nie wolno, bo nic zresztą do niej nie wniosłeś, więc poco kręcisz się pomiędzy Petszaftem a Rosenbergiem i snujesz się między nimi nikomu nie potrzebny, do żadnej pracy niezdatny? Albo liczysz może na jakieś przyszłe zyski, gdy syci sławy i „uczciwie“ zapracowanych kapitałów szanowni wspólnicy zwiną interes?

Posłuchajmy:

„Likwidacja przedsiębiorstwa następuje trybem zwykłym. Po zrealizowaniu wszystkich aktywów spółki, najsamprzód pokryte zostaną wszystkie pasywa, oraz fundusze wniesione przez wspólników na zasilenie kapitału obrotowego, następnie wycofane zostaną wkłady wspólników, pozostałe zaś fundusze ulegną podziałowi między wspólników w częściach stosownie do posiadanych przez nich udziałów w spółce“. (paragraf trzynasty).

Więc nil esperandum! Każdy kto rozumie treść napisanego nie będzie miał wątpliwości, że artykuł ten napisany jest poto, ażeby pozbawić Malinowskiego wszelkich złudzeń na przyszłość. Nic nie wniósł, żadnego udziału nie posiada, nic mu należeć się nie może i nie będzie.

A gdyby mimo wszystko znalazł się ktoś naiwny, któryby nie mógł lub nie chciał pojąć celu, dla którego dwum wspólnikom potrzebny był ten trzeci, noszący nazwisko Malinowski, to wszelką w tym względzie wątpliwość usuwa paragraf szesnasty o treści aż nadto wyraźnej.

„W razie wystąpienia ze spółki Adama Malinowskiego spółka ma prawo używać nadal we firmie nazwiska „Malinowski“ aż do pięcioletniego terminu expiracji spółki“.



Z całej treści aktu, a w szczególności z końcowego ustępu będącego koroną dzieła, płynie dowód oczywisty, że Adam Malinowski sprzedał po prostu Petszaf-towi i Rosenbergowi nazwisko swoje dla wytworzenia nieuczciwej konkurencji przemysłowcowi, który nie uciekając się do żadnych sposobów nielojalnych, pracował pod własnym znakiem.

Czy to jest godziwe, czy prawne, czy dopuszczalne? Nie otwierając nawet kodeksu, nie przytaczając ustawy, a posiłkując się jedynie samym, że tak powiem, instynktem sprawiedliwości, tkwiącym w sumieniu każdego człowieka, trzeba na pytanie to dać odpowiedź przeczącą. Nie, postępowanie takie jest niedopuszczalne, jest po prostu niegodziwe.

Artykuł 1833 Kod. Cyw. stanowi: „Każdy współnik powinien wnieść do spółki albo pieniądze, albo inny majątek, albo swój przemysł“. Jest po za sporem, że nazwisko nie jest ani pieniądzem, ani przemysłem, czy stanowi więc „inny majątek“? Niewątpliwie, zacne imię po przodkach odziedziczone to więcej niż kapitał, to nieraz skarb bezcenny, który potomkowie czcić i szanować powinni. Niestety, wielkie a świetne nazwiska kładą się częstokroć ciężkim brzmieniem na barki zwyrodniałych następców i jak stary pancierz gniotą tych, których własna cnota i własna zasługa nie uszlachetnia i nie podnosi. Nie chcę cytować znanych powszechnie przykładów, gdy dziedzice wielkich rodów herbowemi tarczami osłaniali niezawsze czyste spekulacje, a czyż nie jest rzeczą aż nadto dobrze wiadomą, że tytuły hrabiowskie i mitry książęce miały szalony pokup w handlu matrymonjalnym wśród swojskich i obcych Geldhambów? Ale ci panowie nie mając nic więcej do sprzedania, kupczyli sobą, przyczyniając uszczerbek tylko sobie, no i tej drugiej stronie, która nabywała świadomie za grube pieniądze fałszywe blaski. Nie szkodzili przynajmniej nikomu trzeciemu i to będzie im kiedyś policzone w bilansie zysków i strat życiowych.

Przepraszam za tę dygresję, mającą tylko luźny ze sprawą związek. Bo jakże daleko odbiegłem od tego nieboraka Adama Malinowskiego, któremu w szczodro-

bliwości niezrównanej pp. Petszaft i Rosenberg dali przypuszczalnie 20 a może 50 złotych za ustąpienie im nazwiska. Ten Malinowski antenatami poszczycić się nie może. Kto wie, czy nie zasłynie sam kiedyś jako praojciec świętego rodu, ale tymczasem początki miał dość trudne. Był posługaczem w fabryce dywanów, i dobrze mu się działo, następnie jednak opuścił to zajęcie — kroniki milczą z jakiego mianowicie powodu — i jako dobry syn matce pomagać zaczął przy prowadzeniu jej interesu handlowego. Ci, którzy odwiedzają plac Żelaznej Bramy, znają kramik z warzywami należący do p. Malinowskiej, przy którym uwija się i sprzedaje za gotówkę kalafjory, pietruszkę, pomidory i cebulę młody Adam. I wprost od wonnej cebuli Petszaft i Rosenberg sprowadzili go do wonności, które sami produkować zamierzili i do których potrzeba im było pachnidła w postaci nazwiska. I również naiwny jak na grosz łakomy dał się skusić za kilkadziesiąt złotych. Co prawda, nie zaniedbał matczynego warsztatu, bo lepszy kartofel w garści niż Petszaftowe mydła w perspektywie.

A sprzedał prawo, którego sprzedawać nie wolno, tak samo jak przynależności państwowej, jak narodowości, jak praw stanu, aljenować czy ustępować nie można. Jest to własność tak ściśle z daną osobą związana, że odłączyć ją od niej, oddzielić nie sposób. Taka to koszula Dejaniry, która tylko wraz z krwią i życiem oderwać się daje. Ludzie korzystający z cudzego nazwiska są jak podróżni, używający cudzego paszportu. Każdy przedstawiciel władzy państwowej, jak i każdy zainteresowany ma możliwość zerwania maski z prawdziwego, a ukrytego za maską oblicza.

Tym zainteresowanym w danej sprawie jest powód, Marjan Malinowski, który z osoby prawnej, jaką jest spółka Petszaft, Rosenberg i Comp. zrywa nie prawnie używane przez nią nazwisko. Bo stworzyliście twór parasorzytniczy, mający za zadanie karmienie się cudzemi sokami, eksploatację cudzej pracy, uprawianie korsarstwa przemysłowego.

Gdyby nie było nawet podstępного aktu, którego

główne podstawy wyżej przytoczyłem, gdyby spółka zawiązana była na serjo i jakiś Malinowski wstąpił do niej w charakterze prawdziwego, a nie fikcyjnego współnika, to i w tym przypadku ustawa broni praw nabytych i nie zezwala na przystrajanie się w cudze piórka.

Nie będę cytował dekretu o rejestrze firmowym, którego przepisy są wam dokładnie znane, sędziowie. Powołam się tylko na artykuły 30, 34 i 35 przestrzegające z całą stanowczością odrębności firm i zabraniające wciągania do rejestru takich, które nie odróżniają się dostatecznie od nazw firmowych, wcześniej zarejestrowanych.

Idę jeszcze dalej i twierdzę, oparty o doktrynę i orzecznictwo francuskie, że prawo ustaje, gdy rozpoczyna się nadużycie, że zasada ustępuje, gdy podstęp bezczelnie się panoszy, W handlu narzucają się konieczności, mające oparcie na interesie publicznym, wobec których na plan dalszy ustąpić muszą prawa i interesy prywatne. Jedną z tych konieczności jest potrzeba poszanowania nazwisk przemysłowych, które handel rozwijają i przyczyniają się do pomyślności ogólnej. W imię interesu indywidualnego i dzięki podobieństwu nazwiska nie wolno przywłaszczać sobie owoców cudzej pracy i za pomocą wyrobów gorszego gatunku dyskredytować zasłużonych placówek.

Ten kto ustępuje trzeciemu prawo używania nazwiska dla celów handlowych, wiedząc, jak podstępny użytek ów trzeci chce z niego uczynić, nie może być poczytywany za właściciela, rozporządzającego prawnie swoją własnością, ale za uczestnika czynu oszukańczego. A oszustwo nie może liczyć na opiekę prawa.

Ażeby zdobyć nazwisko cieszące się powodzeniem, symuluje się cessje, pełnomocnictwa, spółki. Nie przebiera się w środkach, byle zawładnąć cudzem powodzeniem. Przecież dawno już powiedziano „les affaires c'est l'argent des autres“. Ale właśnie posłannictwo sądów na tem polega, ażeby przy pomocy wszelkich środków rozporządzalnych zapobiegać machinacjom tego rodzaju i zwalczać je radykalnie z surowością bezwzględną.

Jeszcze słówko tylko. Pozwani bronią się jedynie

formalnie, utrzymując wbrew oczywistości, że sprawa ulega właściwości nie sądu lecz — urzędu patentowego. Czy obrona taka zasługuje nawet na odparcie? Zgadzą się, że ustawa z dnia 5 lutego 1924 r. zredagowana jest — jakżeby to delikatnie powiedzieć? — nie zupełnie przejrzyście, ale byłoby wprost herezją prawną utrzymywać, że spór o prawo używania nazwiska i zażalenie dotyczący rejestracji firm, którą sąd prowadzi, ażeby spór taki miał rozstrzygnąć urząd administracyjny.

Natomiast pozwani nie usiłują nawet wykazać, że postępowanie ich było zgodne z zasadami uczciwej konkurencji i nie tłumaczą, dlaczego na opakowaniach naśladują znaki towarowe używane przez Marjana Malinowskiego. Czy to milczący akt skruchy? nie sądzę. A więc może obawa udzielenia rzeczowych wyjaśnień, w których tak łatwo zaplątać się można? Tak się zdaje.

A zresztą wszystko jedno. Mam przekonanie, że sąd uzna złą wiarę Petszafta, Rosenberga i Adama Malinowskiego i przyjąwszy konkluzję powództwa mego w całości, orzeczeniem swym zdepcze jednego z wielu pasorzytów lęgnących się tak bujnie na niwie polskiego przemysłu. O wyrok taki mam zaszczyt upraszać.

W dniu 4 lutego 1925 r. zapadł wyrok następujący:

W skardze powodowej wniesionej do sądu 29 października 1924 r. pełnomocnik powoda Marjana Malinowskiego adwokat Henryk Cederbaum prosi: 1) wzbronić Jakóbowi — Mojżeszowi Petszaftowi, Bajrichowi Rosenbergowi i Adamowi Malinowskiemu używania nazwiska „Malinowski,” jako nazwy firmy w utworzonej przez nich, celem prowadzenia przedsiębiorstwa laboratoryjno kosmetycznego, spółce zawiązanej mocą aktu zeznanego przed notariuszem Nieznańskim w dniu 1 sierpnia 1924 r. za Nr. 513 i akt ten w punkcie pierwszym uznać za nieważny; 2) nakazać wykreślenie z rejestru handlowego w Sądzie Okręgowym w Warszawie wpisu zamieszczonego w dziale A. XVIII Nr. 9, dotyczącego firmy „Laboratorjum Kosmetyczne Adam Malinowski i S-ka” w Warszawie, 3) skazać pozwanych

na kosztą procesu i wynagrodzenie za prowadzenie sprawy i 4) nadać wyrokowi rygor natychmiastowej wykonalności.

Po rozpoznaniu złożonych dowodów łącznie z okolicznościami sprawy, wysłuchaniu wniosków stron i zważywszy:

że powód Marjan Malinowski w skardze powodowej kwestjonuje prawo pozwanych używania nazwiska Malinowski, jako nazwy firmy w utworzonej przez nich spółce;

że niesłusznym jest zarzut pozwanych, jakoby nie Sąd, a Urząd Patentowy właściwym był do rozpoznania sporu niniejszego, gdyż Urząd Patentowy powołany został tylko do prowadzenia rejestracji patentów na wynalazki, wzorów i znaków towarowych, oraz do rozstrzygania sporów, wynikłych z tytułu tej rejestracji, natomiast rejestry firm prowadzi Sąd i tylko Sąd jest kompetentny do rozpoznania kwestji prawa używania firmy (Dz. Ust. R. P. z dnia 10. IV. 1924 r. Nr. 31 poz. 306):

że jeżeli prawodawca nie stawia żadnych ograniczeń wspólnikom spółki firmowej przy wyborze nazwiska rodzinnego, które wejść ma w skład firmy (art. 25 Dekretu o rejestrze Handl.), to jednak wymaga, aby w okręgu tego samego Sądu, firmy odróżniały się jedna od drugiej i aby w obrocie handlowym nie mogło nastąpić pomieszania nazwy firmy jednego przedsiębiorstwa z innym (art. 30, 35 tegoż Dekretu):

że już z samego aktu spółki z dnia 1 sierpnia 1924 r. widocznem jest, iż wybór przez wspólników Petszafta, Rosenberga i Malinowskiego nazwiska „Malinowski“ do nazwy firmy spółkowej, ani nie był dziełem przypadku, ani też nie wypływa z porządku rzeczy, i uczyniony został z rozmysłem i premedytacją, bowiem wspólnik firmowy Malinowski nie jest kapitalistą (nic nie wniósł do spółki §. 3 umowy) ani handlowcem (§. 6) ani też fachowcem (§. 6) natomiast przyjmuje równy udział w zyskach przedsiębiorstwa narówni z zarządcą działu technicznego spółki, Rosenbergiem, i handlowego, Petszaftem;

że następnie jeżeli wziąć pod uwagę, że od 20 z górą lat powód Malinowski prowadzi w Warszawie Laboratorium chemiczno-farmaceutyczne i na swych wyrobach, mydle i pudrze używa nazwy firmy „Laboratorium kosmetyczne M. Malinowski“ i wyroby te na rynku zyskały powodzenie i że wspólnicy Petszaft, Rosenberg i Malinowski, zarejestrowawszy nazwę firmy „Laboratorium kosmetyczne Adam Malinowski i Ska“ wypuszczają na rynek towary takiegoż rodzaju w identycznym opakowaniu co do koloru papieru, napisów, etykiety, układu napisów, jak Marjan Malinowski, i na tych towarach, aby zachować łudzące podobieństwo, pomieszczają nazwę firmy nie w brzmieniu właściwym „Zakłady kosmetyczne Adam Malinowski i S-ka“, a „Laboratorium kosmetyczne A. Malinowski“ literami dużemi i „sp“ nieznacznymi, to fakty powyższe stanowią niezbity dowód, iż wspólnicy Petszaft, Rosenberg i Malinowski użyli nazwiska „Malinowski“ do nazwy firmy tylko celem podszywania się pod firmę Marjana Malinowskiego, to jest że z nazwiska Malinowski uczynili środek nielojalnej konkurencji;

że tego rodzaju postępowanie kupców jest niedopuszczalne ani z punktu widzenia etyki, ani też prawa;

że wobec powyższego i ponieważ prawo kwestjonowania wpisu do rejestru handlowego przysługuje nie tylko osobie bezpośrednio zainteresowanej, lecz sędziemu rejestrowemu i kupiectwu, a firma Laboratorium kosmetyczne Adam Malinowski i Ska uzyskała wpis do rejestru handlowego wbrew wymogom art. 30, 35 Dekretu o rejestrze handlowym i używa nazwy tej firmy w celu nieuczciwej konkurencji, to słuszne jest żądanie powoda wykreślenia z rejestru wpisu kwestjonowanego;

z tych względów i na zasadzie art. 1382 i 1383 Kod. Cyw.

Sąd Okręgowy postanawia:

1) wzbronić Jakóbowi Mojżeszowi Petszaftowi, Bajrichowi Rosenbergowi i Adamowi Malinowskiem używania nazwiska „Malinowski“ jako nazwy firmy w utworzonej przez nich, celem prowadzenia przedsiębiorstwa laboratoryjno-kosmetycznego, spółce zawiązanej mocą

aktu, zeznanego przed notariuszem Nieznańskim w dniu 1 sierpnia 1924 r, za Nr. 513 i akt ten w punkcie powyższym uznać za nieważny;

2) nakazać wykreślenie z rejestru handlowego w Sądzie Okręgowym w Warszawie, wpisu zamieszczonego w dziale A. XVIII. Nr. 9, dotyczącego firmy „Laboratorium kosmetyczne Adam Malinowski i S-ka w Warszawie“;

3) skazać pozwanych na koszty procesu;

4) wyrokowi nadać rygor wykonalności natychmiastowej.

---





W SĄDZIE NAJWYŻSZYM.  
W SPRAWIE ZAKRESU DZIAŁANIA USTAWY Z DNIA  
1-go LIPCA 1921 R. O ROZSZERZENIU PRAW MEŻATKI.

## *MOWA ADWOKATA LUDWIKA DOMAŃSKIEGO.*

Sąd Najwyższy w pełnym składzie sędziów Izby I Cywilnej na posiedzeniu, odbytem w dniu 20 kwietnia 1925 r., rozpoznawał sprawę ze skargi kasacyjnej D. L. i innych na wyrok Sądu Apelacyjnego w Warszawie z dnia 26 października, 9 i 23 listopada 1922 roku.

Przedmiotem sporu w rzeczonyj sprawie była kwestja, czy ustawa sejmowa z dnia 1 lipca 1921 r., o zmianie niektórych przepisów obowiązującego w b. Królestwie Polskiem prawa cywilnego, dotyczących praw kobiet, ma zastosowanie do stosunków majątkowych między małżonkami, którzy zawarli związek małżeński przed wejściem w życie nowej ustawy, nie sporządziwszy umowy przedślubnej.

Powyższe zagadnienie Sąd Apelacyjny w Warszawie rozstrzygnął przecząco.

Zdaniem Sądu Apelacyjnego, ustawa z dnia 1 lipca 1921 r., ograniczająca zarząd i użytkowanie męża z majątku żony oraz obowiązek uzyskiwania przez mężatkę pozwolenia męża przy umowach i czynnościach prawnych do tego tylko, co żona wniosła w chwili zawarcia małżeństwa, nie może mieć zastosowania do stosunków majątkowych małżonków, ustalonych przed wydaniem ustawy, albowiem: a) jak wskazuje sprawozdanie Komisji Prawniczej Sejmowej, ustawa ta jest tylko tymczasowym zarządzeniem prawodawczym w oczekiwaniu ostatecznego uregulowania przez Sejm osobowych i majątkowych praw kobiet według projektów Komisji Kodyfikacyjnej i obowiązuje od 1 września 1921 r. bez jakiegokolwiek wzmianki o zastosowaniu jej do stosunków, poprzednio

powstałych; b) poddając się stosunkowi majątkowemu in vim pacti przed wejściem w życie nowej ustawy, przyszli małżonkowie nie mogli mieć zamiaru regulowania tego stosunku według nieznanych im zgoła przepisów, jakie mogą być wydane w przyszłości, lecz jedynie uwzględnić mogli zasady, istniejące w chwili zawarcia przez nich małżeństwa i według tego ustalenia stosunku majątkowego oceniać należy późniejsze jego skutki i c) przy stosowaniu ustawy z dnia 1 lipca 1921 r., w dążeniu do poprawy dotychczasowego prawnego stosunku majątkowego małżonków, liczyć się należy z faktem rzeczywistego użytkowania dotąd przez mężów całego bez wyjątku majątku żon w małżeństwach, zawartych pod panowaniem poprzedniego prawa i skoro porządek publiczny i dobro ogółu nie wymagają bezwzględnego i natychmiastowego stosowania nowego prawa, to w tym względzie nie można bez wyraźnego przepisu ustawodawczego, wydawanego zazwyczaj dla stosunków przechodnich, pozbawiać męża praw używania całego bez wyłączeń majątku żony, nabytych przezeń przed wejściem w życie nowej ustawy i włączonych niejako do jego majątku, gdyż porządek prawny zapewnić winien bezpieczeństwo w ustaleniu stosunków majątkowych, jako obok ich rozwoju niezbędny czynnik społeczny.

Na poparcie przytoczonych wywodów Sąd Apelacyjny powołał się na: l. 7 Cod. de legibus l. 14; art. 2 Kod. Cyw. Polskiego i art. 12 prawa przechodniego do tegoż Kodeksu, art. 2 Kod. Cyw. francuskiego, art. 20 przepisów przechodnich do prawa o przywilejach i hipotekach 1825 r.; art. 200 przep. przech. do B. G. B.; art. 5 Kod. Cyw. szwajcarskiego oraz art. 2, 9 i 11 przep. przech. do tegoż kodeksu.

Popierając skargę kasacyjną, rzecznik strony skarżącej adwokat Ludwik Domański, w obronie przeciwnej tezy, wygłosił przemówienie treści następującej:

W życiu każdego społeczeństwa, zorganizowanego na podstawach prawnych, od niepamiętnych czasów

ścierają się dwa przeciwne prądy, dwa zwalczające się wzajemnie dążenia: konserwatyzm i radykalizm. Wyznawcy zasad zachowawczych, jako wypróbowanych i utrwalonych wiekowym doświadczeniem, sprzeciwiają się zwykle wszelkim zakusom zmiany istniejących urzędów społeczno-prawnych, upatrując w nich lekkomyślny zamach na świętość tradycji i niebezpieczeństwo wystawiania społeczeństwa na niepewną próbę nowych, niedostatecznie rozważonych urządzeń. Zwolennicy zaś radykalizmu społecznego uważają istniejące stosunki społeczno-prawne za przestarzałe, wadliwe i złe i wskutek tego pragną ich gruntownego i zupełnego przetworzenia chociażby za pomocą gwałtownych środków.

Syntezą tych dwóch biegunowo przeciwnych dążeń społecznych jest postępowość, czyli dążenie do stopniowych reform społeczno-prawnych, jako niezbędnych czynników rozwoju współzycia, odpowiadających naturalnym przeobrażeniom jego norm i form zewnętrznych.

Te trzy zasadnicze kierunki dążeń społecznych odzwierciedlają się w ustawodawstwie, które bywa konserwatywnem, radykalnem lub postępowem, w zależności od tego, jaki nastrój dążeń społecznych w nim przeważa i jakie cele ustawodawca pragnie osiągnąć.

*Les extrêmes se touchent* — krańcowy radykalizm pod względem metody oddziaływania na ustrój społeczno-prawny środkami przymusu ustawowego zbliża się do krańcowego konserwatyizmu.

Jeżeli bowiem ustawodawstwo rewolucyjne zazwyczaj zdradza tendencje niszczyliśko-twórcze i dąży do niezwłocznej likwidacji istniejących stosunków prawnych i zastąpienia ich przez nowe, to ustawodawstwo reakcyjne zazwyczaj niezwłocznie uchyla dokonane gwałtownie zmiany i przywraca poprzedni stan rzeczy.

Natomiast ustawodawstwo postępowe, jako umiarkowanie konserwatywne i umiarkowanie radykalne, szanując istniejący stan rzeczy, dąży jedynie do stopniowego przekształcania urządzeń społeczno-prawnych, w miarę zmieniających się potrzeb i wymagań współzycia.

Co się tyczy stosunków prawa cywilnego, to bronią konserwatystów, ułatwiającą sprzeciwianie się wszel-

kim reformom instytucji prawnych, jest tak zwana „teoria praw nabytych“, którą znów radykaliści w całości odrzucają, a postępowscy uznają o tyle, o ile nie przeszkadza ona przeprowadzeniu koniecznych zmian w istniejących stosunkach prawnych, odpowiadających zmienionym warunkom życia \*).

Ponieważ Sąd Apelacyjny w wywodach swych oparł się głównie na zasadach teorii praw nabytych, przeto niech mi wolno będzie w krótkości wyłożyć je, o ile, oczywiście, zasady te znalazły swój wyraz w powołanych przez Sąd Apelacyjny przepisach prawnych wogóle oraz w ustawie sejmowej z dnia 1 lipca 1921 r. w szczególności.

Przedewszystkiem wypada mi zaznaczyć, że każda ustawa, a zwłaszcza szczególna, jaką jest nowela z dnia 1 lipca 1921 r. ma swój odrębny charakter, swój cel ogólny, zdradzający dążenie ustawodawcy bądź do niezwłocznego przeprowadzenia zamierzonej reformy, bądź do niezwłocznego uchylenia dokonanych poprzednio radykalnych zmian, bądź wreszcie do wprowadzenia częściowych i stopniowych zmian w istniejących stosunkach prawnych.

Otóż Sąd Apelacyjny, nie wnikając zupełnie w ducha ustawy i zamiar ustawodawcy, ograniczył się jedynie do zaznaczenia, że, jak wskazuje sprawozdanie Komisji Prawniczej Sejmowej, ustawa z dnia 1 lipca 1921 r. jest tylko tymczasowem zarządzeniem prawodawczem, obowiązującym od 1 września 1921 r. do czasu ostatecznego uregulowania przez Sejm osobowych i majątkowych praw kobiet, a że nie zawiera ona wzmianki o zastosowaniu jej do stosunków poprzednio powstałych, więc, zdaniem Sądu, nie może mieć zastosowania do małżeństw, poprzednio zawartych.

Skoro tedy ustawa z dnia 1 lipca 1921 r. jest tymczasowem zarządzeniem prawodawczem, to, zdaje się, musiała je wywołać jakaś konieczność życiowa, zniewalająca ustawodawcę do dokonania prowizorycznej reformy, zanim ostatecznie przeprowadzi ją Sejm Usta-

---

\*) Zob. Fr. Lassal: „System der erworbenener Rechte“

wodawczy. Stosownie do tego należało Sądowi Apelacyjnemu najpierw zastanowić się nad tem, dlaczego ustawodawca nasz wydał swe tymczasowe zarządzenie i dopiero później, w braku wzmianki o zastosowaniu nowej ustawy do stosunków poprzednio powstałych, rozstrzygnąć sporne zagadnienie zgodnie z ogólnym zamiarem ustawodawcy i wyraźnymi przepisami pokrewnych ustaw, zmierzających do osiągnięcia podobnych celów.

Trzymając się kolei rozumowań Sądu Apelacyjnego, wspartych powagą nietylko przepisów obowiązującego u nas prawa cywilnego, ale nawet prawa rzymskiego i ustaw obcych, uważam, że Sąd Apelacyjny słusznie zwrócił uwagę na teorię praw nabytych, lecz że niewłaściwie ją zastosował.

Pomnikowe kodeksy cywilne wszystkich krajów cywilizowanych, bez wątpienia, należą do typu ustawodawstw postępowych, liczących się z teorią praw nabytych, która w zajmującym nas zagadnieniu opiera się na cytowanym przez Sąd Apalacyjny tekście prawa rzymskiego, głoszącym, że „*leges et constitutiones futuris certum est dare formam negotiis, non ad facta praeterita revocari, nisi nominatim et de praeterito tempore et adhuc pendentibus negotiis cautum est*”.

Z przytoczonego tekstu okazuje się, że postępowy prawodawca rzymski w zasadzie szanował stosunki prawne, powstałe z umów, jeżeli zaś, w drodze wyjątku, uznawał za niemożliwe utrzymanie ich w mocy ze względu na zamierzoną niezwłoczną reformę tych stosunków wogóle, to w takim razie wyraźnie zastrzegał, że nowe przepisy mają zastosowanie do stosunków, powstałych przed ich wydaniem.

Od tej ogólnej zasady prawodawca rzymski zwykle odstępował, gdy wydawał ustawy wyzwolenicze.

Jak wiadomo, liberalizm, czyli dążenie do rozszerzenia praw i swobód obywatelskich, był zawsze głównym bodźcem reform społeczno-prawnych, dźwignią postępu, a nawet hasłem do gwałtownych przewrotów i przeobrażeń przestarzałych instytucji prawnych.

Ruch wyzwoleniczy u wszystkich narodów kultural-

nych rozpoczął się niemal równocześnie z pierwszymi objawami cywilizacji i w miarę jej rozwoju zatacza coraz szersze kręgi, darząc wolnością uciśnione warstwy społeczeństwa bądź stopniowo, bądź drogą nagłych wstrząśnień i wyzwoleń z pęt niewoli.

Z natury więc swej liberalizm jest postępowy lub radykalny, w zależności od stopnia oporu, stawianego przez konserwatyzm.

Jako zdobywczy wolności, ustawy wyzwolenicze cechuje zwykle stanowczość i bezwzględność postanowień ustawodawcy, Mimo to konserwatyzm, tęskniący zawsze do dawnego porządku rzeczy, w postanowieniach wyzwoleniczych ustawodawcy potrafi dopatrzeć się luk i wątpliwości, a zaliczając tego rodzaju postanowienia do ustaw wyjątkowych, tłumaczy wszelkie niedomówienia i niejasności ustawy w duchu powrotu do poprzednio obowiązujących przepisów prawnych. Toteż w starożytnym Rzymie, gdy nadanie wolności osobistej wzrastającym wciąż liczebnie rzeszom niewolników stało się kwestją palącą i niecierpiącą zwłoki, wprowadzenie w życie ustaw wyzwoleniczych, ułatwiających stopniową emancypację niewolników, było przedmiotem szczególnej troski ustawodawcy.

Przewidując zgóry możliwość obejścia takich ustaw przez obrońców niewoli, prawodawca rzymski w procesach wolnościowych (*causae liberales*) ustanowił instytucję obrońców wolności z urzędu (*adsertores libertatis*), których obowiązkiem było odpierać wszelkie próby uchylania się od postanowień ustaw i aktów wyzwoleniczych. Jeżeli budziły one jakiegokolwiek wątpliwości, to, według powszechnej opinii prawników, należało je tłumaczyć w duchu wolnościowym. Opinia ta za czasów Justynjana uchodziła za ustaloną, albowiem w tytule 17 księgi 50 *Digestów*, noszącym nagłówek: „*De diversis regulis iuris antiqui*“, znajdujemy następujące zasady interpretacji ustaw i aktów wyzwoleniczych, wypowiedziane przez najwybitniejszych prawników rzymskich: 1) *Quoties dubia interpretatio libertatis est, secundum libertatem respondendum erit.* (Pomponius, *lex 20*); 2) *Semper in dubiis benigniora praeferenda sunt* (*lex 56*); 3) *Libertas*

omnibus rebus favorabilior est (Gajus, lex 122) i 4) In obscura voluntate manumittentis favendum est libertati (lex 179).

Ustawodawstwa współczesne teorię praw nabytych łączą z zasadą, że ustawy cywilne stanowią tylko na przyszłość, a nie rozciągają swych skutków na przeszłość, wyjąwszy przypadki, przez ustawodawcę wyraźnie wskazane.

Tej głównej zasadzie nadają formę przepisu obowiązującego art. 2 Kod. Nap. i art. 2 Kod. Cyw. polskiego z roku 1825-go.

Jak wiadomo, działanie wsteczne ustawy cywilnej może być dwojakie: 1) zupełne, gdy ustawodawca uchyła stosunki prawne, powstałe i zrealizowane już przed wydaniem ustawy i 2) niezupełne, gdy ustawodawca szanuje stosunki zrealizowane, lecz nie dopuszcza do realizacji stosunków, wynikłych pod rządem dawnej ustawy.

Co do stosunków umownych w ogólności, to zarówno doktryna, jak i orzecznictwo zgodnie wypowiedają się, że stosunki te winien ustawodawca w zasadzie szanować w całości, gdyż są one źródłem praw, nabytych od chwili zawarcia umowy, chociażby prawa te nie były jeszcze zrealizowane w chwili wydania nowej ustawy.

Jeżeli jednak ustawodawca uznaje za konieczne, w interesie ogółu, uchylić lub zmienić prawa nabyte, to winien wolę swą w tym względzie wyrazić „expressis verbis“, albowiem pozbawienie lub ograniczenie praw, nabytych przez obywateli, jest niczem innem, jak wyłączeniem.

W rozumieniu atoli doktryny i orzecznictwa za prawa nabyte uważać należy tylko prawa o charakterze podmiotowym, wchodzące w skład majątku osoby, uprawnionej i władnej swobodnie nimi rozporządzać\*). Prawa zaś osobowe lub majątkowe, którymi uprawniony nie może według swej woli rozporządzać, z uwagi na ich charakter publiczno-prawny lub interes porządku publicznego nie zaliczają się do kategorii praw nabytych, t. j.

---

\*) Zob. Demolombe t. I Nr. 40, Laurent t. I Nr. 153, Aubry et Rau t. I § 30 i in.



takich, których ustawodawca nie powinien w zasadzie odbierać lub uszczuplać ze szkodą uprawnionych.

Wszelkie więc ustawy, uchylające lub zmieniające prawa stanu cywilnego, familijne i spadkowe, regulowane na podstawie przepisów bezwzględnie obowiązujących (*lex cogens*) mogą obowiązywać od dnia ich ogłoszenia względem stosunków prawnych, powstałych pod rządem dawnej ustawy, lecz jeszcze niezrealizowanych w całości lub w części w dniu ogłoszenia nowej ustawy, o ile ustawodawca nie stanowi inaczej. Z uwagi jednak na to, że stosunki prawa osobowego, familijnego i spadkowego są najbardziej konserwatywne i najmniej podatne do gruntownych nagłych zmian, ustawodawca współczesny, przeprowadzając zasadniczą reformę tych stosunków, zazwyczaj zastrzega w nowej ustawie, względnie w przepisach przechodnich do ustawy, że stosunki, dotyczące praw stanu cywilnego, familijnych i spadkowych, powstałe przed wydaniem nowej ustawy, zachowują nadal swoją moc.

Gdy jednak ustawodawca takiego zastrzeżenia nie czyni, to z tego wyprowadzićby można tylko ten wniosek, że nowa ustawa miałaby zastosowanie do wszelkich stosunków w niej przewidzianych, chociażby one powstały jeszcze pod rządem dawnej ustawy.

Takie właśnie znaczenie mają powołane przez Sąd Apelacyjny przepisy przechodnie do kodeksu cywilnego Królestwa Polskiego oraz do kodeksów niemieckiego, austriackiego i szwajcarskiego.

Jeżeli, na przykład, art. 12 prawa przechodniego do Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego głosi, że stosunki majątkowe między małżonkami będą uważane podług przepisów tego prawa, które w czasie zawarcia małżeństwa obowiązywało, to, w razie braku takiego przepisu, mniemaćby wypadało, że odmienne postanowienia kodeksu w tym przedmiocie miałyby moc obowiązującą od dnia wejścia w życie kodeksu względem wszystkich małżeństw, a więc i przedtem zawartych, gdyż w przeciwnym razie postanowienie art. 12 prawa przechodniego byłoby zbędne.

Przechodząc z kolei do ustawy sejmowej z dnia

1 lipca 1921 r., winieniem przede wszystkim podkreślić, że Sąd Apelacyjny, nie wnikając w ducha ustawy i nie badając zamiaru ustawodawcy, mylnie zrozumiał zniesienie ograniczeń praw majątkowych mężatki w stosunku do majątku nabytego przez nią podczas trwania małżeństwa, jako pozbawienie męża praw użytkowania całego bez wyłączeń majątku żony, włączonych niejako do jego majątku.

Tymczasem zarówno z ducha, jak i z treści poszczególnych przepisów noweli z dnia 1 lipca 1921 r. niewątpliwie wynika, że jest ona ustawą wyzwolenczą, znoszącą pewne ograniczenia praw kobiet wogóle i mężatek w szczególności.

W starożytności i w średniowieczu kobietę uważano za istotę słabą, ułomną, zmienną i nieudolną—

Toteż „propter fragilitatem et imbecillitatem sexus“ pozostawała ona pod ciągłą opieką najpierw rodziców, później męża, a po owdowieniu — kuratora.

Dopiero wielka rewolucja francuska zdobyła dla kobiety wolność osobistą i równouprawnienie z mężczyzną w korzystaniu z praw cywilnych.

Atoli Kodeks Napoleona, lubo hołdujący hasłom rewolucyjnym wolności i równości wszystkich obywateli w obliczu prawa, okazał się reakcyjnym w stosunku do uprawnień kobiety, ograniczył bowiem kobiety w korzystaniu z niektórych praw osobistych, a co do korzystania z praw majątkowych ograniczył mężatki.

Uznawszy kobietę pełnoletnią za zdolną do samodzielnego zarządzania i rozrządzania swem mieniem, kodeks wprawdzie nie zabronił mężatom, z mocy umowy przedślubnej, zachowania prawa zarządu i użytkowania z majątku bez udziału męża, w braku jednak takiej umowy prawo to przyznał mężowi na cały czas trwania związku małżeńskiego.

Otóż mimowoli nasuwa się tu natarczywe pytanie — dlaczego?

Z rozpraw komisyjnych nad projektem kodeksu dowiadujemy się, że głównym zwolennikiem i rzecznikiem ograniczenia praw mężatek był sam Napoleon, i że zagadnięty przez jednego z członków komisji re-

dakcyjnej, dlaczego kobieta za wyjście zamaż ponosić ma niejako karę pozbawienia praw cywilnych na korzyść męża, Napoleon miał odpowiedzieć: „L'ange l'a dit à Adam et Ève“.

A zatem jedynym argumentem, przytoczonym przez twórcę kodeksu na usprawiedliwienie ograniczenia praw cywilnych mężatek, miał być grzech Ewy, skazanej za nieposłuszeństwo przykazaniu Boskiemu na karę posłuszeństwa i uległości mężowi.

Pomijając argumentację prawną ograniczenia praw mężatek według Kodeksu Napoleona, jako że odnośne przepisy Kodeksu zostały u nas uchylone z wprowadzeniem Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego z roku 1825-go, uważam za wskazane powołać się z kolei na powody urzędowe do przepisów naszego kodeksu, określające charakter ograniczeń praw cywilnych mężatek wogóle i w szczególności praw majątkowych.

Twórcy Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego motywują konieczność ograniczenia praw cywilnych mężatek i poddania ich władzy mężowskiej (*auctoritas maritalis*) przyrodzonym porządkiem rzeczy.

W dyarjuszku Senatu Sejmu Królestwa Polskiego z roku 1825-go znajdujemy następujące uzasadnienie podstaw i zakresu władzy mężowskiej.

„W obliczu ołtarza, w obliczu prawa zaręczają sobie małżonkowie wiarę, wsparcie i wzajemną pomoc. Łączą się w jednym i tym samym celu szczęścia domowego, na którym się gruntuje porządek i pomyślność towarzyska. Lecz nie jednakowo ukształciło ich przyrodzenie, dając w podziale mężowi siłę, aby się opiekował małżonką, bronił ją i zasłaniał od niebezpieczeństw moralnych i fizycznych, a tem samem, aby się stał głową familji,—kobiecie zaś udzielił słodycz, skromność, czułość, które stają się rękojmnią przyszłego szczęścia małżonka, jeśli będzie umiał nimi kierować i utrzymywać w przyzwoitych obrębach.

Nie w przemocy więc mężczyzn znajduje się przyczyna przewagi, jaką im powszechnie prawa przyznają, lecz w samem od natury pochodzącem ukształceniu płci obojej. Zakreśliło przyrodzenie dla niewiast pewien

rodzaj podległości, a mężczyznom powierzyło obronę i pieczę nad niemi, bez czego nie mógłby się utrzymać związek małżeński i związek towarzyski. Małżonka przypuszczona do nazwiska i domu mężowskiego powinna iść za nim, towarzyszyć mu wszędzie, słodzić przykrą życia kolej, on zaś nawzajem opatrywać jej potrzeby, czuwać nad bezpieczeństwem, całością i szczęściem“ (powody do art. 179 i 180).

Nic przeto dziwnego, że zarówno według Kodeksu Napoleona, jak i Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego mężatka poddaną została ustawowo władzy mężowskiej nie tylko w stosunkach osobistych, lecz i w stosunkach majątkowych.

Że prawo zarządu i użytkowania męża z całego majątku żony, przysługujące mu z mocy art. 192, 193 i 204 Kod. Cyw. Kr. Pol., jest tylko jednym z ustawowych atrybutów władzy mężowskiej, przekonywują powody urzędowe do art. 192 tej treści:

„Pierwsze główne prawidło, w art. 192 podane, czyni męża zarządcą, a oraz i użytkownikiem majątku żony.

Użytkowanie mężowi prawem nadane nie jest dobrodziejstwem osobistem, dlatego obok prawa użytkowania umieszczony obowiązek ponoszenia wspólnych ciężarów małżeństwa.

Wszystko, co żona posiada w czasie zawarcia małżeństwa, wszystko, co jej przybyć może w czasie trwania małżeństwa przez spadek lub darowiznę, pozostaje jej własnością, a do męża należy użytek z własności takowej.

Wspólne ciężary małżeństwa trwają dopóty, dopóki trwa społeczność sama małżeńska. Z jakiegokolwiek więc przyczyny małżeństwo rozwiązane zostaje, z ustaniem przyczyny, dla której mężowi prawo nadało zarząd i użytkowanie majątku żony, ustać powinien i skutek, to jest zarząd takowy i użytkowanie.

Z tego powodu dodano w prawie, że mąż przez ciąg trwającego małżeństwa zarządza i użytkuje z majątku żony.

Mąż, mając sobie przez prawo nadane użytkowa-

nie z majątku żony, ulega wogóle obowiązkom takim, jakie prawo na każdego innego użytkownika w tytule o użytkowaniu wkłada. Jednakże od reguły tej w razie obecnym niektóre wyjątki uczynić wypada.

Użytkownik podług Kodeksu Cywilnego winien dać rękojmię, że używać będzie jako dobry gospodarz. W związku małżeńskim tak ściśle jest połączone wzajemne dobro małżonków, że nie można wątpić, iż mąż użytkować będzie, jako dobry gospodarz... Wreszcie każdy inny użytkownik, mając sobie nadane dobrodziejstwo osobiste, winien uleść i ciężarom do takowego dobrodziejstwa przywiązanym;—lecz użytkowanie męża, jak to wyżej wykazanem zostało, nie jest tego rodzaju dobrodziejstwem: ma ono na celu wspólne żony i męża dobro. Mąż wyręcza żonę w zarządzaniu jej majątku. Wyręczyciel takowy nie powinien ulegać prawidłom dla innych użytkowników oznaczonym, zwłaszcza że żona jest codziennym świadkiem zarządu męża i mocną więc jest, gdy nadużycia spostrzeża, przedsięwziąć każdego czasu środki zaradcze, artykułem 199 i następującymi dozwolone“.

Jeżeli pozatem weźmiemy pod uwagę, że mąż w ciągu trwania małżeństwa nie może zrzec się prawa zarządu i użytkowania majątku żony, ani też ustąpić go osobie trzeciej, to chyba nie powinno być wątpliwości, że prawo to nie może być zaliczone do kategorii praw majątkowych męża o charakterze podmiotowym, t. j. nabywanych i zbywanych z mocy umowy stron.

Jako głowie familji, prawodawca nasz przede wszystkim nakazał mężowi ponosić wszystkie ciężary wspólnego pożycia małżeńskiego, bez względu na to, czy żona wniosła mężowi jakikolwiek majątek.

Prawo tedy zarządu i użytkowania męża z majątku żony jest tylko ulgą dla męża w ponoszeniu ciężarów rodzinnych, przyczem mąż jest traktowany przez prawodawcę nie jako zwykły użytkownik, lecz jako wyręczyciel żony, zarządzający i użytkujący z jej majątku dla wspólnego dobra obojga małżonków.

Wolno jest kobiecie, wstępującej w związki mał-

żeńskie, zachować prawo zarządu i użytkowania swego majątku z mocy umowy przedślubnej, jeżeli zaś tego nie czyni, władza mężowska rozciąga się do jej majątku z tym ograniczeniem, że w razie nadużycia, sąd może, na żądanie żony, pozbawić męża prawa zarządu i użytkowania jej majątku i prawo to przywrócić żonie (art. 199).

Jest więc nadanie mężowi prawa zarządu i użytkowania majątku żony ustawowem ograniczeniem praw żony nie w interesie męża, jak mylnie mniema Sąd Apelacyjny, lecz w interesie rodziny, utrzymywanej wyłącznie z funduszków męża, oraz z dochodów zaczerpniętych z majątku żony.

System ustawowych stosunków między małżonkami z biegiem czasu okazał się u nas przestarzałym. Postanowienie ustawodawcy z roku 1825-go, że mąż, jako głowa familji, wyłącznie ma opatrywać jej potrzeby, wskutek zmiany warunków ekonomicznych w naszym kraju, zaszłej jeszcze przed wojną światową, w większość wypadków okazało się fikcją.

Pogarszające się z roku na rok warunki egzystencji zarówno w miastach, jak i na wsi, zmuszały mężów, dla wyżywienia licznych zazwyczaj rodzin, porzucać na długo, a nieraz na stałe, ogniska domowe i poszukiwać pracy i zarobków daleko poza domem. Opuszczone w ten sposób żony, obarczone w dodatku drobnymi dziećmi, również zmuszone były szukać pracy i zarobków, bo pomoc mężów zwykle nie wystarczała, a częstokroć zawodziła.

Słowem, mężatki, wbrew intencji ustawodawcy, zmuszone zostały odrywać się od gospodarstwa domowego i narówni z mężami, a nieraz wyłącznie pracować na utrzymanie rodziny. Ten stan rzeczy skłonił ustawodawcę rosyjskiego do częściowej reformy stosunków osobistych i majątkowych między małżonkami w b. Królestwie Polskiem, a wyrazem tej reformy jest prawo z dnia 25 marca 1914 r. o pewnych zmianach i uzupełnieniach przepisów, obowiązujących w b. Królestwie Polskiem co do praw osobistych i majątkowych mężatek.

Pomijając zmiany przepisów o prawach osobistych mężatek, powołam się tylko na art. 3 rzonego prawa, stanowiący, że wszystko, co nabyte zostało staraniem i pracą żony, oddzielnie od męża mieszkającej, stanowi jej własność wyłączną, do której nie rozciąga się moc art. 192 i 193 Kod. Cyw. z 1825 r.

Przepis ten, jak i całe wogóle nowe prawo, obowiązuje u nas od dnia ogłoszenia i w praktyce dotychczas nie wywołał wątpliwości, czy ma zastosowanie do małżeństw, zawartych przed wprowadzeniem go w życie.

Zapoczątkowaną przez rosjan reformę znacznie rozszerzył i pogłębił nasz Sejm Ustawodawczy, a bodźcem do tego było zdobycie przez kobietę polską, wkrótce po odrodzeniu Państwa Polskiego, równouprawnienia politycznego.

Nie wdając się w roztrząsanie zagadnienia, czy kobieta polska dojrzała już do samodzielnej pracy na arenie życia politycznego i publicznego, liczyć się musimy z faktem dokonanym, że na mocy ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego, tudzież dekretu o wyborach do rad miejskich kobiety w b. Królestwie Kongresowem otrzymały pełne prawa wyborcze zarówno do sejmu ustawodawczego, jak i do rad miejskich, bez różnicy stanu cywilnego. Tak więc mężatki dopuszczone zostały, bez zezwolenia i asystencji mężów, do stanowienia ustaw, obowiązujących zarówno żony, jak i mężów.

Z tego powodu Ministerstwo Sprawiedliwości uznało za stosowne opracować projekt ustawy w przedmiocie zmiany niektórych przepisów obowiązującego w b. Królestwie Polskiem prawa cywilnego, dotyczących praw kobiet.

Z motywów, załączonych do projektu Ministerstwa, dowiadujemy się, co następuje: „Nie przesądzając bynajmniej kwestji, jaki system należałoby przyjąć za podstawę prawną stosunków majątkowych między małżonkami, trzeba jednak zwrócić uwagę na tę okoliczność, że zasadnicza zmiana tych stosunków wymagałaby przerobienia całego obowiązującego w b. Królestwie

Kongresowem Kodeksu cywilnego polskiego. Praca ta wymagałaby bardzo długiego czasu, a przytem miałyby charakter tylko tymczasowy wobec podjęcia prac nad unifikacją różnych kodeksów cywilnych, dotąd obowiązujących na ziemiach Państwa Polskiego. Z tego względu projektowana ustawa, mająca na celu jedynie jaknajprędsze zniesienie ograniczeń kobiet w używaniu praw cywilnych, znosi tylko powyższe ograniczenia“.

Przechodząc następnie do sprawozdania Komisji Prawniczej Sejmowej, znajdujemy w nim ustępy treści następującej: „Komisja stwierdziła jednogłośnie, zgodnie także z Ministerstwem Sprawiedliwości, iż przedłożony projekt przedstawia się jedynie, jako usunięcie pewnych zupełnie już przestarzałych, częściowo wprost śmiesznie (?) działających, a naruszających prawa kobiet przepisów prawa cywilnego, obowiązującego w b. Królestwie Kongresowem...“

Przechodząc do merytorycznego rozważania projektu, Komisja Prawnicza przede wszystkim zadecydować musiała, czy zmienić zasadę, zawartą w art. 192 Kod. Cyw. pol., iż w braku umów przedślubnych mężowi przysługuje prawo zarządu i użytkowania majątku żony. Komisja co do zasady samej jest zdania, iż należałoby ją usunąć i wprowadzić zupełny rozdział między małżonkami. Komisja uznała atoli za rzecz niemożliwą w ramach powyżej scharakteryzowanego projektu ustawy wprowadzić zmianę całego systemu prawa majątkowego między małżonkami i uważała, że wprowadzenie tej zmiany należy do kodyfikacyjnej ustawy. Zmieniła natomiast Komisja projekt ustawy rządowej w punkcie 8, wprowadzając zmianę do art. 193 Kod. Cyw. pol. tej treści, iż zarząd i użytkowanie męża rozciąga się tylko do tego, co żona w czasie zawarcia małżeństwa wniosła“.

Tak samo mniej lub więcej wypowiedali się po słowie nasi podczas rozpraw sejmowych nad projektem ustawy\*).

A zatem nowela z dnia 1 lipca 1921 r., jako

---

\*) Zob. Sprawozdanie stenograficzne z 239 posiedzenia Sejmu Ustaw. z dn. 1 lipca 1921 r.



wprowadzająca częściowe zmiany przepisów Kod. Cyw. polskiego, konieczne, zdaniem ustawodawcy, ze względu na ich przestarzałość i wskutek tego nieodzownie pilne, zanim cały system stosunków majątkowych między małżonkami będzie gruntownie przekształcony—jest, z jednej strony, ustawą wyzwolenczą, znoszącą pewne ograniczenia praw mężatek, a z drugiej strony ustawą postępowo-radykalną.

Postępowość noweli ujawnia się w tym, że nie znosi ona ograniczeń praw majątkowych mężatek całkowicie, lecz tylko częściowo, o ile uznaje za zupełnie przestarzałe.

Radykalizm zaś noweli ujawnia się w tym, że przepisy przestarzałe uchyla lub zmienia niezwłocznie, bez omówienia, że małżeństwa starsze mają nadal podlegać dawnym przepisom.

Gdy przeto ustawa z dnia 1 lipca 1921 r. wprost uchyla szereg przepisów Kodeksu Cyw. polskiego i zastępuje je nowymi, a w art. 36 stanowi, że ustawa obowiązuje od 1 września 1921 r. i rozciąga się na obszar b. Królestwa Polskiego, to nie ulega wątpliwości, że ustawodawca nie czynił żadnego różróżnienia między stosunkami, powstałymi przed wprowadzeniem noweli w życie, a mającymi powstać w przyszłości.

Jak się rzekło, nowela lipcowa usuwa przestarzałe przepisy kodeksowe i zastępuje je nowymi, bardziej odpowiadającymi, według mniemania ustawodawcy, współczesnym wymaganiom życia.

Tego rodzaju zmiany nie mogłyby być dokonane w sposób tak stanowczy i szybki, gdyby ustawodawca miał na widoku zachowanie niektórych dawnych przepisów w stosunku do pewnej kategorii małżeństw. Na bezwzględne uchylenie obowiązujących poprzednio przepisów, bez zastrzeżenia wyjątków, czy to w samym tekście ustawy, czy w przepisach przechodnich, nie pozwalałaby poprostu najelementarniejsza technika ustawodawcza, albowiem co dawniej było regułą, nie może chyba stać się wyjątkiem od nowej reguły, bez wyraźnej woli ustawodawcy.

Nie czekając, aż Sejm Ustawodawczy ostatecznie ureguluje stosunki majątkowe między małżonkami

na nowych podstawach, twórcy noweli z dnia 1 lipca 1921 r. uznali za konieczne uchylić, chociażby tymczasowo, przepisy, rażące swym anachronizmem.

Czyżby zamiarem ustawodawcy było pragnienie uszczęśliwienia tylko przyszłych mężatek?

Gdyby taki był zamiar ustawodawcy, to niewątpliwie—poczekalby on na ostateczne uregulowanie stosunków majątkowych między małżonkami przez Sejm na podstawie projektu Komisji Kodyfikacyjnej, boć przecież olbrzymią większość małżeństw stanowią małżeństwa, zawarte przed wydaniem noweli, w stosunku zaś do nich coroczny przyrost nowych małżeństw wynosi odsetki nieznaczące.

Pomijając już względy natury praktycznej, jak chaos, jakiby powstał na skutek podziału małżeństw na dawne i nowe, trudno wprost przypuścić, aby ustawodawca jedne i te same przepisy uznał za przestarzałe w stosunku do przyszłych małżeństw, a względem małżeństw, istniejących w chwili wydania ustawy, zachował je nadal, jako normalne i odpowiadające współczesnym wymaganiom życia. Tego rodzaju rozróżnienie wyrządzałoby krzywdę kobietom, które wyszły zamaż przed wydaniem ustawy i stwarzałoby nieusprawiedliwiony niczem przywilej dla przyszłych mężatek.

Jak już wyjaśniłem, zniesienie ograniczeń praw majątkowych mężatek nie uszczupla praw majątkowych mężów, gdyż sprowadza się tylko do stosunkowego ograniczenia władzy mężowskiej.

Gdy według Kod. Cyw. polskiego, mąż zarządza i użytkuje z majątku żony dlatego tylko, że winien całkowicie ponosić ciężary rodzinne, to według noweli z dnia 1 lipca 1921 r. żona, obejmująca zarząd i użytkowanie swego majątku, nabytego podczas trwania małżeństwa, obowiązana jest przykładać się do wspólnych ciężarów małżeńskich w stosunku swojej i męża możliwości, a nawet ponosić je całkowicie, gdyby mąż majątku, ani sposobu zarobkowania nie miał (art. 12).

Przenosząc więc ciężar utrzymania rodziny z męża na żonę w stosunku jej możliwości, ustawodawca usunął przyczynę, dla której mężowi przysługiwało prawo za-

rzędu i użytkowania majątku żony, z ustaniem zaś przyczyny ustaje i skutek, t. j. prawo męża.

A zatem o jakimkolwiek pokrzywdzeniu przez odebranie mężom praw nabytych, wchodzących rzekomo do składu ich majątku nie może być mowy.

Pozostaje mi jeszcze poruszyć jeden szczegół, wysunięty w uzasadnieniu wyroku Sądu Apelacyjnego, jako argument, że mąż nie może być pozbawiony praw, które nabył nieodwołalnie *in vim pacti*.

W sprawie jest poza sporem, że małżonkowie B. nie zawarli umowy przedślubnej.

Jeżeli Sąd Apelacyjny przypuszcza, że zawarcie związku małżeńskiego jest umową, to pod tym względem jest w wielkim błędzie, gdyż zarówno Kodeks Cywilny 1825 r., jak i prawo o małżeństwie 1836 r. nie uznają małżeństwa za umowę.

Chociaż związek małżeński powstaje za zgodą stron, jest on z przeznaczenia swego dozgonnym i może być sądownie unieważniony lub rozwiązany przed śmiercią jednego z małżonków tylko z przyczyn, w ustawie przewidzianych.

Wolno było małżonkom B. ułożyć swe stosunki majątkowe na czas trwania małżeństwa według własnego upodobania na podstawie umowy przedślubnej, która winna poprzedzać zawarcie małżeństwa, wolno było w intercyzie zastrzedz, że przyszli małżonkowie poddają się co do stosunków majątkowych przepisom ustawowym, obowiązującym w chwili zawarcia umowy, jak to często zdarza się w praktyce.

Skoro jednak tego nie uczynili, przepisy ustawowe obowiązują ich nie „*in vim pacti*“, lecz „*in vim legis cogentis*“, przepisy bowiem ustawowe, dotyczące stosunków majątkowych między małżonkami, nie mogą być podczas trwania małżeństwa zmieniane z woli małżonków.

Gdyby nawet stanąć na stanowisku, że małżonkowie, wstępujący w związek małżeński, bez umowy przedślubnej, milcząco, z własnej woli, poddają się obowiązującym przepisom ustawowym, to takie milczące zezwolenie dotyczy również wszelkich ewentualnych

zmian tych przepisów w przyszłości, albowiem ustaw wiecznie obowiązujących nie było nigdy i nie będzie.

Ustawa z dnia 1 lipca 1921 r. nie zmieniła w niczem przepisów kodeksowych, odnoszących się do umów przedślubnych. Gdyby więc małżonkowie B. w umowie przedślubnej zastrzegli, że ich stosunki majątkowe regulować będą przepisy ustawowe, obowiązujące w chwili zawarcia małżeństwa, wola ich byłaby uszanowana. Nie uczyniwszy tego, nie mogą rościć pretensji do ustawodawcy, że przepisy, bezwzględnie ich obowiązujące, zmienił i nakazał ulegać innym przepisom, również bezwzględnie obowiązującym, o ile nie sprzeciwiają się umowie przedślubnej.

W dniu 21 października 1919 r. Sejm Ustawodawczy wydał ustawę o wieku pełnoletności w b. zaborze austrijackim. Według kodeksu austriackiego pełnoletność osiągała się z ukończeniem 25 lat życia, do czasu zaś dojścia do pełnoletności prawo zarządzania i użytkowania majątku nieletnich dzieci przysługuje ojcu.

Ustawa z d. 21 października 1919 r. stanowi, że pełnoletność w b. zaborze austriackim osiąga się z ukończeniem 21-go roku życia i że przepis ten wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1920 roku (art. 1 i 7).

Posiłkując się metodą argumentacji Sądu Apelacyjnego, ojciec mógłby dowodzić, że ponieważ dzieci przychodzą na świat „in vim pacti” rodziców, przeto nabywa on prawo do zarządu i użytkowania z majątku dzieci według przepisów, które w chwili ich poczęcia obowiązywały i których ustawodawca nie może później uchylać lub zmieniać, bo gdyby ojciec o tem był wiedział, to być może dzieci nie ujrzałyby światła dziennego.

Czy taka argumentacja trafiłaby do przekonania sędziów b. zaboru austriackiego, śmiem bardzo wątpić.

Gdyby, pomimo oczywistej bezzasadności wywodów i twierdzeń Sądu Apelacyjnego, poruszone w niniejszej sprawie zagadnienie mogło się jeszcze wydawać spornem, to nie godzi się zapominać, że nowela z dnia 1 lipca 1921 r. jest ustawą wyzwolenczą, zno-

szącą pewne ograniczenia praw majątkowych mężatek, że zatem wszelkie wątpliwości wypada rozstrzygać w duchu wolnościowym zgodnie z maksymą „libertas omnibus rebus est favorabilior“.

Przed wejściem w życie ustawy z dnia 1 lipca 1921 r. tekst jej był komentowany zbiorowo przez najbardziej zainteresowanych prawników—radców prawnych instytucji kredytowych w Warszawie oraz przez Zrzeszenie notariuszów i pisarzy hipotecznych w ten sposób, że „prawo to stosuje się do wszystkich mężatek, bez względu na datę zawarcia małżeństwa“.

Powyższa uchwała prawników była ogłoszona w „Gazecie Sądowej Warszawskiej“ i powtórzona w pismach codziennych, a stosując ją w praktyce notariusze sporządzili około półtora tysiąca aktów notarialnych, zeznanych przez mężatki bez asystencji mężów, jako domniemanych zarządców i użytkowników ich majątku, zanim zapadł zaskarżony wyrok Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

Obecnie Sąd Najwyższy raczy orzec, kto się pomylił: czy Sąd Apelacyjny, który rozstrzygnął wszczętą przez stronę przeciwną kwestję w oderwaniu od podstaw rozumowych ustawy z dnia 1 lipca 1921 roku oraz od potrzeb i wymagań codziennego życia, czy też prawnicy-praktycy.

Wnoszę o uchylenie zaskarżonego wyroku z powodu obrazy art. 9 i 36 Ust, z dnia 1 lipca 1921 r., art. 2 Kod. Cyw. Polskiego 1825 r. i art. 711 Ust. Post. Cyw.

Jakoż Sąd Najwyższy, po wysłuchaniu głosów rzeczników obu stron oraz podprokuratora, który wnosił o oddalenie skargi kasacyjnej, postanowił: zaskarżony wyrok Sądu Apelacyjnego w Warszawie, z powodu obrazy art. 9 i 36 ustawy z dnia 1 lipca 1921 r. (Dziennik Ustaw Nr. 64 poz. 397 z roku 1921) oraz art. 711 Ust. Post. Cyw. uchylić i sprawę przesłać temuż Sądowi do ponownego osądzenia w innym składzie sędziów.



W SPRAWIE „TEATRU MAŁEGO“  
ZE SKARGI MAGISTRATU M. ST. WARSZAWY NA  
DECYZJĘ MINISTERSTWA SPRAW WEWNĘTRZNYCH

## MOWA ADWOKATA LEONA NOWODWORSKIEGO

na posiedzeniu Najwyższego Trybunału Administracyjnego  
w dniu 13.XI.1922.

W swej skardze na decyzję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w danej sprawie Magistrat m. st. Warszawy podkreśla, że

„wpływ z opodatkowania zabaw i widowisk stanowi bardzo poważną rubrykę dochodów miejskich, sprawa ma przeto zasadnicze znaczenie z punktu widzenia skarbowości gminy“.

Twierdzenie słuszne; ale jest to tylko jedna strona sprawy. Równie bowiem zasadnicze znaczenie sprawa ma i z punktu widzenia rozwoju teatrów prywatnych w Warszawie. Znaczenie ze wszech miar ważne, jeśli mieć na widoku, że rozwój sztuki scenicznej nie tylko interesuje kasę przedsiębiorstw teatralnych, ale wkracza zarazem w dziedzinę zagadnień rozwoju kulturalnego społeczeństwa.

„Teatr Mały“, w którego imieniu występuję w danej sprawie, jest w niej, oczywiście, bezpośrednio zainteresowany, gdyż idzie o zarządzenie Magistratu, wydane w stosunku do tego teatru, naskutek jego skargi przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uchylone.

Istotne zaś znaczenie sprawy polega nie na pytaniu, czy słusznie Magistrat m. st. Warszawy wymierzył podatek w wysokości 30<sup>0</sup>/<sub>0</sub> od cen biletów wejścia na wystawioną w „Teatrze Małym“ sztukę p. t. „Raj zamknięty“, ale na kwestji zasadniczej: wykładni przepisów statutu „o podatku miejskim od widowisk, koncertów, zabaw i rozrywek“; idzie o rozstrzygnięcie spo-



ru, jaki na tle tej wykładni wynikł między Magistratem m. st. Warszawy, a jego władzą nadzorczą — Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

Rozstrzygnięcie tedy danej sprawy mieć będzie znaczenie przesądzające dla spraw analogicznych, jakie wyniknąć mogą w przyszłości.

W swej decyzji z dnia 20 maja 1922 r., stanowiącej przedmiot skargi Magistratu, Min. Spr. Wewn. orzekło, że Magistratowi bezspornie służy prawo oceny teatrów i zaliczenia ich do odpowiedniej kategorii pod względem podatku od widowisk; ale że natomiast Magistrat nie ma prawa oceny, czy ta lub inna sztuka, w danym teatrze wystawiona, należy do tej czy innej kategorii, i zmiany wysokości podatku w zależności od tej oceny.

Decyzję swoją Ministerstwo oparło na § 5-ym statutu podatkowego.

Przy wykładni każdego przepisu obowiązującego, zwłaszcza gdy literalne jego brzmienie może nastroczać wątpliwości, stanowcze znaczenie mają pobudki tego przepisu i cel, jaki przezeń zamierzano osiągnąć.

Dla rozstrzygnięcia więc pytania o zgodności zaskarżonej decyzji Min. Spr. Wewn. z prawem, należy sięgnąć do motywów i celów rzeczzonego przepisu statutu podatkowego.

Jakiż był cel zróżniczkowania skali podatku od biletów teatralnych, w zależności od charakteru danego przedsiębiorstwa teatralnego? Czemu od biletów wejścia na operę i do teatrów dramatycznych ustanowiono podatek miejski w wysokości 10<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, podczas gdy farsy i operetki opodatkowano w wysokości 30, a teatry-variété, kabarety i kinematografy aż w wysokości 100<sup>0</sup>/<sub>0</sub>?

Szło tu, oczywiście, o rozróżnienie poważnych przedsiębiorstw teatralnych, poświęconych sztuce i stąd mających znaczenie kulturalno-społeczne, jako szkoła sztuki scenicznej, od miejsc lekkiej, nieraz pustej rozrywki; szło o uprzywilejowanie pod względem podatkowym pierwszych w porównaniu z drugimi.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, wielokrotnie stwierdzoną, że prowadzenie poważnego przedsiębiorstwa

teatralnego z punktu widzenia finansowego nie wytrzymuje naogół konkurencji z teatrykami i kinematografami; że w grę wchodzi tu, obok kwestji nakładów i kosztów, upodobanie szerokim mas, bardziej zawsze skorych do pustego śmiechu, niż do prawdziwie artystycznej rozrywki.

To też w państwach i miastach, dbających o rozwój kulturalny społeczeństwa, rozumiejących, jak ważną w tym względzie rolę może i powinna odgrywać scena, uprzywilejowanie przedsiębiorstw teatralnych o kierunku artystycznym, ułatwienie im konkurencji z przedsiębiorstwami teatralnymi niższego rzędu, przybiera często postać nawet subsydjów pieniężnych rządowych lub samorządowych.

W naszych warunkach, z powszechnie wiadomych powodów trudności finansowych kas skarbowej i miejskiej, pieniężne popieranie prywatnych przedsiębiorstw teatralnych nie jest możliwe.

Ale przynajmniej, wprowadzając podatek miejski od widowisk w celach przysporzenia miastu dochodu, t. j. ze względów, na które taki właśnie nacisk kładzie skarga Magistratu w danej sprawie, nie zapomniano o konieczności uzależnienia wysokości tego podatku od charakteru przedsiębiorstwa teatralnego.

Otóż o zasadniczym charakterze danego teatru, o tem, czy można go zaliczyć do rzędu przybytków sztuki scenicznej, a tem samem czy zasługuje on na opiekę i poparcie władz rządowych lub samorządowych przez ulgi podatkowe, nie sposób sądzić z poszczególnej wystawionej w danym teatrze sztuki, lecz można i trzeba jedynie na podstawie ogólnego kierunku, całości repertuaru, poziomu, na jakim teatr jest utrzymywany.

Racjonalnie prowadzony teatr dramatyczny z konieczności wymaga urozmaicenia repertuaru, To też z wyjątkiem nielicznych teatrów, poświęconych wyłącznie wystawianiu sztuk par excellence klasycznych t. z. wielkiego repertuaru, niema bodaj teatru dramatycznego na świecie, któryby w swym repertuarze obok sztuk zupełnie poważnych nie wprowadzał sztuk lżejszego pokroju.

Okoliczność, że na scenie teatru dramatycznego, prowadzonego na wysokim poziomie artystycznym zarówno pod względem doboru repertuaru, jak i doboru sił aktorskich, od czasu do czasu będzie wystawiona sztuka lżejsza, któraby nawet zakrawała na farsę, nie może zmienić zasadniczego charakteru teatru i jego istotnego znaczenia, jako placówki prawdziwej sztuki, a zatem nie powinna go pozbawiać uprzywilejowania pod względem podatkowym. Nieraz taki dobór i zestawienie sztuk ma nawet znaczenie artystyczno-wychowawcze dla widzów teatralnych. Tem samym charakter poszczególnej w danym teatrze wystawionej sztuki nie powinien wpływać na wysokość opodatkowania biletów wejścia do tego teatru; o stawce podatku powinien decydować charakter teatru.

Jeśli tedy do rozważenia przepisów statutu podatkowego, o którym mowa, przystąpić w świetle jego motywów i celów; jeśli zważyć, że acz podyktowany, jak każdy zresztą podatek, zamierzeniami fiskalnemi, w ujęciu swem liczył się wszakże z względami, o których pozwoliłem sobie szerzej wspomnąć, — dojsć należy do wniosku, iż niewątpliwie słuszne jest stanowisko, zajęte w danej sprawie przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Z przemówienia przedstawiciela Ministerstwa oraz ze zreferowanego dzisiaj a złożonego przez Ministerstwo do Sądu Najwyższego wyjaśnienia na skargę Magistratu wynika, że Ministerstwo ujęło sprawę właśnie pod tym kątem widzenia, o którym mówiłem.

Zgodne z istotnemi motywami różniczkowania skali podatku od widowisk, stanowisko Ministerstwa Spraw Wewnętrznych znajduje nadto potwierdzenie i w samym brzmieniu tekstu § 5-go omawianego statut podatkowego, przy zestawieniu poszczególnych ustępów tego paragrafu.

Z zestawienia tego widać przedewszystkiem, iż statut podatkowy ma na względzie z jednej strony stałe przedsiębiorstwa teatralne, z drugiej — dorywcze widowiska.

Co do widowisk stałych, przepisy statutu biorą pod uwagę nie charakter poszczególnych sztuk czy wi-

dowisk, lecz właśnie ogólny charakter danego przedsiębiorstwa teatralnego.

Tak więc ustęp I § 5 statutu mówi o opłatach za wejście „do teatrów dramatycznych“ „z wyjątkiem farsy“. Że wyrażenie „farsa“ użyto tu w znaczeniu: „teatr farsowy“ — jako przeciwstawienie „teatru dramatycznego“, to jest w sensie określenia rodzaju przedsiębiorstwa teatralnego, nie zaś określenia rodzaju poszczególnej sztuki jego repertuaru—jako przeciwstawienie „komedji“ lub „dramatu“; że w tym samym sensie, t. j. określenia właśnie rodzaju przedsiębiorstwa teatralnego, użyto również wyrażen: „farsa“ i „operetka“ w ust. 5 tegoż § 5; że zarówno ustęp I-szy, jak i ustęp 5-ty przeciwstawia pojęcie stałego przedsiębiorstwa teatralnego określonego typu pojęciu widowisk, urządzanych dorywczo, — o tem przekonywa zarówno ustęp 2-gi § 5-go, gdzie mowa „o opłacie za wejścia do teatrów variété“ i t.d. (t.j. znowuż określenie rodzaju stałego przedsiębiorstwa teatralnego, nie zaś charakteru poszczególnego widowiska), jak, bardziej jeszcze, ustęp 4, określający stopę podatku „za wejścia do teatrów, nie objętych pp. 1, 3 i 5“.

Właściwie tedy ust. 4 § 5 statutu usuwa wszelką wątpliwość, że pozostałe ustępy mają na myśli właśnie rozmaite kategorie teatrów, nie zaś rozmaite rodzaje poszczególnych sztuk z repertuaru danego teatru. Przynaję zresztą, że pod względem jasności redakcja statutu wiele pozostawia do życzenia. Ale niech mi wszakże wolno będzie raz jeszcze podkreślić, od czego zacząłem, — że jedynie tylko co wspomniana wykładnia § 5-go omawianego statutu podatkowego, zgodna, a przynajmniej zupełnie licująca, z dosłownem jego brzmieniem, odpowiada pobudkom i celowi różniczkowania w tym statucie skali podatku.

Argumenty przeciwko tej wykładni, zawarte w skardze Magistratu, a rozwinięte dzisiaj przez jego przedstawiciela, nie są przekonywujące.

O względach celowości fiskalnej, które zresztą nie mogą być podstawą rozstrzygnięcia danej sprawy przez Najwyższy Trybunał Administracyjny, wspomniałem na samym początku mego przemówienia.

Powołanie się na tytuł statutu podatkowego nie może mieć również decydującego znaczenia; nie tytuł bowiem statutu, lecz tekst zawartych w nim przepisów może być podstawą rozstrzygnięcia, w jaki sposób pobierać należy unormowany w nim podatek. Zresztą zarówno tytuł statutu podatkowego, jak i jego § 1, w którym użyto tych samych, co w tytule wyrażen, zgoła nie przesądza kwestji, czy za podstawę stosowania tej, czy innej skali podatku należy przyjąć wartość artystyczną danego teatru, czy też wartość poszczególnych sztuk w repertuarze tego teatru, i w zależności od takiego czy innego zakwalifikowania sztuki zmieniać stopę podatku. W obu bowiem wypadkach mieć będziemy zawsze do czynienia z podatkiem „od widowiska“, o którym mówi i tytuł, i § 1 statutu.

Nikt nie zaprzeczy twierdzeniu skargi Magistratu, że w jednym lokalu mogą się odbywać przedstawienia i rozrywki rozmaite. Tylko to twierdzenie niema żadnego zgoła znaczenia w sensie argumentu, uzasadniającego taką czy inną wykładnię w danej sprawie § 5 statutu podatkowego. Idzie tu bowiem nie o poszczególne ze sobą niezwiązane widowiska, lecz o teatr stały, o wyraźnym charakterze i o poszczególne ogniwa w ciągłym łańcuchu repertuaru tego teatru.

Natomiast za wykładnią, przyjętą w zaskarżonej decyzji Ministerstwa Spr. Wewn., obok samego tekstu przepisów statutu podatkowego, obok jego motywów i celów przemawiają nadto względy, że idzie przeciw o przepis podatkowy, który tłumaczyć należy tak, iżby mógł być stosowany w praktyce, przytem stosowany nie w sposób dowolny. Gdzie jak gdzie bowiem, ale w dziedzinie opodatkowania wszelka dowolność jest ze wszech miar szkodliwa.

Jeśli na podstawie ogólnej działalności danego przedsiębiorstwa teatralnego, jego kierunku i poziomu oraz całokształtu jego repertuaru jest rzeczą łatwą określić charakter tego przedsiębiorstwa i zaliczyć dany teatr bądź do rzędu teatru dramatycznego, bądź do rzędu teatru-farsy czy teatru-variété, to natomiast ocena poszczególnej sztuki, w sensie zaliczenia jej do rodzaju komedji lub farsy, jest aż nazbyt często rzeczą bardzo

subtelną, wywołującą częstokroć różnicę zdań fachowców-krytyków. Zwłaszcza, że tę samą sztukę, zależnie od poziomu teatru, w którym ją wystawiono, od stylu gry i t. p. warunków ochrzcić można bądź mianem farsy, bądź mianem komedji.

Niechaj zresztą w tym względzie przemówią usta kompetentniejsze od moich. Powołuję się mianowicie na wyniki dotyczącej danej sprawy do akt jej złożonej ankiety.

„Wiemy wszyscy — pisał w Przeglądzie Teatralnym z dnia 3. VI. 1922 r. Rulikowski — jak dalece w dziedzinie sztuki ryzykowne nieraz i zawodne są próby klasyfikacji, jak trudne do uchwycenia granice, ustalające „rodzaje“ literackie; to też dla krytyka, który bada przede wszystkim wartość utworu, zagadnienie to formalnej natury na ostatniem dopiero może być miejscu“.

„Niema takiej wagi na świecie — są słowa Kornela Makuszyńskiego — na której możnaby ważyć utwory sceniczne, aby orzec, czy jest z nich który farsą, czy komedją; różnice są czasem tak cieniutkie i subtelne, że tylko niezawodny, najświetniejszy doświadczony zmysł artystyczny, obeznany z całą literaturą dramatyczną, mógłby wydać wyrok i to zawsze z zastrzeżeniem“.

„Farsy pisali: Arystofanes, Szekspir, Molier, Fredro. O tych farsach mówią dzisiaj w szkołach szanowni profesorowie“ (Wacław Grubiński).

„Pojęcie farsy — pisał Wł. Rabski w „Kurjerze Warszawskim“ — jest bardzo elastyczne i coraz elastyczniejsze. Najlepsze sztuki Bałuckiego są właściwie farsami, a na afiszach teatrów miejskich nazywano je stale: komedją. Nawet niektóre sztuki Fredry ojca („Damy i Huzary“), nie mówiąc już o Fredrze synu, miałyby się może prawo zaliczyć do rodzaju krotchwilnego. Klasyfikacja jest trudna, zależna od indywidualnych poglądów krytyka, a czasem wprost niemożliwa“.

Przerywam cytaty. Tych, co przytoczyłem, dosyć chyba, by uwypuklić, jak nieuchwytna byłaby podstawa opodatkowania, gdyby ją uzależniać od zaliczenia danej sztuki teatralnej do rzędu farsy lub komedji.

Jakież byłoby więc kryterjum Magistratu przy opatrywaniu wystawianych w teatrach sztuk w pieczętce: „komedja“ lub „farsa“?

Teorja literatury określa pojęciem farsy utwory dramatyczne, oparte na komiźmie sytuacyjnym i subiektywnym w przeciwstawieniu do terminu „komedia“, określającego utwory, operujące komizmem charakterów i komizmem obiektywnym. W praktyce czyste typy nie istnieją; stąd, jak już wspomniałem, zaliczenie danego utworu do tej czy innej kategorii jest rzeczą bardzo subtelną.

Czyż tedy określenie skali podatku może się opierać na płynnych terminach estetycznych?

Zmiana skali podatku w zależności od takiej czy innej oceny przez Magistrat wystawianych sztuk prowadziłaby musiała wówczas do zupełnej dowolności, co sprzeciwiałoby się zasadzie każdego zdrowego opodatkowania.

Wszystko to utwierdza w przeświadczeniu, że, mówiąc o „farsie“, statut podatkowy miał na myśli nie rodzaj sztuki, lecz rodzaj teatru, którego celem jest wystawianie fars w znaczeniu potocznem tego wyrazu, t. j. utworów pozbawionych wszelkiej wartości artystycznej, wzbudzających tylko pusty śmiech.

W przekonaniu tem utwierdza nadto okoliczność, że przecież ani statut podatkowy, ani wykonawcze do tego statutu rozporządzenie Magistratu (Dziennik Zarządu m. st. Warszawy Nr. 33 z dn. 2 kwietnia 1920 r.) nie przewidują wcale zasięgania przez Magistrat opinii miarodajnych czynników — rzeczoznawców dla określenia charakteru danej sztuki. Magistrat może łącno a trafnie i bez opinii rzeczoznawców zakwalifikować, czy dany teatr można zaliczyć do rzędu teatru dramatycznego, czy też do rzędu teatru-farsy, czy wreszcie teatru-variété. Do jakiej zaś dowolności prowadziłaby wykładnia, przy której Magistrat miałby być sędzią wartości literackiej poszczególnych sztuk w repertuarze danego teatru, tego najlepszym dowodem jest sprawa niniejsza. Magistrat zakwalifikował sztukę „Raj zamknięty“ jako farsę, wbrew opinii większości krytyków teatralnych. Tak np. Kornel Makuszyński pisał, że „utwór Colusa jest jedną z najwytworniejszych komedji paryskich,“ a Związek artystów dramatycznych określił

sztukę, jako lekką komedję o walorach literackich; takie same zdanie zawiera znajdująca się w aktach danej sprawy opinia Departamentu Sztuki Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia 17.V.1922 r. Nr. 1668/22 M.

A więc raz jeszcze: wykładnia, na której drogę wkroczył Magistrat — to pole do dowolności w opodatkowaniu t. j. system, jakiego nie mógł mieć na myśli racjonalny statut podatkowy.

Wspomniana zaś dowolność sprawiłaby, że przyjęty w statucie system opodatkowania zamiast uprzywilejowania pod względem podatkowym teatrów dramatycznych,—co, jak starałem się wykazać, było niewątpliwie myślą przewodnią autorów statutu i czego nie można pomijać przy wykładni jego przepisów, — stwarzałby dla nich położenie nieznośne, bo oparte na niepewności.

Od wysokości podatku zależy przecie cena biletów. Każde poważne przedsiębiorstwo teatralne musi opierać swój byt na pewnym budżecie. Jednym z czynników tego budżetu są ceny biletów teatralnych. Poważne przedsiębiorstwo teatralne nie może przecie zmieniać cen biletów od premjery do premjery. A do tego zmuszałaby zmiana wysokości opodatkowania w miarę takiego czy innego zakwalifikowania przez Magistrat charakteru poszczególnych sztuk, w danym teatrze wystawionych; przytem tego zakwalifikowania teatr z góry przewidzieć nie może. A znowuż zwiększenie ceny biletu wpływa na zmniejszenie frekwencji w teatrze, a tem samem obala kalkulacje finansowe teatru, który musi uzależniać kosztą wystawienia sztuki od możliwości wystawienia jej w ciągu normalnego okresu czasu, po z góry określonych cenach, zapewniających normalną frekwencję.

Chcąc uniknąć niepewności, teatr musiałby chyba zawczasu — przed wystawieniem, a nawet przed przygotowaniem wystawienia danej sztuki, przedstawić ją do oceny Magistratu, by mieć pewność, że ten nie zakwalifikuje sztuki, jako farsę, i nie wymierzy wyższego podatku. Magistrat stałby się w ten sposób niejako kontrolerem repertuaru teatru dramatycznego...



Zarzut dowolności, o którym wspomniałem, można by, co prawda, usiłować obalić powołaniem się na okoliczność, że przecie decyzję Magistratu można zaskarżyć do władzy nadzorczej. Ale w tej mierze sprawa niniejsza jest znowuż najlepszą ilustracją, że byłby to środek praktycznie bezskuteczny. Cóż z tego, że po upływie kilku miesięcy, czy nawet kilku tygodni decyzja Magistratu będzie uchylona; cóż z tego, że nawet z czasem Magistrat zwróci nadpłacony podatek; gdy tymczasem minął już okres, na który wystawienie sztuki było obliczone; gdy wobec zwyżki cen sztuka szła przy pustej sali; gdy jej wznowienie nie powetuje poniesionych już strat.

Doprawdy trudno przypuścić, iżby istotnie statut podatkowy dopuszczał wykładnię, prowadzącą do wspomnianej dowolności i wynikających z niej skutków.

A przytem nie można pominąć jeszcze jednej strony sprawy; nie można zapominać, że przecie Magistrat, który przy takiej wykładni miałby być ekspertem wartości literackiej sztuk teatralnych, — przytem od takiej czy innej oceny zależałoby wzmożenie lub osłabienie wpływów kasy miejskiej, której Magistrat jest zarządcą, że ten Magistrat jest nadto sam przedsiębiorcą teatralnym. Wykładnia statutu podatku od widowisk, której tak broni Magistrat, mogłaby się łatwo stać w jego ręku narzędziem walki z konkurencją, jaką teatry prywatne przedstawiają dla teatrów miejskich. I ten wzgląd również przemawia zasadniczo przeciwko wydom Magistratu.

Na podstawie wszystkiego, co miałem zaszczyt wytłumaczyć, śmiem twierdzić, że jedynie wykładnia, przyjęta w zaskarżonej decyzji Ministerstwa, nie zaś wykładnia Magistratu, jest zasadna, i że przeto niema powodów do uchylenia tej decyzji.

Nie chcę nadużywać waszej cierpliwości i uwagi, Panowie Sędziowie. Ale muszę poruszyć jeszcze jedną kwestję, która, w mojem przekonaniu, ma dla danej sprawy decydujące znaczenie.

Podstawą prawną mocy obowiązującej statutu podatku miejskiego od widowisk jest art. 21 dekretu o sa-

morządzie miejskim z dnia 4. II. 1919 r. (Dz. Pr. Nr. 13/1919 r. poz. 140), który wśród uprawnień rady miejskiej przewiduje, między innymi, uchwalanie na rzecz gminy miejskiej podatków. Ale wedle art. 38 tegoż dekretu uchwały rady miejskiej w tym względzie wymagają zatwierdzenia władzy nadzorczej, to jest — co do miasta Warszawy — Ministra Spraw Wewnętrznych. Bez zgody tedy, bez zatwierdzenia Ministra Spraw Wewnętrznych żaden statut podatku miejskiego nie może obowiązywać w Warszawie. To samo zresztą wynika z art. 2 i 3 dekretu z dnia 7/II. 1919 r. „O skarbowości gmin miejskich“. (Dz. Pr. Nr. 14/1919 r. poz. 150). Stąd władza nadzorcza, w danym wypadku Minister Spraw Wewnętrznych, jest również powołana do autentycznej wykładni zatwierdzonego przez nią statutu podatkowego. Nikt bowiem lepiej, niż władza, od której zgody zależało wprowadzenie w życie uchwalonego przez radę miejską podatku, nie może wyjaśnić, jak rozumiała statut podatkowy w chwili zatwierdzenia i pod jakimi warunkami wyraziła nań swą zgodę. Gdyby przypuszczała, że wykładnia ma być inna, byłaby odmówiła zatwierdzenia i ta odmowa nie podlegałaby nawet zaskarżeniu przez władzę samorządową (Art. 36 ustawy o Najwyższym Trybunale Administracyjnym).

Ustalenie wykładni statutu podatkowego w sensie, sprzecznym z intencją władzy nadzorczej, której władza ta dała wyraz, równałoby się w istocie nadawaniu mocy obowiązującej przepisom co do podatków miejskich bez zgody władzy nadzorczej — a więc wbrew wyraźnemu brzmieniu wspomnianych artykułów dekretów o samorządzie miejskim. I z tego przeto względu wysunięte przez przedstawiciela Magistratu zarzuty przeciwko motywom decyzji, stanowiącej przedmiot sprawy niniejszej, są bez znaczenia.

Z zasad powyższych mam zaszczyt upraszać, by Najwyższy Trybunał raczył skargę Magistratu na decyzję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oddalić.

IMUNITET SĄDOWY  
PRZEDSTAWICIELI DYPLOMATYCZNYCH.

## SĄD NAJWYŻSZY.

Posiedzenie z dnia 22 października 1925 r.  
Przewodniczący Sędzia Oskar Szeller.

Pani Wanda z Rajchmanów Montwid-Białozorowa w lipcu 1924 r. wystąpiła przed Sąd Pokoju 9 okr. m. st. Warszawy z powództwem przeciwko pułkownikowi Józefowi Ivaldi, attaché wojskowemu poselstwa włoskiego, o eksmisję z pięciopokojowego, kompletnie urządzonego mieszkania przy ul. Marszałkowskiej pod Nr. 51, z powodu upływu terminu najmu. Pułkownik I. żądał oddalenia skargi, powołując się na przedłużenie kontraktu, ale eksterytorjalności nie zarzucał. Sąd 1-szej instancji powództwa nie uwzględnił, lecz Sąd Okręgowy nakazał eksmisję, nie wdając się wcale, jak i Sąd Pokoju, w rozważenie kwestji zakrajowości. Wskutek skargi kasacyjnej pułkownika I., sprawa przeszła do Sądu Najwyższego, który na posiedzeniu w dniu 22 października 1925 r. poruszył z urzędu zagadnienie eksterytorjalności i wezwał strony, a następnie i prokuratora do wypowiedzenia się narazie tylko w powyższym przedmiocie. Pozwany, przez swego rzecznika adw. G. Zabłockiego, dopiero w tym momencie procedury żądał umorzenia postępowania, ze względu na zakrajowość, przedstawiciele zaś powódki, adw. J. J. Litauer i S. Urbanowicz, dowodzili, że sądy polskie były w tym przypadku właściwe. Prokurator B. Pohorecki wygłosił wnioski poniższe.

## MOWA BOLESŁAWA POHORECKIEGO,

*Prokuratora przy Sądzie Najwyższym.*

Najwyższy Sądzie! Rozważając pytanie, czy sądy polskie były właściwe do rozpoznania sprawy pani Montwid-Białłozorowej przeciwko pułkownikowi Józefowi Ivaldi, attaché wojskowemu poselstwa włoskiego w Warszawie, o wyrugowanie z mieszkania, nie mogę nie powołać na wstępie znanej reguły prawa narodów, że przedstawiciele dyplomatyczni są niemal zupełnie uwolnieni od sądownictwa obcego w materji cywilnej.

Imunitet sądowy posłów, dawniejszy od imunitetu obcych monarchów i krajów, jest nieodzowną w stosunkach międzynarodowych koniecznością, dyktuje go bowiem zarówno idea niezawisłości państw, nie dająca się pogodzić z wykonywaniem jurysdykcji krajowej nad reprezentantami innego państwa, jak i potrzeba zapewnienia posłowi całkowitej swobody przy sprawowaniu powierzonej mu funkcji. Niezależność przedstawiciela dyplomatycznego nie istniałaby, gdyby musiał on podlegać sądownictwu państwa, w którym pełni swój urząd. Poseł mógłby być niepokojony, narażony na procesy ze strony wierzycieli, często może fikcyjnych, a przez to doznawałaby uszczerbku służba poselska, wymagająca zupełnej swobody w kraju obcym. „Il importe qu'il n'ait point de juges à redouter, qu'il ne puisse être distrait de ses fonctions par aucune chicane“ — powiada jeden ze znakomitych dawniejszych autorów (Vattel).

Imunitet sądowy przedstawicieli dyplomatycznych, uświęcony nie tylko zwyczajem międzynarodowym, praktyką sądową, ale i pozytywnem ustawodawstwem wielu krajów, nie podlega już dzisiaj żadnej dyskusji. Pewne zagadnienia sporne wyłaniają się dopiero, gdy chodzi o rozciągłość tego przywileju tak ze względu na osoby, którym służy, jak i co do spraw, które obejmuje, a również — gdy wynika kwestja dobrowolnego poddania się posła obcemu sądownictwu.

Znany uczony rosyjski, F. Martens, jest zdania, że zakrajowość powinna służyć jedynie samemu posłowi, innym zaś członkom poselstwa — tylko wyjątkowo, przy wykonywaniu przez nich zleceń natury dyplomatycznej. Nie ukrywa przecie tenże autor, iż prawie wszyscy pisarze wypowiadają odmienne zapatrywanie i że judykatura sądowa poszła w kierunku znacznego rozszerzenia przywileju. Istotnie, w nauce i praktyce zgodny panuje pogląd, że imunitet sądowy osłania przedstawiciela dyplomatycznego, jego rodzinę, o ile z nim przebywa, oraz wszystkie osoby, urzędowo wchodzące w skład poselstwa, a zatem radców, attachés i t. d. Sąd Kasacyjny francuski w wyroku z dn. 19 stycznia r. 1891, zasadniczym w interesującej nas materji, powiedział: „cette immunité doit s'étendre à toute personne faisant effectivement partie de la légation“; to samo powtórzył Sąd Kasacyjny w wyroku z d. 3 sierpnia r. 1921. Może jednak zachodzić wątpliwość co do osób, należących wprawdzie do legacji, lecz nie mających charakteru dyplomatycznego, jak lekarze, kapelani, kurjerzy, lokaje i t. p. Wybitny autor francuski André Weiss wyraża opinię, że zakrajowość dyplomatyczna przysługuje nawet osobom, które znajdują się w świetle posła pod tytułem prywatnym, jak sekretarze i służba. Cybichowski zaznacza, że eksterytorjalność rozciąga się i na służbę posła, należącą do jego państwa, że jednak pozytywne ustawodawstwo niekiedy zapewnia zakrajowość również służbie z przynależnością do państwa innego, aniżeli państwo, w którym poseł rezyduje...

Jak się rzecz przedstawia ze stanowiska obowiązującego u nas prawa? Z art. 225 ustawy postępowania cywilnego wynika, że w naszej dzielnicy podlegają sądownictwu krajowemu tylko osoby, służące u ambasadatorów, posłów i innych agentów dyplomatycznych, że natomiast korzystają z imunitetu sądowego „osoby, należące do poselstw zagranicznych“. A więc nie tylko sam szef legacji! Kasacyjny Cywilny Departament b. Senatu rosyjskiego wyjaśnił w orzeczeniu Nr. 15 z r. 1895, że nie są uwolnieni od jurysdykcji krajowej urzędnicy

kancelaryjni poselstw, i że przywilej obejmuje tylko te osoby, które są wciągnięte przez ministerjum spraw zagranicznych do spisu osób, należących do korpusu dyplomatycznego. Mogłaby się nasunąć kwestja, czy powyższa wykładnia art. 225 upc., bądź co bądź ograniczająca imunitet sądowy, dałaby się jeszcze utrzymać dzisiaj w Rzplitej Polskiej, mającej swoje własne pojęcia o konwenansie międzynarodowym; ale w sprawie niniejszej nie zachodzi bynajmniej potrzeba rozważania tego zagadnienia, attachés wojskowi bowiem, nawet ze stanowiska owej ograniczającej wykładni, muszą być uznani za osoby należące do zagranicznych legacji. Pogląd, wypowiedziany w skardze, jakoby attaché wojskowy nie wchodził w skład poselstwa, jest najzupełniej dowolny. Nie tylko doktryna, ale i orzecznictwo (np. trybunał Sekwany 31. VII. 1878 i 10. XII. 1897, pruski najw. sąd admin. LXXV, 272 i. t. d.) stale uznaje, że attachés wojskowi są członkami misji i przeto korzystają z eksterytorjalności.

A teraz pytanie: czy poseł i personel poselstwa bezwzględnie nie podlegają jurysdykcji krajowej? Czy może są sprawy, których imunitet nie ogarnia? Nie przeczę, że w pewnych przypadkach sąd miejscowy, bez względu na zakrajowość przedstawiciela dyplomatycznego, może być powołany do rozstrzygania w jego procesie. Pragnąłbym wszelako podkreślić, że przywilej posła jest szerszy od przywileju obcego monarchy, poseł bowiem nie podlega sądownictwu państwa, w którym jest uwierzytelniony, nawet gdy chodzi o akty życia czysto prywatnego, a nie wyłącznie o czynności, związane z funkcją dyplomatyczną i interesami politycznymi jego kraju. Tylko według opinii nielicznych autorów, nie ochrania posła eksterytorjalność, gdy spór dotyczy jego handlowej lub przemysłowej działalności, na miejscu rozwijanej. Natomiast, zgadzają się wszyscy, że sprawa, dotycząca nieruchomości, będącej osobistą własnością posła, ulega rozpoznaniu sądów krajowych, z tem atoli ważnem zastrzeżeniem, iż — nie wtedy, gdy poseł ma w tej nieruchomości urzędową siedzibę. Sporna już jest w teorji i rozmaicie uregulowana w usta-

wodawstwie kwestja, czy należą do sądów miejscowych wszelkie skargi w materji rzeczowej; ale nie podlega wątpieniu, iż są wyłączone wszelkie skargi osobiste.

Był tu przed chwilą wypowiedziany i z wielkim talentem broniony pogląd, że obowiązujący w naszej dzielnicy art. 225 upc. usuwa z pod jurysdykcji sądów polskich tylko roszczenia pieniężne, że natomiast wszelkie inne powództwa, wytaczane przeciwko przedstawicielom dyplomatycznym, ulegają kompetencji trybunałów krajowych. Powołano się między innymi na orzeczenie Kasacyjnego Departamentu b. Senatu ros. Nr. 47 z r. 1893... Nie mógłbym uznać słuszności tych wywodów. Senat w cytowanym orzeczeniu rozpatrywał właściwie inne zagadnienie, mianowicie — odpowiedzialności przed sądami krajowemi obcego państwa, i chociaż nie poszedł tak daleko, jak utrzymuje strona powodowa, niemniej jednak wyraził pewne zapatrywania, których orzecznictwo polskie, zdaniem mojem, podzielić nie może. Wychodząc z błędnej teorii, jakoby podstawą pojęcia zakrajowości było wyobrażenie, iż poseł niejako znajduje się poza krajem, w swojej ojczyźnie, Senat uważał, że eksterytorjalność nie może być powoływana we wszystkich przypadkach, kiedy zapozwany poseł musiałby odpowiadać przed sądem krajowym, gdyby nawet rzeczywiście przebywał zagranicą. Stąd zdaje się wynikać, że, zdaniem b. Senatu, zakrajowość byłaby wyłączona nie tylko co do wszelkich skarg rzeczowych względem nieruchomości, ale może i co do skarg osobistych, gdy terytorjalnie właściwy jest sąd krajowy. Mówi zresztą Senat, chociaż tylko ubocznie, że jedynie roszczenia pieniężne do osób, wymienionych w art. 225 upc., wyjęte są z pod jurysdykcji sądów krajowych, i powołuje się, jako na uzasadnienie takiego wyjęcia, na art. 203 upc., zawierający zasadę: „actor sequitur forum rei“.

Pomijam już, że nasz Sąd Najwyższy nie jest związany wykładnią b. Senatu rosyjskiego; ale zaznaczam, iż nawet tekst art. 225 nie upoważnia do twierdzenia, jakoby tylko pretensje pieniężne przeciwko członkom poselstw zagranicznych wyłączone były z pod



jurysdykcji krajowej. Art. 225 zawiera dwa zdania oddzielone kropką. Pierwsze zdanie bez żadnych zastrzeżeń, w sposób najbardziej stanowczy głosi, iż od zasady, wyrażonej w artykule poprzednim, mianowicie podania sądownictwu krajowemu również spraw cudzoziemców, stanowią wyjątek powództwa, wytaczane przeciw osobom, należącym do poselstw zagranicznych. Nie jest tu powiedziane: wyłączone są powództwa o prawo własności albo o inne prawo rzeczowe do majątku nieruchomości, lecz — ogólnie: powództwa, wytaczane etc. Dopiero drugie zdanie art. 225-go stanowi, że obywatele krajowi, mający do owych osób roszczenia pieniężne, mogą się zwracać do ministerjum spraw zagranicznych, które podejmie starania, ażeby roszczenia te zostały zaspokojone. Mniemam, że nie zachodzi konieczność, powiem więcej: niema żadnej podstawy do uzupełniania zdania pierwszego treścią zdania następnego. Gdy w zdaniu drugim ustawa wymienia jedynie roszczenia pieniężne, to tylko — „*lex statuit de eo, quod plerumque fit*“; ale to bynajmniej nie oznacza, że w zdaniu 1-szem prawodawca ma na myśli wyłącznie pretensje pieniężne i że tylko te pretensje zamierzał wyjąć z kompetencji sądów krajowych. Tak rozumiany przepis art. 225 upc. nie przeszkadzałby, oczywiście, uznaniu, że skargi rzeczowe co do nieruchomości, położonych w kraju, jedynie przed polskie trybunały wynoszone być mogą. Tego wymaga doniosła zasada prawna, wyrażona w słowach: „*lex rei sitae*“.

Słyszeliśmy z ławy obrończej, że nie tylko b. Senat, lecz i uczeni autorowie, którzy poświęcili swe prace procedurze z r. 1864, są jednomyślni, iż przeciwko przedstawicielom dyplomatycznym nie można wytaczać jedynie powództw o roszczenia pieniężne. Tak bynajmniej nie jest, bo nie kto inny, jeno Annienkow utrzymuje, że na podstawie art. 225 upc. należy uznać za nie podlegające sądownictwu krajowemu nie tylko pretensje pieniężne, lecz wszystkie wogóle skargi osobiste i dotyczące ruchomości. Przypuśćmy, zresztą, że art. 225 istotnie stanowi tak, jak tego chce strona powodowa... Czy zbytni rygoryzm litery prawa krajowego [nie po-

winięby ustąpić przed prawidłem międzynarodowego porządku publicznego? Czy sędzia polski nie miałby obowiązku uwzględnić, obok postanowienia art. 225, uznanej zasady prawa narodów? Nie zapominajmy, że art. 225 to dziedzictwo po jednym z państw zaborczych i po takim właśnie, którego ustrój, tradycje, pojęcia są nam może najbardziej obce; nie byłoby tedy nic dziwnego, gdyby w tym przepisie znalazły wyraz poglądy, z jakimi nie mogłaby się pogodzić Rzeczpospolita Polska... Ale, powtarzam, art. 225 nie zawiera tego, co w nim upatruje powódka.

Kompetencja trybunałów krajowych nie mogłaby być zaprzeczona i w przypadkach wystąpień przeciwko przedstawicielowi dyplomatycznemu, z powodu procesu, który on sam w kraju wytoczył. W imię zasady „*nihil licet actori quod non liceat reo*“, możnaby wynieść przeciwko posłowi skargę wzajemną, założyć apelację i t. d.

Czy może jednak przedstawiciel dyplomatyczny zrzec się immunitetu sądowego? Niema pod tym względem jednolitej opinii. Były wygłaszane w nauce zdania i zapadały też w tym duchu wyroki sądowe, że poseł, zapozwany przed sąd państwa, w którym jest uwierzytelniony, może zrezygnować ze swego przywileju i przyjąć jurysdykcję sądu miejscowego. Tak m. in. orzekł Sąd Kasacyjny francuski w powołanym już wyroku z d. 19 stycznia 1891 r., zastrzegł przecie, że przyjęcie obcej jurysdykcji musi być „*certaine et régulière*“; co przez to rozumieć należy, Sąd Kasacyjny, niestety, nie powiedział. Jednakże, tak w piśmiennictwie, jak i w praktyce zdaje się przeważać zapatrywanie, iż poseł władny jest poddać się obcemu sądownictwu nie inaczej, jak za zezwoleniem (według niektórych autorów—formalnym) swego rządu, oczywiście, o ile prawo jego kraju nie zawiera odmiennego postanowienia. Są, zresztą, zdania, że nawet w tym przypadku, gdy poseł, z upoważnienia swojej władzy, wyraził zgodę na stawienie się przed sądem obcego kraju, sąd ten może uchylić się od rozpoznania sprawy (De Valéry).

Pomińmy tę opinię, zbyt już może krańcową,

i rozważmy, który z dwu poprzednio przytoczonych poglądów ma słuszość za sobą. Mniemałbym, że ten drugi, jako nie tylko zgodny z logiką samej instytucji, ale i liczący się z życiem. Poseł nie ma prawa rozrządzać imunitetem sądowym, zrzec się go nie może, bo ten imunitet nie jest osobistym posła przywilejem. Jest atrybutem państwa, któremu poseł służy; istnieje przede wszystkim w interesie tegoż państwa, aby mu zabezpieczyć zupełną niezawisłość i należne poszanowanie. Ale i względy natury praktycznej przemawiają za uznaniem, iż przedstawiciel dyplomatyczny jedynie za zgodą swojego rządu może się poddać sądownictwu obcemu. Poseł, zapozwany przed sąd krajowy, może niekiedy znaleźć się w bardzo drażliwej sytuacji. Okoliczności mogą tak się ułożyć, że z tych czy innych względów nie uzna on za możliwe powołać się na swą eksterytorjalność, co może jednak w wysokim stopniu utrudnić jego pracę w kraju, gdzie jest akredytowany. Niezależność posła, która musi mu być zapewniona w interesie jego państwa, mogłaby się stać zawodną. Konieczność posiadania upoważnienia rządu do przyjęcia obcej jurysdykcji chroniłaby posła od takiego niebezpieczeństwa.

Mówiąc o właściwym przedstawicielu dyplomatycznym, mam na myśli, rzecz jasna, wszystkie te osoby, które znajdują się pod osłoną imunitetu sądowego. Zachodziłaby może tylko ta różnica, że w tych innych przypadkach do przyjęcia sądownictwa krajowego wystarczałoby, jak się zdaje, upoważnienie szefa poselstwa.

Bez względu atoli jak się zapatrywać będziemy na możliwość poddania się jurysdykcji krajowej, stwierdzić musimy, że imunitet sądowy reprezentantów państw obcych jest instytucją porządku publicznego, że może on być powoływany w każdym stanie sprawy i że trybunał nawet z urzędu powinien wyrzec swą niekompetencję.

Jeżeli od tych rozważań zwrócimy się do sprawy niniejszej, to w żadnym razie nie będziemy mogli uznać za prawidłowe zupełnego pominięcia w wyrokach obu instancji zagadnienia eksterytorjalności, mimo że w skardze, wniesionej do Sądu Pokoju, było ono poruszone

i samo się narzucało tak ze względu na osnowę złożonego do sprawy kontraktu, jak i na treść odezwy ministerjum spraw zagranicznych do pełnomocnika powódki. Sąd I-ej instancji, nawet pod względem doręczeń, nie zastosował się do trybu, wskazanego w uwadze do art. 225 upc. i w okólniku ministerjum sprawiedliwości z d. 20.VIII.1921 w przedmiocie postępowania w sprawach osób, korzystających z prawa zakrajowości, przesłał bowiem wezwanie pułkownikowi Ivaldi'emu nie przez ministerjum spraw zagranicznych, lecz bezpośrednio.

Może jednak stanowisko obu sądów merytorycznie jest słuszne, zwłaszcza, że pozwany nie bronił się eksterytorjalnością? — Powództwo, z jakim pani Montwid-Białłozorowa wystąpiła przeciwko pułkownikowi Ivaldi'emu, nie należy do powództw, w których zakrajowość nie ma zastosowania. Skarga, wypływająca z umowy najmu, chociażby miała za przedmiot wyrugowanie lokatora z nieruchomości, jest skargą osobistą, a zatem niedopuszczalną przeciw reprezentantowi obcego państwa. W jednym z głosów obrończych zostało zaznaczone, iż przyszła polska procedura cywilna zawierać będzie wyraźny przepis, nie uznający w tego rodzaju sprawach zakrajowości. Być może; ale cóż z tego, jeśli dzisiaj pozytywnego postanowienia, wyłączającego eksterytorjalność nie mamy?... Tuby się może nasuwała luźna uwaga: w rozważanej materji ustawodawca krajowy bynajmniej nie jest wszechwładny, musi się on liczyć z powszechnie uznanymi prawidłami międzynarodowego współżycia...

Ale idźmy dalej. Jeżeli sądy w naszym przypadku uważały, iż pozwany nie korzysta z immunitetu sądowego, jako wojskowy attaché, to oczywiście popełniły omyłkę. To samo wypadłoby powiedzieć, gdyby sądy uznały, iż zastrzeżenie w umowie najmu: „la clause diplomatique ne peut être invoquée dans cette circonstance“ skutkuje zrzeczenie się immunitetu. Zastrzeżenie to w żadnym razie takiego znaczenia miećby nie mogło. Jest to nic więcej, jak tylko oświadczenie woli, złożone wobec kontrahenta. Oświadczenie, jak

sądę, bezskuteczne nawet z punktu widzenia tych autorów, którzy dopuszczają swobodne zrzeczenie się przywileju; jeżeli bowiem przedstawiciel dyplomatyczny, jak chcą ci autorowie, sam najlepiej ocenić może, czy powołanie przed sąd krajowy narusza jego niezawisłość i przeszkadza mu w wypełnianiu obowiązków służbowych, to, rzecz jasna, musi on mieć swobodę decyzji w chwili otrzymania pozwu, nie zaś w dacie zaciągnięcia zobowiązania, co mogło się zdarzyć nawet na lat kilka przed wystąpieniem strony przeciwnej na drogę sądową. O zrzeczeniu się więc dobrodziejstwa zakrajowości w zawartym przez strony kontrakcie mówić niepodobna. Jedynie wobec sądu krajowego może być wyrażona zgoda na poddanie się jego jurysdykcji.

Nie jest wyłączone, zapewne, że samo ustanowienie przez przedstawiciela dyplomatycznego pełnomocnika, niezgłoszenie ewentualnej zakrajowości i podjęcie merytorycznej obrony mogłyby być poczytane za uznanie jurysdykcji sądu polskiego. Ale nie zapominajmy, że wystarczyłoby to nie mogło, albowiem zrzeczenie się przez dyplomatę immunitetu sądowego wymaga dla swej skuteczności upoważnienia rządu, który go posłał, względnie — upoważnienia szefa poselstwa.

I jeszcze jedno. Powódka przedstawiła odezwę ministerjum spraw zagranicznych, w której jest powiedziane, że „interwencja u płk. lvaldi, attaché wojskowego włoskiego w Warszawie, nie dała rezultatu“. Czyżby sądy mniemały, że tu już droga sądowa stoi otworem? Gdzie jest taki przepis albo zwyczaj prawny, któryby pozbawiał zakrajowości przedstawiciela dyplomatycznego z chwilą, gdy interwencja, podjęta u niego przez krajowe ministerjum spraw zagranicznych, nie odniosła pożądanego skutku? Taki immunitet sądowy byłby nader wątpliwym immunitetem, taka zakrajowość złudną zakrajowością. Zresztą, interwencja ministerjum spraw zagranicznych u attaché wojskowego obcego państwa, to jeszcze nie jest wyczerpanie wszelkich dróg, jakie obywatelowi polskiemu przeciwko owemu attaché służyćby mogły, poza skargą sądową w sądzie polskim.

Konkludując, uważam, że aczkolwiek pozwany nie

bronił się eksterytorjalnością, nie powołał się na nią w skardze kasacyjnej, i sądy obu instancji wcale się tą kwestją nie zajmowały, to jednak poruszenie jej w postępowaniu kasacyjnem jest nieuniknione, a to zarówno ze względu na zaznaczony już charakter zakrajowości, jako instytucji porządku publicznego, jak i z uwagi na służące Sądowi Najwyższemu prawo nadzoru nad sądami niższemi. W tym stanie faktycznym, jaki wynika z motywów zaskarżonego wyroku, kompetencja sądu polskiego w niniejszej sprawie uzasadnić się nie da. Pominiecie w wyroku Sądu Okręgowego stwierdzenia jurysdykcji polskiej, w szczególności brak ustalenia, że pozwany poddał się dobrowolnie sądownictwu krajowemu, posiadając konieczne do tego upoważnienie, stanowi, zdaniem mojem, uchybienie tak istotne, iż wyrok w mocy pozostać nie może. Mam zaszczyt wnosić, aby Sąd Najwyższy wyrok zaskarżony, z powodu obrazy art. 225 i 142 upc., uchylić raczył.

Sąd najwyższy wyroki obu instancji uchylił i całe postępowanie w sprawie umorzył.

---

STOSUNEK ADWOKATA DO KLIJENTA.

Kasa Chorych m. Warszawy zażądała od Banku dla Handlu Zagranicznego wciągnięcia na listę osób, podlegających obowiązkowi ubezpieczenia, adwokata K., radcy prawnego Banku, na tej podstawie, że adw. K., pobierając za czynności swoje wynagrodzenie miesięczne, jest w stosunku służbowym do Banku. Uważając stanowisko Kasy za bezzasadne, adw. K. wystąpił przed Sąd Okręgowy w Warszawie z powództwem, w którym przytoczył, że dla rozpatrzenia kwestyj, wymagających opinii prawnej, odwiedza Bank w charakterze radcy prawnego raz na tydzień, w wypadkach zaś nie cierpiących zwłoki, sprawy do zaopiniowania są mu przysyłane do domu i że za czynności te, zamiast każdorazowego honorarjum, otrzymuje ryczałtowe wynagrodzenie miesięczne, co wszakże nie może wpływać na określenie stosunku jego do Banku, jako służbowego. W konkluzji adw. K. wnosił o uznanie, że jako adwokat, pełniący funkcje radcy prawnego instytucji bankowej i pobierający za to stałe miesięczne wynagrodzenie, nie jest zatrudniony w niej na podstawie stosunku służbowego a przeto obowiązkowi ubezpieczenia w Kasie chorych nie podlega. Od niepomyślnego wyroku I instancji adw. K. odwołał się do Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

#### *MOWA ADW. ZYGMUNTA SOKOŁOWSKIEGO.*

Cechą charakterystyczną sprawy niniejszej jest to że idzie w niej nie tyle o konkluzję wyroku, ile raczej o jej przesłanki. Mniejsza o ten haracz, jaki adw. K. miałby ewentualnie opłacać w postaci składek na rzecz Kasy chorych, nie korzystając z jej świadczeń. Rzeczą



nierównie ważniejszą i interesującą żywo całą palestrę, jest należyte wyświetlenie stosunku adwokata do klienta i co stąd ma płynąć, przeniknięcie w świadomość ogółu roli adwokata w państwie i społeczeństwie. Sprawa niniejsza nie jest przypadkową, owszem jest ona wyrazem nurtujących pewne sfery tendencji niwelacyjnych oraz dążności w kierunku zacierania różnic społecznych, jakie zauważyć się dały w ostatnich czasach w zakresie działalności Kas chorych a które wywołały przed rokiem długotrwałą kampanję na łamach prasy i spotkały się z godną uwagi jedynomyślnością całych odłamów inteligencji pracującej, zwłaszcza zaś przedstawicieli wolnych zawodów, w obronie przed wątpliwą wartością dobrodziejstwami Kas chorych. Nie negując celu i potrzeby istnienia ubezpieczeń socjalnych, adwokatura, jako stan, protestuje przeciwko spychaniu jej do rzędu ludzi, żyjących z pracy najemnej, dla których ubezpieczenia na wypadek choroby, jako konieczność społeczna, zostały stworzone.

W mniemaniu Kasy chorych m. Warszawy, adwokat jest w stosunku służbowym do klienta, ilekroć za czynności swoje pobiera wynagrodzenie miesięczne. Nic fałszywszego i bardziej sprzecznego z istotą stosunku nad ten wniosek. Przy najbardziej powierzchownej analizie pojęcie stosunku służbowego nasuwa myśl o panu (po francusku maitre lub patron) i słudze, o przełożonym i podwładnym. Stosunek ten charakteryzuje się pewną zależnością podwładnego wobec przełożonego, obowiązkiem posłuszeństwa przy wykonywaniu powierzonych podwładnemu pracy. Tymczasem w stosunku adwokata do do klienta rzeczy się mają wprost przeciwnie. Adwokat, bez względu na to, w jakiej formie pobiera honorarium za swą pracę, zachowuje, nie tylko przy udzielaniu porady lecz i w dalszem prowadzeniu sprawy, zupełną swobodę, nie mając obowiązku podporządkowywania się żądaniom klienta, jeśli uważa je za niesłuszne lub nieoparte na prawie. Nazwa patron, której przez wiele wieków używano, jako synonimu wyrazu adwokat, wskazuje na to, że to właśnie klient, powierzając adwokatowi obronę swego mienia, honoru a nie-

kiedy i życia, uzależnia swoje postępowania od wskazówek adwokata. Patron kieruje krokami swego klienta, oświeca go, wspiera radą, otacza opieką. A godzi się zaznaczyć, że ta niezależność, jaką ustawodawca polski zapewnić pragnął adwokataturze, między innymi i w stosunku do klientów, (art. 5 in fine, 9 i 11 statutu), ma źródło nie w chęci stworzenia dla niej jakiegoś uprzywilejowanego stanowiska lecz w tem, iż bez niej adwokatura nie byłaby w stanie spełnić należycie tych funkcyj, do których została przez ustawy powołana. Adwokat jest koniecznym współczynnikiem wymiaru sprawiedliwości. Mając na względzie interes klienta, współdziała on z sędzią w kierunku wyświetlenia prawdy materialnej i osiągnięcia możliwie słusznego wyroku.

Charakter stosunku, łączącego adwokata z klientem, na gruncie kodeksu cywilnego był w doktrynie francuskiej przedmiotem sporów, dotąd niezakończonych. Dopatrywano się w nim cech umowy pełnomocnictwa; poważna liczba autorów (Laurent, Baudry Lacantinerie, Planiol) widzi w nim najem usług, inni znów (Garsonnet) — umowę bez nazwy (art. 1107 Kod. Cyw.). We Francji, jak wiadomo, adwokat występuje przed sądami jurysdykcji ogólnej bez pełnomocnictwa, właściwym mandatarjuszem strony jest tam *avoué*. Tem się głównie tłumaczy zaniechanie koncepcji pełnomocnictwa. U nas, aczkolwiek urządzenie adwokatury jest zbliżone do organizacji francuskiej, wszakże adwokat łączy w sobie funkcje i *avocat* i *avoué*, dlatego też w stosunku jego do klienta dominujące znaczenie ma umowa pełnomocnictwa. W ostatnich czasach we Francji toruje sobie drogę nowy pogląd na ten stosunek, pogląd wyrażony przez znanego adwokata Appleton'a, prezesa Związku narodowego adwokatury francuskiej w dziele pod tytułem „*Traité de la profession d'avocat*“ i uwydatniający szczególne stanowisko palestry. Zdaniem Appleton'a, adwokatura to urząd, stanowiący integralną część wymiaru sprawiedliwości. Adwokat, czy to udzielając porady, czy to wnosząc obronę, bierze czynny udział w tej doniosłej funkcji państwowej. Z tego właśnie względu składa on przysięgę, poddany jest szczególnej dyscypli-

nie, przywdziewa togę, korzysta z pewnych przywilejów i monopoli. Byłoby błędem szukać w prawie cywilnem rozwiązania tych wszystkich kwestyj, jakie wyłaniają się ze stosunku adwokata do klienta. Rola adwokata, jako obrońcy lub rzecznika interesów klienta przed sądem, jest funkcją pomocniczą w wymiarze eprawiedliwości. Przy jej wykonywaniu, w stosunku do klienta ma miejsce pierwiastek umowny, lecz nie zawsze. Niema umowy, gdy adwokat broni oskarżonego, wyznaczony do tego z urzędu przez przewodniczącego sądu. Niema umowy między adwokatem a klientem, któremu przyznano prawo ubogich, skoro adwokat został wyznaczony z urzędu przez dziekana. W tych razach adwokat, w zasadzie, nie może odmówić swej pomocy, ani też umawiać się o honorarjum; sprawuje on urząd publiczny. Nie inaczej jest, gdy adwokat został powołany z wyboru klienta. Niewątpliwie w tym wypadku może on zastrzec sobie wynagrodzenie, może odmówić przyjęcia sprawy bez podania powodu i te różne momenty wskazują na istnienie między nim a klientem stosunku umownego. Ale czyż to z mocy umowy adwokat zachowuje prawo zrzeczenia się raz przyjętej sprawy? Czyż to raczej nie dlatego, że nie będąc w zgodzie z własnem sumieniem, nie mógłby on wywiązać się należycie ze swego zadania przed sądem i dlatego, że prawo i zwyczaj czynią adwokata pierwszym sędzią sprawy, którą sąd ma rozstrzygnąć ostatecznie? Nakazy korporacyjne, normujące stosunek adwokata do klienta, przeniknięte są nie pragnieniem zapewnienia mocy umowie, jaka między nimi nastąpiła, lecz nieodzowną koniecznością zapewnienia prawidłowego biegu wymiaru sprawiedliwości. Czynność adwokata jest aktem służby publicznej z domieszką pierwiastka umownego lub bez niej, w razie delegacji z urzędu. Wszelako umowa, jaka zachodzi między adwokatem a klientem, jest nieodłączna od tej funkcji urzędowej, jest nią uwarunkowana. Jest to więc kontrakt prawa publicznego, poddany szczególnym normom, jakie nakłada sam urząd a jednocześnie dyktuje słusność. Do takich konkluzyj doszedł Appleton. Istotnie, w ciasnych ramach prawa cywilnego nie można

znaleźć norm, wyczerpujących całokształt stosunków adwokata do klienta. Bądź co bądź, nie będzie to stosunek służbowy, jakimby go mieć chciała Kasa chorych.

Gdyby wbrew przytoczonej teorii zatrzymać się na koncepcjach cywilistycznych i w umowie quaestionis upatrywać najem robót (art. 1710 Kod. Cyw.), to i w tym razie nie będzie to najem usług (louage de services, locatio operarum), lecz raczej najem przemysłu (louage d'industrie, locatio operis). Tego zdania są Colin i Capitant (traité élémentaire de droit civil français, tom II str. 564 i nast.). Kodeks handlowy w art. 634 wylicza wszystkie osoby, zatrudnione w przedsiębiorstwie na podstawie umowy najmu. Abstrahując już od tego, że pod powagą statutu tymczasowego Palestry (art. 11) z wykonaniem zawodu adwokackiego nie wolno łączyć prowadzenia przedsiębiorstw przemysłowych lub handlowych i że a fortiori nie wolno adwokatowi podejmować się funkcyj podrzędniejszych w tych przedsiębiorstwach, podczas gdy przyjęcie obowiązków radcy prawnego jest przewidziane expressis verbis; funkcje radcy prawnego pod żadną z wymienionych w art. 634 kategorii nie podpadają. Każdy pracownik jest obowiązany poświęcić cały czas pracy lub znacznieszą część jego przedsiębiorstwu, w którym jest zatrudniony, podlega regulaminowi wewnętrznemu, wydanemu przez pryncypała, jest w pewnej mierze przywiązany do przedsiębiorstwa, otrzymuje wynagrodzenie z reguły pro rata temporis. Tymczasem radca prawny, oddając swą wiedzę i talent, podejmuje się wykonania pewnej z góry określonej pracy intelektualnej, a decydującym momentem przy ustaleniu wynagrodzenia jest nie ilość poświęconego czasu, lecz wartość włożonej pracy. Ze stanowiska kodeksu będzie to umowa przedsiębiorstwa (entreprise), w której adwokat jest przedsiębiorcą. Sposób określenia wynagrodzenia nie od każdej poszczególnie przyjętej sprawy lub udzielonej opinii, lecz ryczałtowo, sam przez się, nie przesądza umowy w kierunku uznania jej za stosunek służbowy, pociągający obowiązek należenia do Kasy chorych. Wiadomo, że w wielkich instytucjach przemysłowych lub handlowych istnieją rady nadzorcze,

których członkowie pobierają stałe wynagrodzenie miesięczne lub roczne, a mimo to nie są uważani za zatrudnionych na podstawie umowy najmu i obowiązkowi ubezpieczenia w Kasach chorych nie podlegają.

Przechodząc od tych rozważań ogólnych na grunt ustawy z d. 19 maja 1920 r. o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby (Dz. Ust. Nr. 44 poz. 272), stwierdzić należy, że litera prawa wspiera jaknajdobitniej przytoczone rozumowanie. Wedle § 3 ustawy, obowiązkowi ubezpieczenia podlegają wszystkie osoby bez różnicy płci, zatrudnione na podstawie stosunku roboczego lub służbowego, a w szczególności robotnicy, pomocnicy, czeladnicy, terminatorzy, praktykanci, przodownicy, dozorczy, maszyniści, pracownicy i urzędnicy biurowi i techniczni, kierownicy i dyrektorowie — zatrudnieni w przemyśle, rzemiośle, górnictwie, handlu i komunikacji (ustęp 2), dalej pracownicy banków, magazynów, zakładów handlowych, technicznych, sklepów, zakładów gastronomicznych, hoteli, aptek, biur, wydawnictw i czasopism, pracownicy widowisk publicznych i orkiestr oraz wszelkich instytucyj i stowarzyszeń społecznych, religijnych, dobroczynnych i zawodowych (ustęp 3). Oczywiście, że w żadnej z tych grup — a tu zaznaczyć należy, że przytoczony wykaz, o ile chodzi o rodzaje zajęć, ma charakter wyczerpujący, na radcę prawnego niema miejsca. Jest zjawiskiem powszechnem i zrozumiałem, że adwokat, zwłaszcza wybitny, zajmuje stanowisko radcy prawnego nie w jednym przedsiębiorstwie, lecz w całym ich szeregu i od każdego z nich pobiera honorarjum, określone miesięcznie, kwartalnie a nawet rocznie. Wedle koncepcji Kasy chorych, konsekwentnie przeprowadzonej, mielibyśmy w tym razie do czynienia z pracownikiem np. banku, teatru, hotelu, przedsiębiorstwa przewozowego, wielkiej fabryki i t. d. w jednej osobie. Podobna wszakże koncepcja nie może ostać się przed najłżejszą krytyką, jest ona bowiem zaprzeczeniem istoty stosunku służbowego, jako stosunku, wiążącego pracownika z zakładem przedsiębiorcy, któremu oddaje on czas swój i pracę, jest ona, co więcej, zignorowaniem ustępu ostatniego art. 3 oraz art. 9 ustawy, które

podkreślają charakter wyżej wymienionych kategorii pracowników, jako stale zatrudnionych w pewnym przedsiębiorstwie, oraz uwydatniają znaczenie, pod względem praw i obowiązków ubezpieczonego, miejsca jego zatrudnienia. Jak każdy obywatel ma jedno tylko miejsce zamieszkania, w którym ma swe główne siedlisko, podobnie każdy robotnik, pomocnik, czeladnik i t. d. aż do dyrektora włącznie ma jedno miejsce zatrudnienia, które uważa się za stałe miejsce pracy. Wprawdzie ustawa z d. 19 maja 1920 r. wkłada obowiązek ubezpieczenia i na osoby niestale zatrudnione i na t. zw. chałupników, ale brzmienie art. 6 i 7 ustawy nie pozostawia żadnej wątpliwości, że pod te kategorie, przy najbardziej rozciągłej wykładni, adwokatów podciągnąć się nie da.

Usiłując roztoczyć działalność swoją i na przedstawicieli wolnych zawodów, Kasa chorych wytworzyła własne kryteria dla oceny, w jakim przypadku zachodzi stosunek służbowy w sensie obowiązku ubezpieczenia. Wyraz pogładowi Kasy chorych dał na posiedzeniu sądownym w I instancji ówczesny jej dyrektor. Zdaniem jego, określony zarobek oraz częściowe lecz stałe zajęcie mają rozstrzygające znaczenie, a przeto np. lekarze, pracujący w tejże Kasie ponad 2 godziny dziennie, podlegają przymusowemu ubezpieczeniu. Dowolność tego kryterjum bije w oczy; dlaczego do kwalifikacji zajęcia, jako stałego, potrzeba 2 godzin pracy dziennie, a nie kwadransa lub 8 godzin, tego uzasadnić niepodobna. Ale co innego jeszcze uderza w sprawie niniejszej. Podczas gdy Kasa chorych, której zachłanność w kierunku powiększenia liczby przymusowo ubezpieczonych zaznaczono już na wstępie, chciałaby widzieć w gronie swych członków lekarza, konsultującego w pewnej instytucji codziennie przynajmniej po 2 godziny, Sąd Okręgowy poszedł znacznie dalej, orzekając o obowiązku uczestnictwa w Kasie chorych adwokata, który, wedle nieodpartych ustaleń skargi powodowej, poświęca swemu klientowi zaledwie godzinę czasu tygodniowo.

Sąd Okręgowy, nie zanalizowawszy należycie stosunku adw. K. do jego klienta a oparłszy się wyłącz-

nie na jego cechach zewnętrznych t. j. na sposobie likwidowania przez adwokata honorarjum, doszedł do wniosków dla powoda ujemnych. A dla uzasadnienia tych wniosków powołał się na przesłanki, już nie tylko formalno-prawne lecz i życiowe, a między innymi na to, że ubezpieczenia w Kasach chorych są środkiem zwalczania pauperyzmu wśród ludzi pracy, niezależnie od jej kwalifikacji. Jak śliskim jest grunt, na który zszedł Sąd Okręgowy, przekonywa najpowierzchniejsza obserwacja zjawisk społecznych. Obawa pauperyzacji najmniej grozi tym z pośród adwokatów, którzy posiadają stałe radcostwa prawne i pobierają za nie perjodyczne wynagrodzenie, najmniej chyba odczuwają oni potrzebę opieki społecznej. Jest publiczną tajemnicą, że są oni lepiej sytuowani materialnie od tych kolegów, którzy w dorywczej praktyce mają źródło utrzymania. Ale ani jednych ani drugich nie mieli na myśli twórcy ustawy o obowiązkowym ubezpieczeniu, zdawali oni sobie niewątpliwie sprawę, że adwokatura, jako stan wolny, może i powinna zabezpieczyć — pomoc swoim członkom w ramach korporacji, nie uciekając się do kas chorych, funduszków bezrobocia i t. p. urządzeń opieki społecznej, dla innych zgoła klas przeznaczonych.

O słuszności wyrażonego poglądu przekonywa późniejsze ustawodawstwo, a mianowicie ustawa z d. 15 lipca 1925 r. o państwowym podatku przemysłowym (Dzien. Ust. Nr. 79 poz. 550). Podatek ten opłacają wszystkie handlowe, przemysłowe i inne na zysk obliczone przedsiębiorstwa a obok tego samodzielne wolne zajęcia zawodowe, do których ustawa zalicza i adwokaturę (art. 1 i 9). Tak więc nowa ustawa widzi w adwokacie samodzielnego przedsiębiorcę i w tym punkcie jest w zgodzie z przytoczoną wyżej doktryną francuską. W przeciwieństwie do osób, żyjących z pracy najemnej i opłacających od swych zarobków tylko podatek dochodowy i to według niższej skali, bez względu na stanowisko w hierarchji społecznej (od robotników aż do kierowników i dyrektorów włącznie), zarobki wolnych zawodów są opodatkowane dwukrotnie, raz jeden podatkiem obrotowym, drugi zaś dochodowym.

Gdyby więc nawet w ścisłe ramy art. 3 ustawy o obowiązkowym ubezpieczeniu można było wtłoczyć dawniej adwokatów, to ten stan rzeczy uległ zmianie wskutek wydania nowej ustawy, traktującej adwokatów, jako przedsiębiorców. Niekonsekwencją conajmniej byłoby traktowanie w sferze fiskalnej adwokatów, jako przedsiębiorców, zdolnych do ponoszenia wzmożonych ciężarów podatkowych, a w dziedzinie opieki społecznej — za najmitów, potrzebujących pomocy Kas chorych. Byłoby to *privilegium odiosum* w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Adwokat jest jednym z czynników, którym powierzona została ochrona porządku prawnego w państwie. W każdej fazie swej działalności, poczynając od konsultacji, powinien on być rzecznikiem prawa i słuszności (art. 4 statutu). Broniąc interesów klienta, adwokat zachowuje zupełną swobodę w wyborze środków i metod obrony i jest skrepowany jedynie więzami, jakie wkłada nań ustawa i sumienie. Utrwalenie tego niezależnego stanowiska adwokata w drodze orzeczenia sądowego, podniesienie doniosłości tej funkcji, którą adwokat spełnia, a bez której praca sędziowska byłaby niezmiernie utrudniona, leży niewątpliwie w interesie wymiaru sprawiedliwości. Śmiem mniemać, że Sąd Apelacyjny pogląd ten podzieli, odrzuci przesłankę o istnieniu między adw. K. a jego klientem nielicującego z godnością i stanowiskiem członka palestry stosunku służbowego a w konkluzji wyrok I instancji uchylili i uwolnili adw. K. od przymusu ubezpieczeniowego.

Mocą wyroku z d. 27 października 1925 r. Sąd Apelacyjny wyrok I instancji uchylił i zasądził powództwo, zgodnie z konkluzją skargi.



SPRAWA MICHAŁA GLUCKSBERGA  
PRZECIWKO SKARBOWI PAŃSTWA O ODSZKODOWANIE  
ZA ZABÓR MIENIA PRZEZ ORGANY WŁADZY  
WOJSKOWEJ.

**SPRAWA MICHAŁA GLÜCKSBERGA**  
**PRZECIWKO SKARBOWI PAŃSTWA O ODSZKODO-**  
**WANIE ZA ZABÓR MIENIA PRZEZ ORGANY WŁA-**  
**DZY WOJSKOWEJ.**

Sąd Okręgowy w Warszawie w dniu 19 maja 1925 r.

Przewodniczący: Wiceprezes Sądu Okręgowego  
Stefan Zieliński.

*MOWA ADW. JANA JAKÓBA LITAUERA.*

Zabierając pierwszy głos w dzisiejszej rozprawie, po pięciu latach od wszczęcia tego procesu, wyrażam nadzieję, że, po wszechstronnem wyczerpaniu postępowania dowodowego, spór istotny nie będzie się już toczył dookoła faktów: są one tak wyświetlone, tak jasne, że w tym kierunku obrona skarbu nic chyba nie ma do powiedzenia.

W nocy z 11 na 12 kwietnia 1919 roku w gmachu hotelu „Polonia“, zarezerwowanego dla sztabu generała Hallera, komendant tego gmachu, tamże urzędujący rotmistrz Grabowski, zarządził w kilku mieszkaniach prywatnych rewizję przy udziale żandarmów. W mieszkaniu Michała Glücksberga rewidenci-żandarmi zabrali i wręczyli komendantowi Grabowskiemu różne papiery, pieniądze i kosztowności (zegarki i łańcuszki). Z odbioru tych przedmiotów Grabowski wydał Glücksbergowi na blankietach „zarządu kwaterunkowego ministerstwa spraw wojskowych“ dwa pokwitowania, opatrzone jego, Grabowskiego, podpisem jako „komendanta gmachu

Polonia". Następnego dnia w zarządzie żandarmerji zwrócono Glücksbergowi papiery, pieniędzy zaś i kosztowności nie zwrócono, a po kilku dniach poinformowano go, że rotmistrz Grabowski przywłaszczył je sobie i znikł.

Oto wiązanka faktów, które same za siebie chyba mówią. A jednak prośba Glücksberga—najprzód jedna, a potem druga — o odszkodowanie, skierowana do ministerstwa spraw wojskowych, nie znalazła tam żadnego zrozumienia. Czyż wobec tego pozostało pokrzywdzonemu obywatelowi co innego, jak szukać sprawiedliwości na drodze sądowej, jak wystąpić przeciw skarbowi państwa o wynagrodzenie za szkodę, zrządzoną przez działalność organów władzy wojskowej? Nad zarzutem Prokuratorji Generalnej, jakoby państwo zasadniczo nie było odpowiedzialne za zwrot własności Glücksberga, Sąd właściwie już dawniej przeszedł był do porządku dziennego, skoro nakazał przeprowadzenie dowodów. Gdy jednak obrońca Prokuratorji na poprzednim posiedzeniu zapowiedział ponowienie tego zasadniczego zarzutu przy ostatecznej rozprawie, — a nie może to być mu wzbronione, — wypada mi raz jeszcze zająć uwagę Sądu zagadnieniem odpowiedzialności państwa za czyny jego organów według obowiązującego na naszym obszarze prawa.

Roszczenie swoje przeciw państwu poszkodowany Glücksberg oparł na art. 1384 kod. cyw. Tę podstawę prawną powództwa, wzmocnioną następnie powołaniem art. 9 ust. post. cyw., Prokuratorja Generalna w swej odpowiedzi na skargę odpiera twierdzeniem, że, według orzecznictwa francuskiego i komentatorów francuskich, państwo odpowiada za niezgodne z prawem czyny swych organów tylko wtedy, gdy występuje ono w charakterze prawnoprywatnym, pozatem zaś wcale nie odpowiada. Zniewolony jestem zaprzeczyć twierdzeniu Prokuratorji, i oświadczam, że zarówno według powołanych przez Prokuratorję komentatorów, jak i według orzecznictwa, państwo w zasadzie zawsze odpowiada za czyny swych organów, a spór natury teoretycznej toczy się tylko dookoła pytania, na jakiej mianowicie

podstawie prawnej odpowiada: czy z art. 1382—1384 kod. cyw., czy też na innej podstawie?

Otóż jeżeli chodzi o cytowanych przez Prokuratorę komentatorów Baudry - Lacantinerie i Barde, to bynajmniej autorowie ci nie negują odpowiedzialności państwa w dziedzinie „service public“, a tylko utrzymują, że wynika ona nie z art. 1384, bo ten, ich zdaniem, do osób prawnych się nie stosuje. Według ich zapatrywania, odpowiedzialność ta jest natury „objektywnej“: ma za podstawę ideę „ryzyka administracyjnego“, państwo bowiem, z natury porządku publicznego, jest ubezpieczeniem przeciw ryzyku, wynikającemu z działalności jego organów (t. IV Nr. 2917). Zarazem wyjaśniają oni (czego Prokuratorja jakoś nie zauważyła), że sąd kasacyjny francuski do końca ubiegłego wieku stale opierał odpowiedzialność państwa na art. 1384 bez rozróżnienia „actes de puissance“ od actes de gestion, i między nim a Conseil d'Etat, najwyższym sądem administracyjnym, ta właśnie zachodziła różnica, że ten ostatni od dłuższego już czasu odpowiedzialność państwa za czyny organów w dziedzinie service public opierał nie na art. 1384, lecz na zasadzie konieczności społecznej i słuszności (équité). Zgodnie z tem zapatrywaniem Tribunal des conflits w r. 1873 orzekł w słynnej sprawie Blanco, że odpowiedzialność państwa za szkodę, spowodowaną przez jego organy w dziedzinie service public, nie może być rządzona zasadami kodeksu cywilnego, przeznaczonemi dla stosunków majątkowych między jednostkami prywatnemi; że ma ona podstawy szczególne, które są zmienne w zależności od wymagań służby (besoins de service); że jest zawisła od szeregu okoliczności, których nie można z góry określić (une infinité de circonstances que l'on ne peut définir à l'avance), i że w każdym przypadku należy pogodzić prawa państwa z prawami jednostki (concilier les droits de l'Etat avec les droits privés). I oto sąd kasacyjny na rubieży już nowego stulecia odstąpił od swego dawnego stanowiska i zaczął hołdować teorji, przyjętej przez Conseil d'Etat, opierając odtąd odpowiedzialność pań-

stwa w dziedzinie *service public* nie na art. 1384 kod. cyw., a na zasadzie konieczności społecznej i słuszności.

Wielu jednak komentatorów, nie tylko dawniejszych, że wspomnę jednego z najznamienszych Laurent'a, lecz i najnowszych, nie zgadza się na tę teorię, uważają oni bowiem, że art. 1384 ma dość szeroką podstawę, aby i w tych przypadkach znaleźć zastosowanie. Tak, Planiol (t. II, n<sup>o</sup> 881, odsyłacz) teorię tę uważa za przejściową, efemeryczną: odpowiedzialność państwa, zdaniem jego, opiera się nie tylko na słuszności (*équité*), ale i na zasadach prawa cywilnego (*sur les principes du droit civil*). A Colin i Capitant, wbrew zapatrywaniu Baudry-Lacantinerie i Barde, uważają, że art. 1384 stosuje się i do osób prawnych, aczkolwiek bowiem nie wspomina o osobach prawnych, ale objaśnia się to tem, że w kodeksie cywilnym wogóle nie było mowy o osobach prawnych: odpowiedzialność osób prawnych jest konieczna, bo bez niej życie społeczne byłoby niemożliwe. Nadmienią też, że orzeczenia sądowe, wbrew odmiennym teoriom, stale powołują się na art. 1382 — 1384 dla umotywowania odpowiedzialności osób prawnych, choć punktem wyjścia ich rozumowań są względy słuszności i oportunistyczne (*considerations d'équité et d'opportunité*). Próby wyeliminowania państwa z tej koncepcji odpowiedzialności osób prawnych za czyny ich organów u autorów tych napróżno byśmy szukali.

Tak więc mogę z całą pewnością i spokojem powiedzieć, że twierdzenie Prokuratorji, jakoby w zakresie prawnopublicznym państwo za swe organy nie było odpowiedzialne ani według litery, ani rzekomo według ducha prawa francuskiego, nie odpowiada rzeczywistości. Spór zaś teoretyczny, na jakiej mianowicie z różnych wysuwanych podstaw oprzeć odpowiedzialność państwa, w sprawie obecnej może pozostać dla nas obojętnym, bo możemy uczynić tak, jak to uczynił senat rosyjski przed trzydziestu laty (orzeczenie ogólnego zebrania Nr. 52/1892 r. w sprawie sędziego pokoju Koniego, który roztrwonił otrzymane od osoby prywat-

nej fundusze), a mianowicie uznał odpowiedzialność państwa zarówno w myśl wymagań słuszności, a zarazem powagi i godności państwa, jak i w myśl art. 1384 kod. cyw. w związku z art. 9 ust. post. cyw., który nakazuje sędziemu wykładnię swą opierać nie tylko na literze, ale i na ogólnych zasadach prawa.

A przecież my w Polsce teraz mamy jeszcze taki punkt oparcia, jakiego w owym czasie brakowało senatowi rosyjskiemu: to konstytucja, a w niej art. 121, który w sposób stanowczy proklamował odpowiedzialność państwa za szkodę, zrzadzoną przez niezgodną z prawem działalność organów władzy, zarówno cywilnej, jak i wojskowej. W myśl tejże konstytucji obywatelowi nie może być zamknięta droga do dochodzenia krzywdy i straty, a wniesienie skargi o odszkodowanie przeciw państwu stoi mu otworem, tak samo, jak i wszelkiej innej skargi.

Skoro więc w sprawie obecnej jest poza wszelkim sporem, że w wyniku rewizji, dokonanej u powoda, organy władzy wojskowej, a mianowicie komendant wojskowy gmachu „Polonia“ wraz z żandarmerją, zabrały mienie i papiery osobiste powoda za pokwitowaniem, i skoro również bezspornem jest, że tylko papiery zostały mu zwrócone, to czyż przystoi przeczyć, że państwo za zwrot mienia zabranego musi być odpowiedzialne przed powodem? Tego wymaga zarówno słuszność i godność oraz powaga państwa, jak i pozytywny przepis kodeksu cywilnego, wcielony w art. 1384, w związku z art. 9 ust. post. cyw., jak wreszcie i art. 121 konstytucji.

Jeżeli komendant Grabowski, jak twierdzi Prokuratorja, przywłaszczył sobie czy też roztrwonił mienie Glücksberga, to i w tym przypadku państwo musi odpowiadać, jak odpowiadał skarb państwa rosyjskiego za sędziego pokoju, który roztrwonił złożone mu pieniądze prywatne, i jak w podobnych przypadkach odpowiada skarb państwa francuskiego, a to w myśl wyjaśnienia Conseil d'Etat w sprawie Laffaix (z d. 7 maja 1897 r., cytowanego na str. 534 w dziele Hauriou p. t. Précis de droit administratif et de droit public, wyd. 1919 r.),

że państwo odpowiada i za zabór, popełniony przez funkcjonarjusza na szkodę osoby prywatnej (pour détournement commis par un fonctionnaire au détriment d'un particulier). To też śmiem być przekonania, że i sąd polski nie pójdzie inną drogą.

Co się tyczy wysokości odszkodowania, to ustalenie jej, po opinii biegłego, w duchu mego podania, uzupełniającego pierwotną skargę, nie napotka chyba krytyki ze strony Prokuratorji, która uzna zapewne obiektywność moich obliczeń i przerachowania. Upraszam tedy o zasądzenie od skarbu państwa na rzecz Michała Glücksberga sumy 47515 złotych wraz z odsetkami prawnymi od daty skargi i z kosztami procesu.

### R E P L I K A.

Kilka słów repliki słusznie należy się memu przeciwnikowi, który w obronę skarbu państwa włożył nie tylko zapał, ale i wiele pracy. Przedewszystkiem jednak słówko ze względu na jego apel do sędziów, ażeby żądanie powoda oddalili „w zrozumieniu konieczności państwowych, wyłączających uznanie bezgranicznej odpowiedzialności skarbu za czyny urzędników w państwie młodem, którego administracja dopiero się doskonali“. Ja ze swej strony przeciwnie, panowie sędziowie, nie wątpię, że, jak w każdej sprawie, tak i w tej, wymiar sprawiedliwości oprzecie tylko na przepisach i ogólnych zasadach prawa, nie wdając się w subiektywne rozważanie rzekomych konieczności państwowych, bo czuwanie nad tem, co jest koniecznością państwową, należy do innej władzy, nie sądowej. A i to jest jasne, że wymiar sprawiedliwości w tej sprawie bynajmniej nie wymaga uznania „bezgranicznej“ odpowiedzialności państwa za czyny urzędników, lecz polegać będzie tylko na odszkodowaniu za krzycząco niezgodne z elementarnym porządkiem publicznym odjęcie własności przez organy wojskowe obywatelowi, który nie miał żadnej możliwości przeszkodzenia temu.

A teraz przechodzę do strony rzeczowej argumen-

tacji przeciwnika. Przyznaje on, że roszczenie powoda uzasadnione byłoby w b. dzielnicy pruskiej, tam bowiem obowiązuje niemiecka ustawa o odpowiedzialności państwa za działania urzędników; co do innych jednak obszarów Rzplitej nawołuje do przyjęcia poglądu zacytowanych przezeń uczonych austriackich i francuskich, że państwo odpowiada za szkody zarządzane przez jego urzędników tylko wtedy, gdy występuje jako podmiot prawa prywatnego, ale nie odpowiada za szkody i nadużycia na tle wykonywania władzy państwowej. Co się zaś tyczy orzecznictwa francuskiego, to nie zaprzecza wprawdzie, że Conseil d'Etat rzeczywiście uznaje odpowiedzialność państwa za szkody, zrządzone przez urzędową działalność jego funkcjonariuszów, w myśl ogólnych zasad słuszności, podnosi jednak, że zgodnie z doktryną, Conseil d'Etat ogranicza tę odpowiedzialność przez rozróżnienie w nieprawidłowej działalności urzędników *faute fonctionnelle* (v. *faute de service*) od *faute personnelle*, a mianowicie uznaje odpowiedzialność tylko tam, gdzie zachodzi *faute fonctionnelle*, t. j. jakby normalny błąd urzędowania, wyłącza zaś tam, gdzie zachodzi *faute personnelle*, t. j. niesumienność urzędnika. Tu zaś właśnie, w tej sprawie — utrzymuje obrońca skarbu — była tylko „osobista wina“ rotmistrza Grabowskiego: poszkodowany „padł ofiarą jego napadu bandyckiego, upozorowanego rewizją; a państwo nie miało możliwości przeszkodzić temu przestępstwu“. Oto te argumenty, na które w krótkości odpowiedzieć muszę.

Pewnej koncepcji teoretycznej jednych uczonych, austriackich czy francuskich, można przeciwstawić wręcz odmienne koncepcje innych uczonych. Otóż jest rzeczą wiadomą — już o tem dziś mówiłem — że są tacy uczeni, którzy nie tylko uznają odpowiedzialność państwa i w dziedzinie *service public*, lecz opierają też ją na zasadach prawa cywilnego. Jeżeli zaś chodzi o rozróżnienie między *faute fonctionnelle* i *faute personnelle*, to i ta koncepcja bynajmniej nie jest oparta na prawie obowiązującym, a natomiast, gdyby ją przyjąć w praktyce, nastęrczałaby duże trudności demarka-



cyjne. To też Conseil d'Etat coraz bardziej rozszerza zakres pojęcia winy „funkcjonalnej“ i coraz częściej wyzreka odpowiedzialność państwa za winę „osobistą“ jego organów. Ale gdyby nawet przyjąć taką koncepcję, to i wówczas niepodobna uważać za udowodnione, że w chwili rewizji rotmistrz Grabowski działał w celu osobistym. Jako wojskowy komendant gmachu, miał niewątpliwie prawo przedsięwzięcia rewizji i zatrzymywania wszelkich przedmiotów, które mogły przyczynić się do zebrania posziak w pewnym kierunku, zwłaszcza, iż czynił to przy udziale żandarmerji państwowej. W funkcjach komendanta mieściło się eo ipso prawo rewizji z wszelkimi następstwami. Jego czyn występny polegał dopiero na przywłaszczeniu sobie, jak twierdzi Prokuratorja, mienia zabranego obywatelowi, t. j. na niezdaniu tego mienia do odpowiedniej kasy. Tu więc mielibyśmy w stosunku do Glücksberga to samo, co zachodziło w sprawie sędziego pokoju Koniego. Lecz gdyby nawet przypuścić, że wola występna miała miejsce od samego początku, to i w tym przypadku we Francji państwo byłoby odpowiedzialne wbrew twierdzeniu obrońcy Prokuratorji: dowodem wyrok Conseil d'Etat w sprawie Laffaix. W każdym razie niepodobna nawet przez przenośnię utrzymywać, że to był „napad bandycki“, któremu państwo nie mogło przeszkodzić, bo wiemy dobrze, iż tu było wkroczenie właśnie władz państwowych w celu urzędowania.

Jeszcze jeden, ostatni, punkt wymaga odpowiedzi: to wywody co do art. 121 konstytucji. Obrońca Prokuratorji twierdzi, że w odniesieniu do b. Kongresówki, gdzie niema ustaw specjalnych, określających odpowiedzialność państwa, art. 121 zawiera tylko zasadę abstrakcyjną, dezyderat prawodawcy konstytucyjnego, który dopiero w przyszłości przez wydanie specjalnej ustawy będzie zrealizowany. Ależ zasada odpowiedzialności państwa proklamowana jest w art. 121 stanowczo, a więc nie może jej osłabiać epizodyczny ustęp ostatni, wzmiankujący, że przeprowadzenie tej zasady określają osobne ustawy. „Przeprowadzenie“ zasady, jeżeli chodzi o przyszłe ustawy, nie może być jej zmniejszeniem; byłoby to

sprzeczne i z art. 38 konstytucji, głoszącym, że żadna przyszła ustawa nie może stać w sprzeczności z zasadami tejże konstytucji. Zresztą oddzielne ustawy w tym przedmiocie są niezbędne, bo musi być uregulowany stosunek i tryb regresu państwa do jego organów, ze względu na solidarny charakter ich odpowiedzialności, a nadto chodzi nietylko o państwo, ale i o gminy i inne ciała samorządowe. W każdym razie fundamentalna zasada art. 121 daje conajmniej autentyczną podstawę do interpretowania odpowiedzialności państwa z art. 1384 kod. cyw. w takim duchu, jak to już dawno uczynił był senat rosyjski, który nie miał podobnej podstawy, a jednak wzniósł się na wyżyny słuszności i moralności. Tembardziej winny to uczynić sądy polskie, które nad myślą kierowniczą art. 121 konstytucji nie mogą przejść do porządku dziennego. Wyrok Sądu pomyślny dla Glücksberga uzasadniony będzie już wobec przepisu samego kodeksu cywilnego, a cóż dopiero wobec przepisu konstytucji!

## W Y R O K.

Sąd Okręgowy uwzględnił powództwo Michała Glücksberga, uzasadniając swój wyrok następującymi pobudkami:

że przytoczone w skardze powodowej faktyczne okoliczności sprawy, tak co do przeprowadzenia u Glücksberga rewizji i zabrania podczas rewizji wymienionych w powództwie pieniędzy i kosztowności, jak i co do wartości i ilości tych kosztowności i pieniędzy, niesporne są między stronami, jak również stwierdzone są złożonemi przez powoda a wydanemi przez Grabowskiego pokwitowaniami i zeznaniami zbadanych świadków;

że właściwy spór między stronami dotyczy zagadnienia, czy skarb państwa odpowiedzialny jest za stratę, poniesioną przez Glücksberga wskutek zabrania mu pieniędzy i kosztowności podczas rewizji, dokonanej przez wojskowego komendanta hotelu „Polonia“ i żandarmerję;

że z zeznań zbadanych świadków okazuje się, że

dowództwo żandarmerji wysłało oddział żandarmów jako pomoc rotmistrzowi Grabowskiemu w celu zaareztowania podejrzanych osób, znajdujących się w hotelu (św. Strzelecki), i że św. Strzelecki, jako oficer inspekcyjny dowództwa żandarmerji, miał prawo wysyłać żandarmów do czynności służbowych;

że rewizji u powoda dokonywali bezpośrednio delegowani żandarmi, którzy zaareztowali pieniądze i kosztowności, do powoda należące, a wachmistrz żandarmerji Wisłocki przedmioty te osobiście zabrał, odniósł i wręczył Grabowskiemu (św. Matczak);

że z powyższych okoliczności wynika, iż bez względu na to, czy rotmistrz Grabowski, jako komendant wojskowy hotelu „Polonia“, był uprawniony czy upoważniony do przeprowadzenia rewizji w gmachu „Polonia“ i aresztowania ujawnionych podczas rewizji podejrzanego znaczenia przedmiotów. należy uznać, iż delegowanie przez należytą władzę oddziału żandarmów w celu zaareztowania podejrzanych osób, dokonywanie rewizji bezpośrednio przez żandarmów, a więc dokonywanie czynności, ujawniających osoby podejrzane, t. j. czynności przygotowawcze do mających nastąpić aresztowań, i wreszcie dokonanie przez żandarmerję w osobie wachmistrza Wisłockiego przyaresztowania pieniędzy i kosztowności powoda w związku z dokonywaną rewizją, wszystkie powyższe czynności żandarmerji pokrywają czynności komendanta Grabowskiego, jeżeli czynności te wychodziły poza zakres przysługujących mu i ciężących na nim z tytułu służby praw i obowiązków, gdyż powyższa działalność żandarmerji (delegowanie, rewizja i przyaresztowanie ruchomości) nie wychodziła poza zakres ustawowo określonej działalności organów żandarmerji;

że powyższemu ujęciu rzeczy nie przeczy okoliczność, iż żandarmi byli delegowani na żądanie i do dyspozycji rotmistrza Grabowskiego, gdyż żandarmerja, przed wysłaniem oddziału żandarmów w pomoc rtm. Grabowskiemu przy aresztowaniu podejrzanych osób, winna była sprawdzić i upewnić się, czy rtm. Grabowski jest uprawniony do dokonywania powyższych czyn-

ności, a jeżeli tego władze żandarmerji nie skutecznily i okazało się, że Grabowski tego rodzaju uprawnień nie posiadał, to trzeba uznać, iż za wszystkie czynności, związane z dokonaną u Glücksberga rewizją i zaborem rzeczy odpowiada żandarmerja, która dokonała bezpośredniego zaboru ruchomości powoda i wręczyła je Grabowskiemu, zamiast zdania ich do odpowiedniej kasy;

że wobec powyższego należy następnie zastanowić się i rozstrzygnąć, czy za skutek powyższych czynności odpowiedzialny jest skarb państwa;

że czyny powyższe żandarmerji należy zaliczyć do kategorii „faute fonctionelle“ a nie „faute personnelle“, gdyż wchodzą w zakres czynności służbowych żandarmerji, a nie wychodzą poza ich zakres; że wobec powyższego i bez względu na to, czy czynności te należą do kategorii „actes de puissance“ lub „actes d'autorité“ czy też do rzędu „actes de gestion“, za skutki powyższych czynności żandarmerji odpowiedzialny jest skarb państwa podług ustępu 3 art. 1384 kod. cyw, w związku z art. 121 konstytucji Rzplitej;

że jeżeli stosowanie ust. 3 art. 1384 było zawsze uznawane przez judykaturę i jurysprudencję przy rozstrzyganiu odpowiedzialności państwa za skutki czynności organów państwowych, stanowiących „actes de gestion“, zaś niejednolite poglądy były wypowiedane co do odpowiedzialności za skutki „actes de puissance“ lub „actes d'autorité“, to jednak obecnie uznać należy, iż na obszarze Rzplitej po ogłoszeniu konstytucji państwa, w szczególności art. 121 konstytucji, ustanawiającego odpowiedzialność państwa za szkody, wyrządzone obywatelowi przez organy władzy państwowej, cywilnej i wojskowej, przez działalność urzędową niezgodną z prawem lub obowiązkami służby, art. 1384 ust. 3 kod. cyw. winien być stosowany i do tych ostatnich czynności organów rządu;

że wysokość poszukiwanej pretensji przez powoda udowodnioną została opinią zbadanego biegłego.

SPRAWA HUBERTA LINDEGO i INNYCH  
O NADUŻYCIA W POCZTOWEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI  
W WARSZAWIE.

**SPRAWA HUBERTA LINDEGO i INNYCH  
O NADUŻYCIA W POCZTOWEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI  
W WARSZAWIE.**

**Komplet sędzacy:**

**Przewodniczący:** Jan Kozakowski

Sędziowie { Tadeusz Krassowski  
              { Jan Rościszewski

**Przedstawiciel Urzędu Prokuratorskiego:**

**Kazimierz Rudnicki,**

**Prokurator Sądu Okręgowego w Warszawie.**

Sledztwo wstępne prowadził: Józef Skorzyński,  
sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi.

Dnia 8 kwietnia 1926 roku Wydział VIII Karny Sądu Okręgowego w Warszawie przystąpił do rozpoznawania sprawy Huberta Lindego i innych o nadużycia w Poczтовой Kasie Oszczędności w Warszawie.

Zarzuty przeciwko oskarżonym zawarte są w poniższym przez Prokuratora Kazimierza Rudnickiego sporządzonym akcie oskarżenia.

**AKT OSKARŻENIA**

**przeciwko**

**HUBERTOWI LINDEMU, lat 58,**

**WILHELMOWI BAU, lat 51,**

**BOGUSŁAWOWI HRYNIEWICZOWI, lat 45,**

(oskarżeni — Bau zaaresztowany, pozostali — na wolności).

29 listopada 1925 r. Prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa, przesłał Ministerstwu Sprawiedliwości odpis pisma swego, wysłanego do Ministerstwa Skarbu, w którym zawiadomił tego ostatniego, iż Stanisław Lipiński, przewodniczący stałej Komisji Rewizyjnej Poczтовой Kasy Oszczędności oraz Włodzimerz Krauz, przewodniczący Komisji Rewizyjnej Najwyższej Izby Kontroli z tytułu swych obowiązków urzędowych ustalili, iż prezes P. K. O. Hubert Linde wystawił w imieniu tejeż P. K. O. list gwarancyjny

za pożyczkę, udzieloną przez Bank Londyński Johnson Matthey jego bratu, Marjanowi Lindemu. W toku śledztwa, wszczętego na podstawie wyżej wymienionego pisma, ustalone były, bądź przez Sędziego Śledczego, bądź przez Najwyższą Izbę Kontroli, inne czyny, przewidziane przez Kodeks Karny, część których objęta jest niniejszym aktem oskarżenia.

## I.

W styczniu 1923 r. Komitet Dyrekcyjny P. K. O. uchwalił—wbrew opinii wice-prezesa Żelechowskiego—otwarcie oddziału P. K. O. i upoważnił prezydium do nabycia w tym celu domu lub placu, przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi. Kupno to przez dłuższy czas nie mogło dojść do skutku z powodu wygórowanych cen, jakich żądali właściciele, dowiadując się, że nabywca ma być P. K. O. W poszukiwaniu odpowiedniej posesji był, jak stwierdzono w akcie P. K. O. z dnia 20.XI.23 r. Nr. 32108 Dyr., wielce pomocnym Wilhelm Bau, właściciel majątków ziemskich w Małopolsce i współwłaściciel fabryki w Łodzi, który wskazał dom przy ul. Narutowicza Nr. 45, nadający się do celów P. K. O. i mający kosztować około 65000 dolarów. Na konferencji, w której wzięli udział sekretarz generalny P. K. O. Lalewicz i kierownik Dyrekcji Administracyjnej Krasicki oraz Bau, ustalono, iż należy dom ten nabyć za pośrednictwem Bau, jako osoby podstawionej, która następnie niezwłocznie odprzeda go P. K. O. i wyasygnować w tym celu na ręce Bau 40 miliardów mk. jako zadatek dla właścicieli. W konsekwencji Prezydium P. K. O. wniosło na posiedzenie Komitetu Dyrekcyjnego w dniu 27 listopada 1923 r. projekt, przyjęty tegoż dnia przez Komitet, w myśl którego prezes Linde otrzymał upoważnienie do nabycia wspomnianej nieruchomości za cenę nie przekraczającą w markach równowartości 70000 dolarów; Prezydium zostało upoważnione również do wydatkowania sum potrzebnych na pokrycie ceny kupna i kosztów kontraktu. Cenę nabycia ustalono na podstawie pisma szefa kontroli budowy gmachów P. K. O. Hryniewiczza, który w piśmie swem do prezydium z dn. 13 września 1923 r. zaopiniował, że budynek łącznie z placem przedstawia wartość 77000 dolarów i że „nabycie tej nieruchomości—składającej się z placu i budynku w stanie surowym, konstrukcyjnie wykończonom— może być dokonane w sumie do 75000 dolarów“.

Jeszcze przed uchwałą Komitetu asygnowano Bauowi, podniesione przez niego niezwłocznie 50 miliardów marek. Następnie okazało się, że na nieruchomości ciąży przedwojenny dług w sumie 28000 rubli, co do którego w wykazie hipotecznym figuruje zastrzeżenie, że bez zgody wierzycieli nieruchomość nie może być sprzedana. Wskutek tego prezes Linde polecił przygotować Henrykowi Bülowi, referentowi P. K. O. wniosek na Komitet Dyrekcyjny, w którym projektował „w celu uzyskania zgody wierzycieli oraz pozbycia się ciężaru spłaty sumę dłużną“, a właściwie połowę przedwojennej wartości t. j. 7000 dolarów. Jednocześnie tegoż 4 grudnia wyasygnowano Bauowi 230 miliardów marek. Wniosek spłaty długu przez Komitet Dyrekcyjny rozpoznawany nie był. Z otrzymanych pieniędzy Bau, w dniu 14 grudnia przekazał z powrotem do P. K. O. ze względu na zwłokę w pertraktacjach 200 miliardów mk., ale już 19 grudnia wyasygnowano mu je ponownie ze względu na to, że „pertraktacje pomyślnie dobiegają do końca“. 21 grudnia prezes Linde podpisał decyzję o wyasygnowaniu jeszcze 200 miliardów mk. ze względu na szybką istotnie wówczas zwyżkę dolara, która sprawiła, iż asygnowane dotychczas 280 miliardów nie wystarczą na kupno domu oraz na spłatę długu hipotecznego t. j. na pokrycie sumy 77000 dolarów. Z asygnowanych pieniędzy Bau podjął tegoż dnia 150, a 28 grudnia 50 miliardów mk. 10 stycznia 1924 r. prezes Linde powołując się znów na zwyżkę dolara polecił wypłacić Bauowi 10 miliardów mk. Akt kupna nieruchomości przez Bau, w imieniu którego działał jako negotiorum gestor Jakób Kaszub, sporządzony został wreszcie w dniu 28 lutego 1924 r. w Łodzi, przed zastępcą rejenta Kalusińskim, przyczem sprzedające Dwójra

Gotheil, Szajla Gotheil i Cypjra Warchiwkier zeznały, iż sumę sprzedażną, a mianowicie 520 miliardów mk. otrzymały gotowizną przy akcie. 4 marca Wilhelm Bau sprzedał tę nieruchomość P. K. O. również za sumę 520 miliardów mk. aktem rejentalnym zeznanym przed łódzkim notariuszem Kahlem. Prócz 52 miliardów na koszt aktu z dnia 28 lutego Bau otrzymał jeszcze od P. K. O. 6 marca 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miljarda mk. i 18 marca 27<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miljarda mk. W ogólnem więc wylczeniu P. K. O. wyasygnowała prócz kosztów rejentalnych 520 miliardów mk., a z kosztami 572 miljardów mk. na kupno domu. Suma ta znacznie przewyższała uchwaloną na ten cel kwotę 65, a nawet 70000 dolarów, poszczególne bowiem sumy wypłacone Bauowi stanowiły, w przerechowaniu ich na dolary, w dniu otrzymania przez Baua pieniędzy następujące równowartości w dolarach: 50 miliardów w dn. 23 listopada — 17241 dol.; 30 miliardów mk. 6 grudnia — (Bau zwrócił z otrzymanej w tym dniu kwoty 200 miliardów) — 8403 dol.; 20 miliardów w dniu 19 grudnia — 30759 dol.; 150 miliardów mk. w dn. 21 grudnia — 24590 dol.; 50 miliardów 29 grudnia — 7874 dol.; 10 miliardów 11 stycznia — 1010 dol.; 52 miljardy na koszt rejentalne, 28 lutego — 5564 dol.; 30 miliardów — 6 i 18 marca — 3225 dol., czyli łącznie z kosztami rejentalnymi 98666 dolarów.

Śledztwo wyjaśniło, że Bau sumy otrzymane z P. K. O. w całości niezwłocznie przelewał na swój rachunek w Banku dla Handlu i Przemysłu, polecając nabywać za nie dolary. Ekspertyza wyjaśniła w tym względzie, że z otrzymanych do dnia 7 grudnia 280 miliardów Mk. Bau nabył (po zwróceniu 200 miliardów) w dniu 12 i 16 grudnia, za pośrednictwem Banku 9.200 dolarów za ogólną sumę, licząc prowizję i stemple 37 zgórą miliardów mk. przytem Bau podniósł jednocześnie za dwoma czekami 500 milionów mk. 18 i 19 grudnia Bank nabył dla Bau 6.100 dolarów za ogólną sumę 40 miliardów mk., a Bau podniósł za czekiem 100 milionów mk. Po otrzymaniu 19 grudnia 200 miliardów mk. Bank nabył dla niego 20 i 21 grudnia 23.000 dolarów, na ogólną sumę 150 miliardów mk. 21 grudnia Bau otrzymał z P. K. O. 150 miliardów mk. wpłacił je do Banku, który następnego dnia nabył dla niego 7.500 dol. a 24 grudnia 21.000 dolarów, Bau zaś podniósł za czekiem 20 miliardów mk. co uczyniło razem 197 miliardów mk., 29 grudnia Bau wpłacił do Banku, otrzymane tegoż dnia z P. K. O. 50 miliardów mk., a Bank również tego samego dnia nabył dla niego 2500, a 31 grudnia 6.700 dolarów, na łączną sumę 59 miliardów mk. Ustalono więc, że Bau otrzymał od P. K. O. na kupno nieruchomości w Łodzi prócz kosztów rejentalnych 490 miliardów mk. do dnia sporządzenia aktu t. j. do 28 lutego 1924 r.: po tym zaś dniu jeszcze 30 miliardów mk., zwrócił z otrzymanych pieniędzy 1.275.866.000 mk. gotówką, zakupił dolarów za 462.746.764.000 mk., zatrzymał u siebie zgórą 55 miliardów oraz różnicę między nabytą sumę 76.000 dolarów, a rzeczywiście zapłaconą ceną kupna domu.

Poza kwestją przekroczenia przez prezesa P. K. O. sumy przeznaczonej na zakup domu oraz należytego wylczenia się z otrzymanych pieniędzy przez Bau powstało zagadnienie, czy cena domu przy ul. Narutowicza Nr. 45 istotnie odpowiada jego wartości i mogła być za niego zapłaconą. Świadek Aleksander Gutman zeznał, że plac przy ul. Dzielnej (obecnie Narutowicza) Nr. 45 sprzedał w 1912 r. braciom Goldbergom, pozostawiając na hipotece jego 28.000 rubli długu; nabywcy wybudowali na tym placu dom, lecz go nie zdążyli wykończyć i sprzedali całą nieruchomość Warchiwkierom, którzy również domu nie wykończyli. W lutym 1924 r. Warchiwkierowie zaczęli układać się z nim co do spłaty długu hipotecznego i wreszcie wypłacili mu około 4.300 dolarów. Henryk Goldberg zeznał, że wyżej wspomnianą nieruchomość, składającą się z murów nie pokrytych dachem, sprzedał mniej więcej w końcu 1918 r. za 120 czy też 130.000 rubli. W końcu 1923 r. Goldberg chciał ją odkupić od Warchiwkierów, którzy zażądali 40.000 dolarów, dodając, że w razie poważnego traktowania sprawy, gotowi są pewną sumę ustąpić. Tę samą nieruchomość chciał kupić Tadeusz Czapczyński w imieniu urzędników Kuratorjum Szkolnego i nau-



czycieli szkół średnich, przyczem działający w imieniu Warchiwkierów Kopczyński żądał od niego 15.000 dolarów. Natan Kempner i Jakób Kaszub zeznali, że Warchiwkierom wypłacili 68.000 dolarów; Aron Warchiwkier zeznał, że żona jego otrzymała 5.000 dolarów na uregulowanie długu Gutmana i że te pieniądze wliczono do ogólnej sumy kupna. Tę samą sumę 68.000 dolarów, wymienia, jako otrzymaną za nieruchomość mąż współwłaścicielki Majli Gotheil, Samuel.

Inżynierowie budownicy, Rudolf Sunderland i Bronisław Stawiski, którzy na żądanie przedstawiciela Najwyższej Izby Kontroli Olszakowskiego dokonali 13 grudnia 1925 r. ekspertyzy, celem ustalenia wartości domu, nabytego przez P. K. O. orzekli że maksymalna cena sprzedażna we wrześniu 1923 r. nie mogła przekraczać 24.000 dolarów. Świadek Lewit zeznał, iż 18 marca 1924 r. sprzedał swoją nieruchomość w Łodzi przy ul. Kościuszki Nr. 32, Dwojrze Gotheil oraz małżonkom Warchiwkierom i małżonkom Gotheil za 20.000 dolarów. Inżynier Stawiski, który na żądanie Sędziego śledczego dokonał oględzin i tego domu, orzekł, że wartość domu przy ul. Kościuszki przewyższa, w nieznacznej zresztą mierze, wartość domu przy ul. Narutowicza.

Nadmienić należy, że Hryniewicz nie tylko nie jest inżynierem, ale nawet technikiem budowlanym i, jak widać z oględzin jego akt osobowych, ukończył 3 klasy szkoły średniej i przystępował do egzaminu z buchalterji w akademji handlowej.

Hubert Linde, zbadany jako oskarżony o działanie na szkodę P. K. O. przez wyasygnowanie nadmiernych i nie przewidzianych przez decyzję komitetu Dyrekcyjnego sum na kupno domu, do winy się nie przyznał, wyjaśniając, że żadnej decyzji wypłaty nie dawał, lecz tylko podpisywał wnioski, składane mu przez Dyрекcję Administracyjną.

Bau, zbadany, jako oskarżony o nadużycie danego pełnomocnictwa na szkodę P. K. O., zeznał, nie przyznając się do winy, że chciał pomóc P. K. O. w nabyciu nieruchomości i z polecenia Lindego wniósł ofertę ze wskazaniem ceny, za jaką nieruchomość Nr. 45 przy ul. Narutowicza, może być nabyta, że po zdecydowaniu w P. K. O. tej sprawy, otrzymał 50 miliardów zadatku, którego sprzedawcy przyjąć nie chcieli żądając całej sumy, że pertraktacje ciągle napotykały na trudności, wobec podnoszenia ceny przez właścicieli i wreszcie, że otrzymali cenę kupna w dolarach w takiej ilości, jaką on, uzyskał z Banku za 520 miliardów mk., asygnowanych mu przez P. K. O.

Hryniewicz, zbadany, jako oskarżony o oszacowanie domu, przy ul. Narutowicza Nr. 45, świadomie na szkodę P. K. O. do winy się nie przyznał zeznając, że przy szacowaniu nieruchomości wziął pod uwagę wartość placu, a koszt budowy murów, obliczył — nie wskazując podstaw obliczenia — po 4 dolary za metr sześcienny.

Z aktów P. K. O., dotyczących kupna domu, widać że Hubert Linde podpisał wszystkie polecenia do Centralnej Izby Obrachunkowej, dotyczące się wypłat, czynionych P. K. O. Bauowi na koszt kupna domu.

## II.

Dnia 27 października 1924 r. P. K. O. otrzymała ofertę, napisaną na blankiecie „Centralnego Zarządu Dóbr Borowno”, a podpisaną przez Wilhelma Bau, w której Zarząd Borowna, powołując się na posiadanie około 1500 mtr. kubicznych drzewa kantowego oraz miljona cegieł, przygotowanych do zamierzonej, a zaniechanej budowy, proponował ich nabycie Dyrekcji P. K. O. Za drzewo żądano 40.000 złotych, a za cegłę 50.000 zł. loco stacja załadowcza (w późniejszym piśmie miejsce dostawy określono na stację wyładowczą). Oferta powyższa została tegoż dnia przesłana do kontroli technicznej gmachów P. K. O. dla zaopinowania; tegoż 27 października kontrola skierowała do Prezydium, podpisywany przez Hryniewicza wniosek nabycia drzewa i cegły dla budowy w Łodzi ze względu na bardzo

nizką żadaną cenę. Tegoż dnia P. K. O. wysłała do Zarządu Borowna pismo podcyfrowane w bruljonie literami H. L. zawiadamiając, że oferta zostaje przyjęta z tem, że Dyrekcja P. K. O. określi termin i miejsce uskutecznienia dostawy, zastrzegając sobie przytem sprawę „bliższego określenia ilości dostarczyć się mającego drzewa i cegły“. Pomimo tego zastrzeżenia równowartość miliona cegieł i tysiąca metrów drzewa t. j. 90.000 złotych, były wypłacone Zarządowi Borowna 28 października 1924 r. niezwłocznie po odnośnej decyzji prezesa Lindego, bez uzyskania jakiegokolwiek zabezpieczenia wykonania umowy, aczkolwiek sam Zarząd Borowna nadesłał przy piśmie swoim z dnia 28 października odpis aktu rejentalnego w myśl którego Stanisław Staszewski zapisał na swych dobrach Kopyl kaucję w kwocie 100.000 zł. na zabezpieczenie wydanych przez niego, lub przez Marię Czerenkową, właścicielkę Borowna, wszelkich, zobowiązań, wypływających z ewentualnie zawartych przez nich umów. W akcie jednak, sporządzonym 28 października 1924 r. przed rejentem Tyborowskim w Warszawie, niema wzmianki o tem, aby kaucja miała służyć zabezpieczeniu umów, zawartych z Zarządem Dóbr Borowno lub z Wilhelmem Bau, jak również niema danych, aby akt powyższy został wciągnięty do hipoteki dóbr Kopyl.

Dnia 5 maja 1925 r. Izba Obrachunkowa zwróciła się do Kontroli Technicznej Budowy gmachów P. K. O. żądając sprawozdania z wykonania umowy, zawartej z Zarządem Dóbr Borowno. Kontrola Techniczna na żądanie prezesa Lindego, zawiadomiła 20 maja Dyrekcję P. K. O. że Zarząd Borowna wysłał do Łodzi „dwa wagony cegły i wagon drzewa, które w dniu 14 maja po oglądnięciu nie przyjęto, z powodu, że deski kantówek są z cienkopięnnego drzewa i jako małomiarki do budowy w tej ilości się nie nadają, cegła okazała się kilkoletnią, zbutwiałą, wskutek czego dałaby, po dostawie na budowę około 40% łomu“. W dalszym ciągu swego pisma Hryniewicz zawiadamia, iż wstrzymał dostawę materiałów i wnioskuje, aby wezwać firmę do zwrotu wpłaconej zaliczki z zaliczeniem 24% „albo i więcej“ rocznie, licząc od 28 października 1924 r. aczkolwiek, „Dyrekcja P. K. O. posiada dostatecznie zabezpieczenie“. Jednocześnie P. K. O. zażądała od Zarządu Borowna zwrotu 90.000 złotych wraz u 2% miesięcznie na co Zarząd pismem podpisanem przez Bau odpowiedział, że odrzucanie materiałów budowlanych przyjmuje do wiadomości, a 90.000 złotych z procentami zwróci w czterech ratach, poczynając od września („po żniwach“). Na piśmie tem prezes Linde napisał rezolucję: „Z konieczności zgoda — dobre i to“. Według obliczeń P. K. O. Borowno po odciążeniu wpłaconych sum winno było zwrócić 91.844 zł. Obliczenia tego dokonano 23 stycznia 1926 r. Zgodnie z zaświadczeniem P. K. O. z dnia 24 lutego 1926 r. otrzymało na rachunek powyższej należności 76.475 zł. drogą skreślenia przez Stanisława Pomorskiego tejże kwoty, należnej mu od P. K. O., a za hipotekowanej na stanowiącej jego własność nieruchomości w Warszawie.

Śledztwo ujawniło, że majątek Borowno, znajdujący się w pow. Kamień-Kaszyrskim, stanowi własność Marii Czerenkowej, która zeznała, że w marcu 1924 r. sporządziła akt przyrzeczenia sprzedaży Borowna Henrykowi Sowilskiemu i Wilhelmmowi Bau i wydała im tegoż dnia pełnomocnictwo na zarząd majątkiem z tem, że wszystkie sumy uzyskane przez nich za eksploatacji majątku mają być jej wypłacane. Ponieważ nabywcy umowy nie otrzymali, Czerenkowa cofnęła pełnomocnictwo i w grudniu 1925 r. objęła majątek w posiadanie. O istnieniu „Zarządu Dóbr Borowno“ nie wie, jak również nie wie o gwarantowaniu przez nieznanego jej Staszewskiego, zobowiązań przez nią przyjętych.

Czerenkowa, jak również Klimczuk, sołtys Borowna i Kierpań, gajowy z Borowna zeznali, że w Borownie cegielni nigdy nie było i cegły na potrzeby budowlane nie gromadzono. Ze znajdujących się w Borownie lasu Sowilski ciął drzewo, wyrabiał podkłady i transportował je, jak również nie obrobione kłody, kantowego jednak materiału drzewnego, w Borownie nie wyrabiano. W dalszym ciągu śledztwo ustaliło, że Zarząd Borowna w ciągu

maja 1925 r. nie dostarczał do Łodzi ani cegły, ani drzewa i że pismo Hryniewiczza z dn 20 maja zawiera wiadomości zmyślone.

Bau, zbadany pod zarzutem oszustwa, popełnionego przez sprzedających nieistniejących materiałów budowlanych, nie przyznał się do winy, twierdząc, że drzewo posiadał w Borownie, cegłę mógł zawsze otrzymać, że nie dostarczał ich, gdyż od niego nie żądano, że wreszcie na polecenie Hryniewiczza wyjechał z Warszawy do Łodzi i tam okazał próbkę cegły oraz specyfikację drzewa, które Hryniewicz uznał za nieodpowiednie.

Hryniewicz, zbadany, jako oskarżony o zakomunikowanie Dyrekcji P. K. O. w piśmie urzędowym świadomie nieprawdziwych danych wyjaśnił, nie przyznając się do winy, że istotnie 14 maja w Łodzi oglądał tylko specyfikację drzewa i próbę cegły, dlaczego zaś podał w piśmie swem z 20 maja fałszywe dane, objaśnić nie umie i tłumaczy to tem, że nie nadawał wagi temu co pisze.

Linde, zbadany jako oskarżony o bezczynność władzy skutkującą znaczną szkodę dla interesów P. K. O., a polegającą na asygnowaniu 90000 zł. bez dostatecznego sprawdzenia wartości a nawet samego istnienia nabywanych materiałów, nie przyznał się do winy, że zgodził się na przyjęcie oferty Bau w czasie, kiedy materiały były potrzebne dla projektowanej budowy gmachu sejmowego.

### III.

W marcu 1924 r. preses P. K. O. Linde zwrócił się do Naczelnika Wydziału Papierów Wartościowych, Jana Hertza, mówiąc mu, iż brat jego Marjan Linde posiada skonsolidowaną rentę rumuńską z 1922 r. na nominalną sumę 25000 funtów szterlingów, zdeponowaną w Oversea Bank w Londynie i że na kwit depozytowy tego banku będzie wydana pożyczka Marjanowi Lindemu. Hertz, nie znając ani opinii banku, ani kursu renty rumuńskiej, zwrócił się w dniu 10 marca do Banku dla Handlu i Przemysłu oraz Banku Spółek Zarobkowych z zapytaniem zarówno o kurs giełdowy renty, jak i o opinię co do solidności Oversea Bank. Odpowiedź Banku dla Handlu i Przemysłu z dnia 21—27 marca, oficjalnie otrzymana dopiero 6 maja, opiewała, że kurs renty na giełdzie londyńskiej — na bukareszczańskie giełdzie renta notowana nie była — wynosi 30—34% jej nominalnej wartości. 17 marca Marjan Linde wniósł do P. K. O. piśmienne podanie, którego dokładnej treści, z powodu zagubienia go w P. K. O., śledztwo nie zdołało ustalić, z prośbą o udzielenie mu pożyczki w sumie 74000 złotych pod zastaw wspomnianej renty. Żądana suma była tegoż dnia wypłacona Marjanowi Lindemu na zlecenie prezesa Lindego, który zastrzegł sobie decyzję we wszystkich pożyczkach lombardowych. Na podniesione przez Hertza zarzuty, który wskazywał na to, że petent nie złożył samej renty, lecz tylko zaświadczenie czeskich zakładów przemysłowych p. f. Ringhoffer Werke, iż Marjan Linde jest właścicielem renty zdeponowanej w Oversea Bank oraz na to, że P. K. O. nie może udzielać pożyczek pod zastaw papierów zagranicznych, Linde odpowiedział, że bratu jego pieniądze są gwałtownie potrzebne, po samą zaś rentę posłał się kogoś do Londynu. Istotnie Linde oświadczył Juljuszowi Steinowi, dyrektorowi technicznemu P. K. O., iż deleguje go do Londynu dla podjęcia z Oversea Bank renty rumuńskiej 1922 r. na sumę 25000 funtów i nadmienając, że kosztą wyjazdu pokryje Marjan Linde, właściciel renty, na którą P. K. O. udziela pożyczki. Prócz urzędowej delegacji, jako „ekspert w sprawie uregulowania rachunku depozytowego P. K. O. w banku londyńskim“ (taki charakter nadawał Steinowi Linde prosząc Ministerstwo Spraw Zagranicznych o wydanie mu paszportu zagranicznego dyplomatycznego) Stein otrzymał pismo od Marjana Lindego do firmy Ringhoffer Werke w Świchowie, upoważniające do podniesienia renty rumuńskiej z Oversea Bank. Ponieważ już w Pradze okazało się, że przy podniesieniu renty trzeba będzie zapłacić 2% podatku skarbowego bankowi angielskiemu od nominalnej ceny renty, przeto Stein tele-

graficznie zapytał prezesa Lindego o wskazówki, na co odebrał odpowiedź, aby się udał do Londynu. W Londynie Stein otrzymał 500 funtów, poczem rentę zabrał i za pośrednictwem poselstwa przesłał ją do Warszawy, gdzie wpłynęła do skarbcza P. K. O. 17 kwietnia. Kosztami podróży Steina i 500 funtami podatku obciążono rachunek lombardowy Marjana Lindego.

Na polecenie prezesa Lindego wypłacono Marjanowi Lindemu tytułem pożyczki pod zastaw renty, prócz wspomnianych wyżej 75000 złotych, następujące sumy: 27 kwietnia — 115000 złotych, 5 maja — 30000 zł., 2 czerwca — 25000 zł., i 16 czerwca — 60000 zł. przytem sumy wypłacone 27 kwietnia i 5 maja, a także część sumy z dnia 2 czerwca zapisano na conto czekowe prezesa Lindego, na co zresztą ten ostatni otrzymał od brata upoważnienie w formie kilku podpisanych przez siebie blankietów.

Jak widać z wyciągu rachunku lombardowego Marjana Lindego, obciążenie renty przez pożyczki wraz z procentami i odsetkami wyniosło 384823 zł. 88 gr. Ponieważ pomimo nalegań ze strony P. K. O. Marjan Linde należności swojej nie uregulował, przeto renta została 8 stycznia 1926 r. spieniężona i do P. K. O. z tego tytułu wpłynęło 315628 zł. 5 gr. Strata więc P. K. O. wynosi 19195 zł. 77 gr. Hubert Linde zbadany, jako oskarżony o działanie na szkodę reprezentowanej przez siebie instytucji przez udzielenie pożyczki pod zastaw renty rumuńskiej, przytem w sumie przewyższającej jej faktyczną wartość, nie przyznając się do winy, wyjaśnił, że pożyczkę tę załatwiał nie on, lecz Hertz, na którym również leżał obowiązek baczenia, aby udzielona pożyczka nie przewyższała wartości zastawionego papieru.

Jak widać z art. 3 p. f. g., 4 i 9 p. i. Statutu (Dz. Ust. Nr. 55—1924 r.) Poczta Kasa Oszczędności udziela pożyczek na cele publiczne oraz gospodarcze, przychem szczególnie uwzględnia się gwarancje w formie papierów wartościowych, państwowych, komunalnych i t. p. Uchwalenie zaś kredytów Statut przekazuje Radzie Zawiadowczej P. K. O. Wprawdzie Rada Zawiadowcza uchwałami swemi z dnia 6 i 12 listopada 1924 r. oraz 15 i 29 stycznia 1925 r. pozostawiła do dyspozycji Prezydium P. K. O. za każdym razem sumę miliona złotych na udzielanie pożyczek, ale zastrzegła, że pożyczki, wydawane będą w wysokości 75% kursu giełdowego papierów procentowych państwowych, a 40% kursu giełdowego papierów dywidendowych. To samo zastrzeżenie powtórzono w uchwale z dnia 12 listopada 1924 r. i tylko w uchwale z dnia 20 stycznia powiedziano, bez dodania bliższego określenia, iż suma miliona złotych przeznaczona jest na udzielenie pożyczek pod zastaw papierów procentowych. Świadek Jerzy Zdziechowski, który jako członek Rady brał udział w posiedzeniach z dnia 6 i 12 listopada, zeznał, że z ducha dyskusji jaka w tej sprawie była przeprowadzona, wynikało, że uchwały zgodnie ze statutem, dotyczyć mogły tylko papierów procentowych emitowanych przez Państwo Polskie, jak również papierów procentowych dywidendowych przedsiębiorstw krajowych.

#### IV.

W kwietniu 1925 r. Marjan Linde, wyjeżdżając na pewien czas za granicę upoważnił brata swego Huberta do wyszukania i nabycia dla niego majątku ziemskiego, zamierzając—jak zeznał w śledztwie—utworzyć w nim sierociniec. Jakoż w czasie świąt Wielkanocy do właściciela majątku Petyrkosy, w pow. Grójeckim, Edwarda Broel-Platera, zgłosił się Tadeusz Madejski i oświadczył mu, że ma kupca na majątek tak bogatego, że wysokość sumy kupna nie odgrywa roli i że jest nim brat b. ministra Lindego, znajdujący się w danym momencie w pobliskim majątku w Dańkach. Na prośbę Madejskiego, Plater pojechał z nim do Daniek, gdzie zastał Huberta Lindego i ppuk. Hilarskiego i w ciągu kwadransu ukończył petraktacje z Madejskim, sprzedając Petyrkosy po 9600 zł. za włókę za ogólną sumę 536000 zł. Petyrkosy zostały oddane we władanie Madejskiemu 1 maja, a 16 lipca sporządzono akt rejentalny sprzedaży przed rejentem Hulanicim

w Warszawie, Madejski wypłacił Platerowi 1 maja 70000 zł., następnie drobnemi sumami — 15000 zł, przy zawarciu aktu — 184000 zł., 100000 zł. miało być zapłacone 2 stycznia 1926 r., a 77000 zł. 1 maja; pozostałą sumę koło 100000 zł. przejął nabywca, jako wierzytelność Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego.

Nie mając pieniędzy na wpłacenie sumy, należnej przy spisaniu aktu rejentalnego, Marjan Linde rozpoczął starania o pożyczkę zagraniczną i w tym celu zwrócił się do Wilhelma Bau, z prośbą o ułatwienie mu zaciągnięcia pożyczki w sumie 14.000 funtów. Bau po kilku dniach przy spotkaniu ze Stanisławem Kehem zapytał go, czy nie mógłby wystarać się o 14.000 funtów dla Marjana Lindego, który wedle jego słów mógłby uzyskać gwarancje P. K. O. Keh zwrócił się do Dyrekcji Banku Depozytowego, która zażądała okazania im listu gwarancyjnego. Bau dał list Kehowi, a ten złożył go w banku, poczem Lindemu była udzielona pożyczka przez firmę bankową Johnson Matthey finansującą Bank Depozytowy. Gwarancja udzielona przez P. K. O. była napisana na blankiecie z nagłówkiem „Prezesa Pocztovej Kasy Oszczędności z datą 14 lipca 1925 r. 127 — Pr.“ adresowana do firmy Johnson Matthey i Co w Londynie zawiera następującą treść: „Niniejszym oświadczamy, że za punktualny wpływ powyższych akceptów przyjmujemy wobec panów solidarną z dr. Marjanem Linde odpowiedzialność i zobowiązujemy się na wypadek przedłużenia nam protestu tych akceptów wykupić je u panów w ciągu trzech dni od daty przedłożenia nam tych protestów w pierwszorzędnym czeku na Londyn, według wyboru W.Panów, zwalniając W.Panów równocześnie od notarialnego wezwania nas i stawiania nas w zwłoce, jako też sądowego pozwania wspomianego dr. Linda“. Papier ten podpisany jest przez H. Lindego i zaopatrzony w tuszowy odcisk pieczęci urzędowej z napisem: „Pocztowa Kasa Oszczędności w Warszawie“. Bank Depozytowy wypłacił pieniądze Marjanowi Lindemu, poinformowawszy się uprzednio u referenta departamentu obrotu pieniężnego Ministerstwa Skarbu, Lewickiego, czy będzie można wysłać na podstawie listu gwarancyjnego P. K. O. weksel do Londynu, nie uchybiając przepisom dewizowym. Lewicki oświadczył, że gwarancja P. K. O. upewnia, że pieniądze są przeznaczone na cele gospodarcze i przeszkód do wysłania weksli niema, polecił jednak, by bank zawiadomił Ministerstwo Skarbu o wysłaniu weksli, co też bank uczynił. Wskutek zawiadomienia Ministerstwa Skarbu generalny inspektor Ministerstwa Skarbu, a zarazem przewodniczący Stałej Komisji Rewizyjnej P. K. O. Lipiński uważając wydanie gwarancji za nieprawidłowe, postanowił wyświetlić sprawę. W P. K. O. okazało się, że zastępujący nieobecnego prezesa, vice-prezes Żelechowski nic nie wie o udzieleniu przez P. K. O. wspomnianej gwarancji, że w papierach oraz w księgach P. K. O. niema śladów tej operacji. Żelechowski zwrócił się do Marjana Lindego pytając, czy otrzymał on gwarancję od P. K. O. na 14.000 funtów sterlingów. Marjan Linde zaprzeczył temu początkowo, później jednak przyznał ten fakt, a prezes Linde oświadczył, że uczynił to we własnem imieniu. Kiedy Minister Skarbu Grabski zażądał od Huberta Lindego wyjaśnień w sprawie udzielenia gwarancji, ten listem z dnia 17 października 1925 roku odpowiedział, że uważa, iż przysługuje mu, pod tym względem, prawo w myśl art. 8 p. b. Statutu P. K. O., że spłata długu przez dłużnika była dla niego niewątpliwą i że istotnie dłużnik uścił się ze zobowiązania wobec czego gwarancja upadła i P. K. O. żadnej straty nie poniosła. Jednakże dalsze śledztwo ustaliło, iż właściciel domu bankowego w Warszawie, Józef Goldfeder, wystąpił 7 października 1925 r. do P. K. O. z prośbą o udzielenie mu pożyczki w sumie 250.000 zł. pod zastaw akcji Towarzystwa Budowy i eksploatacji domów i hoteli p. f. „Ritz“. Naczelnik Wydziału Papierów Wartościowych, Hertz, 8 października udzielił opinii, że pożyczka pod zastaw akcji może być udzieloną, ponieważ główny majątek firmy stanowi nieruchomość; uprzednio jednak należy ustalić wartość nieruchomości i otrzymać kaucyjny zapis hipoteczny, przytem pożyczka może być udzielona w wysokości do  $\frac{3}{4}$  szacunku, po odliczeniu 133000 zł. długu ciężącegogo

na nieruchomości. Tegoż dnia Prezes Linde napisał na podaniu Goldfedera decyzję przyznającą mu pożyczkę w sumie 250.000 zł. 9 jednak października polecił wypłacić już 300.000 zł. „na prośbę klienta“, o ile żądany dowód, ilość akcji, będzie dostarczony dodatkowo oraz zobowiązanie nie zaciągania długów, przyczem prezes Linde zakreślił proponowane przez wniosek Hertza, złożenie na piśmie otrzymania kaucyjnego zapisu hipotecznego, robiąc adnotację „Towarzystwo Akcyjne“. Na podaniu Goldfedera znajduje się notatka Hertza o tem, że 8 października o godz. 12.20 otrzymał telefonicznie polecenie Lindego, aby wypłata pożyczki nastąpiła bez gwarancji hipotecznej, ze względu na to, że „będziemy mieli 100% akcji; i możemy każdej chwili sami przeprowadzić zahipotekowanie. Hertz objaśnił, że notatki i wnioski na podaniu Goldfedera robił nie zgadzając się z poglądami Lindego, który twierdził, że pożyczki należy udzielić bez zabezpieczeń, gdyż wobec złożenia 100% akcji, w razie niewykupienia lombardu, dom należący do Towarzystwa, a przedstawiający dużą wartość, przejdzie na własność P. K. O. 8 października Hertz zanotował na podaniu i żądał ustnie od Goldfedera, aby przedstawił tylko tymczasowo świadectwa na akcje, zaświadczenia rejentalnego, że oryginalne akcje nie są wydane, że złożone akcje stanowią cały kapitał towarzystwa i że nieruchomość nie jest i nie będzie obciążona innym długiem hipotecznym ponad obciążające ją 196845 rubli, Goldfeder zgodził się na te warunki i obiecał dostarczyć odnośnie dowody na 10 października. Jednak już 9 października Linde wydał nakaz asygnowania Goldfederowi 300000 zł. Hertz zeznał, że słów „o ile“ w dekretacji Lindego z dnia 9 października początkowo nie było, że pojawiły się dopiero potem, gdy on, Hertz, przeczytał pierwotną dekretację, nie zacierając wspomnianych słów, a więc mającą przez to sens inny. Goldfeder otrzymał 300000 zł. 9 października i suma ta natychmiast była wpłacona przez Bau do Banku Cukrownictwa w Warszawie, a czek banku na 10000 funtów Bau wniósł do Banku Depozytowego otrzymując stamtąd weksle Marjana Lindego oraz list gwarancyjny P. K. O. Goldfeder zbadany, jako świadek, zeznał, że na początku października Bau prosił go o wyszukanie pożyczki w sumie 40000 dolarów dla Marjana Lindego. Świadek rozpoczął poszukiwania i uzyskał od Stanisława Silbermana, prezesa Banku Handlowo-Przemysłowego w Łodzi pożyczkę w formie 100% akcji Tow. budowy domów i hoteli p. f. „Ritz“ w Białymstoku z pozwoleniem zastawienia ich na przeciąg miesiąca. Goldfeder, nie mówiąc Lindemu dla kogo zaciąga pożyczkę, poprosił go o udzielenie 250, a następnie 300000 złotych pod zastaw wspomnianych papierów, pożyczkę uzyskał, a otrzymane pieniądze oddał natychmiast w gmachu P. K. O. Bauowi, który udał się z nim do Banku Cukrownictwa. Zeznanie Goldfedera potwierdził Silberman, dodając, że gdy naszedł termin płatności i pożyczka nie została spłacona, on na żądanie P. K. O. dał zabezpieczenie hipoteczne na nieruchomości Tow. „Ritz“ w sumie 360000 złotych. Później Marjan Linde wszedł w układy z P. K. O. i zdecydowano, że Silberman sceduje na rzecz P. K. O. 70000 dolarów, zapisane przez Marjana Lindego na hipotece sanatorium w Zakopanem dla Silbermana w celu zabezpieczenia jego pretensji z tytułu pożyczki akcji P. K. O. zaś skreśli zabezpieczenie hipoteczne na nieruchomości Tow. Ritz i odda wszystkie akcje Silbermanowi.

19 października Linde w odpowiedzi na pismo Ministra Grabskiego, zawiadomił go, że 300000 zł. pod zastaw akcji wypłacił z sumy ryczałtowej 4000000 zł. przyznanej mu uchwałami Rady Zarządzającej w listopadzie i styczniu na lombard papierów wartościowych i że zbieg terminów „tego lombardu“ i gwarancji na 10000 funtów jest przypadkowy, a nadawanie mu celowego znaczenia można przypisać tylko daleko idącemu wnioskowi Komisji Rewizyjnej. Jednak Minister Grabski doszedł do wniosku, że pożyczka dana Goldfederowi była udzielona na pokrycie gwarancji 17 lipca i żądał od Huberta Lindego podania się do dymisji, co ten uczynił.

Obecny Prezes P. K. O. Szmidt zeznał, że 5 grudnia 1925 r. zjawił się u niego Marjan Linde, który stwierdził, że oprócz gwarancji, wydanej firmie Matthey istnieje druga gwarancja na sumę 20000 dolarów dana

przez Huberta Lindego wiedeńskiej firmie bankowej Juljusz Feingold. Marjan Linde prosząc, aby tej sprawy nie rezgłaszać, oświadczył, że pożyczki zapłacić nie może i weksle jego będzie musiała, wobec udzielonej gwarancji, wykupić P. K. O.

Dnia 4 grudnia wpłynęło do P. K. O. pismo pełnomocnika firmy Feingold, z odpisami protestu weksli i odpisem gwarancji, wydanej przez prezesa Lindego w dniu 1 września. Gwarancja ta tej samej identycznie treści i formy, co powyżej opisana gwarancja dla firmy Matthey, opiewa na 20000 dolarów i oznaczona jest Nr. 117 Pr. Nie była ona również zapisana w jakichkolwiek księgach P. K. O.

W ostatecznym rezultacie P. K. O. zapłaciła dług firmie Feingold i jedyną gwarancją zaspokojenia należności Marjana Lindego powstałych z tytułu, udzielenia gwarancji za jego z obowiązania, przez P. K. O. jest suma 70000<sup>4</sup> dolarów zahipotekowana na sanatorjum im. Dłuskich w Zakopanem.

Hubert Linde, zbadany pod zarzutem świadomego działania na szkodę raprezentowanej przez siebie instytucji oświadczył, że statut P. K. O. nie ograniczał go w sprawie wydawania gwarancji, że nie wtajemniczał nikogo w tę sprawę, gdyż obawiał się innych kandydatów do tego rodzaju gwarancji, których uważał za nieodpowiedzialnych materjalnie, a którym nie chciałby odmawiać; zbadany zaś przed postawieniem w stan oskarżenia stwierdził, iż gwarancje wydał jako człowiek prywatny i dlatego zapisał je do swojej osobistej korespondencji, a pieczęcią P. K. O. zaopatrzył pisma gwarancyjne automatycznie, bez zastanowienia się.

## V.

Wiosną 1925 r. prezes Linde powiedział Naczelnikowi Wydziału Papierów Wartościowych Hertzowi, że przed P. K. O. leży zadanie wykonania pierwszorzędnej roboty dla państwa, gdyż Polska przejąwszy koleje b. monarchji austriackiej będzie musiała zapłacić właścicielowi obligacji kolejowych odpowiednie sumy pożyczką konwersyjną, o ile te obligacje będą przedstawione przez obywateli polskich, gdyby zaś były przedstawione przez obywateli obcych, to wypadnie zapłacić za nie walutą obcą, albo złotem. W interesach więc państwa leży nabywanie tych papierów. Linde powoływał się przytem na rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 24 grudnia 1924 r. (Dz. Ust. Nr. 115) w myśl którego obligacje kolejowe, zabezpieczone na kolejach państwowych b. dzielnicy austriackiej będą wymieniane na „emitować się mającą specjalną konwersyjną pożyczkę kolejową“, po kursie 15 zł za 100 koron nominalnych, z wyjątkiem obligacji kolei księcia Albrechta z roku 1877, które będą wymieniane w stosunku 30 zł. za 10 koron. Szczególne warunki emisji konwersyjnej pożyczki kolejowej ma ogłosić Minister Skarbu. W kilka dni po tej rozmowie, 7 maja Linde wręczył Hertzowi pierwszą partję papierów obligacyjnych, przyniesioną przez Wilhelma Bau i polecił dokonać zakupu ich, po kursie zbliżonym do kursu pięć-procentowej pożyczki konwersyjnej, a mianowicie po 48 groszy za 1 złoty waloryzacyjny. Kurs ten był przestrzegany w następnych tranzakcjach z Bauem 20, 29 i 30 maja i obligacje kupowano po 46 i 43 gr. za złoty; dopiero po przeprowadzeniu tranzakcji tegoż rodzaju z Józefem Skowronkiem po kursie 28 gr. za złoty, tranzacje z Bau załatwiano po kursie niższym, a mianowicie z dn. 2 lipca nabyto od niego obligacje w stosunku 36 groszy za złoty. Ta ostatnia tranzakcja początkowo była zawarta po 28 groszy za złoty, ale Bau zwrócił się do Lindego ze skargą na zbyt niski kurs, żądając w piśmiennym podaniu wypłaty mu po 36 gr. za złoty. Na podaniu tym Linde położył decyzję „zakupić—zgoda“, poczem Bauowi zapłacono dodatkową sumę. W okresie między 7 maja, a 17 października zawarto cały szereg tranzakcji tego rodzaju, zakupując obligacje kolei Karola Ludwika, kolei Księcia Albrechta, 4<sup>1</sup>/<sub>2</sub><sup>0</sup>/<sub>10</sub> pożyczki królestwa Galicji i Lodomerji oraz 4<sup>0</sup>/<sub>10</sub> takież pożyczki. Tranzakcje te zawierano po

kursie od 27<sup>1</sup>/<sub>2</sub> do 48 groszy za złoty. Największą ilość papierów zakupiono od Wilhelma Bau, któremu wypłacono sumę 476899 zł., Pomerskiego — 210467 zł. i Madejskiego (a właściwie Marjana Linde) — 154581 zł. Osoby te otrzymywały również najwyższe ceny, gdyż płacono im w stosunku 32 — 48 groszy za 1 złoty waloryzacyjny, podczas gdy innych kilka osób, stanowiących nieliczne zresztą, koło sprzedawców, musiało zadawać sobie kursiem niższym w granicach od 27,5 do 31 groszy za 1 złoty waloryzacyjny. Niektóre transakcje odbyły się w warunkach dość niezwykłych. Świadek Walenty Mendyk zeznał, że dwukrotnie odnosił z mieszkania Wilhelma Bau do mieszkania Huberta Lindego, znajdującego się w gmachu P. K. O. ciężką walizę, nieznaną mu zawartości, ale tę samą, którą trzy razy odnosił z mieszkania Bau wprost do P. K. O. gdzie walizę otwierano przy nim, pozwalając mu w ten sposób zauważyć, iż znajdują się w niej jakieś akcje. Gońcy P. K. O. Kulisz i Winiarski zeznali, że z polecenia zastępcy Naczelnika Wydziału Papierów Wartościowych, Czaplickiego, udawali się kilkakrotnie do mieszkania prezesa Lindego, gdzie Marjan Linde wręczył im duże paczki papierów, które odnosili wprost do skarbcza P. K. O. W toku śledztwa wyszło na jaw, że Tadeusz Madejski, od którego P. K. O. nabyła jakoby 22 i 31 sierpnia oraz 1 września różne obligacje wcale tej transakcji z P. K. O. nie przeprowadzał. Madejski zeznał, że już po dymisji Huberta Lindego oświadczył mu, iż sprzedał w jego imieniu galicyjskie papiery i prosił go o podpisanie w P. K. O. dokumentów, stwierdzających powyższą sprzedaż. Madejski prosił tej nie spełnił. Zaznaczyć należy, że na kartach zakupu wspomnianych obligacji, od rzekomego Madejskiego niema istotnie podpisu sprzedawcy. Świadek Czaplicki zeznał, że 22 sierpnia 1925 r. Linde polecił mu nabyć od „ziemianina Madejskiego“ obligacje koronowe, po kursie 36 groszy za złoty. Kiedy Czaplicki zwrócił, że kurs ten jest za wysoki, gdyż robiono już transakcje po 28 groszy, Linde odpowiedział, że nie można „krzywdzić biednego obywatela“, ponieważ papiery te mają być w niedługim czasie skonwertowane na 5% pożyczkę konwersyjną, której kurs jest około 40 groszy za złoty. Po upływie godziny, Linde wydał Czaplickiemu nakaz nabycia obligacji po 32 grosze i dostarczenia mu pieniędzy, gdyż Madejski poszedł, a gotówkę dla niego weźmie sam Linde. Na żądanie pokwitowania, Linde odpowiedział, że pokwitowanie jest nie potrzebne, gdyż P. K. O. posiada „towa“, a zresztą Madejski pokwituje później. W kilka dni później w tych samych okolicznościach została nabyta nowa partja obligacji od rzekomego Madejskiego również po kursie 32 gr. W obydwóch wypadkach papiery goniec przynosił z mieszkania prezesa Lindego.

Wobec tych wszystkich okoliczności Sędzia śledczy przeprowadził ekspertyzę dla wyjaśnienia jaką była rzeczywiście wartość obligacji w momencie nabywania ich przez P. K. O. i czy transakcje te były korzystne dla interesów państwa oraz P. K. O. Biegły ustalił, że obligacje przeliczono na złote zgodnie z rozporządzeniem z dnia 27 grudnia 1924 r. i następnie nabywano je po kursie nieco niższym, aniżeli kurs 5-cio procentowej pożyczki konwersyjnej, który zupełnie bezzasadnie uważano za wytyczną przy obliczaniu wartości obligacji. Obligacje nie były notowane na giełdzie warszawskiej, lecz tylko na wiedeńskiej. Za postawę swoich wyliczeń biegły wziął kurs obligacji na giełdzie wiedeńskiej w dniach zawierania transakcji i zawierając wartość obligacji w szylingach na walutę polską ustalił, że P. K. O. zapłaciła Bauowi za 4% obligacje Kolei Karola Ludwika 354451 zł. zamiast 162451 zł., za które można je było nabyć na giełdzie wiedeńskiej. Skowronkowi za też obligacje — 106831 zł. zamiast 70637 zł.:

Rappaportowi — 68550 zł. zamiast 42226 zł.;

Hausnerowi — 11448 zł. zamiast 7010 zł.;

Kulczyckiemu — 20790 zł. zamiast 12865 zł.;

Ziemskiemu Bankowi Hipotecznemu — 34800 zł. zamiast 22278 zł.;

Küchnerowi — 150300 zł. zamiast 66581 zł.;

Bankowi Kwilecki i Potocki — 8400 zł. zamiast 5349 zł.;



Madejskiemu — 144144 zł. zamiast 45975 zł.;  
Pomorskiemu — 190789 zł. zamiast 58097 zł.;  
Salickiemu — 36828 zł. zamiast 10385 zł.;  
Polono Romano — 36483 zł. zamiast 24427 zł.;

W ogólnem zestawieniu okazało się, że P. K. O. wypłaciła sprzedawcom obligacji kolei Karola Ludwika 1163715 zł. 60 gr., ponieważ zaś na giełdzie wiedeńskiej papiery powyższe można było nabyć za 528030 zł. 55 gr. przeto P. K. O. straciła na powyższych tranzakcjach 635685 zł. 5 groszy.

Ekspertyza przeprowadzona na tych samych zasadach co do obligacji księcia Albrechta ustaliła, co za obligacje ta P. K. O. zapłaciła:

Skowronkowi — 6720 zł. zamiast 4449 zł.;  
Kulczyckiemu — 540 zł. zamiast 333 zł.;  
Ziemskiemu Bankowi Hipotecznemu 6829 zł. zamiast 4360 zł.;  
Madejskiemu — 10137 zł. zamiast 4811 zł.;  
Salickiemu — 660 zł. zamiast 198 zł.;  
Pomorskiemu — 19675 zł. zamiast 5903 zł.;  
Polono Romano — 7644 zł. zamiast 4589 zł.

W ogólnym obliczeniu za obligacje kolejowe księcia Albrechta P. K. O. nadpłaciła ogólną sumę 27563 zł.

Co do tranzakcji na 4<sup>0</sup>/<sub>0</sub> obligacje kolejowe Banku Krajowego Galicji i Lodomerji ekspertyza ustaliła, że P. K. O. zapłaciła za nie Salickiemu 16464 zł. Za 4<sup>1</sup>/<sub>2</sub> pożyczkę królestwa Galicji i Lodomerji P. K. O. zapłaciła Bauowi i innym osobom 157064 zł., a na takąż 4<sup>0</sup>/<sub>0</sub> pożyczką 41552 zł. Ponieważ te trzy ostatnie rodzaje obligacji nie są notowane na giełdach, biegły nie mógł ustalić strat, jakie P. K. O. poniosła nabywając je.

Hubert Linde zbadany, jako oskarżony o działanie na szkodę reprezentowanej przez siebie instytucji przez zakup papierów po cenie znacznie przewyższającej ich wartość, wyjaśnił że nabywał je po porozumieniu się z Ministrem Skarbu na tej zasadzie, że do P. K. O. należy skup papierów państwowych. Kurs zakupu obligacji ustalony został przez niego poniżej kursu giełdowego pięcioprocentowej pożyczki konwersyjnej na tej zasadzie, że te papiery stanowią „surogat również 5<sup>0</sup>/<sub>0</sub> pożyczki konwersyjnej“ i że po porozumieniu z dyrektorami Steinem i Hertzem ustalił cenę skupu na 1/3 sumy konwersyjnej. Były Minister Grabski zeznał, że Linde istotnie zwracał się do niego z oświadczeniem, że ma możność nabywania obligacji kolei Karola Ludwika, na co świadek, który jako Minister Skarbu doszedł do przekonania, że obligacji tych nabywać nie należy, radził mu ortrożność i wskazywał na konieczność porozumienia się w tej kwestji z Departamentem Kredytowym Ministerstwa Skarbu, który tę sprawę miał w swoich rękach. Świadek nie pamięta, aby rozmawiał z Lindem o obligacjach pożyczek królestwa Galicji i Lodomerji, w zasadzie zaś uważał nabywanie tych pożyczek za zbędne. Świadek Jerzy Michalski zeznał, że budżet Polski i preliminarz jego na rok 1926 przewidują sumy na oprocentowanie lub amortyzację pożyczek królestwa Galicji i Lodomerji, ale że zakup tych ostatnich obligacji winien być kierowany przez Ministerstwo Skarbu i odbywać się w czasie i w sposób przez nie wskazany.

Biegli Wacław Eajans, dyrektor Powszechnego Banku Związkowego, były wice minister Skarbu i Aleksander Wojtkiewicz, kierownik departamentu Prezydjalnego Ministerstwa Skarbu, zeznali, że Ministerstwo Skarbu nie interesowało się wyżej wyliczonymi papierami, że wartość tych papierów może być oceniona jedynie na podstawie zainteresowania się nimi rynku pieniężnego i była ujawniana tylko na giełdzie wiedeńskiej, której kursy należy uważać za główną wskazówkę dla ich oceny.

Na zasadzie powyższych danych Prokurator przy Sądzie Okręgowym w Warszawie oskarża mieszkańców m. Warszawy HUBERTA LINDEGO, lat 58, WILHELMA BAU, lat 51, i BOGUSŁAWA HRYNIEWICZA, lat 45, o to, że;

1. WILHELM BAU w czasie od listopada 1923 r. do końca marca 1924 r.

a) mając sobie powierzone przez Prezesa Pocztowej Kasy Oszczędności, Huberta Lindego nabycie jako osoby podstawionej dla P. K. O. nieruchomości w m. Łodzi przy ul. Narutowicza Nr. 45 użył tego upoważnienia świadomie na szkodę powierzonego mu interesu majątkowego, nabywając 28 lutego 1924 r. i odprzedając 4 marca 1924 r. Pocztowej Kasie Oszczędności za aktami rejentalnymi wyżej wymienioną nieruchomość za sumę 68000 dolarów, podczas gdy najwyższa sprzedażna jej cena nie mogła przekraczać 24000 dolarów;

b) otrzymawszy w okresie czasu od 23 listopada 1923 r. do 18 marca 1924 r. na skutek polecenia prezesa P. K. O. Lindego na kupno dla P. K. O. domu, sumę 520 miliardów mk. z których za 462 miljardy nabył 76000 dolarów, nie zwrócił P. K. O. i zatrzymał dla siebie w celu przywłaszczenia różnicę między nabytą sumą 76000 dolarów, a sumą 68000 dol. zapłaconą za dom przy ul. Narutowicza Nr. 45 w Łodzi, oraz sumą 55 miliardów 979 milionów stanowiącą różnicę między otrzymaną ilością marek, a kwotą zapłaconą za nabyte dolary.

HUBERT LINDE, zajmując stanowisko prezesa Pocztowej Kasy Oszczędności i będąc upoważnionym decyzją Komitetu Dyrekcyjnego z dnia 22 listopada 1923 r. do nabycia nieruchomości Łodzi, przy ulicy Narutowicza Nr. 45 za sumę, stanowiącą wraz z kosztami równowartość 70000 dolarów, użył swego stanowiska służbowego świadomie na szkodę interesu majątkowego P. K. O. samowolnie podwyższając przeznaczoną na ten cel sumę do 77000 dolarów, polecając do wypłaty bez potrzeby na znaczny przeciąg czasu, przed dokonaniem transakcji, częściowo zaś po jej dokonaniu t. j. od 21 listopada do 17 marca 1924 r. sumę 572 miljardy Mk. stanowiącą równowartość 90000 dol. i nabywając za pośrednictwem Wilhelma Bau za 68000 dolarów wyżej wymienioną nieruchomość, której rzeczywiście wartość nie przekraczała 24000 dolarów;

HRYNIEWICZ będąc szefem kontroli technicznej budowy gmachów P. K. O. dnia 23 września 1923 r. przy szacowaniu z polecenia Prezydium P. K. O. nieruchomości w Łodzi, przy ul. Narutowicza Nr. 45 użył swego stanowiska służbowego świadomie na szkodę interesów P. K. O. oceniając fałszywie, wymienioną nieruchomość na sumę 77908 dolarów, podczas, gdy wartość jej rzeczywiście nie przekraczała 24000 dolarów;

II. WILHELM BAU 27 marca 1924 r. nie posiadając ani budulca drzewnego, ani cegły, nie starając się następnie o ich nabycie i nie zamierzając ich dostarczyć, złożył P. K. O. ofertę sprzedaży, jakoby posiadanych przez 1000 metrów sześciennych drzewa i miliona sztuk cegieł, zgromadzonych na rzekomo zamierzoną, a zaniechaną budowę, i w ten oszukańczy sposób skłonił P. K. O. Huberta Lindego do nabycia wspomnianych materiałów budowlanych na sumę 90000 zł., którą w gotówce otrzymał.

LINDE zajmując stanowisko prezesa P. K. O. zawarł z Wilhelmem Bau umowę kupna drzewa i cegły, załączną sumę 90.000 zł. nie sprawdzwszy uprzednio należyście, nie tylko wartości nabywanych materiałów budowlanych, ale nawet ich istnienia i możliwości dostawy przez sprzedawcę i nie zabezpieczywszy wykonania umowy i przez tę umyślną bezczynność naraził interesy P. K. O. na poważną szkodę, w wysokości 90.000 zł. zapłaconych za nieistniejący towar;

HRYNIEWICZ, będąc szefem kontroli technicznej budowy gmachów P. K. O. dnia 20 maja 1924 r. w piśmie, skierowanym do Dyrekcji P. K. O. świadomie fałszywie zawiadomił ją, iż obejrzał w Łodzi dwa wagony cegły, wagon drzewa, dostarczone przez Wilhelma Bau w dniu 14 maja 1925 r. uznając oglądane materia-

- ły za nie nadające się do użytku, aczkolwiek w rzeczy samej, czynności tej nie dokonał i dokonać nie mógł, albowiem Bau ani cegły, ani drzewa do Łodzi w tym czasie nie dostarczył.
- III. LINDE zajmując stanowisko prezesa P. K. O. w marcu 1925 r. używając swego stanowiska służbowego świadomie na szkodę interesów P. K. O. udzielił, wbrew Statutowi P. K. O. i uchwałąm Rady Zawiadowczej, bratu swemu Marjanowi Lindemu w sumie 75.000 zł. pod zastaw wówczas jeszcze nie złożonej do P. K. O., skonsolidowanej renty rumuńskiej, wartości nominalnej 25.000 funtów sz., faktycznej zaś około 8.000 funtów szt. oraz po złożeniu wspomnianej renty do P. K. O. udzielił mu w okresie do 16 czerwca 1925 r. dalszych pożyczek, na łączną sumę, wraz z procentami i kosztami 334.823 zł. 88 gr. przez co naraził P. K. O. na stratę 19.195 zł., gdyż wobec nie zapłacenia długu przez Marjana Lindego renta rumuńska sprzedana była przez P. K. O., zgodnie z jej giełdową wartością za sumę 315.628 zł. 5 gr.
- IV. LINDE zajmując stanowisko prezesa P. K. O. i świadomie działając na szkodę kierowanej przez siebie instytucji, udzielił w dniu 14 lipca 1925 r. imieniem P. K. O. gwarancji 10.000 funtów sterlingów, za spłatę długu, zaciągniętego przez Marjana Lindego, w banku londyńskim p. f. Johnson Matthey i Co. przez co P. K. O. poniosła znaczne straty, gdyż w terminie płatności Marjan Linde długu nie zapłacił w związku z czem prezes P. K. O. Hubert Linde, wbrew statutowi P. K. O. i uchwałąm Rady Zarządzającej udzielił na spłatę dowyższego długu w wysokości 300.000 zł. stanowiących równowartość gwarantowanego długu Józefowi Goldfederowi, działającemu na rzecz Marjana Linde, pod zastaw nie notowanych na giełdzie akcji Towarzystwa Budowy i eksploatacji domów i hoteli p. f. „Ritz“, która to pożyczka nie była następnie spłaconą;
- w dniu 1 września 1925 r. udzielił takiej samej gwarancji imieniem P. K. O. za spłatą długu w sumie 20.000 dolarów, zaciągniętego przez Marjana Lindego, w wiedeńskim banku p. f. Julius Feingold przez co wyrządził P. K. O. znaczne straty, gdyż Marjan Linde długu nie spłacił i P. K. O. zapłaciła firmie Feingold gwarantowaną przez siebie sumę 20.000 dolarów.
- V. LINDE zajmując stanowisko prezesa P. K. O. nabył w czasie od 7 maja do 17 października 1925 r. od różnych osób notowane na giełdzie wiedeńskiej obligacje kolei Karola Ludwika za sumę 1.163.715 zł. oraz obligacje kolei księcia Albrechta za sumę 52.180 zł., podczas gdy wartość pierwszych wynosiła według kursu giełdy wiedeńskiej w dniu transakcji 528.030 zł., a drugich 24.643 zł. wyrządzając w ten sposób P. K. O. stratę na ogólną sumę 663.948 zł. a także nabył nie notowane na giełdzie 4<sup>0</sup>/<sub>10</sub> obligacje kolejowe Banku Krajowego Galicji i Lodomerji za sumę 16.464 zł.; 4<sup>1</sup>/<sub>2</sub><sup>0</sup>/<sub>10</sub> obligacje pożyczki Królestwa Galicji i Lodomerji za sumę 157.064 zł. i także 4<sup>0</sup>/<sub>10</sub> obligacje za sumę 41.552 zł. wyrządzając P. K. O. znaczne, nie dające się bliżej określić straty.

Przestępstwa te przewidziane są co do Lindego w punkcie I, III, IV i V w art. 578 cz. II K. K. co do II — w art. 639 cz. II K. K., co do Wilhelma Bau — w p. I w art. 577 cz. II K. K. ad II/w art. 591 cz. II K. K. a co do Bogusła Hryniewicza w art. ad I/578 cz. II K. K. ad II/w art. 667 cz. I K. K. i na zasadzie art. 208 i 523 UPK. podlegają właściwości Sądu Okręgowego w Warszawie.

Sporządzono w dniu 5 marca 1926 roku.

Prokurator  
(—) Rudnicki

Rozprawy sądowe w powyższej sprawie, do której wezwano kilkudziesięciu świadków, między którymi był również b. premier i minister skarbu Władysław Grabski, oraz 6 biegłych, trwały do dnia 14 kwietnia włącznie.

Następnego dnia rozpoczęły się przemówienia stron, a więc mowa prokuratora Rudnickiego oraz radcy Wenera, jako przedstawiciela Prokuratorji Generalnej, występującej w sprawie w charakterze powoda cywilnego oraz adwokatów: Stanisława Szurleja, obrońcy Huberta Lindego, Stefana Perzyńskiego i Wacława Brokmana — obrońców Wilhelma Baua oraz Henryka Ettingera — obrońcy Bogusława Hryniewicza.

### *PRZEMÓWIEMIE PROKURATORA RUDNICKIEGO.*

Zanim przystąpimy, Panowie Sędziowie, do omawiania tych szeregów suchych cyfr, do przytaczania licznych dokumentów które leżały przed nami na stole i będą nam służyły w dalszym ciągu, jako materiał dowodowy, chciałbym abyście Panowie wywołali mocą swej wyobraźni czy pamięci pewną postać, postać znana zresztą wszystkim krajom, wszystkim epokom, wszystkim narodom, postać wodza, którego można nazwać nieszczęśliwym, wodza, który wszystko obliczył, wszystko przewidział, który zważył psychiczne wartości swoich i cudzych wojsk, zbadał właściwości terenu, znał wszystkie siły swoje i swego przeciwnika, a pomimo to naskutek jakiegoś błędu, jakiejś pomyłki w rozumowaniu, jakiegoś przypadku, czy ironji losu bitwę przegrał.

Ta postać jest o tyle konieczna w tym procesie, że musi służyć jako pewnego rodzaju sprawdzian wartości moralnych; oczywiście sprawdzian nie dla oskarżonego Hryniewicza, który jest pionkiem w tej całej sprawie, który pod ręką twardą i mocną może być nawet dobrym urzędnikiem, a pod ręką słabą i miękką staje się tem, czem się stał; tem mniej będzie ta postać sprawdzianem dla oskarżonego Baua, który jest tem przy każdym interesie pieniężnym, przy każdym przed-

siębiorstwie finansowym, czem są te małe niedostrzegalne dla gołego oka, a widzialne przez mikroskop grzybki pasorzytnicze, bytujące na każdym pieniądzu metalowym czy papierowym. Sprawdzian ten służyć ma jako miara dla oskarżonego Lindego, z jego pomocą będziecie mogli Panowie Sędziowie ocenić, kim jest Hubert Linde: wodzem, który bitwę przegrał pomimo wszystko, czy też niedbałym lub nawet występny sprawcą klęski. Rozstrzygnięcie tego pytania jest niesłychanie ważnym, gdyż jeżeli dojdziecie do przekonania, że to jest człowiek, który stanął przed Sądem ze świadomością może pomyłki lecz bez poczucia winy, jeśli uznacie, że to jest człowiek, który za to, co uczynił, bierze na siebie odpowiedzialność, jeżeli orzekniecie, że wszystko w każdym jego czynie jest jasne i nic się świątła dziennego nie boi, że absolutnie żadnych mętów, ani żadnych brudnych osadów w tych czynach niema, to wtedy oczywiście osądzicie go zupełnie inaczej, aniżeli wtedy, gdy dojdziecie do wniosku, że ten proces jest przyćmiony umyślnie i że oskarżony Linde nie mówi nam prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Chciałbym, abyście tę postać widzieli wciąż, żeby ona towarzyszyła Wam w całej naszej wspólnej pracy i żeby w pokoju narad była doradcą przy ferowaniu Waszego wyroku. O tem założeniu pamiętając, będę rozpatrywał całą działalność Lindego, poruszając każdy z czynów, o których mówi akt oskarżenia. Zaczynam w chronologicznym porządku od nabycia domu w Łodzi i będę przez cały czas szedł w porządku aktu oskarżenia, ujmując poszczególne transakcje oddzielnie dla tem jaśniejszego przedstawienia całej sprawy. Otóż, Panowie Sędziowie, wiemy, że w styczniu 1923 r. Komitet Dyrekcyjny działając na mocy starego Statutu, stanowiącego część ustawy z 19 maja 1920 r. o Pocztowej Kasie Oszczędności, uchwalił otwarcie oddziału P.K.O. w Łodzi. Władze P.K.O. wszczęły starania o nabycie odpowiedniej nieruchomości i wreszcie we wrześniu 1923 r. projekt zaczął się realizować i nieruchomość w Łodzi przy ul. Narutowicza Nr. 45 wyłoniła się jako zupełnie określony przedmiot kupna. I oto, Panowie Sędziowie, odrazu tutaj napotykamy jedną z tych

charakterystycznych cech, które są rozsiane po całej sprawie. Oskarżony Linde powiedział, że prowadził politykę decentralizacyjną i chciał otworzyć oddziały po wszystkich większych miastach Rzeczypospolitej — wyliczał nam te miasta — i nieruchomości nabywał w tym celu, żeby tam otwierać oddziały. Stanowisko, które może być słuszne lub nie. Kto wie, może miał rację oskarżony Linde, a może mieli rację przeciwnicy projektu, jak vice prezes Żelechowski, jak prezes Szmidt. Gdyby Linde istotnie tak myślał, jak mówi dziś i gdyby w tym kierunku szedł w dalszym ciągu, to możnaby się albo zgodzić z jego rozumowaniem, albo w najgorszym razie zarzucić mu błąd obiektywny. Jednak proszę zwrócić uwagę na to, że w tej jego obronie zawiera się już odrazu pewna doza nieprawdy. Oskarżony Linde mówił: uważałem kupno domu dla otwarcia oddziału za rzecz palącą. Z tem można się zgodzić. Ale czy działalność jego jest zgodna z jego słowami. Dom nabyto 4 marca 1923 r. czy prędko potem otwarto oddział P. K. O.? Nie! Marnuje się cały sezon budowlany, całe lato 1923 r. Dopiero kiedyś w sierpniu Hryniewicz jedzie, ażeby obejrzeć te mury, dopiero w jesieni przedstawia krótką opinię i krótki kosztorys tego, co będzie kosztowało wykończenie domu przy ul. Narutowicza 45. 30 października, a więc, po skończonym sezonie budowlanym przystąpiono do roboty. Czyli istotne otwarcie oddziału było w przekonaniu Lindego tak bardzo potrzebne i tak pilne dla kredytowych interesów P. K. O.? Gdzież jest konieczny w tym razie pośpiech? Niema ten szczegół znaczenia dla istoty sprawy, nie jest przedmiotem oskarżenia. Ale ja go poruszam, dlatego, żebyście Panowie Sędziowie zestawili to, co Linde mówi i to, co Linde robi i żebyście wyprowadzili wniosek, czy Linde mówi prawdę, czy też nie. I otóż ja twierdzę, że to co Linde mówi, iż kupował tak pośpiesznie nieruchomość dlatego, że otwarcie oddziału było palącą potrzebą, nie jest prawdą nawet dla niego, bo gdyby było prawdą, toby postępował w myśl tego, co mówi i przystąpiłby do robót w najbliższych tygodniach czy miesiącach. A przecie mija cały sezon, dom wykończono dopiero latem 1924 r.,

oddział wszczął czynności we wrześniu 1924 r., czyli w ostatnich chwilach prezesury Lindego i zwinięty był po kilku miesiącach. Powiada nam prezes Szmidt, że nie był to oddział, lecz zaledwie ekspozytura. Więc Linde przemilczał przed nami i to, że nawet sam osobiście jako prezes nie otworzył oddziału P. K. O. na który dom był kupowany, tylko ekspozyturę, niepotrzebną i dzisiaj nie egzystującą.

Ta drobna dygresja ma znaczenie dla koniecznej ciągle kontroli zgodności słów i czynów Lindego.

21 listopada 1923 r. zostały przez Krasickiego wygotowane owe wnioski o nabycie nieruchomości w Łodzi na posiedzenie Komitetu Dyrekcyjnego P. K. O. Komitet Dyrekcyjny — powiedziano w tym, zatwierdzonym zresztą, wniosku — upoważnia prezesa i ustanowionego przez niego pełnomocnika do przeprowadzenia pertraktacji i dokonania kupna na rzecz P. K. O. nieruchomości w Łodzi za 70000 dol. Przed tą decyzją Komitetu były jednak poczynione przez Prezesa Lindego pewne kroki w celu nabycia nieruchomości, była już asygnowana suma 50 miliardów marek. Oczywiście, gdybyśmy zaczęli ściśle formalizować, moglibyśmy wysnuć z tego zarzut, że Linde popełnił pewne nadużycia władzy, asygnując te pieniądze wtedy, kiedy jeszcze nie wiedział, czy Komitet Dyrekcyjny wniosek zatwierdzi. Ale, to jest rzecz obojętna, zadatek mógł być potrzebny, mógł być uważany za rzecz pilną, w czasach inflacji zwlekać nie należało. Nie można o to winić Lindego. Kiedy Komitet Dyrekcyjny uchwalił nabycie tego domu za 70000 dol., okazało się, że budynek jest obciążony długiem, który trzeba spłacić, długiem 28000 rb. I stawia się na komitet Dyrekcyjny nowy wniosek z 4 grudnia, ażeby wyasygnować jeszcze 7000 dolarów na spłatę długu. Panowie Sędziowie, przyznaję się, że nie rozumiem tego rachunku. Jeżeli nieruchomość ma być kupiona za 70000 dolarów, a okazuje się później, że jest na niej 7000 długu, według dowolnego zresztą przerachowania, to nie mogę zrozumieć, dlaczego trzeba te 7000 dol. dopłacić do ceny kupna zamiast je potrącić. Ta nowa dygresja, którą robię, nie jest również

bez znaczenia. Z niej wynika jak rozumuje i jak ujmuje sprawy pieniężne prezes wielkiej instytucji bankowej. Ale idźmy dalej. Komitet Dyrekcyjny uchwalił cenę kupna nie w markach, a w równowartości 70, a nawet 77000 dolarów. Ze strony obrony były pewne usiłowania przedstawienia tej okoliczności w ten sposób, że P. K. O. nie może brać odpowiedzialności za to, że nie nabyła dolarów na kupno domu, ponieważ nie mogła kupić dolarów, gdyż to było zabronione, bo tylko na cele gospodarcze można było kupować dolary, i nie wypadało P. K. O. jako instytucji państwowej zakazanych transakcji robić. Nie mogę się zgodzić z tem stanowiskiem, bo jakże pogodzić z niem decyzję, która opiewa wyraźnie o dolarach. Ta decyzja zapadła i podług niej właściciel domu miał otrzymać 70000 dol. czy to w gotówce, czy według kursu dnia. Warunki umowy P. K. O. określiła zgóry, z własnej inicjatywy; Komitet Dyrekcyjny wiedział, że trzeba będzie uzgodnić swą decyzję z obowiązującymi przepisami; niekonsekwencją byłoby bronić się w ten sposób przed zarzutem wypłacenia na kupno domu sum znacznie przekraczających kwotę określoną w uchwale z 23 listopada. Natomiast z uchwały tej wypływał konsekwentnie obowiązek baczenia, aby za dom nie zapłacono więcej marek, niż równowartość 70000 dolarów. Tego obowiązku Linde nie spełnił, przeciwnie, asygnował sumę, której równowartość przewyższała o kilkadziesiąt tysięcy dolarów cenę akceptowaną przez Komitet Dyrekcyjny. Jak wiemy Linde asygnował Bauowi na kupno domu 50 miliardów w dniu 21 listopada. W dniu tym suma ta stanowiła równowartość 17000 dolarów. Na drugi dzień po dodatkowej decyzji Komitetu wypłacono Bauowi sumę 230 miliardów marek. Proszę się zatrzymać nad tą cyfrą przez chwilę, ma ona wielkie znaczenie dla mych wywodów. Przerachowane w momencie wypłaty, t. j. 6 grudnia 230 miliardów marek stanowią równowartość 64000 dolarów. Dodajmy te dwie sumy: 17000 i 64000 i otrzymamy 81 tysięcy dolarów. Każdy rozsądny gospodarz, który pieniądze asygnuje, a więc i Linde, powinien był spostrzec i spostrzegał niewątpli-



wie, że już wyasygnował równowartość sumy, za jaką nieruchomość miała być kupiona, mianowicie 70000 dolarów, czy nawet 77000. Cena kupna z pewnym odsetkiem na kosztą rejentalne, nie mogła przekraczać 80000 dolarów. Tak więc 7 grudnia było wyasygnowane 100<sup>o</sup> całej sumy i nie wolno było asygnować 21 grudnia—200 miliardów, 10 stycznia 10 miliardów a 6 i 18 marca 30 miliardów. Linde, przyszedłszy przed Sąd, tłumaczył się, że nie mógł pilnować każdego drobiazgu, że dawano mu tyle decyzji do podpisu, iż nie miał możliwości obliczenia, czy cała suma, przeznaczona na kupno, już jest wypłacona, czy nie; że jeżeli asygnowano jeszcze 100 lub więcej miliardów niepotrzebnie, to on za to nie może odpowiadać, gdyż podpisywał gotowe wnioski i nie mógł zajmować się dodawaniem wypłaconych kwot. Ale proszę spojrzeć w dokumenty: w dokument z 21 grudnia, w dokument z 10 stycznia, które polecają asygnowanie Bauowi dalszych sum. Każdy z nich zawiera jeden szczegół zasadniczy i charakterystyczny: wyliczenie tego, co było asygnowane. W dokumencie z 21 grudnia jest powiedziane: „20 listopada wyasygnowano 50 miliardów marek oraz dnia 4 grudnia 230 miliardów marek“. W dokumencie z 10.I. obliczono asygnowane Bauowi 450 miliardów marek, wymieniając daty i cyfry poszczególnych wypłat. W każdym dokumencie Linde miał podaną sobie możliwość kontroli tego, co już wyasygnował. Suma 230 miliardów marek nie była sumą przypadkową — ona była świadomie asygnowaną, przez asygnowanie jej wyczerpano całą kwotę przeznaczoną na kupno nieruchomości i Linde asygnując te 230 miliardów mk. wiedział, nie mógł nie wiedzieć, że już cała cena kupna domu przeszła do rąk Baua. Powoływanie się Lindego na to, że nie jego obowiązkiem było obliczać czy równowartość 77000 dolarów jest wyczerpaną nie zasługuje na wiarę. Przedewszystkiem przeczy jej ta właśnie celowość w asygnowaniu takiej sumy, która całkowicie pokrywała cenę kupna, powtóre przeczy jej fakt, że Linde podpisywał nie przyniesione mu przez właściwego urzędnika wnioski, lecz tylko swoje własne decyzje wydane poprzednio. Świadek Bülow rzuciwszy

tylko okiem na wszystkie akty dotyczące się wypłat sum, przeznaczonych na kupno domu, a podpisanych przez Lindego wyjaśnił, że nie są to bynajmniej wnioski przygotowane z inicjatywy innych władz P. K. O. dla zatwierdzenia przez Lindego, gdyż takie wnioski miały osobną zewnętrzną formą, lecz że są to ujęte w piśmienną formę polecenia samego prezesa o treści przez niego zgóry zdecydowanej i urzędnikowi nieledwie poddyktowanej. Linde nie wyciągnął żadnego wniosku z tego, że wydał już całą sumę określoną przez Komitet Dyrekcyjny i wypłacał wciąż Bauowi dalsze sumy w miarę tego, jak marka się dewaluowała, a Bau twierdził, że na skutek pertraktacji asygnowane mu miljarady tracą swoją wartość i trzeba wciąż wyrównywać różnicę przez asygnowanie nowych sum. Tak więc Linde świadomie zupełnie wypłacił więcej niż wypłacić miał prawo, i nie może tłumaczyć się tym argumentem, że czegoś niedostrzegł, lub że mu podsunęto wniosek który podpisał nieświadomie. Na tem stanowisku nie można nie dostrzec tak elementarnej rzeczy, nie można niezainteresować się czy się nie przekroczyło swoich pełnomocnictw, czy się nie wyrządza szkody powierzonym sobie interesom. Biegli obliczyli, że równowartość wszystkich sum asygnowanych przez Lindego na kupno domu przekroczyła 100.000 dol. Można oczywiście twierdzić, że suma 200 milionów, zwróconych przez Bau 14 grudnia powinna być obliczona według kursu dolara w dniu powtórnej jej wypłaty t. j. dnia 19 grudnia i takie obliczenie zmniejszy o parę tysięcy dolarów sumę lekkomyślnie asygnowaną przez Lindego, nie zmieni jednak faktu, że Linde asygnował na kupno domu około 20.000 dol. ponad uchwały Komitetu i nie zmienił oceny tego faktu, nie odbierze mu charakteru świadomego działania na szkodę P. K. O.

Jakże zostały użyte te wyasygnowane miljarady marek. „Do przeprowadzenia transakcji kupna domu — powiada jeden z aktów P. K. O. — został użyty p. Bau, właściciel wielu majątków w Małopolsce. Linde chcąc w należytem świetle ukazać postać Baua, dopisuje własnoręcznie: „Obywatel z pod Rzeszowa“. Niewiem, czy

to pochodzenie bardzo podnosiło moralne kwalifikacje p. Baua, dość jednak, że „obywatel z pod Rzeszowa“ zaczął zabiegać około nabycia nieruchomości przeznaczonej na pomieszczenie oddziału P. K. O.

W ten miejscu musimy zająć się kwestją ściśle prawną i odpowiedzieć na pytanie, kim stał się Bau dla P. K. O. z chwilą, kiedy mu polecono kupno domu, jakim był jego stosunek prawny do tej instytucji.

Odpowiedź, według mego przekonania, musi wypaść w tym sensie, że Bau był pełnomocnikiem P. K. O. I to nie tylko dlatego, że uchwała Komitetu Dyrekcyjnego P. K. O. z dn. 22 listopada uchwaliła upoważnienie Lindego, „lub też ustanowionego przez niego pełnomocnika“ do nabycia domu przy ul. Narutowicza Nr. 45.

Moje twierdzenie oparte jest na przesłankach ściśle prawnych. Jestem wprawdzie zgóry przygotowany na to, że obrona podniesie zarzut, iż pełnomocnictwo może być wydane tylko w piśmiennej formie i że będzie powoływać się na autorytet Tagancewa, który w komentarzu do Kodeksu 1903 r. istotnie twierdzi, że plenipotencja może być wydana tylko w formie piśmiennej. Tagancew ma rację, ale tylko dopóty, dopóki jego myśl prawnicza i państwowa operuje na terytorjum b. imperjum rosyjskiego. Według t. X Zbioru Praw, ważną jest tylko plenipotencja wydana na piśmie; prawo rosyjskie cywilne innych plenipotencji nie zna. Ale jeżeli przekroczymy granice państwa rosyjskiego i wkroczymy na terytorjum Rzeczypospolitej, gdzie działa Kodeks Napoleona, to musimy się liczyć nie z tem, co mówi Tagancew ale z prawem cywilnem, obowiązującym u nas. Kodeks Napoleona przewiduje w art. 1984 i nast. formy udzielenia plenipotencji. Według tych artykułów pełnomocnictwo może być wydane — wyłączając oczywiście pełnomocnictwo dotyczące czynności hipotecznych — zarówno w formie ustnej, jak piśmiennej, może ono nawet być wywnioskowane z czynów mocodawcy i z czynów upoważnionego i dowodzić go można wszelkimi środkami, nie wykluczając wnioskania opartego na działalności obu stron.

W sprawie, nad którą się zastanawiamy, niezbitcie

ustalonym jest jeden fakt, a mianowicie, że Bau nabywał dom dla P. K. O., jako osoba podstawiona. Podstawienie na swoje miejsce innej osoby w celu zawarcia aktu prawnego jest jedną z form udzielenia pełnomocnictwa, Komentator francuski Planiol daje doskonałe określenie charakteru osoby podstawionej nazywając tę formę pełnomocnictwa specjalną nazwą *prête-nom* i wyjaśniając, że używa się jej często dla obejścia pewnych przepisów, lub, gdy kontrahent, jak w danym wypadku, z jakichkolwiek względów chce pozostać nieznanym dla drugiego kontrahenta. Koniecznym jest rozróżnianie osoby podstawionej od osoby oddającej usługi; osoba podstawiona mówi Planiol — jest pełnomocnikiem, najem usług nie jest pełnomocnictwem; pełnomocnictwo jest w zasadzie darmowe, najem usług — płatny; pełnomocnik powołany jest do zawarcia aktu prawnego, najem usług odbywa się dla załatwienia czynności gospodarczo-życiowych. Specjalną cechą osoby podstawionej jest to, że zawiera ona dwie czynności prawne: jedną na swój, rzekomo, rachunek, a drugą, następną, na rachunek swego mocodawcy. Wreszcie Planiol w dziele swem przytacza przykład identyczny z wypadkiem, o jakim mówimy t. j. kupno domu przez osobę podstawioną i raz jeszcze stwierdza, iż nabywca, dla którego dom jest przeznaczony jest mocodawcą, a osoba podstawiona — jego pełnomocnikiem. Taką osobą podstawioną był Bau, który kupował dom nie dla siebie, lecz dla P. K. O., wypełniając w ten sposób zlecenie swego mocodawcy. I gdyby, dajmy na to, Bau tegoż domu nie odprzedał P. K. O., to P. K. O. miałyby wygrany proces nie o zwrot pieniędzy, ale o uznanie aktu za nieważny i przepisanie prawa tytułu własności na siebie.

Pełnomocnik tedy Bau, otrzymawszy pieniądze, wyasygnowane mu przez P. K. O., zaczyna nimi obracać. Dla jasności Sądu, aczkolwiek to jest rzecz trochę komplikująca rozumowanie, trzeba pamiętać o jednej rzeczy, że prezes Linde odpowiada za wyasygnowanie innej sumy pieniędzy, a Bau musi się wyliczyć z innej, a to dlatego, że poza momentem wypłacenia pieniędzy

z P. K. O., który decyduje dla Lindego, jest czynnik inny: chwila zużytkowania tych pieniędzy przez Baua, moment, który jest decydującym dla tego ostatniego. Bau musi się wyliczyć z sum, które otrzymał, z tego, co z nimi zrobił. Otóż Bau otrzymawszy marki, po kilku dniach przeważnie kupuje za nie dolary. Niewątpliwie leżało w interesie P. K. O., aby te dolary były zakupywane i niewątpliwie, panowie Sędziowie, może powstać pytanie, za cóż Bau jest oskarżony; działał na korzyść P. K. O., nabywał dolary, ma więc jedynie zasługi względem P.K.O. Do pewnego stopnia tak. Póki Bau nabywał dolary, robił dla P. K. O. dobrze, dlatego, że bronił pieniędzy P. K. O. od dewaluacji. Bau do pewnego momentu występuje jako dobry gospodarz, dba o majątek P. K. O., jak dbać powinien każdy pełnomocnik. Wykonywa wszystkie te czynności, które rozważny handlowiec, a takim jest Bau, wykonywałby, gdyby chodziło o jego majątek. Zasługi Bau kończą się jednak w tym momencie, kiedy nabyte dolary przywłaszcza. Wiemy, że Bau otrzymał 517 miliardów marek i operował temi pieniędzmi w ten sposób, że kupował za znaczną część czeki dolarowe, kupił 76.000 dolarów, stanowiące równowartość, licząc kurs dolarów w dniu poszczególnych tranzakcji, 462 miliardów marek, pozostało w jego rękach po zwrocie półtora miljarda marek jeszcze 53 miljardy. Za te dwie pozycje Bau odpowiada.

Cóż on z temi pieniędzmi zrobił? Zakupił dom, który tej wartości, jaka była zapłacona, nie przedstawiał. Musimy, pozostawiając na chwilę sprawę wyliczenia się przez Baua z otrzymanej gotówki, zatrzymać się nad wartością domu. To jest moment, w którym działalność wszystkich oskarżonych łączy się w jedną całość, krzywdzącą interesy P. K. O. Linde pozwala nabyć tę nieruchomości lekkomyślnie za tak wysoką sumę; Bau stoi na jednym prawie poziomie z Lindem, gdyż jako pełnomocnik P.K.O. powinien był dbać o interesy swego mocodawcy, tak jak on sam, i nabycie domu świadomie za cenę dwukrotnie wyższą, niż jego rzeczywista wartość, jest działaniem na szkodę mocodawcy;

Hryniewicz dostarczył fałszywego szacunku, nadmiernie ocenił dom, wiedząc, że go szacuje zbyt wysoko, i w ten sposób umożliwił wyjednanie uchwały Komitetu Dyrekcyjnego, szkodliwej dla interesów P. K. O.

O wartości domu sądzić możemy na podstawie ekspertyzy; eksperci, z wyjątkiem biegłego Pianki, orzekli zgodnie, że dom przy ul. Narutowicza Nr. 45 wart był w momencie sprzedaży t. j. 28.II.1923 r. najwyżej 38.000 dolarów, w początkach zaś lutego kiedy to, jak zeznali świadkowie, strony porozumiały się ostatecznie, był wart z powodu tańszej robocizny sumę mniejszą a mianowicie 35.000 dol. Tak więc biegli inżynierowie-budownicy, wszyscy pochodzący z Łodzi orzekli, po uwzględnieniu wszelkich momentów wpływających na wzrost lub obniżenie ceny, że za dom zapłacono 30 do 33 tysięcy dolarów za dużo t. j. przepłacono go prawie 100<sup>0/0</sup> ponad wartość. Oczywiście żadna ekspertyza nie jest nieomylną. Strona przeciwna przedstawiła pismo Tow. Kredytowego Miejskiego w Łodzi, które pisze, że nie jest w stanie podać wartości tego domu z r. 1923, gdyż stan jego obecny jest zupełnie inny. Wprawdzie fakt niemożności oszacowania przez jednego biegłego nie może służyć za dowód, że inny biegły przeprowadził swoje oszacowanie źle, ale w każdym razie zarzut ten mógłby mieć poważne znaczenie, gdyby nie jedna okoliczność bardzo poważnie przemawiająca za słusnością oceny domu danej przez biegłych, a mianowicie zeznanie całego szeregu świadków, które ekspertyzę wzmacniają, nadając jej zupełną wiarygodność. Świadek Czapczyński, wizytator Kuratorjum Naukowego Łódzkiego zeznał, że w końcu 1922 r. żądano od niego za omawianą nieruchomość 15.000 dol., co jednak było ceną zbyt wysoką dla kooperatywy urzędniczej, w imieniu której działał. Jeden z poprzednich właścicieli nieruchomości Gutman zeznał, że jesienią 1923 r. t. j. w tym czasie, kiedy toczyły się układy z P. K. O. chciał odkupić była swoją własność i właściciele zażądali od niego 40.000 dol. dodając, że jeżeli otrzymają dobre warunki sprzedaży, to coś opuszczą. Sądzę, że dobre warunki, to przede wszystkim zapłata w gotówce t. j. ta-

ka, jaką dawała P. K. O. i jeżeli odtrącimy pewien procent od 40.000 dol., który sprzedawcy niewątpliwie gotowi byli opuścić, to wypadnie, że cenili oni swą nieruchomość na 30 do 35.000 dolarów. Jest to przypuszczenie tem słuszniejsze, że świadek Kempner, który rozpoczął pertraktacje z Warchiwkerami o sprzedaż domu zeznaje, że cena pierwotnie żądana przez nich i przez Gotheilów, wynosiła właśnie 35.000 dol. i rosła jakoby w miarę tego, jak Bau zgadzał się na podawane warunki. Zeznania Lewita, od którego Warchiwkerowie i Gotheilowie nabyli jego nieruchomość w marcu 1923 r. t. j. w parę tygodni po sprzedaży swego domu P. K. O. stwierdzają również, do pewnego stopnia, że cena 35.000 dolarów za dom przy ul. Narutowicza Nr. 45 była ceną odpowiadającą jego wartości. Lewit zeznaje bowiem, a prawdę słów jego stwierdza i akt rejentalny, że dom swój przy ul. Kościuszki sprzedał Warchiwkerom i Gotheilom za 20.000 dolarów, a dom ten zaś był zaledwie cokolwiek mniejszy i gorszy, jak to zaopiniował biegły Stawiski od domu Warchiwkerów, sprzedanego P. K. O. Coprawda Lewit zeznaje, że sprzedał swój dom tak tanio, dlatego, że musiał ratować chorego przyjaciela... Dziwnie tkliwi są dziś lodzermensche. Przecież i p. Warchiwkerowa zeznała również, że nie chciała sprzedać domu, a właściwie murów, nie pokrytych dachem, nie zamieszkałych, dlatego, że się do nich bardzo przywiązała. Wprawdzie sentyment uległ wreszcie wymowie dolarów, nie mniej jednak czułe serce pani Warchiwkerowej cierpi do dziś dnia. Ale ani te sentymenty łódzkie, ani prawo popytu i podaży, o których wspominał obrońca, nie tłumaczą tej wielkiej różnicy między ceną kupna domu, a istotną jego wartością i nie mogą obalić ani zeznań świadków, przed chwilą cytowanych, ani oceny ekspertów, znających łódzkie stosunki i ceny łódzkich nieruchomości. Niewątpliwą jest rzeczą, że nabycie nieruchomości w Łodzi było połączone z dużą stratą dla P. K. O. i że do tej straty dopuścili świadomie ci wszyscy, którzy mieli obowiązek dbać o jej interesy. Świadomie wyrządził P.K.O. szkodę Linde; świadomie dlatego, że człowiek, który stoi na czele tak wielkiej instytucji

finansowej musi o tem wiedzieć, że nie kupuje się domu, wartości 35.000 dol. za 68.000 dol. Świadomość Lindego jest tą, o której mówi kodeks w art. 48. Świadomem działaniem na szkodę—w myśl art. 578 K. K.—cudzych, powierzonych sobie interesów jest każdy czyn, o których sprawca jego wiedział, nie wiedzieć nie mógł, że musi on w rezultacie sprowadzić uszczerbek dla tych cudzych interesów. Przekonanie o świadomości Lindego zrzadka jedynie opierać się może na danych dostarczonych przez zeznania świadków lub przez dokumenty; zazwyczaj musi być rezultatem analizy psychiki winnego, jego uzdolnień, jego zasobów umysłowych, jego przygotowania do czynności jakie spełnia. Otóż Linde, prezes P. K. O. były dwukrotnie Minister nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że ten dom łódzki nie jest wart 68.000 dol., że płacąc tę cenę przepłaca się wartość jego w dwójnasób, nie mógł nie rozumieć, że na opinji Hryniewicza — nie inżyniera nie można polegać wtedy, kiedy chodzi o wartość budynku. Z tego wypływa wniosek o świadomej szkodliwej jego działalności, stąd wypływa jego odpowiedzialność.

W zeznaniach samego Lindego jest wskazówka, iż uświadamia on sobie szkodliwość swego działania: „Dla mnie — zeznaje — nie stanowiła różnicy cena domu, dom był potrzebny, gdyż palącą była kwestja otwarcia oddziału i gotów byłem kupić go za każdą cenę... Za każdą cenę! Tak się ceni majątek państwowy.

Rozrzutność swoją Linde wprawdzie uzasadnił: „Wszystko jedno mi było, ile zapłacę, bo musiałem uciekać od marki“. Gdy Linde mówił o tem, że trzeba było uciekać od marki, to zdaje się, że wszyscy prawie podzielali słuszność zasadniczej jego tezy. Ale biegły p. Fajans w swoim świetnym i niesłychanie ciekawym wywodzie powiedział: Ucieczka od marki była potrzebną dla gospodarstwa prywatnego, ale nigdy dla instytucji państwowej kredytowej. Gdy go zapytano, kto odniósł korzyść z ucieczki od marki, odpowiedział, że P. K. O., jako instytucja wzięta w oderwaniu od jej celów; Państwo poniosło straty przez ograniczanie obiegu pieniądza, lokowanego w nieruchomościach; kli-



jenci nie zyskali nic, gdyż zawsze mieli za swoje marki dostać tylko też samą ilość marek.

Zresztą nie o samą zasadę i jej słuszność chodzi, lecz o jej praktyczne stosowanie. Nawet ten, co ucieka od marki, od wciąż tracącego wartość pieniądza, musi rządzić się jakąś polityką gospodarczą, nie może mu być obojętnem, czy za tę samą sumę kupuje jeden przedmiot, czy kilka lub kilkanaście. Pieniądz nawet tracący swą wartość, przecie ją wciąż posiada, i płacenie nim bez stosowania się do wartości, jaką posiada w danym momencie, jest w gospodarce indywidualnej obłudą, w państwowej—przestępstwem. Można uciekać od marki i kupować rzeczy nawet niepotrzebne, ale, uciekając od marki, płacąc bez żadnego zachowania stosunku ceny do wartości, można dojść do tego, że cenę wartości domu zapłaci się za pudełko zapalek, bo ono też ma jakąś użytkową wartość. Teorja, którą Linde wygłosił o ucieczce od marki, może być subiektywnie nawet uważana za słuszną, ale tylko do granic, zakreślony przez zdrowy rozsądek. Można się zgodzić na politykę nabywania nieruchomości, ale nie wolno lekceważyć momentu ich rynkowej wartości. Linde może powiedzieć: ja gotów byłem kupić kilka nieruchomości, ale nie wolno mu, jako prezesowi P. K. O., twierdzić: mnie było wszystko jedno, czy ja za jedną nieruchomość zapłacę 500 czy 100 miliardów marek, bo od tej marki trzeba uciekać. Ten sposób ujmowania sprawy jeszcze bardziej mówi o świadomości i o świadomem lekceważeniu interesów instytucji, o świadomem działaniu na jej szkodę.

Bau również świadomie działał na szkodę P. K. O. On, łódzki kupiec, nie mógł nie zdawać sobie sprawy z istotnej wartości tego domu. Miał do rozporządzenia środki dla należytej oceny nieruchomości, wiedział doskonale, jakie są ceny domów w Łodzi i wiedział, że dom ten nie był wart 48.000 dolarów. A jeśli obrona twierdzi, że działało w danym wypadku przemożne prawo podaży i popytu, że Warchiwkierowie nie musieli się zgodzić na ocenę domu przez kogo innego i mogli cenić go jak chcieli, to trzeba na to odpowiedzieć, że

konieczność kupienia domu za „wszelką” cenę nie została udowodniona, przeciwnie przyszłość wykazała, że było ono zbędnem i że na prawo popytu przy tej tak niekorzystnej tranzakcji powoływać się nie można.

Bau, oskarżony jest również o przywłaszczenie pewnej sumy pieniędzy. Bau wyrachować się musi jak to wyżej wspomniałem z dwóch sum: z 76.000 dol. zakupionych za 462 miljardey Mk. i 53 miliardów Mk., które mu pozostały po zakupie dolarów. Tych ostatnich 53 miliardów Bau nie oddał, jak nie oddał różnicy pomiędzy ceną domu, a sumą 76.000 dol., przywłaszczywszy sobie te wszystkie pieniądze. O przywłaszczeniu mówić możemy dlatego, że Bau zakończył wszelkie rachunki z P. K. O. z tą chwilą, kiedy zwrócił swej mocodawczyni 1.275.000.000 Mk. jako resztę, pozostałą z sum asygnowanych. Zwracając tylko te pieniądze, jako resztę, Bau ukrył fakt, że pozostały mu jeszcze i inne pieniądze znacznie większe i niezwrócenie ich nie może być dziś uważane za nieskończenie rachunków, lecz za przywłaszczenie.

Obliczając sumy przywłaszczone przez Bau, przyjmijmy na chwilę przypuszczenie najdogodniejsze dla Baua i przypuśćmy, że za dom zapłacono istotnie 68000 dol. Wtedy będziemy musieli zarzucić Bauowi przywłaszczenie ściśle określonej sumy 8000 dol. prócz wyżej wspomnianych 53 miliardów mk. Powyżej 68000 dol. Bau nie wydał nic na zakup domu. Nie wolno zapominać bowiem, że zarówno Warchiwkierowie, jak i Gotheilowie zeznali, że za dom otrzymali nie więcej niż 68000 dol. Świadkowie Kaszub i Kryłowiecki zeznali również, że otrzymali od Baua 68000 dol. z których zapłacili ów dług hipoteczny i cenę domu; ci więc, którzy kupowali dom, i ci, którzy sprzedawali, ustalają, że 68000 dol. było ceną zapłaconą za dom pieniędzmi danymi przez Baua w tej właśnie ilości. A że Bank nabył dla Baua z pieniędzy asygnowanych przez P.K.O. 76000 dol. w czekach, że чеки te Bau nieledwie w przeddzień kupna domu podniósł i zamienił na gotówkę, którą płacono następnie za dom, więc oczywistą jest rzeczą, że z dolarów nabytych przez P. K. O. Bau wydawszy 68000 zatrzymał dla siebie 8000.

Wyrównać tej cyfry i usprawiedliwić niezwrócenie jej P. K. O. nic nie może; ani zeznanie owego pośrednika o trzystu dolarach, otrzymanych jakoby od Baua za pośrednictwo, ani legenda o tkliwym sercu pani Warchiwkerowej, ani inna legenda o jej chciwym ojcu, który tak bardzo chciał zarobić na wykończeniu tego domu, że nie pozwalał go sprzedać, bojąc się stracić domniemany zarobek, wskutek czego trzeba mu było dać jakieś odszkodowanie za stracone korzyści; dodać należy, że ów chciwy p. Olszer nie miał ochoty, czy też odwagi stanąć przed sądem i zeznać, iż prawdziwymi są dochodzące do nas niejasne wieści, że za odstąpienie od ewentualnych swoich zysków otrzymał parę tysięcy dolarów. A gdyby nawet przyznać, że Bau poniósł straty zamieniając czek na gotówkę, to straty te wynoszą paręset dolarów i żadną miarą sumowanie tych wszystkich fantastycznych pozycji nie da usprawiedliwienia z 8000 dol. i tę lukę w rachunku wypełnić może tylko słowo — przywłaszczenie...

Z 53 miliardów Mk. Bau nawet nie próbuje się wytłomaczyć. Nie można się bowiem z tych sum wytłomaczyć pobraniem jakoby wynagrodzenia za pośrednictwo, czy też za usługi dla mocodawcy. Po pierwsze nie wypada, aby „obywatel z pod Rzeszowa“ brał jak zwykły faktor jakieś procenty, w dodatku za czynności płynące z „idealnych pobudek“; powtóre artykuł 1986 K. C. mówi, że pełnomocnictwo jest darne, jeżeli nie zaszła przeciwna umowa; dopóki tedy Bau nie udowodni, że pełnomocnictwo miało być płatne, dotąd nic mu się nie należy i nie może bronić się, iż wziął to tylko, co mu się od P. K. O. należało.

Z kilku pytań obrony mogę wywnioskować, iż powie ona: a gdyby Bau danych mu przez P. K. O. marek wcale na dolary nie zmienił, gdyby dopuścił do ich dewaluacji, gdyby w dniu kupna domu oświadczył Lindemu, że brak mu znacznej sumy do zakończenia transakcji — czy byłby odpowiedzialny karnie? Oczywiście nie. Byłby on wtedy złym pełnomocnikiem, być może P. K. O. mogła by dochodzić szkód i strat, ale o czynie karnym nie byłoby mowy. Jednak, Panowie Sędzio-

wie, zrobię pewne porównanie... powiedzmy, że Bau znajduje się w P. K. O. dokąd tak często przychodził i widzi, jak na paczkę banknotów przewróciła się pałaca świeca i banknoty zaczynają płonąć. Jeżeli Bau, siedząc z założonymi rękoma, przyglądać się będzie temu widokowi beczynnienie, to czy będzie odpowiedzialny karnie. Nie. Będzie to postępek z punktu widzenia praktycznego życia bezsensowny, ale nie karalny. Gdyby jednak Bau zgasił ogień, uratował tę paczkę pieniędzy, a potem zabrał ją sobie w całości lub części, czy mógłby bronić się przed zarzutem kradzieży tem, że pieniądze byłyby się i tak spaliły. Bezwątpienia, nie. Tak samo Bau nie może się tłumaczyć, że ponieważ pieniądze nie zamienione na dolary, byłyby się zdeprecjonowały, to jemu wolno z uratowanych od deprecjacji sum zabrać sobie pewną część. Bau do pewnego momentu, działał jak dobry gospodarz, do pewnej chwili dbał o interesy swego mocodawcy, ale następnie zaczął rozumować w ten sposób: dlaczego ma zarobić mój mocodawca, a nie ja; dlaczego ja, Bau, nie mam ciągnąć zysku z tej mądrej gospodarki kapitałami mego mocodawcy i dlaczego tych pieniędzy nie wolno mi schować do kieszeni?... Fakt, że Bau był dbałym, dobrym zarządcą cudzego mienia nie może przekreślić innego faktu, że następnie mocodawcę swego pokrzywdził, korzyści ze swojej dobrej gospodarki wyciągnął tylko dla siebie, dobre jej rezultaty zeskamotował. Działając przez pewien czas roztropnie i przewidująco, w pewnym momencie zaczął działać na szkodę swego mocodawcy i, bez względu na pierwotne swe zasługi, był przywłaszczycielem cudzego, zarządzanego przez się mienia.

Gdyby Bau, powiedzmy, kupił za asygnowane mu miljardy nie dolary, lecz brylanty i trzymał w kasie jako zabezpieczenie przed dewaluacją i gdyby jednym zapłacił za dom, a drugi zabrał dla siebie, czyż nie byłoby tu przywłaszczenia? Można spodziewać się jeszcze argumentu: a gdyby Bau kupował te dolary ostrożnie, gdyby je kupił nie przez Bank dla Handlu i Przemysłu, ale na czarnej giełdzie i do kupna się nie przyznał, czy byłby odpowiedzialny? Tak, tylko wtedy dowodów

przeciw niemu byłoby mniej, bo istotnie Bau niejako sam stworzył i przedmiot przywłaszczenia i dowody przeciwko sobie. Ale niezręczność winnego nie jest dowodem jego niewinności.

I działalność Hryniewicza przy kupnie domu była świadomym działaniem na szkodę P. K. P.. W czasie, kiedy nabywano ów dom w Łodzi, działał Statut z maja 1920 r., zgodnie z którym urzędnicy P. K. O. jeszcze byli urzędnikami państwowymi. Hryniewicz w roku 1923 jest urzędnikiem Pocztovej Kasy Oszczędności, urzędnikiem państwowym, i ma powierzone sobie za zadanie dbać jako kontroler techniczny, ażeby wszystko, co jest związane z budową, lub nabywaniem gmachów, odbywało się w jaknajdogodniejszych dla P. K. O. warunkach. Ale Hryniewicz ocenia dom w Łodzi poprostu bezpodstawnie, w sposób niedbały, lekkomyślny, nieumiejętny. Co prawda, trudno wymagać od niego umiejętności. Jakież są jego kwalifikacje, tego „kontrolera technicznego budowy gmachów“ do oceny nieruchomości?— 3 klasy szkoły realnej, jakiś egzamin w akademji handlowej — niewiadomo, czy pomyślnie ukończony—wreszcie egzamin oficerski, który nie jest absolutnie żadną kwalifikacją w tym kierunku; można być świetnym kawalerzystą, a nie umieć oceniać budynków. Ten kawalerzysta nie potrafi nawet wyjaśnić zasad, na podstawie których obliczył wartość budynku, a jednak robi owe wyliczenia, obalone dziś przez ekspertyzę, robi je, lekceważąc dobro P. K. O., przygotowując grunt do późniejszych decyzji Komitetu Dyrekcyjnego, do przeplacenia domu przez Baua, do lekkomyślnej karygodnie zgody Lindego.

Tak więc wszyscy trzej oskarżeni winni są świadomego działania na szkodę P. K. O. przez przyczynienie się do nabycia domu w Łodzi za cenę znacznie przewyższającą jego wartość; Linde prócz tego przez asygnowanie około 30.000 dol. powyżej sumy przeznaczonej na kupno uchwałą Komitetu Dyrekcyjnego. Bau wreszcie winien jest przywłaszczenia na szkodę P. K. O. 8.000 dol. i 53 miliardów mk.

---

27 października 1924 r. P. K. O. otrzymała od „Centralnego Zarządu Dóbr Borowna” następującą ofertę: „Posiadamy z własnych lasów około 1500 metrów kubicznych drzewa kantowego oraz 1.000.000 cegły; ze względu na brak gotówki odstąpiliśmy od zamiara budowy, wobec czego jesteśmy gotowi materiał powyższy sprzedać. Dowiedziawszy się, że Dyrekcja P. K. O. buduje w dużych miastach swoje budynki, oferujemy 1.000 mtr. kub. drzewa kantowego za cenę zł. 40.000 oraz 1 milion cegieł za cenę 50.000 zł. Ceny w obydwóch wypadkach rozumieją się loco stacja załadowcza. Dostawa może nastąpić na żądanie Dyrekcji P. K. O. Ponieważ ceny powyższe są znacznie niższe od cen rynkowych, przeto upraszamy na wypadek przyjęcia naszej oferty o wyasygnowanie nam 90.000 zł. jaką łączną cenę kupna za powyższe materiały. Zaznaczam, że na zabezpieczenie powyższej sumy skłonni jesteśmy dać zabezpieczenie hipoteczne“.

Zdawałoby się z tej oferty, że Zarząd Dóbr Borowno, za którym ukrywają się podpisany na ofercie Bau i niepodpisany Sowilski, posiada zupełnie wyraźnie określoną tę, a nie inną cegłę i drzewo i że gotów jest sprzedać je za cenę według niego bardzo niską. Należy podkreślić, że oferta precyzuje przedmiot sprzedaży nie tylko w ten sposób, że twierdzi, iż to są materiały gotowe, że mogą być dostarczone w każdej chwili, ale określa ściśle, iż są one tak dalece przygotowane, że nieużytkowano ich przy budowie domu tylko wskutek zaniechania tej budowy. Nasuwa się dalszy wniosek: że leżą one tam na miejscu, gdzie dom miał być zbudowany. Taką jest oferta Baua, człowieka, który wówczas posiadał, jak mówił jeden ze świadków, słusznie czy niesłusznie duże zaufanie prezesa Lindego.

Wniesiona oferta 27 października przekazaną została do opinii Hryniewicza i ten tegoż dnia zaopiniował—zwracam uwagę Sądu, jak niesłychanie szybko załatwioną była ta sprawa — że cena przez Bau jest znacznie niższa od cen rynkowych drzewa i cegły i postawił wniosek nabycia materiałów. Dla Hryniewicza więc głównym motywem przyjęcia oferty była niska cena.

Tymczasem świadek Reicher, właściciel dużej cegielni pod Łodzią zeznał, że w owym czasie cena cegły wynosiła od 40—60000 zł. za milion. Cena więc 50.000 zł. za milion cegły loco stacja załadownicza, a więc gdzieś daleko na kresach (ten warunek wprowadzić został zmieniony, ale już po opinii Hryniewicza), za milion cegieł, które w dodatku, z punktu widzenia oferenta mają mniejszą wartość, bo są mu niepotrzebne i których chciałby się pozbyć, nie jest tak nadzwyczajnie korzystna i nie powinna była wywołać tego zachwytu ze strony Hryniewicza, który znalazł sobie wyraz w jego opinii.

Na drugi dzień, 28 października, prezes Linde decyduje w lapidarnej jak zwykle formie „wniosek zatwierdzam“, a 29 października 90.000 zł. były już wypłacone Bauowi w całości na podstawie tylko tej oferty. Skąd ten pośpiech w nabywaniu materiałów budowlanych na nie określony bliżej cel? Nawet w opinii Hryniewicza widać, że tej palącej potrzeby nabycia niema, gdyż „kontroler techniczny“ przeznacza materiały do budowy w Łodzi, ewentualnie do nowej budowy na gruntach sejmowych. Kupiono więc materiały budowlane po cenach co najmniej nie niższych niż rynkowe na niewiadomy jeszcze cel, kupiono bez sprawdzenia ich wartości, a nawet ich istnienia. I nie można się tłumaczyć, że kupowano rzeczy, choćby nawet niepotrzebne, mające nierealną wartość, dlatego, że uciekano od marki. W tym czasie ucieczka od marki już była nieaktualna. Złoty się stabilizował, inflacja była skończona i należy zapomnieć o tej terminologii, gdyż nic nam ona nie wytłumaczy. A i szybkość zawarcia transakcji jest również zdumiewającą, jak zdumiewającą jest lekkomyślność, z jaką była przeprowadzona. Co prawda przewod sądowy ujawnił nam wypadek, że P. K. O. wypłaciła całą należność za potrzebny na zimę węgiel na pół roku przed terminem dostawy, wypłaciła zresztą firmie, której współwłaścicielem był niejaki Cywiński, kuzyn Lindego. W danym wypadku charakter transakcji z drzewem i cegłą stanie się również jaśniejszy, gdy przypomnimy sobie, że dostawcą ma być nie kuzyn wprowadzić, ale zaufany Lindego, Bau. Otóż ten Bau, z którym zawarto

transzycję na powaŒną sumę, w sposób niepraktykowany przez jakakolwiek dbającą o swoje interesa instytucję, którego tak widocznie faworyzowano, pragnął zachować pewne pozory przyzwoitości; chcąc aby rzekoma sprzedaŒ, z punktu widzenia kupieckiego zachowała pozory normalnej, przyzwoitej transzycji, ofiarował zabezpieczenie hipoteczne na pewność wypłaconych mu 90.000 zł. Złożony został mianowicie akt z 28 października 1924 r., w którym jakiś Stanisław Starzewski oświadczył, Œe na hipotece dóbr Kopył, położonych w powiecie Łuckim zapisuje na rzecz P.K.O. 100.000 zł. kaucji na zabezpieczenie wydanych przez niego, lub Marję Czerenkową „wszelkich zobowiązań, wypływających z umów i wszelkich tytułów oraz na zabezpieczenie wszelkiego rodzaju zobowiązań i weksli, wystawionych przez niego lub przez Marję Czerenkową“. Oczywiście ten akt nie mógł mieć żadnego znaczenia gdy chodziło o zabezpieczenie sumy, wypłaconej Bauowi przez P.K.O. przynajmniej dopóty, dopóki Czerenkowa, podówczas jeszcze prawna właścicielka Borowna, nie wyrazi swej zgody na przyjęcie jakiejkolwiek odpowiedzialności, za transzycje zawierane przez faktycznych tegoŒ Borowna właścicieli. W kaŒdym jednak razie Bau podsuwał Lindemu, czując anormalność jego i swojej sytuacji, a moŒe chcąc go tem łacniej podejść, pewną formę, przyjęcie której mogłoby stwarzać jakieś pozory załatwienia tej dziwnej operacji w sposób przyjęty w świecie handlowym. Linde jednak podsuwanych sobie sposobów nie przyjął. Œadnych poleceń co do uzupełnienia aktu w ten sposób, aby mógł się on stać zabezpieczeniem wypłaconej sumy, nie wydał, żadnej przez siebie powziętej formy zabezpieczenia nie zaŒądał, i w sposób poprostu niebywały kazał wypłacić bardzo powaŒną sumę za materiał, którego wartość, a nawet istnienie były problematyczne. Linde wierzył Bauowi. Ten karygodny optymizm co do osoby Baua, to wysoce naganne zaufanie, to lekkomyślne zaniechanie wszelkich środków mogących uchronić P. K. O. od straty powaŒnej sumy, to wszystko jest beczczynnością władzy, beczczynnością, której Linde dopuścił się umyślnie, gdyż—znowu trzeba



to powtórzyć — nie mógł sobie nie zdawać sprawy, iż w ten sposób postępować mu nie wolno, że takie postępowanie przeczy elementarnym zasadom ostrożności niezbędnej w rozporządzaniu majątkiem państwowym.

Dalsze losy dostawy były oczywiście takie, jakich się spodziewać należało. Pomimo, że ta cegła i drzewo miały być do czegoś potrzebne, ani Zarząd Dóbr Borowno ich nie dostarczył, ani P. K. O. o nie się nie upominała. Dopiero gdy 5 maja Centralna Izba Obrachunkowa P. K. O. po raz wtóry przypomniała, że Zarząd Dóbr Borowno nie wyliczył się z otrzymanej „zaliczki“ (Izba Obrachunkowa nie przypuszczała nawet, aby to była całkowita zapłata) Hryniwicz otrzymał polecenie zbadania sprawy i nadesłania sprawozdania. Po 7 tedy miesiącach Prezydjum P. K. O. zainteresowało się transakcją, którą z takim pośpiechem, w ciągu 2 dni zawarło. Hryniwicz udał się do Łodzi i wróciwszy stamtąd złożył raport Dyrekcji P. K. O., w którym pisze, iż 14 maja 1925 r. „po oglądnięciu“ nie przyjął wysłanych do Łodzi przez zarząd Borowna 2 wagonów cegły i wagonu drzewa, gdyż: „deski i kantówki są z cienkopiennego drzewa i jako małomiarki do budowy w tej ilości się nie nadają, cegła okazała się kilkuletnia, zbutwiała, wskutek czego dałaby po dostawie na budowę około 40% łomu (gruzu) wobec czego cena jej by się nie kalkulowała“. Nagle, w 7 miesięcy po wypłaceniu całej sumy cena cegły się nie kalkuluje, materiały są nie do użytku. Szkoda, że p. prezes Linde wcześniej nie zainteresował się istotną wartością materiałów, za które tak skwapliwie płacił, szkoda, że p. Hryniwicz nie „oglądnął“ jej wcześniej.

Zanim zajmę się tym dokumentem chciałbym zwrócić uwagę na dosyć oryginalne, z punktu widzenia, czy to hierarchji służbowej czy też podziału władz w P. K. O. zakończenie raportu. W pierwszej części swego pisma Hryniwicz jest technikiem, który, obejrzawszy materiały budowlane, wydał o nich opinię; w zakończeniu stał się już doradcą prawnym. Oczywiście kwalifikacje na radcę prawnego miał nie gorsze, niż na kontrolera technicznego. Powiada tedy: „Co do zwrotu otrzymanej

przez Zarząd Dóbr Borowno zaliczki — czemuż tak skromnie — aczkolwiek Dyrekcja P. K. O. posiada dostateczne zabezpieczenie należy wezwać firmę do zwrotu wypłaconej zaliczki, z zaliczeniem 24<sup>o</sup>%, albo i więcej rocznie, licząc od 28 października 1924 r. i zlikwidować ofertę“. Nie wiem, na czym opiera Hryniewicz przeświadczenie o dostatecznym zabezpieczeniu należności P. K. O., chyba na moralnych walorach. Nie dość tego, nie tylko wydaje swą opinię o zabezpieczeniu pretensji P. K. O., ale posuwa się dalej i staje się nieubłaganym obrońcą interesów P. K. O.; skoro — powiada — Bau wziął 90.000 zł. a dostarczył wzamian towar bez wartości, to, panie prezesie, należy wziąć od niego procent 24 rocznie od wypłaconej sumy, a towaru nie przyjmować. Prezes wniosek zaakceptował. Ta mieszana rola technika eksperta budowlanego i doradcy prawnego w tym momencie została zakończona tak, jak z punktu widzenia Kodeksu Karnego była zakończoną w momencie przesłania przez Hryniewicza pisma z dn. 20 maja.

Hryniewicz, urzędnik instytucji Państwowej, urzędnik w rozumieniu art. 636 K. K., złożył niewątpliwie fałszywy raport, kłamliwy od początku do końca. Cegła, o której pisze, nigdy do Łodzi nie była przywieziona, drzewa również nikt tam nie wysyłał. Popelniony przez siebie fałsz Hryniewicza inaczej objaśnia u Sędziego śledczego, inaczej przed Sądem. Badany w śledztwie twierdzi, iż nie nadawał znaczenia temu, co pisał.. Tłumaczenie dość dziwne w ustach kontrolera budowy gmachów i przygodnego radcy prawnego. Tłumaczenie przed Sądem jest nieco bardziej rzeczowe; Hryniewicz twierdzi mianowicie, iż spostrzegłszy się, że raport z dnia 20 maja nie odpowiada rzeczywistości, uzupełnił go i poprawił nowem pismem. Tłumaczenie to jednak traci odrazu na wartości gdy spojrzymy na to nowe pismo i zauważymy, że datowane jest ono dniem 25 listopada t. j. tą datą, kiedy P. K. O. była poddana bardzo szczegółowej rewizji ze strony Najwyższej Izby Kontroli Państwa, kiedy w całym szeregu protokółów ustalone wszystkie popelniane tam nieprawidłowości.

Wtedy to dopiero Hryniewicz „przypomniął sobie“ o błędach w pierwszym raporcie i poprawił go, pisząc, że obejrzał próbę „z dwóch wagonów cegły... To wyjaśnienie, moim zdaniem, jest jednak tylko dalszym ciągiem i potwierdzeniem fałszu pierwszego raportu, gdyż wciąż powtarza się wersja o „dwóch wagonach“ a nie o próbce cegły, o większych więc ilościach, a na tym stwierdzeniu sprawdzenia większych ilości materiału polega fałsz raportu. Zresztą data sporządzenia pisma przeczy najzupełniej twierdzeniu o omyłce spostrzeżonej i poprawianej.

Wszystkie czynniki, stanowiące o fałszu dokumentu urzędowego, o fałszu świadomym, są tedy ustalone: treść pisma nie odpowiada rzeczywistości i ta okoliczność jest doskonale Hryniewiczowi znaną, gdyż polega na podaniu zmyślonej przez niego samej wersji; samo pismo jest oficjalną odpowiedzią zaadresowaną do Dyrekcji P. K. O. wystosowaną na skutek żądania jednej z władz tejże P. K. O. tak więc w czynie Hryniewicza są wszystkie cechy przestępstwa przewidzianego przez art. 667 K. K.

Oczywiście P. K. O. nie mogła pozostawić tej sprawy bez dalszego biegu i rozpoczęły się na skutek raportu Hryniewicza pertraktacje z Bau. Bau przyjął do wiadomości, że towar jego został odrzucony, i zgodził się za zwrot pieniędzy. Panowie Sędziowie, sądzę, że nie znaleźlibyśmy nigdzie kupca, któryby, jeśli transakcja zawarta była uczciwą, zgodził się, po otrzymaniu całej należności, na propozycję, która w gruncie rzeczy sprzeczna jest do tego, że sprzedawca powinien zwrócić całą otrzymaną za swój towar sumę, zrzec się zysku i w dodatku jeszcze płacić procenty. Byłyby to warunki dla każdego uczciwego kupca wprost nie do przyjęcia. Tymczasem Bau zgadza się na nie odrazu i pismem z dnia 19 czerwca w odpowiedzi na pisma z 27 maja i 15 czerwca oznajmia, iż nieprzyjęcie materiałów budowlanych przyjmuje do wiadomości i że gotów jest zwrócić otrzymaną zaliczkę (już teraz sam Bau nazywa całą sprzedażną sumę tylko zaliczką) oraz zapłacić procenty w ilości dwóch od sta. Zamiast tedy protesto-

wać w imię swojej dobrej wiary, bronić się przed zarzutem dostarczenia złego towaru, żądać ponownych oględzin, odwoływać się do drogi sądowej, a już conajmniej oponować przeciwko żądaniu procentów, Bau zgadza się na wszystko i prosi jedynie, aby należną od niego sumę mógł spłacić ratami, z których pierwsza wypadalaby „po zniwach“. To nie jest stanowisko, jakie zająłby każdy uczciwy kupiec. Ale też nie była to transakcja uczciwa, lecz zwykłe oszustwo.

Na liście Zarządu Dóbr Borowno z dn. 19 czerwca zawierającym propozycję spłaty sumy 90.000 zł. ratami widnieje krótka, w Napoleońskim stylu, decyzja Lindego: „Wziąć, dobre i to“... Ta swawolna forma w sprawie, która winna była zaniepokoić Lindego jest nader charakterystyczna. Prezes P. K. O., który wyasygnował znaczną sumę pieniędzy na zakup nieznanym sobie materiałów, bez żadnego zabezpieczenia, wobec ujawnienia możliwości straty, płynącej tylko z jego winy, wywołanej tylko przez lekkomyślne załatwianie spraw pieniężnych wydaje decyzję *brevi manu*, bez obmyślenia jak zapobiec grożącej szkodzi, bez wniknięcia w treść sprawy i w dodatku przyobleka ją w tak frywolną formę. Rzecz prosta, niema w tem okoliczności obciążającej winę Lindego, ale niewątpliwie smutnym jest ten wesoły stosunek do reprezentowanej przez siebie instytucji i do lekkomyślnie przeprowadzonego kupna.

Wróćmy jednak do Bau. Bez względu na ewentualne twierdzenia obrony, że Bau posiadał majątek, z którego mógł wyrąbać odpowiednią ilość drzewa, że sprzedana ilość cegły mogła być również dostarczona przez jakąkolwiek z cegielni, musimy stanąć na tem stanowisku, że, składając ofertę, Bau działał oszukańczo w celu zaboru pieniędzy P. K. O. Przedewszystkiem oszukańczym zabiegiem jest twierdzenie Baua, iż w posiadaniu jego znajduje się materiał budowlany i cegła przygotowane na budowę domu. Jestto przytoczenie okoliczności istotnych, mogących nabywcę skłonić do zawarcia transakcji. Mówiąc o zabiegach Baua nie wolno zapominać o tym stosunku, jaki łączy go z Lindem. Oszukańczy bowiem charakter czynności ludzkich, mających na celu

zysk materialny ustalać należy, biorąc pod uwagę nie tylko podstępna zręczność, chytre podejście, lub fałszywe zapewnienia ze strony winnego. Drugim, równie ważnym czynnikiem przy popełnieniu oszustwa jest indywidualność poszkodowanego. Naiwność dziecka, kactwo ślepeca, lub zaufanie przyjaciela sprawiają, iż oszukańczym zabiegiem stać się może czynność niewinna w stosunku do normalnego, wyrobionego życiowo, obcego człowieka. Wyżyskać płynącą z różnych źródeł bezbronność poszkodowanego można bez specjalnego wysiłku. Bau wiedział o tem dużem zaufaniu, jakie, jak to ustalili świadkowie, miał Linde względem niego i nie potrzebował robić wielkich wysiłków, aby przeprowadzić swe oszukańcze zamiary. W warunkach, jakie się wytworzyły wobec tego nieusprawiedliwionego zaufania, złożenie oferty, o której tylokrotnie już była mowa, w której mówiło się o cegle i drzewie, jako o istniejących materiałach było zabiegiem oszukańczym, który może nie powiódłby się wobec człowieka krytycznego i mającego poczucie odpowiedzialności, ale wystarczył dla podejścia ufego i zbyt pochopnego do uwzględniania prośb Baua, Lindego.

Należy jednak złagodzić kwalifikację prawną zarzucanego Bauowi czynu i uznać, iż oszustwo popełnione przezeń winno być karane w myśl 3 punktu art. 591 K. K. Bau udowodnił, że na rachunek wyrządzonych przezeń strat P. K. O. otrzymała do dnia dzisiejszego sumę powyżej 90.000 zł. częściowo przez skreślenie sumy hipotecznej, należnej Pomerancowi, częściowo przez wpłacenie gotówki. Ponieważ P. K. O. uważa, zgodnie z danymi sprawy, iż suma, stanowiąca rezultat oszustwa została zwróconą, nie możemy stanąć na tym gruncie, że z powodu niewpłacenia procentów od niej, kwalifikacja nie może być zmieniona, gdyż w tym względzie decyduje pokrycie tej straty jaką wyrządzono w dniu spełnienia karygodnego czynu, a nie uregulowanie wpływających z tegoż czynu dalszych strat.

W toku przewodu sądowego jeden z obrońców twierdził, że tam, gdzie winny płaci procenty od sumy nieprawnie zdobytej nie może być oszustwa. Żadną mian-

rażą nie można podzielać tego zdania. Jeżeli P. K. O. była oszukana, a według mego najgłębszego przekonania, była nią w momencie wypłacania pieniędzy Bauowi, to późniejsze takie czy inne zaspokojenie jej strat nie może wpłynąć na zasadniczą ocenę czynu. Układy pomiędzy winnym, a poszkodowanym nie mogą oszustwu odebrać jego znamion istotnych, nie mogą przekształcić go na zwykłą transakcję cywilną. Poszkodowany przez oszustwo może zawierać z winnym najdogodniejsze nawet dla siebie umowy, winny może je przyjmować, chcąc złagodzić swą karę, faktu jednak dokonanego i z punktu widzenia Kodeksa Karnego ukończonego odwołać, ani zmienić nie jest władną wola stron, i obojętnym będzie czy P. K. O. nazwie sumę 90.000 długiem należnym jej od Bau, czy innem mianem. Państwo i Kodeks Karny nazywają czyn Baua oszustwem. I za to oszustwo Bau winien być ukarany.

---

W marcu 1925 r. Marjan Linde zwrócił się do P. K. O. z prośbą o udzielenie mu pożyczki w ilości 75.000 zł. pod zastaw skonsolidowanej Renty Rumuńskiej 1922 r., przedstawiającej wartość około 25.000 funtów i notowanej na giełdzie londyńskiej po kursie wynoszącym około 33% jej nominalnej wartości, a więc stanowiącej równowartość około 8.000 funtów. Samych papierów Marjan Linde nie posiadał i przedstawił jedynie zaświadczenie firmy Ringhoffer Werke o tem, że wspomniane walory zdeponowane są na jego rzecz w Oversea Bank w Londynie. Naczelnik Wydziału Papierów Wartościowych P. K. O., Hertz, zwrócił uwagę prezesowi Lindemu, który przychylnie potraktował prośbę brata, na fakt, że z udzieleniem pożyczki należałoby poczekać do chwili kiedy sama renta będzie złożona do P. K. O. Jednakże Linde odpowiedział, iż bratu jego pieniądze są gwałtownie potrzebne, a po samą rentę pośle się do Londynu kogoś z urzędników. I otóż znów mamy do czynienia z tą dziwną lekkomyślnością ujawnianą w załatwianiu poważnych interesów pieniężnych,

Marjanowi Lindemu asygnowano 75.000 natychmiast przed złożeniem do P. K. O. renty, Prawda, iż świadkowie zeznawali, że Ringhoffer Werke jest firmą solidną, która nie mogła wystawić fałszywego zaświadczenia, w każdym jednak razie co najmniej lekkomyślnem jest lombardowanie papierów co do których nie było pewności, że nie były podjęte z Owersea Bank, co przecie wogło nastąpić po wydaniu zaświadczenia przez Ringhoffer Werke. Lekkomyślność ta wprawdzie nie pociągnęła za sobą żadnych poważnych skutków, gdyż po pewnym czasie renta znalazła się w posiadaniu P. K. O., w każdym bądź razie jest to jeszcze jeden więcej przyrzek do charakterystyki gospodarki Lindego.

Po asygnowaniu pieniędzy Hubert Linde wezwał dyrektora P. K. O. Steina i polecił mu udać się do Londynu po złożoną tam rentę. I znów, Panowie Sędziowie, musimy zwrócić uwagę na fakt, który podkopuje nasze zaufanie do dobrej wiary Lindego, zaufanie do intencji jego, które jakoby miały mieć na celu tylko dobro ogólne i nie skażone były nigdy dążeniem do celów ubocznych, prywatnych. Linde zeznał przed Sądem, że Stein udawał się do Londynu w interesach P. K. O. i że tylko przy okazji niejako miał załatwić sprawę renty. Temu wyjaśnieniu przeczy przedewszystkiem to, że kosztami podróży Steina obciążono rachunek Marjana Lindego, który prawdopodobnie nie zgodziłby się na ten wydatek gdyby podróż nie była przedsięwziętą wyłącznie w jego interesie. Powtóre sam Stein zeznał, że delegowany był do Londynu w tej jednej sprawie i nic innego nie załatwiał.

Linde wyjaśniał nam, że przyjęcie renty pod zastaw uważał za interes korzystny dla P. K. O. Otóż człowiek dobrej wiary tłumaczyć się przed zarzutem działania na szkodę interesów P. K. P. mógłby w tym wypadku tylko pod jednym warunkiem: iż nigdy nic nie ukrywał w swej działalności i niczemu nie nadawał innego charakteru, aniżeli rzeczywisty. Ale jeżeli ów dobry interes trzeba maskować w ten sposób, że jazdę Steina do Londynu przedstawia się, jako mającą na celu interesy P. K. O. i to nietylko przed Sądem, ale od pierwszej

chwili, żądając od Min. Spraw Zagr. dyplomatycznego paszportu dla urzędnika jadącego jakoby w sprawach P. K. O., to nie można wymagać, ażeby wiara w jakiś idealny pierwiastek finansowych operacji, robionych na rzecz brata a w rezultacie szkodliwych dla P. K. O. została niezachwiana i nie można pretendować do roli człowieka, myślącego jedynie o interesach Państwa, czy też państwowej instytucji.

Obecnie należy poruszyć kwestję, mającą dla sprawy istotne, prawne, a nie moralne znaczenie. A mianowicie kwestję czy lombard Renty Rumuńskiej był przez prawo dozwolonym, czy Statut P. K. O. upoważniał Lindego do przeprowadzania tego rodzaju operacji finansowych. Otóż niewątpliwą jest rzeczą, że nie tylko Linde, ale i Rada Zawiadowcza nie miały prawa przyjąć pod zastaw obcego papieru państwowego.

§ 3 Statutu lit. h. ustala, że zadaniem P. K. O. jest udzielania pożyczek krótkoterminowych, przyczem zgodnie z § 4 pożyczki winny być udzielane na cele publiczne oraz na cele gospodarcze, przyczem szczególnie „uwzględnia się gwarancje w formie papierów, wymienionych w p. f, § 3“ t. j. papierów wartościowych, państwowych komunalnych przez państwo gwarantowanych... Z tego wynika, że przyjęcie pod zastaw papieru obcego państwa było przez Statut zakazane. Sprawą lombardu papierów wartościowych zajmowała się parokrotnie Rada Zawiadowcza P. K. O., która w zasadniczej swej decyzji z dnia 6 listopada 1924 r. powziętej przy udziale przedstawicieli Ministerstwa Skarbu uchwaliła pozostawić do dyspozycji Prezydjum P. K. O. sumę miliona złotych na udzielenie pożyczek pod zastaw przede wszystkim papierów dywidendowych“; pożyczki te miały być wydawane w wysokości 75% kursu giełdowego papierów państwowych, a 40% kursu giełdowego papierów dywidendowych. Drugi milion złotych, przeznaczono na udzielanie pożyczek pod zastaw wyłącznie papierów procentowych państwowych. Następnie przeznaczono jeszcze dwukrotnie po miljonie złotych, decyzjami tej samej mniej więcej treści, przyczem decyzja z dn. 29 stycznia 1925 r. mówiła o udzielaniu



pożyczek „pod zastaw papierów procentowych“, nie określając bliżej ich rodzajów. Jednakże świadkowie, którzy brali udział w obradach Rady Zawiadowczej, jak np. p. Minister Zdziechowski, p. wice minister Zaczek, twierdzili, że wszystkie uchwały miały na celu wprowadzenie pewnych uproszczeń w udzielaniu kredytu lombardowego i zostawienie w tym względzie swobody prezesowi przez zwolnienie go od obowiązku wyjednywania w każdym poszczególnym wypadku zastawu decyzji Rady Zawiadowczej. Przyczyny takiego częściowego przelania swej kompetencji na rzecz prezesa wypływały z charakteru kredytu lombardowego, przy którym osoba dłużnika nie odgrywa żadnej roli, lecz tylko ma znaczenie wartość zastawianych przez niego walorów. Nie mogły jednak te uchwały zmieniać zasadniczo Statutu i nie mogły pozwalać na udzielanie kredytu pod zastaw takich papierów, jakie przez Statut nie były przewidziane. Nikt ze świadków, badanych w tej kwestji nie zeznał nic, coby upoważniała do twierdzenia, że Linde czy też P. K. P. mogły udzielać kredytu pod zastaw papierów obcego państwa; cała zaś działalność Lindego pod tym względem stwierdza, że nie miał on osobiście żadnych pod tym względem wątpliwości. Naczelnik Wydziału Papierów Wartościowych Hertz na pytanie, czy kiedykolwiek jakkolwiek papier obcego państwa był lombardowany zeznał, że zastaw Renty Rumuńskiej był jedyną transakcją tego rodzaju.

Linde broni się, twierdząc, że transakcja z Rentą Rumuńską miała na celu rozwinięcie szeroko kredytu, nadanie kapitałom P. K. O. większego obrotu, wreszcie, że była bardzo korzystna dla P. K. O. O tem ostatnim argumentem mówić będziemy później, tu jednak stwierdzić musimy, że nie można przytaczać wypadku jedyne go i uważać go za dowód stosowania jakiejś ogólnej zasady powtóre zaś pamiętać musimy, że ten jedyny, bezprawny niewątpliwie wypadek zlombardowania papierów obcych był dokonany na rzecz rodzzonego brata. Kłamliwość argumentów Lindego staje się coraz bardziej widoczna, a postać człowieka kreślącego wielkie, jakoby, plany wciąż maleje. Transakcja z Rentą Rumuń-

ską była zrobiona nie w imię dobra P. K. O. ale dla dogodzenia bratu. Linde chce to ukryć — bezskutecznie.

Może jednak transakcja ta nielegalna i faworyzująca brata była istotnie korzystną dla interesów P. K. O...

Na podstawie wyjaśnień biegłych możemy z całą pewnością stwierdzić, że Renta w dniu jej zastawienia przedstawiała wartość około 200.000 zł. Pierwotne obciążenie wzrastało skutkiem udzielania wciąż nowych pożyczek, aż doszło wreszcie sumy 300.000 zł. i to w momencie, kiedy kurs Renty był ten sam, gdyż złoty nie ulegał wahaniu. Była więc chwila, że Renta była obciążona ponad swą wartość na sumę około 100.000 zł. Linde przekroczył nawet i ten przepis, który nie mógł ulegać żadnemu komentowaniu, gdyż wyraźnie mówił o nieobciążaniu papierów zastawianych ponad 75 lub 40% ich wartości,

Linde tłumaczy się, że o obciążeniu Renty ponad jej wartość nie wiedział, że nie jego rzeczą było wnikać tak we wszystkie drobiazgi, aby wiedzieć na jaką sumę jest dany papier obciążony. Tłumaczenie znów niezgodne z prawdą. Wiemy bowiem, że lombardowanie papierów było w myśl uchwały Rady przekazane prezesowi P. K. O.; on jeden mógł przyjąć dany papier do lombardu i określać sumę pożyczki, on jeden mógł decydować o dalszem obciążaniu papieru. Oczywiście nie było jego obowiązkiem prowadzenie specjalnych ksiąg własnoręcznie, ale obowiązkiem było nadawanie ogólnych dyrektyw a w tak wyjątkowym wypadku zapytanie się odnośnego urzędnika, referującego sprawę o jej szczegóły, a więc o giełdowy kurs papieru, o jego wartość i zabezpieczenie, wreszcie o jego dotychczasowe obciążenie o ile chodziło o dalsze pożyczki. Hertz stwierdza, że lombardowanie papierów Linde zastrzegł dla siebie wyłączenie, a potwierdza to pismo Lindego skreślone kilka dni po ustąpieniu, a opiewające, że „polecenie uzupełnienia lombardu na podkład Renty Rumuńskiej... wydałem p. Naczelnikowi Hertzowi“. Tak więc wszelkie sumy obciążające Rentę wydane były na polecenie prezesa Lindego. Pomimo tej oczywistości Linde tłumaczy się, że ostatnią sumę 60.000 zł. wypła-

cono bez jego wiedzy i nawet powołuje się na fakt, poparty dokumentami piśmiennymi, że 16 czerwca t. j. w dniu, kiedy sumę tę zaksięgowano na rachunku lombardowym Marjana Lindego, był nieobecny w Warszawie. I znów mamy do czynienia z nieprawdą, z nieprawdą świadomą, nie z obroną swych błędów, ale z wykręcaniem się od odpowiedzialności... Rzeczywiście 16 czerwca Linde był nieobecny. Jednakże Hertz zupełnie kategorycznie stwierdza, że zaksięgowanie pożyczki 60.000 zł. pod datą 16-go nie oznacza bynajmniej momentu jej przyznania i zeznaje, iż pamięta dobrze, że suma była asygnowana na wyraźne polecenie Lindego a na poparcie swoich słów przytacza okoliczność stwierdzoną przez znajdujące się w sprawie dokumenty. Hertz mianowicie mówi, że wyasygnowanie wspomnianej sumy 60.000 zł. nastąpiło po złożeniu przez Marjana Lindego listu, stwierdzającego wyższy jakoby kurs Renty Rumuńskiej. Ten list z podpisem Marjana Lindego znajduje się w aktach sprawy; adresowany do P. K. O. i otrzymany przez nią 15 czerwca, stwierdza, że lombardowana w P. K. O. Renta Rumuńska „przedstawia sprzedażną wartość 62%.” t. j. w złotych wartą jest około 385.000 zł. Na podstawie tego listu Marjan Linde prosił o dalszą pożyczkę w kwocie 60.000 zł. Pomijając więc owo pismo Huberta Lindego, stwierdzające, że wszelkie uzupełnienia lombardu Renty Rumuńskiej były robione z jego polecenia, pismo o którym Linde w tłumaczeniu swoim widocznie zapomina, możemy na podstawie listu Marjana Lindego i zeznań Hertza, z całą pewnością twierdzić, że wynikła wątpliwość, czy można udzielać dalszych pożyczek pod zastaw papieru, obciążonego już i tak w dniu 15 czerwca ponad swą wartość, że wątpliwość tę Hertz wyraził wobec Huberta Lindego i że dla stworzenia pozorów legalności zażądano od Marjana Lindego wspomnianego listu. Oczywiście list ten jest kłamliwy. Renta nie przedstawiała wartości 62%; mamy cały szereg zawiadomień różnych banków, w okresie kiedy Marjan Linde po raz pierwszy wystąpił z żądaniem pożyczki, z których widać, jak notowaną była Renta, mamy zresztą ceduły giełdy londyńskiej, do któ-

rych mógł zajrzeć Hubert Linde, gdyby chciał naprawdę wiedzieć, czy można udzielić dalszej pożyczki. Hubert Linde jednak zlekceważył wszelkie środki prowadzące do poznania prawdy, oparł się na liście kłamliwym, wydał pożyczkę wiedząc, że brat jego kłamie, a dziś sam zasłania się przed nami nieprawdą, twierdząc, że ostatnia pożyczka była wyasygnowana nie na jego zlecenie. Te wykręty nie doprowadzą do niczego. Zeznanie Hertza, poparte przytoczeniem okoliczności, stwierdzonych następnie dokumentami, a wreszcie własne pismo, znajdujące się w aktach P. K. O. stwierdzają, że od pierwszej do ostatniej wszystkie pożyczki wydawane pod zastaw Renty Rumuńskiej, udzielane były na skutek decyzji prezesa P. K. O. I stało się z winy Huberta Lindego to, co się stać musiało: P. K. O. w obecnej chwili jest wierzycielką Marjana Lindego na sumę 19.000 zł., z tytułu wspomnianego lombardu i sumy tej Marjan Linde nie spłaca. Strata zmniejszyła się dlatego, że na skutek spadku złotego wartość Renty, opiewającej w funtach sterlingach wzrosła w stosunku do zobowiązań wyrażonych w złotych i wynosiła około 305.000 zł. za jakie została sprzedana. Kapitał istotnie wycofano, procenty jednak nie zostały dotychczas zapłacone w całości i czy będą zapłacone niewiadomo. Linde miał odwagę twierdzić, że była to transakcja korzystna dla P. K. O. Z tem zdaniem jednak nie może się zgodzić nie tylko żaden z biegłych, ale wogóle nikt z myślących logicznie ludzi. Skoro z wypożyczonego kapitału i należnych od niego procentów odzyskano tylko kapitał i drobną część procentów, to transakcja musi być uznana za złą. Jak każda instytucja bankowa P. K. O. musi mieć zyski od wypożyczanych kapitałów. Jeżeli tych zysków niema, jeżeli dłużnicy zwracają tylko kapitały, to egzystencja instytucji jest niemożliwą, gdyż nie będzie ona miała możliwości pokrywania swoich wydatków. Na czem miał polegać zysk P. K. O. z tej transakcji, Linde nie wyjaśnił, gdyż wyjaśnić nie mógł. Rzucił przed Sądem frazes pusty mający pokrywać jedynie to, co w tej sprawie było istotnem—faworyzowanie interesów brata. Frazes ten nie obali zarzutu świadomie

szkodliwego dla P. K. O. działania jej prezesa. Nie obali faktu, iż Linde świadomie wbrew Statutowi i uchwałom Rady dał pod zastaw papieru, którego nie wolno było lombardować sumę znacznie przewyższającą jego wartość.

---

Przechodzę do czwartego punktu oskarżenia, mianowicie do sprawy gwarancji. Zanim przystąpię do istoty rzeczy, chcę Wam, Panowie Sędziowie, przypomnieć pewne anteriora, które napozór nie łącząc się z samą sprawą, są jednak w istotnym i głębokim z nią związku.

W kwietniu 1925 r. nabyto majątek Petrykozy dla Marjana Lindego na jego żądanie. Marjan Linde chciał, jak zeznał w śledztwie, założyć „Sierociniec“, fundację dobroczynną, mającą na celu wychowywanie i kształcenie pewnej ilości młodych chłopców. Nabycie odbyło się w warunkach oryginalnych, jak na kupno dużego obiektu, wartości około 600.000 zł. Przedewszystkiem więc sam Marjan Linde przed kupnem, przed zadatkowaniem majątku tego nie widział, po wtóre sprzedaż odbyła się z tak niesłychaną szybkością, że to zadziwia nawet w zestawieniu z szybkością załatwienia niektórych spraw w P. K. O. Bo jeżeli duże transakcje, jak zastaw Renty Rumuńskiej lub nabycie cegły od Baua, załatwiano w ciągu 24 godzin, to majątek dla Marjana Lindego kupiono w ciągu kilkunastu minut. Pan Madeyski przyjechał w pierwszy dzień świąt Wielkiejnocy do Platera, właściciela Petrykoz w Grójeckiem, i powiedział, iż ma kupca na jego majątek, kupca tak bogatego, iż cena nie odegra żadnej roli. To też nic dziwnego, że Plater, zaledwie skończywszy śniadanie Wielkanocne, udał się do sąsiedniego majątku Dańkowa, gdzie podówczas znajdował się Hubert Linde i w ciągu kwadransa, chodząc po ogrodzie, całą transakcję z Madeyskim ukończył. Nie omówiono wprawdzie terminów, ale zgodzono się na rzecz zasadniczą, na cenę, która wynosiła 564.000 zł. Ta zastanawiająca szybkość zdawałaby się dowodzić, że nabywca istotnie jest człowiekiem tak bogatym, że kilkaset tysięcy złotych nie ma dla niego znaczenia, że

est to miliard, który koniec swego życia, spędzonego na robieniu majątku, chce uwieńczyć jakimś wielkim filantropijnym czynem. Oczywiście w tym wypadku pośpiech byłby zrozumiały.

Ale dalszy bieg wypadków wykaże, że nabywca, któremu jakoby „nie zależy zupełnie na cenie“, kupuje Petrykozy wyłącznie za pieniądze P. K. O., nie posiadając własnej gotówki. Pierwszą ratę — 75.000 zł. Plater otrzymał 1 maja. Pieniądze te były uzyskane z zastawu Renty Rumuńskiej. Następne jednak sumy wpłacane były nie z własnej kieszeni, i nie z pożyczek, zaciągniętych na posiadane walory, lecz z sum zdobytych drogą czynów nieetycznych, spełnianych przy pomocy brata, którego odpowiedzialność zresztą jest nie tylko moralną, ale karną.

16 lipca przypadał termin zawarcia aktu rejentalnego i zapłacenia Platerowi 184.000 zł. I otóż na pewien czas przed tym dniem Hubert Linde udzielił bratu swemu w imieniu P. K. O. gwarancji na zaciągnięty gdzie indziej dług. Sprawa gwarancji była punktem wyjścia dla całości toczącego się procesu, była pierwszym krokiem na drodze do wykrycia nielegalnego pierwiastku w czynnościach Huberta Lindego. Jak wzmiankowałem, Marjan Linde potrzebował na dzień 16 lipca około 200.000 zł. Renta Rumuńska już od 16 czerwca była obciążona powyżej wartości, dalej nie można było jej obciążać, należało poszukać innej formy kredytu. Marjan Linde za pośrednictwem Baua — bo bez niego nic się nie może stać ani w rodzinie Lindów, ani w P.K.O. — zaczyna szukać kredytu. Znalaziono go wreszcie w Banku Depozytowym; jednak Bank Depozytowy, finansowany przez fundusze angielskie, zgodził się udzielić pożyczki tylko o tyle, o ile będzie dana odpowiednia gwarancja, którą oczywiście mogła być i gwarancja P.K.O. Taka gwarancja została udzielona. Z dokumentu tego pozostały dzisiaj strzępki naklejone na kawałku papieru, ale treść daje się ustalić bez trudności. Na blankiecie prezesa Kasy Oszczędności za Nr. 127 z datą 14 lipca wypisano dokument, adresowany do firmy Johnson Matthey w Londynie, w którym powiedziano: „Oświadczamy, że za punktualny wpływ powyższych—

wydanych przez Marjana Lindego — akceptów przyjmujemy wobec panów solidarną z dr. Marjanem Linde odpowiedzialność i zobowiązujemy się na wypadek przedłożenia nam protestów tych akceptów wykupić je u panów w ciągu trzech dni od daty przedłożenia“. Gwarancja, podpisana przez prezesa Huberta Lindego, opatrzoną została pieczęcią P. K. O.

Jest to dokument, który wytwarza dla P. K. O. — żadnej wątpliwości pod tym względem mieć nie możemy — zobowiązanie zapłacenia długu, zaciągniętego przez Marjana Lindego w razie, jeśli on sam go nie uiści. Urzędowa pieczęć, blankiet, cały wogóle zewnętrzny wygląd pisma, wreszcie liczba mnoga, użyta przez autora, obalają odrazu to tłumaczenie, które Linde początkowo dawał, zaniechawszy go zresztą wkrótce, iż gwarancję wydał tylko w swoim imieniu i tylko siebie osobiście uważał za zobowiązanego do jej ewentualnego pokrycia.

Udzielanie gwarancji jest operacją bankową, zdarzającą się, zwłaszcza w ostatnich czasach, dość często. Nieraz bank wydaje gwarancję, nie chcąc, lub nie mogąc w danym momencie zaangażować większych kapitałów, a wierząc jednocześnie, iż dłużnik należność zaciągniętą gdzieindziej zapłaci. Jest to rodzaj jakby żyra czy poręczenia ze strony banku. Za tę pomoc w uzyskaniu kredytu banki pobierają wynagrodzenie nie mniejsze, jak nam powiedzieli biegli, niż  $\frac{1}{2}\%$  miesięcznie.

Należy się przedewszystkiem zastanowić, czy ta operacja bankowa mogła być przez P.K.O. albo jej prezesa przeprowadzoną.

Statut P. K. O. słowa „gwarancja“ nigdzie nie wymienia i tego rodzaju operacji bankowej nie przewiduje, znając dwie tylko formy kredytu, a mianowicie: lombard papierów wartościowych i pożyczki weksłowe krótkoterminowe. § 4 Statutu mówi mianowicie, że kapitały obrotu czekowego P. K. O. lokuje, po zabezpieczeniu odpowiedniej płynności gotówki, częściowo w papierach wartościowych, wymienionych w § 3 p. f., o których mówiłem wyżej, częściowo „w postaci pożyczek krótkoterminowych płatnych w przeciągu 6 miesięcy“.

Udzielanie kredytów, zgodnie z § 9 Statutu należy do Rady Zawiadowczej. Wprowadzie uchwały z listopada 1924, o których również mówiłem wyżej, przełały część uprawnień w tym względzie na prezesa P. K. O. pozwalając mu na samodzielne udzielanie kredytu lombardowego, pożyczki jednak wekslowe pozostawiono w kompetencji Rady Zawiadowczej. Ten stan prawny odpowiadał całkowicie stanowi faktycznemu gdyż wszyscy urzędnicy P. K. O. lub członkowie Rady Zawiadowczej twierdzili z całą stanowczością, iż kredytu wekslowego na najmniejszą nawet sumę prezes P. K. O. nie mógł udzielić nikomu. Linde, w liście do Prezesa Ministrów Grabskiego i tu przed Sądem, starał się dowieść, że udzielanie gwarancji leżało w zakresie jego uprawnień. Uprawnienia prezesa P. K. O., określone w § 8 Statutu, nic podobnego nie przewidują. Poza organizacją, ogólnem kierownictwem P. K. O. reprezentowaniem jej nazewnątrz, wykonywaniem budżetu i przyjmowaniem personelu Prezes mógł ujawniać swoją samodzielność jedynie przez wykonywanie prawa veto przeciw uchwałom Rady Zawiadowczej, której był przewodniczącym. Jeżeli Statut, przestrzegany zresztą w tym względzie, nie zezwalał prezesowi na udzielanie kredytu osobistego bez pozwolenia Rady t. j. samodzielnego angażowania kapitałów P. K. O. to tem mniej wolno mu było samodzielnie przeprowadzać takie operacje bankowe, które również angażowały majątek P. K. O. stwarzając niebezpieczeństwo zapłaty poręczzonego długu, a które przez Statut nie były przewidziane.

Może jednak Linde ma słuszość twierdząc, że wydanie gwarancji nastąpiło wskutek błędnego pojmowania przez niego przepisów Statutu i granicy uprawnień Prezesa. Gdyby tak było moglibyśmy mówić jedynie o błędzie, o nieświadomem przekroczeniu władzy, moglibyśmy czynić mu zarzuty jako urzędnikowi, ale człowiek i jego oblicze moralne zostawałoby czyste... Niestety, tak nie jest. Linde zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że takiej czynności dokonać nie miał prawa, że gwarancję wydał bezprawnie, faworyzując interes prywatny, interes swego brata.



Przedewszystkiem gdyby działał, będąc przeświadczonym o słuszności swego postępowania, to wydanie gwarancji nie odbyłoby się w tak szczególnych warunkach, nie byłoby otoczone tak nadzwyczajną tajemniczością.

W księgach P. K. O. nie zostało śladów wydania gwarancji. Biegli poprostu nie rozumieją, jak można było wydać zobowiązanie obciążające, jak się wyrazili technicznie „obligo“ instytucji bez zaksięgowania go. My wiemy, że nie było ono zaksięgowane nie tylko w księgach handlowych P. K. O., ale nie przeszło przez żaden wogóle dziennik, nie było ujawnione w jakikolwiekby sposób; Nr. 127 Pr. wystawiony na owej gwarancji jest numerem dowolnym, fikcyjnym, nie odpowiadającym żadnemu istotnemu zapisowi w księgach P. K. O. Dlaczegoż ten poważny dokument na 10.000 funtów sterlingów został w taki sposób wystawiony? Jeżeli Linde uważał, że jego prawem było wydawanie gwarancji, jeżeli sądził, że może udzielić kredytu w tej formie, to dlaczegoż udzielał go w tajemnicy, nie tylko z zaniedbaniem elementarnych przepisów obowiązujących instytucje finansowe, ale nawet w tajemnicy przed wszystkimi urzędnikami P. K. O., przed wice prezesem Zelechowskim, który nie wiedział o istnieniu gwarancji i zapytany o nią przez przedstawicieli władz kontrolujących musiał dopiero informować się co do tej kwestji u braci Lindów, którzy nie od razu wyjaśnili sytuację. To utrzymywanie w tajemnicy tranzakcji, która przez Statut nie była przewidziana, której nigdy P. K. O. nie załatwiała, którą wyraźnie faworyzowano interesy braterskie, świadczy niezbitnie iż Hubert Linde zdawał sobie doskonale sprawę, iż wydając gwarancję przekracza swe pełnomocnictwo, przeprowadza operację bankową, której przeprowadzić nie ma prawa.

Obrona Lindego polega dziś na tem, że twierdzi on, iż gwarancji takich udzielał więcej, a gwarancję udzieloną bratu ukrył dlatego, że nie chciał, aby o niej dowiedział się ktokolwiek, gdyż zjawiliby się liczni petenci z tego samego rodzaju żądaniem, nie zasługujący na kredyt, którym jednak odmawiać nie chciał. To ostat-

nie tłumaczenie w ustach prezesa potężnej instytucji finansowej jest tak naiwne, że przestaje być śmiesznem, a jest przede wszystkim przykrem, jak każdy wykręt którego próbuje człowiek dorosły, odpowiedzialny, człowiek, który powinien mieć odwagę ponoszenia konsekwencji za swoje czyny. Dłużej nad tym tłumaczeniem zatrzymywać się nie chcę. Bardziej zasługującym na uwagę byłby pierwszy argument, gdyby był prawdziwy. Niestety jest on również kłamstwem. Poza dwiema gwarancjami, udzielonemi bratu, Hubert Linde w imieniu P. K. O. żadnej innej gwarancji nie wydał. Tak zeznali wszyscy urzędnicy, a i on sam powołał się tylko na rzekomą gwarancję wydaną kooperatywie. „U siebie“. Dokument ten jednak gwarancją nazwany być nie może i nią nie jest. Dosłownie brzmi on jak następuje: „Prezydjum P. K. O. podaje do wiadomości Banku Gospodarstwa Krajowego, że wypłaci Spółdzielczemu Stowarzyszeniu Mieszkaniowemu. „U siebie“ w ciągu pierwszej połowy września r. b. pożyczkę krótkoterminową w sumie 200.000 zł.“.

Jak widzimy dokument ten nie jest poręczeniem za spłatę pożyczki, jaką Bank Gospodarstwa Krajowego ma udzielić. Jest to poprostu zawiadomienie, czy też obietnica, która żadnych zobowiązań dla P. K. O. nie stwarza. Pomijając fakt, że udzielenie pożyczki zależy musiało od Rady Zawiadowczej i obietnica Lindego nie była obietnicą właściwej i kompetentnej osoby, podkreślić należy stronę prawną samego dokumentu. Gdyby we wrześniu Rada Zawiadowcza z tych czy innych powodów nie mogła udzielić pożyczki Spółdzielni, to ani Spółdzielnia, ani Bank Gospodarstwa Krajowego nie mogłyby mieć żadnej pretensji prawnej do P. K. O.; pretensja ich byłaby jedynie natury czysto moralnej. Oczywiście solidność instytucji wymagałaby dotrzymania obietnicy prawnie jednak nie stwarzało powyższe pismo żadnych zobowiązań dla P. K. O. To też charakter dokumentu i okoliczności towarzyszące wydaniu jego są odmienne aniżeli te, które miały miejsce przy wydaniu gwarancji. Jest to pismo wystosowane do instytucji państwowej nie ukrywane tajemniczo, zapisane

nietylko w prywatnym notatniki prezesa, dostępne dla każdego.

Zbliżał się termin zapłaty należności Banku Depozytowego. Marjan Linde gotówki nie miał i zaczęło się gorączkowe poszukiwanie pieniędzy. Znaleziono wreszcie sposób na zdobycie gotówki. Bankier warszawski Goldfeder, dzięki swoim stosunkom i znajomościom, dostał na pewien czas portfel akcji Towarzystwa Budowy Domów i Hoteli pod firmą „Ritz“, od głównego, bodaj jedyne go, akcjonariusza Silbermana i za jego zgodą zgłosił się do P. K. O. aby je złombardować i uzyskać pożyczkę w sumie 250.000 zł. I w tym wypadku okoliczności towarzyszące udzieleniu wspomnianej pożyczki są charakterystyczne i rzucają ciekawe światło na stosunki panujące w P. K. O.

Podanie Goldfedera, datowane 7 października, wpłynęło tegoż dnia do P. K. O. i tegoż samego dnia znalazło się w rękach naczelnika wydziału papierów wartościowych Hertza. Na ostatniej stronie arkusza, na którym było pisane podanie, streszczona jest cała, niezmiernie ciekawa historia owej pożyczki. 8 października Hertz przedkłada prezesowi P. K. O. swój wniosek w sprawie udzielenia kredytu Goldfederowi. Wniosek ten jest zasadniczo przychylny dla petenta, ale uzależnia udzielenie pożyczki od sprawdzenia przez specjalną komisję szacunku wojewódzkiego, ustalenia obecnej wartości nieruchomości i otrzymania kaucyjnego zapisu hipotecznego; po wykonaniu tych warunków pożyczka może być udzielona—wnioskuje Hertz—w wysokości od połowy do  $\frac{3}{4}$  szacunku, po odliczeniu 133.000 zł. stanowiących równowartość przedwojennego hipotecznego długu. Linde postanowił wysłać do Białegostoku inżyniera Tokarza zamiast Komisji, nie określając jednak terminu jego wyjazdu, warunek zaś co do hipotecznego zabezpieczenia, projektowany przez Hertza, skreślił pisząc lakonicznie: „Towarzystwo Akcyjne“. Wyjaśnienie co znaczyły te dwa słowa, znajdujemy zarówno w zeznaniach Hertza i Lindego, jak i w notatce, którą ostrożny Hertz tegoż dnia zrobił obok swego wniosku; „dnia 8. X. o godz. 12.20—pisze on—otrzymałem telefonicznie

polecenie p. Ministra, aby wypłata nastąpiła bez gwarancji hipotecznej ze względu na to, że będziemy mieli 100% akcji i możemy w każdej chwili sami przeprowadzić zahipotekowanie". Tak więc Linde udzielał pożyczki 250.000 złotych pod zastaw akcji nie notowanych na giełdzie, bez sprawdzenia wartości domu, stanowiącego własność Towarzystwa, bez zahipotekowania wreszcie pożyczanej sumy. Ostatnią okoliczność Linde jak mówiliśmy, tłumaczy tem, że mając 100% akcji Towarzystwa P. K. O. była doskonale zabezpieczona. Pogląd oczywiście najzupełniej mylny. Posiadanie akcji nie zabezpieczało bynajmniej przed sprzedażą lub obciążeniem nieruchomości, należącej do Towarzystwa „Ritz” przez jego zarząd, w którym P. K. O. nie była przecież reprezentowaną. Zbędnym byłoby dowodzenie, że transakcja taka wobec łatwości zwołania zarządu była możliwą do przeprowadzenia i P. K. O. mogła się znaleźć w tej sytuacji, że byłaby posiadaczką akcji Towarzystwa nie mającego żadnego majątku lub obciążony hipotecznie ponad wartość, i, w najlepszym razie, miałyby przed sobą proces o bardzo wątpliwym wyniku. Uniknąć tego niebezpieczeństwa można było albo uzyskując miejsce w zarządzie towarzystwa, albo obciążając nieruchomość zapisem hipotecznym. Wprawdzie Silberman i Goldfeder twierdzili, że taki wypadek był niemożliwy, że oni nie mogliby narażać się na proces o silnem zarzuceniu kryminalnem, że posiadanie akcji jest zabezpieczeniem pewniejszym niż hipoteka i t. d. Nie chcę ujmować nic ani p. Goldfederowi, ani p. Silbermanowi, ale nie mogę się zgodzić z tem, aby sam fakt posiadania akcji dawał akcjonariuszowi lepsze zabezpieczenie jego należności od towarzystwa akcyjnego aniżeli zahipotekowanie pretensji na nieruchomości należącej do tego towarzystwa, zwłaszcza jeżeli nie jest on reprezentowanym w zarządzie i nie wpływa na zmniejszenie wartości tegoż, bądź nawet na całkowitą sprzedaż. Takim też było późniejsze stanowisko P. K. O., która z chwilą ustąpienia prezesa Lindego zażądała od Silbermana zabezpieczenia sumy udzielonej pod zastaw

akcji J. Rietz sumy na hipotecę nieruchomości towarzystwa, na co Silberman zgodził się bez protestu.

Istotną przyczyną pośpiechu w udzieleniu pożyczki było to, że termin płatności gwarancji zbliżał się i wszelka zwłoka groziła protestem weksli Marjana Lindego i ujawnieniem tak starannie ukrywanego faktu wydania gwarancji za jego dług. Na drugi dzień, 9 października, nastąpiły rzeczy jeszcze dziwniejsze. Goldfeder powiększył swe żądanie, prosząc o 300.000 złotych pożyczki. Linde oczywiście zgodził się na to i napisał nową decyzję następującej treści: „wypłacić 300.000 złotych o ile żądany dowód — ilość akcji — będzie dostarczony dodatkowo oraz zobowiązanie nie zaciągania długów“. Decyzja ta nastąpiła skutkiem nowego żądania Hertza, który uważał za niezbędne otrzymanie zaświadczenia, że złożone akcje stanowią cały kapitał spółki oraz rejestralnego dokumentu, a właściwie deklaracji, że poza 133.000 zł. inne długi nie obciążają i obciążać nie będą majątku Towarzystwa. Co do tej decyzji Hertz zeznał szczegółów niezmiernie ciekawy; twierdzi on, że słowa „o ile“ zostały dopisane później, że początkowo, gdy on, Hertz, rezolucję Lindego czytał słów tych nie było. Oczywiście te dwa słowa znacznie zmieniają treść decyzji; jeżeli one tam figurowały to należało czekać na złożenie żądanych przez Hertza dokumentów, jeżeli ich nie było, należało wypłacić pieniądze natychmiast. Na kogo innego pada również odpowiedzialność za udzielanie pożyczki jeśli była wydana na podstawie decyzji, zawierającej w sobie zastrzeżenie i na kogo innego, jeśli decyzja zastrzeżenia nie zawierała; w pierwszym wypadku odpowiedzialnym za wypłatę pieniędzy jest Hertz, w drugim—Linde.

Panowie Sędziowie, przypuszczam, niestety, że zastrzeżenie, zawarte w słowach „o ile“ zjawilo się dopiero później. Goldfeder bowiem zeznaje, że warunki, które mu Hertz stawiał, przyjął 8 października, i obiecał dostarczyć żądane dowody w dniu 10 października, tymczasem decyzja była napisana 9 października, przed złożeniem dowodów, a pieniądze wypłacono Goldfederowi tegoż dnia, dowody zaś dostarczone były później.

Hertz nie wydałby asygnaty na 300.000 zł., gdyby decyzja nie była bezwarunkową, nie zawierającą żadnych zastrzeżeń. Wobec katerycznej formy—asygnować pieniądze musiał. Jeżeli przypomnimy sobie, że gwarancja, a właściwie zobowiązania Marjana Lindego miały być płatne 7 października, to zrozumiemy łatwo ten gorączkowy pośpiech i przychylimy się stanowczo do poglądu o późniejszym wpisaniu przez Lindego zastrzeżenia do jego decyzji z 9 października: chodziło o jak najszybsze otrzymanie pieniędzy przez Golfedera i zapłacenie długu Marjana Lindego, o nieujawnienie wydania gwarancji. Tak więc wypłacono Goldfederowi 300.000 zł., sumę podwyższoną w ostatniej chwili przezeń, podwyższoną dlatego, że 250.000 zł. żądane pierwotnie nie wystarczały na pokrycie należnych 10.000 funt. Goldfeder pieniądze otrzymane oddał w tejże chwili czekającemu w przedsiönku P. K. O. Bauowi—komużby innemu—który kupił czek na Londyn w Banku Cukrownictwa i zaniósł go do Banku Depozytowego. Gwarancja na razie była spleacona, oczywiście pieniędzmi P. K. O. i zdawało się, że sprawa wydania jej będzie zatajona zupełnie. Ale niestety znalazł się człowiek ostrożny. Był nim p. Zysman, dyrektor Banku Depozytowego, który bojąc się ewentualnej odpowiedzialności za przekroczenie przepisów dewizowych zapytał telefonicznie Ministerstwo Skarbu czy można pieniądze z tytułu wspomnianej gwarancji przesłać do Londynu. Urzędnik Ministerstwa Skarbu p. Lewicki odpowiedział, że skoro P. K. O. wystawiła gwarancję, to niewątpliwie wydanie jej ma jakieś gospodarcze cele i zgodnie z duchem przepisów dewizowych można je przesłać do Londynu. Cała rzecz jednak zaniepokoiła odpowiednie władze w Ministerstwie Skarbu i zarządono zbadanie powyższej sprawy. Wiemy, że nie odrazu ustalono fakt wydania gwarancji; Linde był nieobecny, a wiceprezes Zelechowski nic o wydanej gwarancji nie wiedział. Marjan Linde zapytany, czy otrzymał od P. K. O. jakąkolwiek gwarancję początkowo zaprzeczył; wreszcie jednak komisja rewizyjna wyjaśniła sprawę, a Minister Grabski zażądał w dniu 23 września wyjaśnienia od

Lindego. Linde w liście swym z 17 października odpowiada, iż list gwarancyjny podpisał w przekonaniu, iż przysługuje mu w tym względzie prawo wypływające z § 8 Statutu P. K. O. który powierza prezesowi ogólne kierownictwo sprawami tej instytucji. Dopuszczając możliwość mylnego interpretowania przez się tego artykułu pisze on dalej: „Śmiem zapewnić Pana Ministra, iż w chwili podpisywania listu gwarancyjnego działałem w poczuciu przysługującego mi prawa, tembardziej, że sprawa przedterminowego spłacenia długu była dla mnie poza wszelką wątpliwością, jak również kwestja nie narażania P. K. O. na jakiegokolwiek bądź niebezpieczeństwa z powodu tej gwarancji. Na dowód słuszności mego najgłębszego przekonania w tej sprawie pragnę przytoczyć fakt, iż w chwili obecnej list omawiany został anulowany, tem samem gwarancja upadła, a P. K. O. żadnych strat z tego tytułu nie poniosła“...

Panowie Sędziowie, w chwili kiedy Linde list pisał gwarancja istotnie była „anulowana“, a nawet podarta, ale zapłacił ją nie ów dłużnik, zasługujący na najzupełniejsze zaufanie, lecz P. K. O. Niebezpieczeństwo zapłacenia długu nie tylko groziło, ale się już zrealizowało: P. K. O. zapłaciła 10.000 funtów sterlingów. List Lindego usiłował zamaskować istotny stan rzeczy i wprowadzić Ministra Grabskiego w błąd. Ale Premier Grabski jest człowiekiem przenikliwym. Bada on codziennie przysyłane mu przez P. K. O. wykazy stanu lombardowych pożyczek i widzi, że w dniu 9 października suma ich wzrosła nagle o 300.000 zł. Ten wzrost jest czemś tak niezwyčajnym, a w zestawieniu z „anulowaniem“ gwarancji tak wiele mówiącym, że Grabski powtórnie żąda w dnin 16 października wyjaśnienia od Lindego. Linde pisze 19 października drugi list w którym mówi: „Co zaś do sprawy pożyczki 300.000 zł. pod zastaw akcji spółki akcyjnej „Ritz“, wyasygnowanej bez uchwały Rady Zawiadowczej, to została ona wypłacona z sumy ryczałtowej 4 miliony złotych przyznanej uchwałami Rady Zawiadowczej na lombard papierów wartościowych“. W tym miejscu tłumaczenie Lindego jest o tyle słusznym, iż miał on formalne prawo lombardowania

akcji i uchybienie jego polega na tem, że zlombardował akcje nienotowane na giełdzie, nie zabezpieczając wydanej pożyczki... „W kwietniu— pisze dalej— zgłosił się do mnie gen. Zwierzchowski przynosząc plany i ofertę na nabycie realności w Białymstoku od Towarzystwa „Ritz“, za sumę 600.000 zł., dodając, iż skupem akcji zajmują się interesowani akcjonariusze i że w swoim czasie złoży pełny portfel“. To nieprawda! Gen. Zwierzchowski nic podobnego nie mówił. Zapytywał tylko, czyby P. K. O. nie kupiła nieruchomości należącej do Tow. „Ritz“. Zapytywał dwukrotnie. Za pierwszym razem otrzymał odpowiedź, iż jest to rzeczą możliwą, za drugim razem, w rozmowie telefonicznej usłyszał, iż nie jest to sprawa, którąby można odrazu załatwić. Dziś Linde tłumaczy się, iż kupno tej nieruchomości było rzeczą pilną i należało czemprowadzić lombardować akcje, aby w ten sposób zapewnić sobie możliwość kupna potrzebnej dla P. K. O. nieruchomości. Panowie Sędziowie, w kwietniu kupno nie było rzeczą, którąby można odrazu załatwić, 7 października stało się sprawą arcypilną. Ale bo też, Panowie Sędziowie, w kwietniu nie groził fakt ujawnienia gwarancji... „Z końcem września— pisze dalej Linde — zgłosił się do mnie Goldfeder wręczając pakiet tych akcji wraz z dokumentami co do realności, tudzież proponując narazie gażowanie portfela za połowę tej sumy i dając opcję ustną do nabycia na termin kilku miesięczny, przyczem złożył własny weksel i opłacił procenty od lombardu“. Znow nieprawda. Tranzakcja z Goldfederem ani na jedną chwilę nie miała charakteru innego, niż zlombardowanie akcji, które, dodać należy, nie miały określonej wartości, jako nie notowane na giełdzie. „Zbieg terminu tego lombardu—kończy swój list Linde—z terminem gwarancji na sumę 10.000 funtów jest całkowicie przypadkowy i nadawanie temu zbiegowi celowego znaczenia mogę przypisać tylko daleko idącym wnioskom Komisji Rewizyjnej“. Jeszcze raz nieprawda... Z tego listu widać, w jakim stopniu Linde nie miał odwagi przyznać się do popełnionego czynu, a nie miał jej dlatego, że wiedział dokładnie, iż popełnił czyn nielegalny.



W pierwszym liście nie chce powiedzieć wyraźnie, iż dał gwarancję za dług swego brata, tylko przemilczając jego nazwisko mówi o odpowiedzialnym kliencie. W drugim liście popełnia kłamstwo twierdząc, że 300.000 zł. były jakgdyby częścią ceny kupna nieruchomości firmy „Ritz“ i zaprzeczając bijącemu w oczy związkowi między pokryciem gwarancji, a udzieleniem pożyczki Goldfederowi. To ostatnie kłamstwo jest zanadto oczywiste. Nieprawdą jest, aby Linde nie wiedział, jakie było przeznaczenie tych trzystu tysięcy złotych. Pośpiech w asygnowaniu pieniędzy Goldfederowi, niczem na pozor nie usprawiedliwiona podwyżka wypożyczanej sumy o 50.000 zł., nieządanie innego zabezpieczenia poza portfelem akcji, wreszcie fakt, iż transakcja ta odbywa się w dzień płatności długu Marjana Lindego firmie Jonson, że suma pożyczki Goldfedera odpowiada wysokości tego długu, to wszystko pozwala twierdzić, że Linde dokładnie wiedział co robi lombardując akcje Tow. „Ritz“. A i pośrednictwo Baua w tej sprawie wskazuje aż nadto jasno, że Hubert Linde wiedział, że Goldfeder to nikt inny, jak Marjan Linde.

To moje głębokie, wewnętrzne przekonanie o kłamliwości wyjaśnień Lindego składanych zarówno w liście do Ministra Skarbu, jak i przed Sądem podzielał człowiek niesłuchanie na wszelkie kłamstwo wrażliwy i w karceniu go bezwzględny. Tym człowiekiem jest Prezydent Ministrów Władysław Grabski, który otrzymawszy list z 19 października wezwał Lindego do siebie i oświadczył mu, że pracować z nim razem nie chce i nie może, że jedynym wyjściem z sytuacji jest podanie się Lindego do dymisji. I, Panowie Sędziowie, Hubert Linde podanie o dymisję tegoż dnia złożył. Czyż złożyłby je gdyby uważał się za niewinnego, lub gdyby wierzył w to co pisał? Panowie Sędziowie! Minister Grabski mógł tolerować błąd, mógł przejść do porządku dziennego nad nieformalnością, nad przekroczeniem władzy, mógł wybaczyć nawet straty wyrządzone P. K. O. ale pod jednym warunkiem—wiary w etyczną niepokalaność Lindego. Kłamstwa Grabski znieść nie mógł. Nie mógł znieść; że na czele finansowej instytucji

stoi człowiek, który nadużywa swego stanowiska dopuszczając się niedozwolonych operacji na korzyść brata i który w decydującej chwili zamiast przyznać się do błędu, czy choćby winy, zasłania się kłamstwem. Wszelka tolerancja musiała się skończyć. Minister Grabski czuł, że usunięcie Lindego, to dyskredytowanie P. K. O., to skandal, który może go obalić, jako ministra, jako Premjera, a przez to zniszczyć plan, który jego zdaniem niezbędny był dla ratowania finansów Polski, a jednak żadne względy, nawet państwowej natury nie skłoniły go do zatuszowania ujawnionego faktu... Były dwukrotny Minister, prezes P. K. O. został usunięty z zajmowanego stanowiska w ciągu 24 godzin, został usunięty bez żadnych wahań w sposób taki, w jaki się nie usuwa najniższego nawet urzędnika jeżeli tylko można mieć dla niego jakieś względy... Grabski żadnych względów dla Lindego nie miał. On, człowiek prawdomówny, człowiek bez zarzutu, człowiek przeciwko któremu nikt w Polsce nie może wysunąć cienia zarzutu moralnego, zmiotł z powierzchni publicznego życia człowieka, którego nie mógł szanować, któremu nie mógł wierzyć, na którym zaciążył zarzut natury etycznej.

W tej sprawie, Panowie Sędziowie! najbardziej ujawnia się małość Lindego. Nie umiał oprzeć się podszepotom brata, ulegał mu — nie po raz pierwszy zresztą — dla jego prywatnych interesów narażał interesa P. K. O., a kiedy przyszedł moment krytyczny, kiedy zaczęły ujawniać się jego czyny nie miał odwagi przyznać się do winy i wykręcał się, składając przez to dowód, iż w postępowaniu jego nie było omyłki, czy błędu, lecz świadome uchybienie swoim obowiązkom.

Prócz gwarancji spleaconej pieniędzmi P. K. O. pod pozorem udzielenia pożyczki Goldfederowi była jeszcze druga gwarancja, o której Linde zamilczał w swoich listach do Grabskiego, zamilczał przed Sędzią śledczym, a zamilczał dlatego, że łudził się, iż nie będzie ona ujawnioną w toku sprawy. Wydana była na zabezpieczenie pożyczki 20.000 dolarów, udzielonej Marjanowi Lindemu przez wiedeńską firmę Julius Feingold w początkach

grudnia z chwilą nadejścia terminu płatności długu. Linde liczył, że brat dług zapłaci, że uda się gwarancję utaić i dlatego milczał aczkolwiek logika człowieka, któryby uważał się za niewinnego, nakazywała fakt wydania gwarancji ujawnić.

Wydana w ten sam sposób jak pierwsza, gwarancja ta została ujawniona przez Marjana Lindego już po wytoczeniu śledztwa. W pierwszych dniach grudnia Marjan Linde zgłosił się do prezesa P. K. O. Szmida i, zawiadamiając go o istnieniu jeszcze jednej gwarancji, prosił o nieujawnienie jej. Oczywiście prezes Szmidt zadość uczynić prośbie tej nie mógł, odpowiednie władze zawiadomił, a gdy nadszedł termin płatności długu, P. K. O., wobec nieuregulowania go przez Marjana Lindego, zapłaciła tym razem gotówką, bankowi Feingolda należność 20.000 dolarów.

Powstaje kwestja czy P. K. O. poniosła szkodę i jaką? Otóż, moim zdaniem, szkoda miała miejsce niewątpliwie. Wypłacenie 300.000 zł. wyrządziło szkodę dla P. K. O. ograniczając jej środki obrotowe i dając, wzamian gotówki, akcje niewiadomej wartości. Tembardziej oczywistą i niewątpliwą jest ta strata w drugim wypadku, gdzie wypłacono 20.000 dol. nie otrzymując nic za nie. Wprawdzie obydwie te sumy są dziś zabezpieczone na majątku Marjana Lindego, a mianowicie na jego sanatorium w Zakopanem, ale zabezpieczenie późniejsze a nawet wynagrodzenie poniesionej szkody nie może, moim zdaniem, zmieniać istoty występnego czynu. Z chwilą, kiedy na skutek świadomie — a to już jest chyba ponad wszelką wątpliwość — nielegalnych czynności kierownika instytucji finansowej, ta instytucja musi zapłacić znaczne pieniężne sumy, wyrządzenie szkody winniśmy uważać za dokonane i późniejsze jej pokrycie czy to przez winnego, czy też przez osobę, która z jego winy korzystała, nie może anulować tych wszystkich czynników, jakie składają się na przestępstwo przewidziane przez art. 578 K. K.

Przystępuję do ostatniej części oskarżenia, a mianowicie do sprawy zakupu przez P. K. O. obligacji kolejowych b. dzielnicy austrijackiej.

27 grudnia 1924 r. ukazało się rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej o przerachowaniu zobowiązań Skarbu państwa Austriackiego i Węgierskiego, a między innymi obligacji kolejowych, zabezpieczonych na kolejach państwowych b. dzielnicy austrijackiej. W myśl Traktatu w St. Germain, Polska obowiązana była wykupić obligacje, obciążające te koleje państw zaborczych, które przeszły w całości do Rzeczypospolitej. Kolei takich było w b. dzielnicy Austriackiej dwie: kolej arcyksięcia Karola Ludwika i kolej arcyksięcia Albrechta. Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej jest więc wykonaniem zobowiązania ciążącego na nas oddawna. § 5 wspomnianego rozporządzenia ustala, że obligacje kolejowe, o których była mowa, „będą wymieniane na emitować się mającą specjalną konwersyjną pożyczkę kolejową po kursie 15 zł. za 100 koron nominalnych“, wyjąwszy obligacje kolei Albrechta z roku 1877, które miały być wymieniane w stosunku 30 zł. za 100 koron nominalnych. Zasadniczą więc zasadą spłacania tego długu państwowego było wydanie w przyszłości pożyczki konwersyjnej, przyczem równowartością dawniejszych 100 koron miało być 15 zł. w tej pożyczce. Toż samo rozporządzenie regulowało sprawę obligacji pożyczek, które były zaciągnięte przez „b. kraj Galicję“; obligacje te miały być wymienione również na pożyczkę konwersyjną po kursie 20 zł. za 100 koron. Ponieważ wszystkie te obligacje znajdują się dzisiaj zarówno w rękach obywateli polskich, jak i austriackich, więc bardzo szybko aktualnem stało się pytanie, o ile przy wymianie ich na przyszłą pożyczkę konwersyjną ma być stosowany art. 43 rozporządzenia z dn. 14 maja 1924 r. Rozporządzenie to, regulując sprawę przerachowania zobowiązań prywatno-prawnych, orzekało, że „cudzoziemiec może korzystać z jego postanowień, jeżeli w państwie, którego jest obywatelem, obywatele polscy co do swych należności pieniężnych są traktowani na równi z obywatelami własnymi“.

Ustawową odpowiedź na to pytanie dało rozporządzenie z 27 grudnia 1924 r., którego § 9 mówi, że do przerachowania należności, nie objętych rozporządzeniem z dnia 14 maja 1924 r., stosować należy posiłkowo — o ile analogja jest uzasadniona — ogólne przepisy tego rozporządzenia z dnia 14 maja 1924 r., a zwłaszcza (między innymi) § 43 — 45. Wreszcie rozporządzenie z 20 lipca 1925 r., wydane dla przygotowania konwersji obligacji kolei Karola Ludwika i Albrechta nakazało złożyć wszystkie obligacje w Urzędzie Pożyczek Państwowych wraz z dowodami co do obywatelstwa właściciela obligacji, oraz co do obywatelstwa osoby, która była właścicielem obligacji w dniu 21 maja 1924 r.; § 4 tego rozporządzenia orzekł, że w razie „jeśli obywatelstwo właściciela i prawo własności obligacji w dniu 21 maja 1924 r. nie zostanie w sposób dostateczny uwiarogodniony odnośne obligacje będą przy konwersji traktowane, jako własność obywateli austrijackich“. Znaczyło to, na podstawie zasady wzajemności, i wobec niezwaloryzowania przez skarb austriacki jego zobowiązań, że obligacje te będą wykupywane po takiej cenie, jaką za swe zobowiązania płaci swoim obywatelom Austria; jednym więc słowem o ile obligacja kolejowa w dniu 21 maja 1924 r. znajdowała się w rękach obywatela polskiego, o tyle przy wymianie i spłacie jej przez Państwo Polskie, właściciel jej miał otrzymać za każde 100 koron pożyczkę konwersyjną wartości 15 zł.; jeśli zaś w dniu tym była własnością obywatela austriackiego, to skarb polski wypłacać będzie według zdania biegłych, opartego na znajomości stosunków finansowych Austriackich od 1 — 2 groszy za obligację 100 koronową. Widzimy więc, że od chwili ukazania się tego rozporządzenia t. j. od dnia 29 lipca każda instytucja państwowa, kupując owe obligacje musiała żądać dowodów jej pochodzenia t. j. ustalać kto był jej właścicielem 21 maja 1924 r. Warunek jasno sprecyzowany, niemożliwy do nieprzestrzegania go pod groźbą narażenia Skarbu na wielkie straty. Zobaczymy niebawem, jak był przestrzegany przez Lindego przy wykonaniu jego planu, do omówienia którego przechodzę.

W krótkim czasie po wydaniu rozporządzenia regulującego spłatę zobowiązań przez Państwo Polskie w początkach kwietnia 1925 r. Linde wezwał do siebie naczelnika wydziału Papierów Wartościowych, Hertza, i powiedział mu, że przed P. K. O. otwiera się duża praca wielkiego państwowego znaczenia a mianowicie skup obligacji kolejowych Kolei Arcyksięcia Albrechta i Karola Ludwika. Oczywiście przy wykonaniu takiego planu należało określić pewne wytyczne co do sposobu nabycia i wysokości ceny. O sposobie nie pomyślano; znaleźli się zresztą, jak to niebawem zobaczymy, usłudźni a nie bezinteresowni pośrednicy, którzy dostarczali obligacje w wielkich ilościach. Wytyczne co do ceny ustalono w sposób niesłychanie oryginalny, zapomocą niespotykanego, moim zdaniem, w życiu finansowem, procesu myślowego. Rozumowanie Lindego było mniej więcej takie: pożyczka Odrodzenia, miljonówki, i inne zobowiązania państwowe spłaca się dzisiaj pożyczką konwersyjną; kurs giełdowy tej pożyczki stanowi około połowy kursu nominalnego t. j. papier wartości 100 zł. można dostać za 50 zł.; obligacje więc pożyczki kolejowej, które się kiedyś w niewiadomym czasie ukazą, prawdopodobnie będą miały taki sam kurs. Jeżeli P. K. O. będzie je nabywała, wychodząc z tego założenia, po cenie nieco niższej niż ten przewidywany kurs giełdowy to zrobi świetny interes dla Państwa. To rozumowanie jest tak oryginalne, że musimy je wyjaśnić na konkretnym przykładzie. 100 koronowa obligacja kolejowa ma być spłacana nową pożyczką kolejową w wysokości 15 zł.; ten 15-złotowy papier będzie można—tak przewiduje Linde—nabywać za połowę wartości t. j. za 7.50 gr.; jeżeli więc obligacje stukoronowe będzie się nabywać dziś nie po 7.50 zł. ale po 5 czy 6 zł. to państwo zrobi doskonały interes.

Pomijam narazie ten sposób rozumowania, ale nie mogę nie zwrócić uwagi na to, że Linde zlekceważył treść wszystkich rozporządzeń dotyczących się wspomnianych obligacji kolejowych, a przedewszystkiem rozporządzenia z dn. 14 maja i rozporządzenia z 20 lipca. Szczególniej to ostatnie, które ukazało się w toku nabywania

przez P. K. O. obligacji, przeprowadzało tak wyraźną różnicę pomiędzy obligacjami, które znajdowały się w dn. 21 maja 24 r. w rękach obywateli polskich, a tymi, które były w rękach obywateli obcych, że powinno było bądź zupełnie przerwać to samowolnie bez należytego uprawnienia podjęte nabywanie obligacji, bądź przynajmniej pobudzić Lindego do należytej kontroli i sprawdzania ich pochodzenia. Albowiem obligacje, co do których udowodniono ich „polskie pochodzenie“, jak przywykliśmy mówić podczas przewodu sądowego, miały być płacone 15-złotemi w pożyczce kolejowej za 100 koron, a obligacje „pochodzenia nie polskiego“, na podstawie wspomnianych rozporządzeń i zasady wzajemności stanowiły wartość jednego czy dwóch groszy za 100 koron. Jednak już po rozporządzeniu z dnia 20 lipca P. K. O. żadnej dystynkcji nie przeprowadzała i od swoich stałych „dostawców“ nie wymagała niczego, coby dowodziło takiego lub innego pochodzenia obligacji i, co za tem idzie, ustalało taką lub inną ich wartość. A przecież różnica tych wartości była bardzo wielka, taka właśnie jaka dzieli 15 zł. choćby nie w gotówce, lecz w obligacji nowej pożyczki wypłaconych, od jednego grosza gotówką.

Rezultaty tego zaniedbania, przy samowolnie przedsięwziętych operacjach okazały się najfatalniejsze. Wszystkie obligacje zakupione przez P. K. O. zostały zgodnie z rozporządzeniem z 20 lipca przedstawione, już po ustąpieniu Lindego, do urzędu pożyczek państwowych, który je zakwestjonował, gdyż żadna nie była zaopatrzona w dowody, czyniące prawdopodobnym jej polskie pochodzenie. Z zeznań prezesa Szmida wiemy, iż, objąwszy prezesurę P. K. O., zwrócił się do wszystkich sprzedawców obligacji, żądając od nich wspomnianych dowodów, ale otrzymał je tylko od gen. Salickiego, który zresztą sprzedał obligacji za nieznaczną sumę. Inni sprzedawcy dowodów po dziś dzień nie dostarczyli. I jeżeli weźmiemy pod uwagę, że sprzedawcami tymi byli Bau, Pomorski, który właściwie jest tylko podstawioną przez Baua osobą, wreszcie kryjący się za Ma-dejskim lub za Polono Romano, Marjan Linde, to doj-

dziemy do wniosku, że dowodów pochodzenia tych obligacji nabywanych przez te osoby w celach spekulacji, P.K.O. nie otrzyma i przedstawić ich do urzędu pożyczek państwowych nie będzie w stanie wskutek czego, gdy przyjdzie kiedyś moment regulowania tej sprawy, Skarb Państwa zapłaci P.K.O. w stosunku 1 grosza za 100-koronową obligację, a ponieważ P. K. O. jest instytucją państwową, więc będzie to właściwie tylko moment ostatecznego ustalenia wysokości strat państwowych wyrażonych przez prezesa P. K. O. A straty te będą duże, gdyż jak nam to powiedzieli biegli i, jak możemy z łatwością sami obliczyć, wartość obligacji pochodzenia obcego w świetle rozporządzenia z 20 lipca, zasady wzajemności idecyzji Urzędu Pożyczek Państwowych, wynosi około 3000 zł., podczas kiedy zapłacono za nią około półtora miliona.

Linde i dziś jeszcze twierdzi, że nabywał obligacje kolejowe chcąc za tanie pieniądze kupić zobowiązania, za które państwo musiałyby kiedyś płacić znacznie drożej. Linde powołuje się wciąż na swoją dobrą wolę... Ale przedewszystkiem Państwo musi zapytać Lindego, kto go upoważnił do tego rodzaju transakcji. Dobra wola w dziedzinie wielkiej polityki finansowej to jeszcze bardzo mało. Można mieć jaknajlepszą wolę, a nie posiadać żadnych danych do podejmowania i wykonywania planów, które dla ich twórcy mogą zapewne wydawać się genialnymi, ale które w gruncie rzeczy są naiwnymi, na niczem nie opartymi, bezzasadnymi fantazjami. Linde nie tylko nie miał żadnych uprawnień do nabywania wspomnianych obligacji, ale jego indywidualne dane były zbyt ubogie, zbyt słabe, ażeby miał prawo porywać się z niemi na wykonanie szerokiego planu. Linde powiada, iż premier Grabski dał mu upoważnienia na nabywanie obligacji. Jednakże p. Grabski zeznał, że nic podobnego nie miało miejsca; że, przeciwnie, powiedział, iż jest to pomysł z punktu widzenia skarbowego bardzo śliski i niepewny, że gdyby nawet spróbować urzeczywistnienia go, to należy działać w porozumieniu z Departamentem Kredytowym Ministerstwa Skarbu, że wreszcie Linde go o decyzję nie pytał. Wi-



docznem więc jest, że Linde nie posiadał nietylko uprawnień Statutowanych, ale również i zezwolenia jedyne go człowieka, który mógł dać to zezwolenie, a mianowicie Ministra Skarbu.

Z pełną więc, twierdzą, świadomością nielegalności działania Linde rozpoczął realizować swój plan. Pierwszy transport obligacji kolejowych nabyty był w dniu 7 maja, oczywiście od Wilhelma Baua; były to obligacje kolei Karola Ludwika, nominalnej wartości 700.000 koron, za które zapłacono 60.400, zł. Jak wiadomo zasada obliczenia była ta, aby skupywać w stosunku około 7 zł. za 100 koron. Miał to być, według Lindego, świetny interes dla Państwa. Zdaje mi się, że dziś świetność tego interesu znacznie zbladła, natomiast wyjaśniło się, jaki interes zrobił Wilhelm Bau. Bau sprzedał P. K. O. w ciągu maja obligacji Karola Ludwika za sumę 4 milionów zgórą koron, za co otrzymał 289.000 zł. Obligacje te miały podówczas tylko jeden rozumny sprawdzian ich wartości, a mianowicie — kurs giełdy wiedeńskiej, na tej jednej bowiem giełdzie były one notowane. Biegli powiedzieli nam, że przy nabywaniu obligacji każdy kierownik poważnej instytucji kierowałby się wskazówkami giełdy. Istotnie, jeżeli w mieście odległym od 12 godzin jazdy od Warszawy można zakupić papiery notowane na tamtejszej giełdzie, to kupując je z jakiegokolwiek bądź innego źródła należało przedewszystkiem kierować się rynkową ceną tego towaru. Zapewne, nabywanie tych walorów, które stanowiły dług Państwa Polskiego, mogło odbywać się nawet z pewnem przepłacaniem ich, wytłumaczonym przyszłymi zyskami. Przepłacanie to jednak nie mogło być nadmiernem, gdyż owe zyski w przyszłości nie były tak łatwe do wyliczenia wobec operowania w tem równaniu jedną wielką niewiadomą — jaki będzie kurs „emitować się mającej“ nowej pożyczki konwersyjnej. Powtóre Linde powinien był zwrócić uwagę na to, że pomimo wydania rozporządzenia z dn. 27 grudnia 1924 r. kurs papierów na giełdzie wiedeńskiej nie podniósł się w tak wysokim stopniu, co nastąpiło wskutek tego, że żaden finansista Europy nie rozumował tak, jak on, że żaden

nie wyliczał przyszłych kursów nie wydanej jeszcze pożyczki według kursu innej pożyczki już znajdującej się w obrocie. Bo przecież gdyby obliczenie Lindego było słuszne, to niewątpliwie w głowach finansistów Europejskich plan podobny zrodziłby się natychmiast po ukazaniu się rozporządzenia z 27 grudnia i kurs obligacji rósłby w znaczniejszej mierze. Tymczasem gdy porównamy ceny, jakie płaciła P. K. O. za dostarczone jej obligacje i kurs ich na giełdzie wiedeńskiej, to zobaczymy, że kiedy w Wiedniu za 100-koronową obligację płacono na nasze pieniądze 3 zł. 37 gr. to tegoż dnia Bau w Warszawie otrzymywał za nie 7 zł. 20 gr., czyli z górą 100% więcej. Takim był zarobek Baua. Biegli obliczyli, że Bau, sprzedawszy P. K. O. obligacji Karola Ludwika za 354.000 zł. otrzymał o 191.000 zł. za wiele (przyjmując za podstawę obliczenia kurs giełdy wiedeńskiej). Żadne wyrachowanie, żaden interes państwowy nie usprawiedliwi płacenia podwójnych cen spekulantom typu Baua. Bo gdyby nawet wiadomo było, że istotnie obliczenia przyszłych korzyści są zasadne, to w żadnym razie nie wolno było Lindemu płacić fantastycznych, na niczem nie opartych cen za to, co mógł, co mógł, powtarzam, nabywać o połowę taniej z innych rąk. Umiejętne zorganizowanie skupu obligacji w Wiedniu pozwoliłoby nabywać je po cenie giełdy Wiedeńskiej z doliczeniem kilku—biegli powiedzieli, że jednego do dwóch—procent, ponad ich wartość. A gdyby nawet kurs giełdy wiedeńskiej podnosił się stale, to w każdym razie nie prędko doszedłby tej ceny, jaką Linde płacił Bauowi, i o ileby akcja cała prowadzona była zrzęcznie. Specjalne zaś trudności nie nastreczały się wobec tego, że władze austrijackie nie wydały zakazu sprzedaży i wywożenia za granicę wspomnianych obligacji kolejowych. Ale Linde wolał kupować obligacje od Baua, który zwoził je z tegoż Wiednia całemi walizkami, i sprzedawał w cenie mniejwięcej 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub>—7 zł. za 100-koronową obligację,

Nagle jednak interesy Baua popsuł właściciel kantoru bankierskiego Skowronek. Zjawił się on u Hertza i oświadczył, że te same papiery, za które Bau otrzy-

muje zgorą 6 zł. za sztukę, on gotów jest sprzedać znacznie taniej. Jeżeli bowiem Bau dostaje 48 groszy gotówką za jeden złoty przyszłej pożyczki konwersyjnej kolei, to on żąda tylko 28 groszy za złoty. P. K. O. nabyła od Skowronka po tej cenie obligacji za sumę około 100.000 złotych. Już po pierwszej transakcji ze Skowronkiem t. j. po 19 czerwca Bau sprzedał pewną ilość obligacji, za które Hertz obliczył mu należność po tej samej cenie, jaką płacił Skowronkowi; Bau oburzył się, wystosował do P. K. O. podanie, żądając podniesienia ceny i, na skutek decyzji Lindego, wypłacono mu według kursu 38 gr. za złoty, co wyniosło 6.400 zł. różnicy. Poza tem Bau sprzedał jeszcze obligację 4<sup>0</sup>/<sub>0</sub>-wej pożyczki Królestwa Galicji i Lodomerji za 120.000 zł., których wartości ustalić nie można, gdyż nigdzie nie były notowane. Prócz Bau i Skowronka dostawców było ogółem 15 osób. Większość z nich jednak zrobiła jedną czy dwie drobne transakcje, sprzedając prawdopodobnie własne, nie w celach spekulacyjnych nabyte papiery, główne zaś transakcje przeprowadzone były z Bauem, jego szwagrem Pomorskim i Madejskim, czyli Marjanem Linde. Ceny jakie płacił Linde za obligacje przedstawiały się w ten sposób — przytoczę tylko parę ustalonych przez biegłych cyfr: 19 czerwca w Wiedniu 100-koronowa obligacja kol. Korola Ludwika kosztowała 2 zł. 55 gr. — w Warszawie płacono za nią 4 zł. 20 gr.; 2 sierpnia cena takichże obligacji w Wiedniu była 1 zł. 75 gr. — w Warszawie P. K. O. płaciła za nią 4.50 zł.; 1 września — w Wiedniu 1.58 zł., — w Warszawie — 4.65 zł. Podobna różnica między kursem giełdy Wiedeńskiej, a cenami P. K. O. miała miejsce przy nabywaniu obligacji kolei Arcyksięcia Albrechta; tak np. 29 września kurs 100-koronowej obligacji tej kolei w Wiedniu wynosił 1.40 zł. — w Warszawie P. K. O. płaciła 4.60 zł. Takie transakcje ku pożytkowi państwa, takie niezmiernie korzystne dla Skarbu Polskiego operacje prowadzono w ciągu 4 zgorą miesięcy, i biegli powiadają nam dzisiaj, że wszystkie obligacje, nabyte przez P. K. O. nabyć można było na giełdzie Wiedeńskiej za ogólną

sumę 796.864 zł., P. K. O. zaś zapłaciła za nie 1.450.000 zł. zgórą. Poszczególne pozycje przedstawiają się w sposób następujący: za obligacje kolei Karola Ludwika, warte według kursu giełdy wiedeńskiej 528.030 zł., P. K. O. zapłaciła 1.163.715 zł.; za obligacje kolei Arcyksięcia Albrechta warte 52.528 zł. P. K. O. zapłaciła 81.101 zł., wreszcie za obligacje, których kurs nigdzie nie był notowany, jak obligacje Banku Krajowego Galicji i pożyczkę królestwa Galicji i Lodomerji P. K. O. zapłaciła 215080 zł. Dzisiaj zaś obecny prezes P. K. O. zeznaje, że całą sumę, wydaną na obligacje musiał przy zastosowaniu bilansu na rok 1925, odpisać na straty, gdyż wobec rozporządzenia z dn. 20 lipca 1925 r. i braku dowodów, któreby ustalały obywatelstwo właściciela i prawo własności obligacji w maju 1924 roku, wartość ich wynosi zgodnie z opinią biegłych około 4000 zł. Że obliczenia biegłych i wnioskowanie prezesa Schmidta jest słuszne dowodzi fakt, że Państwowy Urząd Pożyczek wszystkie obligacje nabyte przez P. K. O. zakwalifikował, jako będące obcego pochodzenia wskutek czego nie podlegają one wypłacie pożyczką konwersyjną kolejową, lecz będą płacone gotówką, która to suma w myśl wzmiankowanych rozporządzeń i zasady wzajemności wyniesie ściśle 3700 zł.

Wspomniałem już pokrótce o sprzedawcach obligacji. W obecnej chwili dla należytego oświetlenia familijno-przyjacielskiego charakteru tych interesów i dla zupełnego wyjaśnienia sprawy w czyich to interesach były robione te wszystkie transakcje pozwolę sobie przytoczyć niektóre szczegóły. Obligacji kolei Karola Ludwika P. K. O. kupiła za 1.163.715 zł. Z tego trzecią część, bo 354.000 zł. otrzymał Bau, zarabiając na tej operacji w stosunku do kursu giełdy wiedeńskiej 192.000 zł. Pomorski, szwagier Baua, człowiek bez żadnych środków, funkcjonariusz w kinematografie, podstawiona przez Baua osoba, sprzedał P. K. O. obligacji za 190.000 zł., na czem zarobek, jego, a właściwie jego szwagra, wynosił 132.000 zł. Madejski (Marjan Linde) sprzedał tychże obligacji za 144.000 zł. zarabiając na nich w stosunku do kursu giełdy wiedeńskiej 98.000 zł. Skowronek, sprze-

dał obligacji za 106.000 zł. zarabiając na nich 30.000 zł. Nieznany bliżej Küchner za 150.000 zł., zarabiając na nich 84.000 zł. Pozostałe 200.000 zł. zapłacono kilku osobom, lub instytucjom bankowym; które sprzedały obligacji za niewielkie względnie sumy, nie przekraczające 30.000 zł. To samo było z obligacjami kolei Arcyksięcia Albrechta, gdzie Pomerskiemu wypłacono 19.000 zł, za obligacje, których kurs giełdowy wynosił 6.000 zł. Madejskiemu—10.000 zamiast 4.800 zł. Wreszcie za pożyczki, których wartość giełdowa nie dała się ustalić, wypłacono Bauowi 120.000 zł., Pomerskiemu 20.000 zł., Madejskiemu, vel Marjanowi Lindemu — 13.000 zł. Innym zaś osobom mniejsze sumy. Zgórą więc 60% transakcji P. K. O. zawarła z bratem prezesa, lub totumfackim rodziny Lindów Wilhelmem Bau.

Specjalnie jednak ciekawy jest epizod z zakupem obligacji od Madejskiego. Jest to ten sam Madejski, który kupował dla Marjana Lindego Petrykozy od Platera. Otóż pewnego dnia Linde zatelefonował do urzędnika P. K. O. Czaplickiego, zastępcy nieobecnego Hertza i przeprowadził z nim rozmowę jedyną w swoim rodzaju, w dziedzinie interesów finansowych. Mamy tu—powiada Linde—ofertę na zakup większej ilości obligacji kolei Karola Ludwika, złożoną przez p. Madejskiego. Oczywiście Czaplicki przyjmuje to do wiadomości i wykonania, komunikując prezesowi, że obliczy proponowane papiery po 28 groszy za 1 zł. waloryzacyjny t. j. po 4.20 za 100-koronową obligację, tak, jak wówczas t. j. w sierpniu płacono wszystkim sprzedawcom. Linde sprzeciwia się — nie możemy krzywdzić biednego ziemianina p. Madejskiego; Państwo robi tak dobry interes, że możemy mu zapłacić po 32 gr. za 1 zł. waloryzacyjny, t. j. po 4.80 gr. za obligację 100-koronową... Czaplicki próbuje protestować. Cóż jednak znaczą protesty Czaplickiego. Biedny ziemianin nie może być krzywdzony przez P. K. O. Czaplicki każe tedy obliczyć przyniesione w walizach walory, i wypłaca 144.000 zł. Gdyby papiery te przyniósł Skowronek, lub kto inny, dostałby za nie o 60 groszy na jednej obligacji, t. j. o 15%, mniej; P.K.O. zapłaciłaby nie 144.000 zł., lecz około 120.000 zł.

P. K. O. uważała za niezbędne wspomóc „biednego ziemianina“ dwudziestu kilku tysiącami złotych.. Kiedy Czaplicki żądał, aby p. Madejski zjawił się po odbiór pieniędzy i podpisanie odpowiednich dokumentów, które podpisywał każdy sprzedawca, Linde odpowiedział mu, że Madejski czekał w gabinecie jego na pieniądze, ale ponieważ bardzo się spieszył, więc pieniądze odbierze i odda mu osobiście on sam. Przy następnych transakcjach działo się to samo. „Biedy ziemianin“, zjawił się w gabinecie Lindego, składał mu obligacje, otrzymywał za nie kurs wyższy aniżeli inni sprzedawcy w tym samym czasie i znikał, nie mogąc się doczekać wypłaty, a pieniądze odbierał za niego Hubert Linde. Przyczyna tej tajemniczości, tego wyższego kursu, jaki płacono Madejskiemu wyjaśniła się całkowicie. Madejski zapytany na śledztwie o szczegóły zawieranych przez niego transakcji odpowiedział, że żadnych obligacji P. K. O. nie sprzedawał i wyjaśnił, że w końcu października już po usunięciu Lindego ze stanowiska prezesa P.K.O., zwrócił się do niego Marjan Linde prosząc o udanie się do P. K. O, i podpisanie papierów dotyczących się sprzedaży obligacji, należących do Marjana Lindego. Madejski do P. K. O. poszedł, dowiedział się, że w jego imieniu sprzedawano jakieś obligacje, ale odpowiednich papierów podpisać nie chciał, gdyż nie uważał za właściwe pokrywanie swoim nazwiskiem niewyraźnej operacji. P. Madejski postąpił bez zarzutu.

I otóż tutaj musimy zapytać, gdzie jest dobra wiara oskarżonego, gdzie jest szczerłość w jego słowach o pożytku transakcji dla Państwa Polskiego? Można bowiem stanąć na gruncie, że w sprawie zakupu obligacji Linde mógł powziąć naiwny plan wykupu ich za jakąś hipotetyczną cenę i za wytyczną wziął przyszły kurs giełdowy niewypuszczonych jeszcze w obieg papierów; można powiedzieć, że tylko karygodnym niedbalstwem i niewybaczalną dla finansisty lekkomyślnością było zorganizowanie w ten sposób wykupu obligacji i płacenie za nie cen trzykrotnych w stosunku do kursu giełdowego. Ale ciągle jeszcze można, z dużą dozą pobłażania, oczywiście, twierdzić, że to był plan powzięty przez naiwnego

finansistę, państwowe poczynanie człowieka, który próbował dokonać zamiarów przewyższających jego siły i zdolności do czasu transakcji z Madejskim można jeszcze wierzyć, że wszystko co Linde robi w tej sprawie, robi dla interesu państwowego. Ale od chwili, kiedy sprzedawcą obligacji staje się ukryty pod obcą maską, brat Huberta Lindego, Marjan Linde, musimy porzucić wszelką pobłażliwość i powiedzieć wyraźnie, że to co się robiło, to się robiło ze specjalnem uwzględnieniem interesu osób prywatnych, a przedewszystkiem swojego brata. I nie można już twierdzić, że korzyści, czy to brata, czy Baua były wypadkowe, że żerowali oni tylko na fantastycznie naiwnych planach Huberta Lindego, ale przeciwnie twierdzić można i należy, że Linde o tym żerowaniu wiedział, że je tolerował, a nawet ułatwiał. Musimy odrzucić zupełnie jego dobrą wiarę. Dlaczegoż to Bau otrzymuje zapłatę za sprzedawane przez niego obligacje w sumie wyższej aniżeli wszyscy inni sprzedawcy? Dlaczegoż to Marjan Linde w tym czasie, kiedy wszystkim płacono za 100-koronową obligację po 4.20 zł. bierze po 4.80 zł.? I dlaczegoż to wreszcie Hubert Linde maskuje te transakcje, przeprowadza ją pod firmą Madejskiego? Po prostu dlatego, że wie, iż nawet w stosunku do swego fantastycznego planu i do swoich celów faworyzuje brata, a krzywdzi P. K. O.! Nic nie przesłoni, nic nie usprawiedliwi faktu, że gdyby obcy człowiek sprzedał Lindemu te obligacje, otrzymałby za nie około 120.000 zł., gdy zaś sprzedał je brat prezesa, zapłacono mu 145.000 zł....

Panowie Sędziowie, nie mam żadnych danych do stwierdzenia, ażeby Linde osobiście ciągnął korzyści z tych wszystkich karygodnych czynów, które jako prezes P. K. O. popełnił. Ale niewątpliwie mam pełne prawo twierdzić, że widział, iż korzyści z tego co robi nielegalnie, nieogłędnie i szkodliwie ciągną wciąż ci sami dwaj ludzie: Wilhelm Bau i Marjan Linde. Hubert Linde był człowiekiem wrażliwym na różne pięknie dźwięczące słowa, Patetycznemi słowami, wzruszającym giestem, rozczulającym obrazem łatwo było przemówić

do niego. Jestem głęboko przekonany, że cała transakcja zakupu obligacji nie była jego pomysłem, że mu ją zbroku zasugerowano, że podjął cudzy plan, obleczony w ładną szatę korzyści państwowych, przykrywając istotny cel dużych, a niezbyt czystych zarobków. Linde miał wiele wrażliwości, nie miał jednak zupełnie krytycyzmu. nie rozumiał, że działalność jego musi być podporządkowana pewnym przepisom prawnym, pewnym zasadom rozumnym, wreszcie pewnym nakazom etycznym. Przypomnijmy sobie udzielenie pożyczki w wysokości prawie 4-letniej pensji trzem urzędnikom P. K. O. na budowę domów. Oczywiście dobrze jest aby urzędnik P. K. O. miał własne mieszkanie. I o tym tylko pamięta Linde, zapomina zaś zupełnie, że takich pożyczek udzielać nie wolno, że jest to zużycie bezprawne funduszków P. K. O., że jest to faworyzowanie paru osób. Ten drobny przykład charakterystycznym jest dla całej działalności Lindego. Ten człowiek, który byłby dobry na stanowisku średniego urzędnika, pozostającego pod cudzym kierownictwem, wyniesiony został przez falę przypadku na znaczną wyżynę, nie mając żadnych danych po temu, aby stać się wyżyną owej godnym. W naszym życiu państwowym widzimy często kroć jednostki, które władza upaja i odurza. Tak samo odurzył i upoił Lindego pieniądź. Rozporządzając znacznymi sumami, decydując o nich, zapomniał o ich istotnym przeznaczeniu, o ich znaczeniu, o tym jak ciężko zdobyć je i gospodarować tak, aby wszystkie braki zaspokoić i wydało mu się, iż te znaczne sumy, te setki tysięcy, są stworzone po to, aby on, Linde, mógł nimi dysponować wedle własnej fantazji, wyświadczać przy ich pomocy przysługi, używać ich na to, co według niego jest pożytecznym, przeprowadzać przy ich pomocy to co według niego, jest korzystne. Ta rozlewność uczuć i fantazji nie była kontrolowana i opanowana ani przez odpowiednie wykształcenie w wyższej służbie państwowej, ani przez wrodzony głęboki i krytyczny umysł. Nie była wreszcie wspomagana przez wysubtelnioną etykę, która nieraz mogła łatwo mu otworzyć oczy na to, że to co robi jest niezgodne ani z su-



mieniem publicznem, ani z moralnością jednostki. Może być, że tę stronę jego duchową wyzyskiwali dwaj ludzie, którzy odurzali go frazesami i odurzonego używali za swe narzędzie. Odpowiedzialności Lindego nie zmniejsza jednak wyjaśnienie genezy jego win i jego upadku.

Przestępstwa jego były przestępstwami umyślnymi, w rozumieniu nie tylko Kodeksu Karnego, ale i pojęć życiowych. Obciążają go nie tylko karnie, ale i moralnie. Odpowiedzialność jego jest nie tylko odpowiedzialnością za formalne, łatwe do wybaczenia, uchybienia pewnym przepisom, ale i za czyny nieetyczne. Jego winą jest nie tylko to w obliczu wszelkiego sądu, że udzielał zakazanych mu przez Statuty pożyczek, że niedbał o interesy powierzonej mu instytucji, nabywając lekkomyślnie nieistniejące towary, nie tylko to, że kreślił i wykonywał fantastyczne a szkodliwe plany, ale także i to, a kto wie, czy nie przede wszystkim to, że to co robił bezprawnego, niedbałego, lekkomyślnego—robił ułatwiając świadomie nieprawne zyski bliskim sobie ludziom. Z procesu dzisiejszego Linde wychodzi nie jako nieszczęśliwy wódz, ale jako jeden z tych tak częstych jeszcze u nas, ludzi użyczających swego stanowiska i swojej władzy na korzyść prywatnych, drobnych spraw.

Pozwolę sobie, Panowie Sędziowie, przypomnieć Wam ludzi i sprawę dawno minionej przeszłości. Przed 30 zgorą laty przed sądem przysięgłych stanął istotnie nieszczęśliwy wódz, chorąży idei Stanisław Szczepanowski. Była to sprawa Galicyjskiej Kasy Oszczędności, której dyrektor, Franciszek Zima, zmarły zresztą przed rozprawą, udzielał Szczepanowskiemu wielkich, a bezprawnych kredytów, naraziwszy kasę na kilka milionów guldenów straty. Stary rewolucjonista, żołnierz z 48 i 63 roku dał się porwać idei uprzemysłowienia Galicji, uwierzył bezwzględnie apostołowi tej idei, zatracił w swoim sumieniu linię dzielącą entuzjazm od lekkomyślności, naruszał depozyty, prowadził fikcyjne książki, byle tylko móc dawać Szczepanowskiemu pieniądze potrzebne mu do rozwoju jego kopalń węgla i jego szybów naftowych. Nadużywał swego stano-

wiska tak, jak nadużywał go Linde. Ale jakaż to między nimi różnica! Pieniądze Galicyjskiej Kasy Oszczędności przeszły nie do kieszeni spekulantów wojennych lecz do rąk robotników i chłopów polskich. Szczepanowski nie zatrzymał z nich dla siebie ani grosza; nie wiedząc, iż nie ma moralnego prawa korzystać z pożyczanych mu sum; i sądząc, że Zima postępuje zupełnie legalnie, brał pieniądze wciąż z jedną myślą — uprzemysłowienia polskiego kraju, uniezależnienia go od niemieckiego przemysłu. A kiedy przyszedł fatalny dzień, kiedy wypadło ponosić odpowiedzialność, to nikt z oskarżonych nie wykręcał się nie kłamał, obydwaj mówili tylko to, co było prawdą... Obydwaj przegrali. Szczepanowski przegrał, gdyż między innymi swoje obliczenia, swój plan przemysłowy oparł na wyliczeniach wiedeńskiego profesora co do grubości pokładów węgla, wyliczenia te zaś zawiodły. Zima przegrał, gdyż wielkość planu Szczepanowskiego olśniła go i zamknęła mu oczy na karygodność jego poczynań. Ale Panowie Sędziowie, Szczepanowski wszystko co miał oddał bez protestu Galicyjskiej Kasie Oszczędności i jeszcze przed procesem był tak ubogi, jak ubogim być może i musi szlachetny idealista. A w czasie procesu stawili się przed sądem dwaj jego uczniowie, dwaj współpracownicy, inżynierowie Odrzywolski i Wolski i oświadczyli, że aczkolwiek prawnie nie zobowiązani, gotowi są jednak poświęcić tyle ze swego majątku, ile będzie potrzeba, aby całkowicie pokryć szkody, których pośrednią przyczyną był mistrz i przyjaciel. Panowie Sędziowie, w ciągu całej rozprawy przemawiała za Szczepanowskim jego idea, mówiło za nim uznanie i miłość ludzka, broniło go jego nieszczęście. Wyszedł z Sądu uniewinniony, a przez przewod sądowy najzupełniej oczyszczony. To był człowiek który przegrał, ale nie zawinił. Piękno jego postaci przesłoniło nawet istotnie winę winnego... A przed nami obok Huberta Lindego siedzi Wilhelm Bau, człowiek robiący majątek gdzie się da i na czym się da i zakrzętnięty jedynie myślą o własnej korzyści. A w Bukareszcie spokojnie używa majątku Marjan Linde, bogacz wojenny... Nawet wobec Zimy, człowieka winnego ale grzesznego przez

swą wiarę w cudzą wielką myśl, jak ubogą jest postać Huberta Lindego. Jego słowa o korzyści Państwa, jego rzekoma dbałość o interes ogólny jakże fałszywie dźwięczą wobec niezbitego faktu, że pieniądze państwowe dzięki niemu jedynie przechodziły do kieszeni Wilhelma Baua i Marjana Lindego. Idei dostrzec nie można. Zamiast niej słyszymy frazesy. Zamiast postaci obywateli korzystających z pomysłów Lindego, widzimy dwie małe, chciwe, wiecznie niesyte, istoty wojennych dorobkiewiczów. Zamiast silnych, męskich słów jasnego przedstawienia swych pomysłów i działań słyszymy trwożliwe, niezręczne wykręty. Nie wierzymy w nie, ich nieszczerłość, ich widoczna nieprawda zabija w nas współczucie i pobłażanie dla winnego.

Jak wielką jest odpowiedzialność samego Lindego a jaka jej część pada na tych, co go do upadku przywiedli, ocenicie Panowie Sędziowie w swoim werdykcie, który, wierzę, uniewinniającym być nie może.

## PRZEMÓWIENIE ADW. HENRYKA ETTINGERA.

Szanowni Panowie Sędziowie! W sprawach tego rodzaju, w sprawach, które mają charakter nietylko karny, lecz (oczywiście poza gmachem sądowym) i społeczno-polityczny, i to na tle tak drażliwym, jak materialny interes państwa i skarbu, w takich sprawach przede wszystkim należy pamiętać o zasadzie, wygłoszonej przez wielkiego Spinozę: „non lacrimare, non ridere sed intelligere“.

Wszystko w tej sprawie, poczynając od jej strony zewnętrznej, aż do jej tajników prawnych, daje poważny materiał do myślenia.

Zdawałoby się, cóż prostszego: na ławie oskarżonych siedzą trzy osoby. To zdarza się często. A jednak w tej sprawie prawnik, który czytał akt oskarżenia, przede wszystkim zastanawia się nad kwestją, co złączyło te osoby na jednej ławie oskarżonych. Dlaczego mamy przed sobą jedną sprawę o tych trzech osobach, a nie trzy oddzielne sprawy? Przecież ostatecznie, ława oskarżonych nie jest ławką w Ogrodzie Saskim, na której ludzie spotykają się tylko dlatego, że chcą wspólnie odetchnąć powietrzem. Przecież musi tu istnieć między temi osobami taka więź prawna, procesualna, dzięki której ci ludzie znaleźli się, jako oskarżeni, na jednej ławie, we wspólnym procesie. Albowiem nie zasadza się na jednej ławie oskarżonych ludzi dlatego tylko, że to jest wygodne dla oskarżenia, albo dla powodu cywilnego, a należy w tym względzie liczyć się wyłącznie z przepisami ustawy. W ustawie zaś, mam na myśli Ustawę Postępowania Karnego, w art. 206 i następnych powiedziano, że tylko uczestnicy, wy-

rażnie określonego przestępstwa, mogą stanowić przedmiot jednolitej sprawy i mogą zasiąść na jednej ławie oskarżonych. Co natomiast łączy tych oto ludzi ze stanowiska procesu karnego? Nic absolutnie. Mamy trzy oskarżenia zupełnie odrębne, tak dalece odrębne, że w strukturze jednego z tych oskarżeń, główny oskarżony (Linde) odgrywa rolę poszkodowanego, w stosunku do jednego z zarzutów, skierowanych przeciwko drugiemu oskarżonemu (Bau'owi). Czy oskarżony Hryniewicz jest połączony z innymi oskarżonymi tą więzią prawa materialnego, o której mowa w art. 51 K. K.? Czy zachodzą warunki przewidziane w U. P. K., które usprawiedliwiłyby łączne rozpoznanie jego sprawy, ze sprawą pozostałych oskarżonych? Jeżeli czyny, zarzucane wszystkim tym oskarżonym, stały się przedmiotem śledztwa, prowadzonego w różnych kierunkach, przez jednego sędziego śledczego, a tem samem na kartach tych samych akt śledczych, to to przecież nie było jeszcze powodem do uformowania wspólnej sprawy i do łącznego rozpoznania wszystkiego, co znajdowało się w tych aktach. To jest jaskrawy błąd procesualny. Jest to usterka tak istotna, że gdybyśmy brali te rzeczy bardzo ściśle, gdybyśmy uważali każdy przepis ustawy za nietykalny i święty, to byśmy musieli sobie powiedzieć, że sprawa jest wadliwie zbudowana i że należy zaniechać jej rozpoznania w tej wadliwej, przeciwustawowej postaci. I gdyby sąd przyszedł do takiego wniosku, to dopatrylibyśmy się w tym ścisłego wykonania obowiązujących norm prawa formalnego i materialnego.

Ale to jest kwestja tylko teoretyczna. Mnie zaś o wiele więcej interesuje, jaką to pogwałcenie ustawy, bo inaczej jak pogwałceniem, ja tego nazwać nie mogę, wyrządziło krzywdę, pod względem praktycznym, bronionemu przeze mnie oskarżonemu. Gdyby nie było tego mechanicznego połączenia oskarżonych, dowody, w stosunku do każdego z nich, byłyby zbadane gruntowniej i dokładniej, a tem samem i środki obrony byłyby obfitsze i głębsze. Hryniewicz miałby logiczną i prawną podstawę do powołania w charakterze świadków, w swojej wyodrębnionej sprawie, zarówno Lindego,

jak i Baua. Atoli, wobec tej błędnej struktury procesu, muszę powoływać się na dowód mniejszej wagi, bo nie na zeznanie świadka, lecz jedynie na zeznanie współoskarżonego.

Jakie bywają skutki tego rodzaju obrazy ustawy, widzimy najlepiej na powództwie cywilnem w niniejszej sprawie. Przyszedł tu do sądu pełnomocnik powoda cywilnego, zaopatrzony w uchwałę Rady Ministrów i w swoim przemówieniu połączył wszystkich oskarżonych tajemniczym węzłem solidarności. Dlaczego? Na czym szanowny kolega i przeciwnik opiera tę solidarność? Na meblu, na tym drzewie, na którym oni siedzą, ale nie na ustawie, bo w ustawie wyraźnie powiedziano, że odpowiedzialności solidarnej w tym wypadku niema. Przykro mi bardzo, że ja kryminalista, a więc człowiek, który zasadniczo trzyma się zdala od prawa cywilnego, nie zawierając bliższej z nim znajomości, muszę wystąpić z obcą mi bronią i przeciwko znanemu cywiliście przytoczyć tak elementarny przepis, jak art. 1202 Kodeksu Napoleońa, u nas obowiązującego, który wyraźnie mówi, że solidarności domniemywać nie wolno, że solidarność istnieje tylko tam, gdzie była umówiona, lub gdzie ją przewiduje ustawa. Tak jest, takie jest brzmienie art. 1202. Jest to artykuł bardzo znany, bo znany nawet kryminalistom. Otóż, proszę panów sędziów, sądzę że szanowny przeciwnik, a może i Urząd Prokuratorski, zostali wprowadzeni w błąd przez praktykę nietylko naszą, ale przede wszystkim przez praktykę francuską. We Francji aktor cywilny żąda skazania solidarnego uczestników przestępstwa i to skazanie uzyskuje. I powierzchownemu obserwatorowi może się rzeczywiście zdawać, że ta solidarność jest oparta na jakiejś uświęconej doktrynie, lub może nawet na kodeksie cywilnym. Otóż tak nie jest. Muszę szanownego pana cywilistę wyprowadzić z błędu. Ta solidarność jest oparta na zupełnie innych podstawach, które u nas obecnie nie istnieją. We Francji Code Penal francuski, który był pisany przez ludzi, którzy dobrze znali francuskie prawo, bo to jest ich swojskie, własne, w Code Penal powiadam jest art. 55, który wyraźnie mówi o solidarności, wpływającej z przestępstwa. Jest ten art. 55

w kodeksie karnym francuskim dlatego, że prawodawca francuski wiedział i widział, że w kodeksie cywilnym tej solidarności niema. I otóż panowie cywiliści, którzy czasem produkują się jako kryminaliści, zostali wprowadzeni w błąd całą dotychczasową praktyką, a szczególnie praktyką przedwojenną, opartą na judykaturze Senatu. Ale wtedy stosunki były inne. Senat, któremu nie można zarzucić niezajomości prawa, rozumował inaczej, on przyznawał, że w kodeksie naszym niema solidarności dla czynów, wypływających z przestępstwa, ale on mówił: wobec art. 60 K. K., to samo jest w art. 770 U. P. K., sąd opiera się na prawie cywilnem, gdy chodzi o powództwo cywilne. A jakież to prawo cywilne? Oczywiście mówił Senat, to prawo cywilne, o którym mówi art. 60 prawa materialnego dawnego i ustawy, to jest rodzony brat tej ustawy, to jest prawo rosyjskie X tom, a tam w art. 648—651, o ile nie zdołałem jeszcze zapomnieć, tego prawa cywilnego rosyjskiego, wyrażone jest kazuistyczne określenie skutków cywilnych przestępstwa. I Senat tylko danym artykułem tomu X-ego zdołał ustalić zasadę solidarności przy przestępstwach, ale o stosowaniu pierwszej części X-go tomu mowy być nie może, chyba na kresach tam, gdzie on jeszcze obowiązuje, u nas on nigdy nie obowiązywał i teraz nie obowiązuje. A więc solidarności niema i dlatego te patetyczne, choć zbyt krótkie i niczem nieuzasadnione, powoływania się na wspólne działanie i na solidarność w powództwie Generalnej Prokuratorji stanowi zaiste, generalny błąd prawny.

To są skutki błędów procesowych, błędów wynikłych z nieusprawiedliwionego sadzania na jednej ławie oskarżonych ludzi, mających niepodzielne prawo, każdy z osobna, do oddzielnej ławy.

Sądzę, że wszystko co myśmy tu widzieli i słyszeli daje mi prawo powiedzieć, że sz. panowie uwierzą temu wyjaśnieniu Lindego, choć jest on w tej sprawie oskarżonym, że Hryniewicz, po powrocie z Łodzi, oznajmił mu, że widział nie wagony, a próbki i że akt oszacowania nieruchomości wogóle nie był brany pod uwagę przy nabyciu domu.

Linde na początku swego tłumaczenia w sądzie

oświadczył: przyszedł do mnie Hryniewicz i powiedział, że pokazał mu Bau próbki cegły i specyfikację materiałów drzewnych. Proszę ażeby szanowni Panowie Sędziowie przypomnieli sobie zeznanie Lindego z pierwszego dnia rozprawy, albowiem stanowi ono prawie jedyny materiał faktyczny, co do sprawy oskarżonego Hryniewicza. Podczas przewodu nic o Hryniewiczu nie słyszeliśmy, a w rozprawie słyszeliśmy ogólnikowe powoływanie się na to, że on się na tej rzeczy nie zna, co zwykle stanowi okoliczność nie obciążającą, lecz wprost przeciwnie — usprawiedliwiająca, nawet jeżeli był oficerem kawalerji, czego również nie mogę uważać za czyn naganny. Ale wracając do kwestji solidarności i pragnąc ją wyczerpać stawiam pytanie: może ta solidarność wypływa z przepisów P. K. O? Mnie, proszę Panów Sędziów, interesuje głównie ta ustawa, która była wydana w maju 1920 r., albowiem w okresie jej działania odbywało się to, co jest obecnie imputowane memu klientowi. Przeglądałem tę ustawę i już zewnętrzny jej wygląd przeraził mnie. Wiem, że nasza Konstytucja zabrania sądom krytyki ustaw, w sposób należyty promulgowanych. A więc sądy nasze nie mają prawa, jakie przysługuje, powiedzmy, sądowi federalnemu w Stanach Zjednoczonych, który może uznać ustawę za niekonstytucyjną, prawdopodobnie dlatego, że nasze ustawodawstwo jest bardziej wyrobione i nie wymaga takiej korektywy. Ale w każdym razie rzeczą jest pewną, że Konstytucja nie zabrania, a logika nakazuje, sądowi sprawdzać prawidłowość promulgowania. Może się wyda dziwnem, może się wyda wielką niespodzianką, jeżeli powiem iż mam wrażenie, że ta ustawa, o Pocztowej Kasie Oszczędności, nie jest należycie promulgowaną. Niech Panowie Sędziowie przyjrzą się tej ustawie. Ustawa ta zawiera 14 artykułów, z których 14-ty zawiera, zgodnie z naszą techniką prawodawczą, wszystkie cechy artykułu końcowego. W żadnym z tych artykułów ustawy niema mowy o dodatku, załączniku, lub aneksie. Otóż, pod tym ostatnim artykułem, napróżno szukam tych urzędowych podpisów, które zwykle świadczą o głoszeniu ustawy. Niema podpisu p. Trąmpczyńskiego, niema ani Prezydenta Ministrów, którym zdaje się wtedy był p. Skulski, niema



nawet Ministra Skarbu p. Władysława Grabskiego. A po tych wymownie brakujących podpisach, idzie coś innego, mianowicie statut organizacyjny, nie jako załącznik, nie jako aneks, lub dodatek, ale jako samodzielna rzecz, dopiero pod tym statutem, widzimy odpowiednie podpisy. Oczywiście tylko ten statut organizacyjny został podpisany. Jeżeli zwrócimy się do analogicznego aktu z roku 1924, mianowicie do Rozporządzenia Prezydenta, to znajdziemy już zupełnie co innego. Rozporządzenie to należycie podpisane, pod podpisami zaś wydrukowano statut organizacyjny, tym razem, wyraźnie nazwany załącznikiem.

Jako prawnik przywykłem do pewnych teorii, pewnych form myślenia, szczególnie tam, gdzie nam niewolno krytykować samej ustawy. Muszę położyć specjalny na to nacisk, że ustawa jest niepodpisana, podpisany zaś jest tylko statut organizacyjny, a tego co nie jest podpisane nie można uważać za należycie promulgowane.

A teraz zwrócimy się do treści tej ustawy. Co ona nam daje, pod względem materiału prawnego, dla oceny postępowania oskarżonego? Czem on jest na mocy tej ustawy, on urzędnik instytucji, która powstała dzięki tej niepodpisanej ustawie? To jest instytucja, jakiej drugiej niema na świecie, nigdzie w żadnym ustawodawstwie. Dlaczego? Bo jest instytucją państwową, która, jak mówi ustawa, znajduje się pod kontrolą państwa i ma gwarancje państwa. Co to znaczy? Czy są instytucje państwowe, które nie są pod kontrolą państwa i nie posiadają gwarancji państwa? Ja tego nie rozumiem. Mogę sobie to wytłomaczyć tylko błędem, bo jeżeli się mówi o instytucji, że ma gwarancję państwa i znajduje się pod kontrolą państwa, to znaczy, że jest instytucją nie państwową, bo o państwowej instytucji tego mówić nie należy, nie potrzeba, bo to wynika z logiki państwowości, państwowego charakteru tej instytucji. A następnie ta ustawa w jednym miejscu mówi o urzędnikach, że mają te same prawa, co urzędnicy państwowi. Znowu nie rozumiem. Jeżeli to jest instytucja państwowa z gwarancją i kontrolą państwową, to jakże urzędnicy mogą mieć inny charakter?

Jakie tam są przewidziane urzędy, tego też nie wiemy. Otóż stykamy się z bardzo ciekawą kwestją, która jest oddawna rozstrzygnięta dla zachodu, ale w naszej literaturze nie jest jeszcze opracowana, a w naszej praktyce znajduje się pod znakiem, jeżeli wolno się tak wyrazić — chaosu. Czy mogą istnieć urzędy i urzędnicy, których nie ustaliła ustawa? Czy do swobodnego uznania tych, co stoją na czele instytucji, należy ustalać posady, określać charakter i zakres sfery ich działalności, czy jednym słowem szef pewnej instytucji, jest swojego rodzaju ustawodawcą, który tworzy urząd, czy też urząd istnieje tylko wtedy, kiedy go ustala sama ustawa? Dla doktryny prawa publicznego, ta kwestja jest kwestją niesporną. Nie możemy sobie wyobrazić urzędnika, któryby nie piastował urzędu. Nie możemy sobie wyobrazić urzędu, który nie byłby przewidziany przez prawo. Gdyby szef pewnej instytucji ustalił posadę urzędnika, zajmującego się wypędzaniem much z biura, to taki urzędnik nigdy nie byłby urzędnikiem w znaczeniu ustawy, albowiem on wyrażałby tylko fantazję swojego szefa, ale czynności jego nie byłyby urzędowaniem, chyba gdyby w ustawie było powiedziane, że tworzy się posadę wypędzacza much. Rozumie się, wziąłem przykład drastyczny w tym celu, aby lepiej wyrazić moją myśl.

Tego p. Hryniewicza, oskarżonego nazywają szefem kontroli technicznej. Kto go tak zamianował, skąd on się jako taki wziął? Znajdujemy potwierdzenie tej tezy w ustawie o państwowej służbie cywilnej z 1922 roku, która zresztą tą kwestją zajmuje się bardzo mało, natomiast interesuje się szczegółowo kwestjami subordynacji, subtelnem rozróżnianiem poszanowania dla pewnych stopni urzędniczych i uprzejmości dla innych. Otóż w art. 4 tej ustawy znajdujemy wzmiankę bardzo wymowną. Tam powiedziano, że urzędnik staje się urzędnikiem, na mocy aktu nominacyjnego i w tym akcie nominacyjnym, stanowiącym akt urodzenia, że tak powiem, powinno być powiedziane, jaki jest jego tytuł urzędowy. Czy panowie Sędziowie zauważyli taki akt nominacyjny z tytułem urzędnika—szef kontroli technicznej? P. Linde może uważał p. Hryniewicza za takiego technika, ale p. Linde się na ustawie nie opierał, bo

miał bardzo szerokie pełnomocnictwa, gdy chodziło o zarząd i prowadzenie tego urzędu, lub banku. Ale prawnie Linde nie mógł tworzyć tego, do czego nie miał prawa na mocy ustawy. I dlatego, te wszystkie szumne tytuły technika, szefa, należy brać cum grano salis.

To wszystko ma wielkie znaczenie przy ocenie faktu. Ani w ustawie o P. K. O., ani w ogólnych przepisach prawnych o służbie, nie mamy takiego materiału, któryby usprawiedliwiał ten tytuł urzędowy, jaki Urząd Prokuratorski daje oskarżonemu i na mocy którego, on zostaje oskarżony o pewne czyny. Słyszymy w tej sprawie rzecz bardzo oryginalną. P. prokurator dał zupełnie nową wykładnię artykułu 48 K. K. P. prokurator powiada: oficer kawalerji, który podejmuje się oszacowania domu, wiedząc, że żadnych wiadomości, do tego potrzebnych, nie posiada, dopuszcza się tem samem nadużycia, albowiem art. 48 K. K. przewiduje, narówni z winą umyślną, tak zwany dolus eventualis. Gdyby tak, zastosować tę zasadę do osób, już znajdujących się pod sądem i jeszcze pod sądem nie znajdujących się, to rzeczywiście żniwo byłoby bardzo obfite. Ale czy tak chce ustawa, czy to jest zgodne z jej duchem? Otóż mnie się zdaje, że w tym wypadku myśmy nieco pobłądzili, dzięki drobnemu błędowi naszego przekładu kodeksu. Obowiązuje u nas oczywiście, nie polski przekład Ministerstwa Sprawiedliwości, ani polski przekład Mogilnickiego i Rappaporta, mam wielki szacunek dla tych przekładów, tembardziej, gdy się między sobą bardzo często różnią, co świadczy o ich samodzielności, ale muszę powiedzieć, że gdy zachodzi potrzeba wyjaśnienia prawa, należy zwrócić się do ustawy rosyjskiej. Jest to smutne tembardziej, że Sejm już zapowiedział weryfikację przekładu, ale jej dotychczas nie mamy i prawdopodobnie będziemy czekali na ten przekład długo, jak czekamy, z górą 100 lat, na przekład kodeksu francuskiego. Otóż jeżeli zestawimy art. 48 K. K., z art. chociażby 667, tegoż kodeksu, to znajdziemy w jednym i drugim ten sam wyraz polski: „świadomie“ „ze świadomością“. „Świadomy“ — wiemy co to jest. Zdawałoby się, że jeżeli po polsku i tu i tam, jest

powiedziane „świadomy“, no to i po rosyjsku powinno być to samo, to samo, niby to w tym sensie, że musi być ten sam wyraz. Tymczasem, zapomnijmy na chwilę o przekładach kodeksu i zwrócimy się do autentycznego tekstu rosyjskiego, gdzie w art. 48 znajdujemy słowo „soznatielno“, co da się rzeczywiście przetłumaczyć wyrazem „świadomie“, a w art. 677 już znajdujemy inny wyraz: „zawiedomo“. Otóż dla nas jest rzeczą bardzo ciekawą, wyjaśnić to nieporozumienie i zastanowić się nad tem, czy miał prawo tłumacz w art. 677 „zawiedomo“ tłumaczyć także wyrazem „świadomie“, tak jak gdyby, język polski był biedniejszy, od języka Tagancewa. Zwróciłem się do słownika, przedewszystkiem do rosyjskiego słownika akademickiego, którego pierwsze dwa tomy wyszły i sprawdziłem to. Były tam takie rosyjskie przykłady np. „zawiedomyj podlec“, to nie jest „świadomy łgarz“ ani „świadomy łajdak“, ale to jest „łajdak“, wszystkim jako łajdak notorycznie znany. Oczywiście omylili się nasi tłumacze. „Zawiedomo“ wysuwa na czoło stronę obiektywną. Jeżeli się coś, o kimś mówi, że on jest „zawiedomyj podlec“, to nietylko on sam wie, że on jest łajdak, ale wszyscy go, jako łajdaka znają. Jeżeli się mówi „zawiedomo niewierno“, to znaczy, że to jest notorycznie niezgodne z prawdą. Tu niema subiektywnego momentu, tu jest fakt, nagi, obiektywny fakt, nieulegający żadnej wątpliwości.

Ale zwracam się przedewszystkiem do tego drugiego oskarżenia, które jest groźniejsze i które jest równie bezzasadne, jak pierwsze. A więc oszacowanie nieruchomości, dokonane przez tego oficera kawalerji, uznano za działanie na szkodę skarbu i do tego użyto różnych dowodów i argumentów. O dowodach panowie koledzy mówili bardzo gruntownie i bardzo wymownie, nie chcę się powtarzać, ale mnie zastanowił, w tej kwestji, jeden argument swoją oryginalnością. Bo ja takiego argumentu jeszcze nie słyszałem. Argument ten polega na tem: jakże powiada się, mógł być dobrze oszacowany, kiedy Warchiwkerowie potem kupili dom lepszy, czy tam niewiele gorszy i zapłacili bardzo tanio. Ten drugi dom,

przez nikogo nie badany, jako dowód, jest bardzo oryginalny. To jest tak samo, jak gdyby ktoś powiedział, że ktoś napewno umrze, ponieważ ktoś inny był zdrowszy i także umarł. Proszę Panów mimowoli nasuwać takie porównanie. Przeciwno temu argumentowi aktu oskarżenia, przytoczę inny argument i sądzę, że Aron Warchiwker nie obrazi się, bo ja go chcę porównać z Ciceronem. Ciceron, jak wiadomo, z jego mowy „pro domo sua“, znanej pod nazwą mowy „przeciwko kapłanom“, a mowa ta była bardzo piękna i pełna zapału, bo mówca rzeczywiście występował w obronie swej skonfiskowanej kamienicy, kupił dom na Górze Palatyńskiej, który, sądząc z opowiadań historyków, był znacznie mniejszy od domu, który, P. K. O. nabyła w Łodzi, na ul. Narutowicza, a jednak zapłacił znacznie drożej, bo 3 i pół miliona sestercji lub sestercjów, jak mówi Rykaczewski, co stanowi 900.000 złotych polskich prawdziwych, wedle najlepszego kursu. No i czy to nie jest dowód, równie przekonywujący, jak ten, który przytacza akt oskarżenia? Czy powołanie się na Cicerona jest gorsze, od powołania się na Arona Warchiwkera? Takie dowody nie są przekonywujące, nawet i w tym wypadku, gdy spotyka je zaszczyt umieszczenia, w tak poważnym dokumencie, jak akt oskarżenia.

Ale pocóż szukać oryginalności, w tym szczególnym dowodzie, kiedy w tej sprawie wszystko, bez wyjątku, jest oryginalne, czy można inaczej nazwać te tak rozbieżne obliczenia i zeznania biegłych taksatorów, z których każdy przychodzi do innego wniosku, bo wychodzi z innego założenia? Bo kto się kształcił na określaniu zdolności podatkowej, ten oczywiście znacznie wyżej oszacuje, niż ten, kto wyrabiał się jako taksator udzielając kredytu w banku, lub oceniając zastawy w lombardzie. Mimowoli przypomina to przekleństwo żydowskie: „obyś nigdy nie miał majątku, który ci przypisała komisja podatkowa“. Lecz nie mamy nawet możliwości zbadać kryterjów, któremi powodują się biegli. Gdyby Hryniewicz nie był oskarżonym w tej sprawie, jest rzeczą bardzo możliwą, że byłby wezwany, jako

technik-taksator. Byłby badany, jako biegły i nikomu nie przyszloby do głowy badać, czy był niegdyś, oficerem kawalerji. Nie wiemy przecież, czy między zbadanymi biegłymi także niema oficerów kawalerji.

Przywiązuję największą wagę do opinji p. Pianki, albowiem jest to człowiek, który posiada ogromne doświadczenie, wielką znajomość życia i wszechstronność w ujęciu kwestji. W tych praktycznych rzeczach, teoria nie wystarczy, należy się liczyć z warunkami życia. Przytoczę przykład prawdopodobnie Panom Sędziom znany. Była w Londynie sprawa, o fałszywe rosyjskie sturublówki i przyszli anglicy eksperci, ludzie wielkiej wiedzy naukowej, i powiedzieli, że sturublówki są zupełnie dobre, między innymi dlatego, że ilość jedwabiu, jaka się znajduje w tych banknotach, odpowiada ustawie. Przyszli po nich eksperci, sprowadzeni z Rosji, znający życie rosyjskie i powiedzieli: napewno fałszywe, bo w prawdziwych nigdy niema procentu ustawowego jedwabiu, ponieważ wyrabiający urzędnicy systematycznie kradną. Tak się różni teoria od życia. I p. Pianko rozumie te rzeczy i wziął je nie ze stanowiska kasy, przyznającej kredyt, ani ze stanowiska komisji podatkowej, ale wziął te rzeczy ze stanowiska człowieka, który styka się z życiem praktycznym, który na te rzeczy patrzy ze wszystkich stron, nie zanadto się do nich zbliża i nie zanadto się od nich oddala, tak, że jego ekspertyza jest najbardziej prawidłowa.

Bądź co bądź, p. Hryniewicz ocenił dom, według swojej wiedzy i sumienia. O metodę techniczną i o jej podstawy nikt się Hryniewicza nie pytał. Nie pytała się o nie władza Hryniewicza, dla której to oszacowanie było zwykłą formalnością, nie mającą wpływu na bieg pertraktacji o kupno. Nie pytał się w następstwie i sędzia śledczy, stawiając go w stan oskarżenia i udzielając mu, poniekąd w ten sposób, patentu na technika. Sądzę, że miał jakieś informacje, że zbierał wiadomości od znawców, bo do swoich osobistych wiadomości wielkiego zaufania nie miał, może nawet zastosował metodę, dawniej utartą, określania wartości domu, za pomocą kapitalizacji jego przypuszczalnego dochodu,

o czem zresztą mówili niektórzy świadkowie, aczkolwiek nie zwrócił się do tej metody żaden z biegłych. Pan Prokurator nie dowiódł aby dane, na których się opierają biegli oskarżenia, były murowane, były murowane tak solidnie, jak sam dom. Nie dowiódł również Pan Prokurator, aby opinia biegłych, powołanych przez obronę, była oparta na błędach technicznych, lub na nieścisłych danych. Nie dowiódł przedewszystkiem Pan Prokurator rzeczy najważniejszej, mianowicie tego, by oszacowanie Hryniewicza, nawet gdyby było mylne, wypływało ze złej woli, z umyślnej winy. Zresztą art. 578 K. K. wymaga nietylko złej woli, w kierunku wyrządzenia szkody, lecz rzeczywistego wyrządzenia takiej szkody. Szkody zaś oszacowanie wyrządzić nie mogło, dla tej prostej przyczyny, że jak to przyznał Linde, oszacowanie to zupełnie nie było brane w rachubę i było zupełnie ignorowane, przy nabyciu nieruchomości, ale jeżeli Pan Prokurator z naciskiem powtarza, że Hryniewicz o tych rzeczach pojęcia nie miał, to tem samem P. Prokurator wysuwa potężny argument dla usprawiedliwienia i obrony Hryniewicza, za co jestem niewymownie wdzięczny. Oczywiście sam wysunąłbym ten argument, gdyby nie był przytoczony przez P. Prokuratora, ale zawsze przyjemniej i raźniej wystąpić, w tak solidnem towarzystwie.

A pan powód cywilny w swoich przemówieniach zaznaczył: panowie ci razem odpowiadają, bo razem działali. Na czem to jest oparte? Na niczem. A przecież powództwo cywilne, nie jest naracją, nie jest poezją, ono jest wnioskiem strony, który należy uzasadnić. Czy ktokolwiek, ze świadków nam o tem wspólnem działaniu powiedział? Czy można je wysnuć, jako domniemanie? Nic w tym względzie powód nie przytoczył, może dlatego, że uważał siebie, jak to przyznał, w swoim przemówieniu, za stronę, która roli samodzielnej nie odgrywa, która idzie w ślad za oskarżeniem i ram jego przekroczyć nie może. Nawet w akcie oskarżenia, niema wzmianki o takim wspólnem działaniu, niema tej więzi, o której mowa w art. 51 K. K., przewidującym wszystkie znane postaci uczestnictwa. Przewód zaś sądowy tej

luki nie wypełnił i w czasie tego przewodu nie kuszono się o ustalenie tego wspólnego działania. Powtarzam, oszacowanie, dokonane przez Hryniewicza, nie odegrało żadnej roli i w decyzji o nabyciu, nie jest ono wyraźnie przytoczone. A przecież w statucie organizacyjnym, wydrukowanym, po niepodpisanej ustawie, tam gdzie jest mowa o kompetencji Komitetu Dyrekcyjnego, powiedziane jest wyraźnie, że w protokule muszą być przytoczone podstawy decyzji. Czy przytoczono w tym protokule chociażby słówko o tem piśmie? Nie, pismo nie miało żadnego znaczenia, ono nie zaważyło na szali decyzji. Badaliśmy tych wszystkich, którzy należeli do tej komisji. Pamiętam Żelechowskiego, Piaseckiego, nikt o tym dokumencie nie mówił. Było rzeczą oskarżenia dowieść, że na tym dokumencie się oparto, albowiem jeżeli prokurator stawia zarzut z art. 578, to winien on dowieść, tego czego ten artykuł bezwzględnie wymaga, że nastąpiła szkoda, szkoda nie wskutek jakichś innych działań, tylko szkoda wskutek działania sprawcy tego czynu, który jest ujęty w art. 578. Tego p. Prokurator nie zrobił, nawet nie usiłował zrobić i dlatego nie może być mowy o zastosowaniu tego artykułu, Hryniewicz pod tym względem zupełnie niesłusznie i wbrew ustawie znalazł się na ławie oskarżonych.

Narzuciłem główne momenty obrony prawnej, nie dlatego bym uważał, iż obrona oskarżonego jest natury wyłącznie prawnej, to jest że, poza prawną, innej obrony niema, lecz jedynie dlatego, że jako prawnik przede wszystkim przywiązuję wagę do tych kwestji, które się w sprawie wyłaniają. I ta kwestja, tej luki w ustawie, dotyczącej prawa służbowego, tego charakteru urzędnika, sposobu jego powstania, kwestja, która w doktrynie zachodniej nie nastęrcza żadnych wątpliwości, u nas jest jeszcze w stanie embrjonalnym i uważam za obowiązek prawnika, z wielkim naciskiem wskazać na tę lukę naszej judykatury, której usprawiedliwienie można znaleźć tylko w stanie prawodawstwa.

Bądź co bądź, musimy pamiętać o dwóch rzeczach, które faktycznie nie dają się pogodzić, ale muszą być pogodzone, ponieważ tego wymaga wymiar sprawiedli-



wości. Z jednej strony mamy ustawodawstwo urzędnicze, powstałe, jak całe nowe nasze ustawodawstwo, pod znakiem naśladownictwa prawa austriackiego. Z drugiej strony, musimy stosować, również obce prawo, które jest oparte na innych pojęciach służbowych. Prawo rosyjskie, które w kodeksie 1903 roku, w swojej definicji urzędnika, oparło się oczywiście na prawie służbowem rosyjskiem, na tych częściach prawa publicznego, które się z prawem urzędniczem stykają i jemu dają źródło i zasiłek prawny. Musimy więc godzić zasady prawa rosyjskiego, które były podłożem recypowanego przez nas Kodeksu Karnego rosyjskiego, z tem prawem służbowem austriackiem, którego zasady przenikają do naszego ustawodawstwa. A jest to tembardziej ważne, że podstawą tego prawa austriackiego, jest zasada swobodnego uznania, które było zupełnie obce, prawu służbowemu rosyjskiemu. I tem się tłumaczy dużo nieporozumień w życiu, dużo nieporozumień w judykaturze. Ale myśl ustawodawcy rosyjskiego, w miarę możliwości, winna być stosowana i dlatego dziwnem mi się wydaje, to ujęcie prawne, jakie znajdujemy w akcie oskarżenia, w stosunku do tego drugiego oskarżenia Hryniewiczza, mianowicie, oskarżenia go z art. 667. Zwróćmy się wstecz do tego przepisu. Jeżeli weźmiemy tabelę porównawczą artykułów z Kodeksu 1903 roku, z artykułami Kodeksu kar głównych i poprawczych z 1845 czy 1866 roku, co wychodzi na jedno i to samo, to znajdziemy, że źródła art. 667 i 669 należy szukać w dawnych art. 362 i 417 Kodeksu kar głównych i poprawczych. Prawo rosyjskie, pomimo panującej w Rosji reakcji, w okresie powstania tych aktów ustawodawczych, było bardzo liberalne, albowiem ono bezwiednie wchłaniało w siebie, dzięki pośrednictwu gabinetowych uczonych rosyjskich, którzy bynajmniej nie trzymali się zasad narodowych, a więcej tego co wypowiadała Europa w swojej literaturze, liberalne prądy europejskie. Jeżeli zwrócimy się do motywów ustawodawczych, ogłoszonych w memorjale Komisji Redakcyjnej, jeżeli weźmiemy tę część tego memorjału, którą przedrukował Tagancew, jako tezę do art. 667, to ujrzymy, że artykuł ten

nie może być traktowany formalnie, że tu nie chodzi o formalną niezgodność między dokumentem, a rzeczywistością, lecz o myśl, o intencję, o sprzeczność zasadniczo istotną i wykrzywającą rzeczywistość, w sposób istotny i w celach oczywiście występnych. Bo gdyby się każdą niezgodność z prawdą, która nie ma wpływu na istotę dokumentu, uważało za fałsz, to nie byłoby, proszę Sz. PP. Sędziów, najuczciwszego aktu, najuczciwszego protokołu, którego nie dałoby się podciągnąć pod ten artykuł. Jeżeli czynność została skończona o godzinie 11-ej, a w protokole jest napisane o 11-ej minut 5, czy 11-ej m. 15, to według brzmienia tego artykułu, jeżeli go ujmować tak powierzchownie, to będzie fałsz. Tego prawodawca powiedzieć nie chciał, albowiem byłby to pogląd możliwy jedynie w okresie barbarzyńskim prawa. Prawodawca wyraźnie zaznacza w motywach, że tu chodzi o rzeczy istotne, o istotną niezgodność z prawdą.

Cóż napisał Hryniewicz w tym liście, w tym piśmie, które stanowi przedmiot oskarżenia z art. 667 K. K.? Istotna treść tego pisma polega na tem, iż cegła i materiały drzewne, dostarczone przez Bau'a, nie odpowiadają warunkom i że nie nadają się do przyjęcia. Czy Hryniewicz oglądał wagony z tymi przedmiotami, czy też próbki, lub specyfikacje to jest obojętne, albowiem na podstawie prób cegły i specyfikacji materiałów można było niemniej dobrze i dokładnie zaopińjować, o niezdatności tych przedmiotów, jak na postawie obejrzenia ich w naładowanych wagonach. I tu Linde kategorycznie oświadczył, że po powrocie z Łodzi Hryniewicz wyraźnie mu oznajmił, że oglądał nie wagony, lecz próby, oraz specyfikacje, i że przyszedł do wniosku o konieczności rozwiązania umowy z Bau'em. Ustalono, że Hryniewicz w tym dniu 14 maja był w Łodzi, ustalono, że tam był Bau, Bau temu nigdy nie przeczył i nikt nie przeczył, by cegły i specyfikacja były okazywane Hryniwiczowi. I Hryniewicz dał ocenę tych materiałów. Już zaznaczyłem, że na tem stanowisku stoi biegły, który zeznał, że to jest postępowanie zupełnie zgodne porządkiem, z logiką, z praktyką. Czy

tu miało jakiegokolwiek znaczenie, czy wagony były, czy nie były? Tu nie o wagony chodziło, tu chodziło, proszę pp. Sędziów, o to jakie Bau miał dostarczyć materiały. Jeżeli Bau poprzestał na tej ekspertyzie, na tej opinii, to rzecz była załatwiona. Krzywdy nie było i nie mogło być złej woli. Senat rosyjski szedł jeszcze dalej w tym kierunku. W tej samej sali broniłem komisarza sądowego Przewalińskiego, oskarżonego o to, że fałszywie napisał protokół licytacji, jakoby dokonanej na ul. Marszałkowskiej, gdzie on w rzeczywistości nie był, odnotowawszy w protokole, że licytacja nie doszła do skutku, z powodu nieprzybycia licytantów. Sąd uznał winę Przewalińskiego i skazał go za fałsz. Wniosłem skargę kasacyjną i wypowiedziałem w niej mniej więcej te same myśli, jakie tu przed chwilą przytoczyłem. Twierdziłem, iż sąd mógłby skazać Przewalińskiego, tylko w tym wypadku, gdyby ustalił, że byli licytanci, a nie było komornika, bo tylko w tym wypadku, fakt nieprzybycia komornika, byłby faktem istotnym. Senat rosyjski podzielił pogląd obrony, pomimo to, że redakcja odpowiednich artykułów w dawnym kodeksie była mniej korzystna dla oskarżonego, niż w obecnym. Formalizm, wykładni tych przepisów prawnych, utrudniłby tylko praktykę codziennego życia. Nawet w tej instytucji, gdzie istnieje największa ścisłość, w sądownictwie, w protokołach nie zwraca się uwagi na drobiazgi, a dba się przedewszystkiem o jądro, o istotę rzeczy. Chodzi o to, czy myśl twórcy dokumentu polegała na tem żeby skłamać, żeby wypaczyć prawdę, czy nie. I niech mi kto powie, że Hryniewicz miał jakiś cel w tem, żeby napisać, że on widział wagony, a ich nie było. Czy to o wagony chodziło? Chodziło o niedotrzymanie umowy, chodziło o to, że dostarczono cegłę marną, która nie może być przyjęta; chodziło oto że deski, które ten człowiek w specyfikacji pokazał, były nieodpowiednie. To wystarczy. Tu jest cały sens moralny tego dokumentu. I stosować do takiego wypadku art. 667, to byłoby obrażać myśl wyraźną tego przepisu prawa, olbowiem on nigdy, nic podobnego, na celu nie miał.

A jeżeli chodzi o usprawiedliwienie Hryniewicza, nietylko ze strony prawnej, lecz i moralnej, to proszę pamiętać Sz. Pp. Sędziowie o tem, że to jednak był kawalerzysta, który tych subtelności sztuki protokołowania nie znał, to był w dodatku człowiek, który zajął stanowisko, przewyższające jego siły, który na tem stanowisku pracował bardzo sumiennie i bardzo gorliwie. Tam są akty. Czy on kiedykolwiek korzystał z jakiegoś urlopu? Czy on miał do obejrzenia tylko jedną nieruchomości? Przecież ich było dziesiątki, a wiemy, że im człowiek mniej daną specjalność zna, tem więcej zajmuje mu czasu zbadanie może takiego szczegółu, który dla większego znawcy byłby jasny i nie wymagałby dużo czasu. Przypomnijmy sobie, o czem przypadkowo dowiedzieliśmy się w końcu rozprawy, że w tym dniu kiedy Bau okazywał Hryniewiczowi próby i specyfikacje, tam na miejscu, tam w Łodzi na placu, gdzie to miało miejsce, zdarzyła się poważna katastrofa budowlana, która jednego ze świadków przyprawiła o kalectwo.

Uważam, że Hryniewicz niesłusznie został pociągnięty do odpowiedzialności i stała się krzywda, dzięki temu, nietylko samej ustawie, lecz jemu osobiście. W szczególności zaś, niesłusznie i niezgodnie z ustawą zasiadł on na ławie oskarżonych, wspólnie z innymi oskarżonymi, z którymi nic go nie łączy. Utrudniło to, w wysokim stopniu, obronę Hryniewicza, albowiem ci, którzy byliby jego najlepszymi świadkami odwodowymi, zasiedli obok niego, jako współoskarżeni.

Pomimo jednak tej fatalnej okoliczności, przewod sądowy nie dostarczył żadnych dowodów winy Hryniewicza.

Mam zaszczyt prosić o uniewinnienie oskarżonego.

#### REPLIKA ADW. HENRYKA ETTINGERA.

Szanowni Panowie Sędziowie! Przypadł mi w udziale pierwszy głos w replikach obrony, korzystam zeń, aby przedewszystkiem odpowiedzieć rzecznikowi powództwa cywilnego. Pan powód cywilny mówił tu ogólnikowo, nie przytaczając konkretnych danych, o przepisach

Ustawy postępowania karnego i o jakiejś nieznaney nam judykaturze, która jakoby uznaje zasadę solidarności, cywilno-prawnej współoskarżonych. W zakończeniu, powołał się powód cywilny na to, że przecież sąd karny rozstrzyga postawione sobie pytania, na mocy swego wewnętrznego przekonania.

Muszę z całą stanowczością zaoponować przeciwko tym, niezupełnie jasnym, wywodom. Artykuły, które mogą tu być brane pod uwagę, są nieliczne i zupełnie wyraźne, mianowicie: art. 6, 7, 742 i 779 U. P. K. Z zestawienia tych ostatnich artykułów wynika, że powód cywilny powinien złożyć dowody i przytoczyć przepisy prawa cywilnego, które usprawiedliwiają jego skargę powodową. Przekonanie wewnętrzne sędziów, jak to wynika z treści art. 766 U. P. K; stanowi podstawę wyrokowania, tylko w przedmiocie winy, lub niewinności oskarżonego i nie można tego, nieco mgławego, pojęcia rozszerzać poza ramy zakresłone przez ustawę. Tam gdzie chodzi o cyfry, liczby i sumy, sąd może orzec tylko na mocy kategoriycznych dowodów. Dajmy więc, w tej dziedzinie, spokój abstrakcyjnemu pojęciu wewnętrznego przekonania. Byłoby to wielkim curiosum prawnem, gdyby oparto solidarność na wewnętrznem przekonaniu. Zastanówmy się lepiej nad tem, jak wygląda ta kwestja, w obowiązujących przepisach. Jeżeli możemy uważać art. 1302 i nast. za podstawę prawną, do uznania odpowiedzialności cywilnej sprawcy występnego czynu, to jednak usprawiedliwienia solidarnej odpowiedzialności, nietylko mechanicznie połączonych ze sobą oskarżonych, lecz nawet współuczestników określonego przestępstwa, w kodeksie cywilnym, pomimo najskrzętniejszych poszukiwań, nie znajdziemy.

To oczywiście, praktyka przedwojenna wprowadziła w błąd szanownego przeciwnika. We Francji solidarna odpowiedzialność uczestników przestępstwa wypływa, nie z kodeksu cywilnego, lecz ze specjalnego przepisu kodeksu karnego, z art. 55 francuskiego K. K. Jeżeli zaś przedwojenne sądy karne w zaborze rosyjskim również uznawały taką solidarność, to było to oparte, znow nie na naszym kodeksie cywilnym, lecz na kasa-

cyjnej judytaturze senatu, której nie można odmówić konsekwencji, i formalnej słuszności, wobec istniejącego wówczas stanu prawodawstwa, który się jednak obecnie zasadniczo zmienił. W dawnych bowiem kodeksie rosyjskim znajdujemy art. 59, który ustalał obowiązek odszkodowania. Zestawiając i łącząc ten artykuł, z art. 779 U. P. K., który poleca sądowi przyznawać odszkodowanie, na mocy ustaw cywilnych, senat rosyjski wypełniał lukę, istniejącą w naszym prawodawstwie cywilnym, odpowiednimi przepisami ustaw cywilnych rosyjskich, wychodząc z tego założenia, że zarówno art. 59 dawnego K. K., jak i art. 779 U.P.K., wydanej w tym czasie, kiedy u nas w kraju obowiązywała ordynacja pruska, miały oczywiście na myśli prawo cywilne rosyjskie, a więc pierwszą część X-ego tomu, która zawierała szereg przepisów, o odpowiedzialności cywilnej przestępców wogóle, w szczególności zaś przepisy art. 648 — 651 o odpowiedzialności solidarnej.

A teraz kiedy z naszego horyzontu znikł art. 59 dawnego K. K. i X tom, dogorywający na naszych kresach wschodnich, cała ta sztuczna, judykatura senatu straciła grunt, wartość i moc.

Nie powołujmy się więc na judykaturę senatu.

Widzimy więc, że skarga powodowa, w stosunku do Hryniewicza, posiada najjaskrawsze cechy bezpodstawności. Nie pomoże powodowi cywilnemu i wycieczka w dziedzinę naszej U. P. C. albowiem i tu w art. 256 i 339 znajdzie powód cywilny surowe potępienie swej metody dowodzenia, ponieważ z tych artykułów wynika, iż jest jego obowiązkiem, oprzeć się na wyraźnych dowodach, obowiązkiem zaś sądu wydać wyrok, tylko na mocy tych dowodów,

A teraz, zwracam się do repliki p. Prokuratora. Pan Prokurator, z właściwą sobie lojalnością, której świadkiem jestem nie po raz pierwszy, przyznaje niezmiernie małą rolę Hryniewicza w tej sprawie i nazywa go „pionkiem“. Kontynuując to porównanie, muszę powiedzieć, że porównanie z pionkiem, a więc z najdrobniejszą, najmniejszą figurą w grze, logicznie wymaga jednak poprzedniego ustalenia związku między daną

osobą, a innemi figurami, innemi osobami, na tej samej szachownicy, w tej samej grze.

Tymczasem, oskarżony Hryniewicz do tej szachownicy, do tej gry, nie należy, i dlatego mógłby on być może traktowany jako pionek in abstracto, ale w tej partji, która się obecnie rozgrywa i na tej szachownicy, której odbudowaniem się zajmujemy, nie widzimy żadnego posunięcia, które byłoby dokonane zapomocą tego pionka, nie widzimy w każdym razie takiego posunięcia, które byłoby składowym i logicznym momentem w przebiegu tej gry. Nawet akt oskarżenia nie poczynił nic w tym kierunku, aby inkryminowane, temu pionkowi, ruchy, powiązać i skoordynować z posunięciami innych figur.

Mam wrażenie, że p. Prokurator koncentruje swój atak głównie w kierunku art. 667 K. K. pozostając jedynie w defenzywie co do zarzutów obrony, w przedmiocie oskarżenia z art. 578 K. K.

W każdym razie, w obu tych wypadkach p. prokurator nie uważał za możliwe zarzucić oskarżonemu winy umyślnej, lecz zakwalifikował winę oskarżonego, jako dolus eventualis, jako tak zwany zamiar ewentualny, który w art. 48 K. K. polega na świadomem, „dopuszczeniu“ do nastąpienia skutku, warunkującego przestępność czynu.

Jest dla obrony rzeczą bardzo znamienne, że urząd prokuratorski nie imputuje Hryniewiczowi, by pragnął dokonania przestępstwa. Ale zastanówmy się nad tem czy Hryniewicz, nie dążąc umyślnie do przestępstwa, świadomie godził się z myślą, że przestępstwo będzie dokonane. Zaznaczę przy sposobności, że wyraz „godzenie się“, może lepiej uwydatnia myśl ustawy, niż, poprzednio przytoczony z polskiego przekładu, wyraz „dopuszczenie“.

Bądź co bądź, to „dopuszczenie lub to „godzenie się“ musi być świadome: sprawca winien sobie zdawać sprawę nietylko z istoty swego czynu, lecz i z występnego charakteru tych skutków, jakie ten czyn za sobą pociągnie. Aby więc ustalić winę Hryniewicza co do pierwszego oskarżenia, należałoby dowieść, że nietylko,

wbrew swemu przekonaniu, podał wygórowany szacunek domu, nietylko, że wskutek tego oszacowania nastąpiła rzeczywista szkoda, lecz przede wszystkim że posiadał świadomość, iż szkoda musi nastąpić. Ani jednego jednak z tych warunków oskarżenie nie dowiodło, nic nie obala dobrej wiary Hryniewicza, przy oszacowaniu domu, albowiem i opinie, patentowanych znawców, były bardzo rozbieżne. Hryniewicz zaś tembardziej mógł paść ofiarą pomyłki, błędu, że nigdy znawcą nie był. Zresztą żadnych szkodliwych skutków, ta rzekoma pomyłka nie miała i mieć nie mogła. Albowiem wiadomo było Hryniewiczowi, że jego oszacowanie nie będzie miało żadnego wpływu na transakcję i że Linde powodował się jedynie własnym rozumem i własnym poglądem, co też sam przed sądem przyznał. Opowiadania świadków, na których powołało się oskarżenie, nie są przekonujące. Jeżeli p. Czapczyński mówi o piętnastu tysiącach dolarów, to ta, wskazana przezeń, suma, jest oparta na rozmowie z jakąś osobą nieuchwytną, o nieokreślonym stanowisku, o nieustalonym miejscu pobytu. Wartość tego rodzaju dowodów najlepiej zobrazowało zeznanie tegoż Czapczyńskiego, o jego koledze Bednarczyku, również urzędniku Ministerstwa Oświecenia, który także doskonale pamięta sumę piętnaście tysięcy, lecz nie pamięta niestety tego, czy to były dolary, czy też tylko marki. Proszę zwrócić uwagę na ten charakterystyczny epizod, złośliwie jaskrawy ze względu na ówczesny kurs naszej marki, który wynosił siedemnaście tysięcy marek za jeden dolar. Otóż p. Bednarczyk nie pamięta, czy za tę ogromną nieruchomość żądano piętnastu tysięcy dolarów, czy też nieco mniej, niż jednego dolara? Ten epizod, tak nas oświecający, dotyczy człowieka z inteligencji, urzędnika Ministerstwa Oświecenia i dlatego należy się nad nim poważnie zastanowić.

Nie w mniejszym stopniu chwiejne jest oskarżenie z art. 667 K. K.

Jest rzeczą niesporną, że tu ustawa wyraźnie wymaga, aby nieprawdziwe przedstawienie rzeczy w dokumencie było oczywiście, nietylko świadomem, jak mylnie brzmi przekład polski i aby ono dotyczyło faktu



istotnego. Faktem istotnym jest, oczywiście tylko to, co stanowi logiczne jądro dokumentu, jego zadanie dowodowe, tę jego treść faktyczną, która wpływa na ustalenie, lub zaprzeczenie stosunku prawnego.

Hryniewicz, działając w dobrej wierze, gdy przybył z Łodzi i stanął przed swoim zwierzchnikiem Lindem, kategorycznie powiedział mu, że widział próby cegły, oraz specyfikację materiałów drzewnych, że uznał te wszystkie przedmioty za niezdatne do użytku, za nieodpowiadające umowie, i że postanowił ich nie przyjąć, uważając przy tem, że umowę należy rozwiązać i zażądać odszkodowania. Takie sprawozdanie złożył Hryniewicz Lindemu, ale w piśmie napomknął o wagonach, których na własne oczy nie widział i nad istnieniem których się nie zastanawiał, albowiem do załatwienia sprawy wystarczyło, jak ustalił tu w sądzie biegły, ze strony oskarżenia, obejrzenie próby i specyfikacji.

Jakie znaczenie, dla celu istoty i mocy tego dokumentu, może mieć ta okoliczność, że przedmioty znajdowały się w wagonach, statkach, lub składach?

Skoro te przedmioty zostały odrzucone, miejsce ich znajdowania się było rzeczą obojętną, bo nie wpływającą na stosunek prawny. Wyobraźmy sobie, że urzędnik, któremu polecono sprawdzić treść książki, uczynił to wprawdzie zgodnie z rzeczywistością, ale fałszywie zaznaczył, że książka jest oprawna w płótno, oprawa zaś była skórzana. Czy to miałby być fałsz w znaczeniu art. 667 K. K.? Nigdy, albowiem fałsz w tym znaczeniu musi być faktem celowym, wprowadzającym takie rozmyślne wypaczenie stosunków, które może zaważyć na szali ich oceny prawnej i wyrządzić szkodę, krzywdę. Tego wszystkiego tu nie było. Była tylko pomyłka, lekceważenie formy, spowodowane pośpiechem, wzruszeniem z powodu katastrofy, pewną nieumiejętnością urzędniczą, w załatwianiu formalności. Ten rzekomy fałsz nie był aktem świadomego, planowego i oczywistego kłamstwa, a przecież te wszystkie cechy są niezbędne, dla bytu przestępstwa fałszu, albowiem tylko one mogłyby świadczyć o złej woli sprawcy. Całokształt tych wszystkich okoliczności przekonywa o niewinności Hryniewicza.

Mam zaszczyt prosić o uniewinnienie oskarżonego.

## PRZEMÓWIENIE ADWOKATA W. BROKMANA.

Panowie Sędziowie, jednym z dekretów prawodawczych, niemal w zaraniu odrodzonej państwowości Polskiej, był dekret z dn. 7 lutego 1919 r. o utworzeniu Pocztowej Kasy Oszczędności. Ten dekret jest godny uwagi chociażby dlatego, że nosi pod sobą podpis dzisiejszego oskarżonego, a ówczesnego Ministra Poczty i Telegrafów pana Huberta Lindego. Ten podpis jest najlepszym dowodem, pozatem co nam mówił sam oskarżony w czasie przewodu sądowego, że Pocztowa Kasa Oszczędności jest dzieckiem, płodem jego myśli twórczej, że to on ją stworzył, że to on ją w myślach swoich wypiąstował i że on ją złożył w hołdzie i darze odrodzonej Ojczyźnie. Dzisiaj ten twórca P. K. O. zasiadł na ławie oskarżonych. A wtedy kiedy on w ciągu lat 5 do marca 1924 r. budował i rozwijał P. K. O., wtedy kiedy kasa ta miała, nabywała i posiadała na własność cały szereg nieruchomości, wtedy, kiedy tak samo, jak w r. 1924, ukazał się bilans 1923/4, a w myśl statutu, w myśl ustawy, musiały ukazać się poprzednie bilanse, wtedy na terenie kasy o oskarżonym Wilhelmie Bau było głucho. Rosła i rozrastała się P. K. O., robiła cały szereg nadzwyczajnych operacji, z których nikt nikomu żadnych zarzutów nie czyni, gdyż po raz pierwszy o stratach i rzekomo niezgodnym z rzeczywistością bilansie słyszeliśmy dopiero na podstawie niniejszego przewodu sądowego, i to za okres czasu, obejmujący jedynie lata 1924/5, a p. Bau, który jak nam tu stwierdzili jego współnicy Kaszub i Kryłowiecki, posiadał swoją fabrykę w Łodzi, zatrudniającą kilkuset robotników (zeznali ci świadkowie, że już od 6 lat są

współwłaścicielami tej fabryki włókienniczej wraz z B.), ów p. Bau nie miał żadnych interesów z P. K. O., nie szukał u niej kredytu ani oparcia finansowego. Zdaje się, że to jest najlepszy dowód niesłuszności zarzutu, jakoby Bau wykorzystywał dobroć czy zaufanie oskarżonego Lindego. Bau, który znał rodzinę Lindego, który znał zwłaszcza, jak sam powiedział, od 20 lat Marjana Lindego, nie korzystał z tej możnej protekcji, wtedy kiedy p. Hubert Linde był na wyżynach swojej sławy, dobrego imienia i wszechwładzy. Bo o tem, że Hubert Linde był wszechwładnym panem P. K. O. nie trzeba, pp. Sędziowie, zapominać, bo to się jedną nicią prze-wija przez wszystkie statuty P. K. O., z wyjątkiem może pierwszego dekretu z 1919 r. który, mojem zdaniem, zawiera niejako pomniejszenie władzy twórcy, wtedy kiedy sam H. L. go ułożył. Lecz z chwilą gdy rodził się już następny dekret z r. 1920, ogłoszony w Dzienniku Ustaw No. 48 poz 297, wtedy kiedy p. L. miał zostać prezesem P. K. O., to tym dekretem, pod którym podpisał się również ówczesny minister Skarbu p. Władysław Grabski, została mu nadana taka pełnia władzy, o której wtedy twórca ustawy nie myślał, wtedy, kiedy pisał swoją ustawę z r. 1919. Wówczas H. L. postawił na czele instytucji tylko dyrekcję, składającą się z naczelnego dyrektora i jego zastępcy, dyrekcję, podwładną Ministrowi Poczt i Telegrafów, i przyszłemu zwierzchnikowi instytucji nadał skromny tytuł naczelnego dyrektora. Tak pisał ówczesny Minister Poczt i Telegrafów, kiedy myślał o tem, że on sam stanie na czele tej instytucji i tę instytucję poprowadzi. A gdy złożono berło władzy w jego ręce, wtedy rozszerzono wbrew jego woli, jak on tu nam podkreślił, zakres tej władzy i zrobiono z niego niemal autokratycznego władcę tej instytucji. I ta władza rosła coraz dalej, dano mu pełnię władzy na mocy ustawy, powiedziano, że on ma prawo tą instytucją kierować właściwie sam, bo choć współrzędnie z Komitetem Dyrekcyjnym, lecz w istocie Komitet ten sprawował tylko kontrolę. Wszędzie jednak jest powiedziane: nadzór nad gospodarką P. K. O. należy do Komitetu Dyrekcyjnego, przekształ-

conego następnie w Radę Zawiadowczą, i wszędzie, we wszystkich tych dekretach i ustawach jest zaznaczone, że raz na miesiąc przynajmniej musi się odbywać kontrola, poczynając zaś od połowy 1924 r. musi się zbierać Komisja Rewizyjna stała, zatem conajmniej raz na miesiąc musi odbywać się kontrola zwierzchnia ze strony Ministerstwa Skarbu, powinno być i czuwać to oko władzy, które wie i bada, co, gdzie i jak się dzieje. I jeżeli nie powiadamy, że ci, co stali wyżej, ponad p. H. L., winni są niedbalstwa stokroć gorszego, stokroć karygodniejszego od tego, które zarzuca się podsądemu, i jeżeli nawet dopatrzymy się jakiegokolwiek niedbalstwa po stronie oskarżonego L., to stając nawet na tem stanowisku i oceniając rzeczy z punktu widzenia ustawy musimy sobie wyraźnie powiedzieć, że żadne czyny Lindego zatajone przed urzędem badawczym być nie mogły. Doskonale zatem wiedziano, że P. K. O. zgodnie z wolą Lindego nabywa na swe potrzeby nieruchomości. I o ile z początku, w pierwszym dekreście, nie było ani słowa o prawie nabywania nieruchomości, chociaż następny dekret jakby nad tą kwestją się prześlizguje, to jednak trzeci dekret już zaznacza wyraźnie: nabywanie „nowych“ nieruchomości. A zatem ustawa już przyjęła za zasadę, przyjęła do swej wiadomości, że P. K. O. posiada cały szereg nieruchomości własnych i że ma prawo te nieruchomości nabywać. Musiał prawodawca ten moment tem silniej podkreślić, że nazywając P. K. O. instytucją państwową, znajdującą się pod kontrolą Państwa Polskiego, jednocześnie zaznaczał, że P. K. O. ma swoją osobowość prawną, ma swoje oddzielne zastępstwo prawne i co najważniejsze, pp. Sędziowie, ma swój majątek własny. Oddzieleniem majątku P. K. O. od ogólnego majątku państwowego, być może, chciano stworzyć pewien rezerwoar, z którego by już Państwo jako ewent. przyszły dłużnik tego wierzyciela, tego samoistnego instytutu prawnopublicznego, mogło swoje resursy czerpać. W każdym razie musimy skonstatować jedno: była bezwzględna autonomja, był majątek własny, na czele stał prezes, mający władzę nieograniczoną, podporządkowany jedy-

nie Komitetowi Dyrekcyjnemu, późniejszej Radzie Zawiadawczej, t. j. tym władzom, które powinny mieć, w myśl ustawy, bezwzględny nadzór, kontrolę i badać i znać wszystkie operacje. I wtedy kiedy się to wszystko działo na przestrzeni kilku lat, kiedy się tworzyła, narodziła, rozrastała P. K. O., o Wilhelmie Bau było zupełnie głucho. Nie było o nim mowy nawet jeszcze wówczas, kiedy w dn. 3 stycznia 1923 r. Kasa Przemysłowców Chrześcijan w Łodzi zwróciła się z listem, który nam złożył tutaj do aktów sądowych św. Krasicki, do magistratu łódzkiego, proponując mu, żeby on w imię dobrze pojętych interesów państwowych, dobrze pojętych interesów obywatelskich, przyszedł z pomocą P.K.O. i wydzielił i ustąpił jej część swego placu miejskiego pod budowę gmachu po przystępnej cenie, a magistrat łódzki ani słówkiem na to się nie odezwał, przynajmniej w aktach nie ma o tem ani śladu, lub też jeżeli się odezwał, to widocznie uczynił to w taki sposób, że żądanej ceny za tę nieruchomości nie można było dać. I powiada nam świadek, że przez cały 1923 r. prawie do końca jego trwały najzupełniej bezpłodne poszukiwania nieruchomości i dopiero w d. 3 września 1923 r. odezwała się potężna Widzewska Manufaktura i złożyła ofertę, o której skromności możecie Panowie Sędziowie sądzić z tych dokumentów, które nam złożył św. Krasicki, które Sąd obejrzał i przyjął za zgodą stron i które wobec tego stanowią dowód rzeczowy w sprawie. Dokonał oględzin tego domu architekt p. Handzelewicz i napisał swoją opinię, a opinię tę, co z tychże dokumentów wynika, podzielił pod datą 5 września 1923 roku vice-prezes P. K. O. p. Adam Żelechowski. I orzekł p. Żelechowski, tak samo jak napisał p. Handzelewicz, że cena żądana przez Widzewską Manufakturę jest potwornie wysoka. Wiem, że p. Handzelewicz niekoniecznie cieszy się, przynajmniej jak dotychczas, sympatją władz prokuratorskich i nie dlatego cytował jego nazwisko, ażeby tem powiedzieć pp. sędziom, że dokument p. Handzelewicza i opinia o nim p. Żelechowskiego stanowią coś bezspornego w sprawie. Lecz żem dokument ten zanalizował, doszedłem do przeświadcze-

nia, że to, co napisał p. Handzelewicz, to święta prawda, że ta cena, którą postawiła Widzewska Manufaktura, była potwornie wysoka, że błędnie i niknie wobec tej ceny suma, której zażądali za swój dom Warchiwkerowie, a którą rzekomo za drogo zapłacił oskarżony Bau, gdy mu ją zaakceptował ówczesny prezes P. K. O. Linde. I wówczas doszedłem do wniosku, że wszystko to, co jest napisane w akcie oskarżenia, wszystko to, co mówi się o zapłaceniu zbyt wysokiej ceny, wszystko to, co mówią biegli, jest chyba oparte albo na nieporozumieniu, albo na nieznamości ówczesnych stosunków, albo wogóle jest tylko czemś takim, co zasługuje na proste i zwyczajne odparcie, jako rzecz nieodpowiadająca prawdzie i rzeczywistości. Zechcą Panowie Sędziowie pójść krótko za temi wyliczeniami, które jabym chciał panom przedstawić, aby uzasadnić tę moją tezę. Opieram się na dokumentach, które są złożone przez p. Krasickiego. Otóż firma Heintzel i Kunitzer (Widzewska Manufaktura) złożyła 2 oferty. Jedna oferta opiewała na 100 tysięcy dolarów, był to dom na rogu ulic Piotrkowskiej i Cegielnianej, w gmachu zwanym Scala, o którym napisał p. Handzelewicz, że jest to pierwszorzędne położenie, ale którego cena była uznana za zbyt wysoką, choć poza obliczeniami p. Handzelewicza, analogicznymi w obu wypadkach, nie mamy żadnej innej skali porównania. Ale nie sądzę, żeby jedna i ta sama osoba, jedna i ta sama firma, składająca ofertę na swoją nieruchomość, miała w jednym wypadku być bardzo dobrą, w drugim wypadku bardzo złą i nadmiernie wymagającą, i dlatego celem porównania muszę badać wartość tej drugiej nieruchomości, co do której mamy bezsprzeczne dokumenty, to jest nieruchomość, zaofiarowaną w tym samym dniu, tym samym listem, przez firmę „Widzewska Manufaktura“ za sumę 250 tysięcy dolarów. W tej ofercie bezpośrednio następuje wzmianka, że niezależnie od żądanych tytułem ceny sprzedażnej 250 tysięcy dolarów, należy dopłacić 10 tysięcy dolarów, albowiem są tam lokatorzy, którzy inaczej z domu się nie usuną. Jeżeli P. K. O. chce mieć na swe potrzeby oddzielny budynek, to firma Widzewska

Manufaktura na swoją rękę przeprowadzi uwolnienie budynku przez lokatorów za dopłatą sumy 10.000 dolarów. Jednocześnie do tej oferty, dotyczącej nieruchomości, oznaczonej hipotecznym Nr. 258, mamy dołączony wyciąg z ksiąg hipotecznych nieruchomości Nr. 258, a zatem nie może być żadnych wątpliwości, że tu chodzi o tę samą nieruchomość, za którą Wodzewska Manufaktura zażądała 250.000 dolarów, i okazuje się, że ta nieruchomość była nabyta w dn. 16 czerwca 1922 r. za... Panowie Sędziowie! boję się, że się ktoś przestraszy, za niebylejaką sumę 15 miliardów marek. I zadałem sobie ten niewielki trud, gdyż mam pod ręką książeczkę, w której są kursy walut, i w każdej chwili tą książeczką służyć, i stwierdziłem, że pod datą 16 czerwca 1922 r. płacono u nas, na giełdzie, za dolara 4.287 marek 50 fen. Kiedy zadałem sobie dalej trud zwyczajnego dzielenia to okazało się, że firma, nabywając ten dom, zapłaciła w czerwcu 1922 r. 3.500 dolarów, a w rok i 3 miesiące później miała czelność zażądać 250.000 dolarów. Wyobrażam sobie, panowie Sędziowie, co by się stało, jakie byłoby larum w Warszawie, jakie crimen byłoby po stronie oskarżonego, gdyby, co nie daj Boże, p. prezes Linde poszedł na lep tej oferty takiej poważnej firmy i gdyby wydelegował p. Bau do Łodzi i gdyby ten interes doszedł do skutku. Toć nie potrzeba byłoby ekspertów, bo byłyby dokumenty i stałoby w jednym dokumencie, że w czerwcu 1922 r. firma, kupując dom, zapłaciła zań 3.500 dolarów, a w drugim dokumencie, że w miesiącu wrześniu 1923 r. P. K. O. kupiła tę samą nieruchomość i zapłaciła za nią o wiele więcej, może nawet nie żądane 250.000 dolarów, może utargowałyby coś, może zapłaciłaby jakieś 100 czy 150.000 dolarów, to mi jest obojętne, ale ja wiem tylko jedno, że wtedy byłoby słuszne oburzenie, bo byłyby pozory nadużycia. I jaką byłaby sytuacja oskarżonych, gdybyśmy nie mogli zbadać bliżej treści tych umów i dociekać, jak to się stało, i nie wiem, czyby wystarczyło świadków, którzyby potrafili pp. sędziów przekonać, że tu nie ma żadnego przestępstwa, że to jest konjunktura. że to jest to, o czym już mówiliś-

my, to wieczne, niezmienione prawo podaży i popytu, że kiedy na gruncie łódzkim nie ma nikogo, ktoby chciał się wyzbyć nieruchomości, wtedy rzadki sprzedawca dyktuje cenę. I gdy z całego szeregu ofert, z całego szeregu dokumentów wynika, że nie było nikogo, ktoby pomimo poszukiwań chciał dom sprzedać — wówczas przyszedł na pomoc oskarżony Wilhelm Bau.

On znał prezesa L., znał jego brata Marjana, w Łodzi bardzo często przebywał, albowiem tam ma fabrykę, i bardzo możliwe, że tam słyszał i dowiedział się o tem, że jest jakiś dom do sprzedania, jakiś dom, o którym tylko świadkowie oskarżenia opowiadają nadzwyczajne cuda, jak np. p. radca Olszakowski, który twierdzi, że ten dom niejako dawano w prezencie, że trzeba było tylko rękę wyciągnąć na gruncie łódzkim, żeby pp. Warchiwkerowie wraz ze swoją nieruchomością wpadli w przyjazne objęcia przyszłego właściciela tego domu. I cytuje nam dalej inny świadek p. Czapczyński, że zgłosił się do niego niejaki p. Kopczyński, jak dotychczas dla nas mityczna postać, dlatego, że dotąd ani sąd, ani p. sędzie śledczy, ani komisja rewizyjna na oczy go nie widziała, który znajduje się rzekomo w państwie sowieckim, bo tak nam zeznał p. Olszakowski, i na podstawie tego jakiegoś oświadczenia, tego pana mitycznego, bliżej nam nieznanego, bo nawet nie zna go p. Warchiwker i nie powierzał mu tego rodzaju transakcji o sprzedaż nieruchomości, na tej podstawie mamy wnioskować, że ten dom w czerwcu 1922 r. kosztował wszystkiego 15.000 dolarów. Ale przypuśćmy, że pp. Warchiwkerowie i Gotheilowie, że cała ta rodzina w 1922 r. została zaatakowana nagłym obłędem, że zachciało im się za bezcen ten dom sprzedać. Badajmy, ile oni za ten dom sami zapłacili w r. 1918. Powiada św. Goldberg, że w końcu okupacji niemieckiej, a więc prawdopodobnie w miesiącu październiku czy w listopadzie 1918 r., zapłacono za ów dom 120 — 130.000 rubli. Biorą ustawę waloryzacyjną, tę, którą posługują się pp. biegli i którą posługuje się p. przedstawiciel powoda cywilnego, jednym słowem ten grunt, na którym musimy się zgodzić, dzielę przez 0,9, tak jak mi każe usta-



wa, przeliczając ruble na złote, i otrzymuję, że zapłacone było w listopadzie 1918 r. p. Goldbergowi przynajmniej 140.000 zł., a zatem minimalnie 27.000 dolarów, w r. 1918, wtedy, kiedy Niemcy stąd uciekali, wtedy, kiedy wogóle stosunki wszelkie były niepewne, wtedy, kiedy wszelkie obroty nieruchomościami były nie to że ograniczone, ale były całkowicie wstrzymane, wtedy, kiedy ten, co dom kupił, to rzeczywiście kupił za cenę niską, wtedy zapłacono Goldbergowi 27.000 dolarów. Ale kiedy w r. 1922 przyszłoby do spieniężenia tej samej nieruchomości, to pp. Warchiwkerowie byliby dobroczyńcami p. Czapczyńskiego i chcieliby mu zrobić prezent i żądaliby tylko 15.000 dolarów. Jeżeli ja, pp. sędziowie, wszedłem w dziedzinę, która tylko ubocznie styka się z niniejszą sprawą, t. j. z przedmiotem nabycia nieruchomości łódzkiej przez P. K. O. za pośrednictwem, tak uważam i podkreślam, za pośrednictwem oskarżonego W. B., to musiałem to uczynić, żeby wam, panowie sędziowie, unaocznić na tych przykładach, że to wszystko, co tutaj nam mówili pp. biegli z dziedziny handlu nieruchomościami, z dziedziny oceny i taksonowania domów w Łodzi, to wszystko nie jest oparte na rzeczywistości, to są tylko papierowe wyliczenia, a rzeczywistość, której obalać nie można, jest inna, i rzeczywistość ta dokumentalnie przeczy wszelkim ich tego rodzaju wywodom. Dlatego może w oczach pp. sędziów, po tem porównaniu realnem, nabierze wagi oświadczenie p. biegłego Pianko, który jeden, będąc człowiekiem życia, albowiem wszyscy co mieszkamy, żyjemy i wychowaliśmy się w Warszawie, wiemy, że był on współwłaścicielem kolosalnej, znanej przed wojną firmy budowlanej „Architekci Pianko i Kozłowski“, p. Pianko w życiu swoim wybudował wiele nieruchomości, może więcej, niż ma włosów obecnie na głowie, on jeden doskonale wie, jakie były rzeczywiste ceny. I on nie sięga do nic nie mówiących akt wojewódzkich, a zresztą gdybyśmy opierali się na jakichś bliżej nieznanym ocenach wojewódzkich, to proszę mi wskazać jakąkolwiek ustawę, jakąkolwiek instrukcję, obowiązującą oskarżonego H. L., któraby jemu, przy nabywaniu nieruchomości,

już nie ustawa a instrukcja, nakazywała kierowanie się oceną komisji wojewódzkich.

Ja takiego przepisu nie znam i wątpię bardzo, czy ktokolwiek będzie w stanie mi taki przepis wskazać, ale gdyby nawet znalazł się taki cudotwórca, coby taką instrukcję wynalazł, toby w mojem zrozumieniu ona, jako instrukcja papierowa, jako będąca zaprzeczeniem życia, pod żadnym pozorem i pod żadnym względem, żadnych walorów mieć nie mogła. A zatem musimy się liczyć z tem, że na gruncie łódzkim ceniono domy tak, jak w pewnym momencie cenią ludzie perły czy brylanty i jak je szacują; że może w Warszawie, może gdzieindziej na terytorjum Państwa Polskiego, były pod tym względem inne konjunktury, ale dokumenty upoważniają mnie do twierdzenia, że żadnych innych konjunktur w Łodzi nie było i że zatem należało skwapliwie skorzystać z usług oskarżonego W. B. Jakiego rodzaju to była usługa? P. W. Bau, jak widać z dokumentów, które nie dziś powstały, jak widać z całej historii nabycia domu, która jest pisana rękami oskarżonego H. Lindego i rękami jego referentów, p. Bülowa i Krasickiego, świadków w niniejszej sprawie, którzy zatem żadnym podejrzeniom ulegać nie mogą, p. Bau był tylko „pomocny“, jak jest powiedziane w aktach, przy nabywaniu nieruchomości. Jeżeli my do słowa pomocnik dopiszemy kilka liter i zrobimy z pomocnika pełnomocnika, to powiem: zgoda. Wszystko jedno — słowo skrócić, słowo wydłużyć—zrobimy sobie tego pełnomocnika, wbrew zasadzie: littera docet, littera nocet. Czy to dlatego, że tego nam potrzeba, że bez tego obejść się nie można? Bo przecież gdyby tego pełnomocnika nie było, to jakie są podstawy oskarżenia? Przecież to jest codzienna zwykła tranzakcja, tranzakcja, którą w normalnych czasach wszystkie ulice były brukowane. Przyszedł taki pan, co się nazywał dawniej faktorem, obecnie pośrednikiem, niech się p. B. o tę nazwę nie obraża, on może być doskonałym kupcem i nawet bardzo bogatym człowiekiem, nie potrzebującym doraźnych zarobków, lecz w danym momencie, interesownie czy bezinteresownie, wziął się do rzeczy,

która się zwie pośrednictwem, i zaproponował obiekt, dowiedział się bowiem na gruncie łódzkim czy warszawskim, że jest taka sytuacja, iż P. K. O. poszukuje domu i znaleźć go nie może. Czy dlatego to zrobił p. Bau, żeby go p. H. Linde, jak to już p. prokurator użył tego porównania — jak szlachcic polski swego faktora — poklepał po ramieniu i przyjął bardzo przyjaźnie, przyjaźniej niż w innych warunkach, czy zrobił to dla swego pospolitego interesu, ja tego nie wiem i w tej chwili tego nie badam. Wiem jedno, że czy nazwiemy go obywatelem z pod Rzeszowa czy obywatelem łódzkim, on jednak miał prawo przyjść z tą propozycją, bo to jest propozycja uczciwa, bo to jest propozycja normalna. Nie każdy podobnego pośrednictwa się podejmie, to jest jego rzecz osobista, rzecz jego rodzaju zajęcia, rzecz jego środowiska, sfery i t. d., ale fakt faktem, że Bau przyszedł i zaproponował. Przyjęto jego propozycję i proszono go, żeby się dowiedział — jako wywiadowca, biuro wywiadowcze — jakiej żądają ceny. I p. Bau, czy sam pojechał czy posłał kogoś, dowiedział się, jak zeznał św. Kempner, że w owym momencie żądano za dom 30 — 35000 dolarów. Kiedy to było? To było w tym czasie, kiedy się toczyły również pertraktacje z magistratem łódzkim, kiedy się toczyły pertraktacje z firmą Heintze i Kunitzer, boć przecież powiedział nam św. Kryłowiecki, że tego rodzaju pertraktacje trwały 4 i pół miesiąca minimalnie, a zatem musiały być one zaczęte około września czy października, i wtedy podobno pierwsze słowo co do ceny określało ją na 35000 dol. Wtedy nie było ani decyzji prezesa H. Lindego, ani nie było jeszcze uchwały Komitetu Dyrekcyjnego i nie było wyasygnowanych 50 miliardów marek. Wtedy się dopiero mówiło o tem, czego mogą żądać właściciele nieruchomości, i ci panowie najpierw wymienili 35, później 40000 dol. Można wymienić i taką cyfrę, lecz to do niczego nie obowiązuje. Można wymienić ją w intencji zupełnie rzetelnej, można wymienić ją tylko dla żartu, można ją wymienić li tylko dlatego, żeby zbadać grunt, żeby zbadać teren, zobaczyć, czy kontrahent pójdzie na lep tej oferty, czy ma rzeczy-

wiste zamiary nabycia nieruchomości. I wtedy p. Kryłowiecki czy p. Kaszub, nazwisko jest obojętne, pisze do p. Bau: 30000 dolarów, czy pan akceptuje. Zgoda, odpowiada Bau. Ledwo wyrzekł słowo: zgoda, już się zagadka rozwiązała, już pp. Warchiwkerowie podwyższyli cenę o 5000 dol., bo jeżeli zamierzali przeskoczyć z 30 tys. na 60 tys. dol., to w tym wypadku, jako dobrzy kupcy, rozumieli, że należy postępować krok za krokiem. Powiadają 35, pertraktacje, zgoda, rodzi się nowa cyfra 50, znowu zgoda, znowu ta cyfra rośnie i tak urosła ona do 68000 dolarów. Z początku, jak świadek powiedział, nawet do 70000 dol., był nawet taki moment, jak nam powiedział św. Kryłowiecki, kiedy Warchiwkierowie odważyli się powiedzieć 80. A kiedy p. Bau usłyszał tę nową cyfrę 80000 dol., to się zirytował, trzasnął drzwiami i wyszedł. Tak postąpił p. Bau, kiedy rzekomo chciał za wszelką cenę okraść Skarb Państwa i w mojem rozumieniu, jeżeli go o to podejrzewać, to okraść nie skarb Państwa, lecz P. K. O., bo P. K. O. ma swoją osobowość prawną i swój własny majątek. A zatem zgola niepotrzebnie Skarb Państwa mieszaemy do tego interesu. Więc Bau pragnął „oszukać“ P. K. O. i w tym celu targował się i wytargował pewną sumę. Umowa stanęła. W miarę tego jak się pertraktacje nawiązywały, kiedy się zdawało, że z tej mgławicy wyłania się dom, p. Linde zaczął asygnować pieniądze. I tu się tworzy dziwna rzecz. Kiedy wypłacono p. Bauowi pierwsze 50 miliardów marek z pieniędzy P. K. O., wiedzieli o tem wszyscy: i prezes L. i jego pracownicy Krasicki i Bülow i Rada Zawia dowcza, w skład której wchodzi bardzo szacowne osoby, a jeden z jej członków zajmuje obecnie jedno z najwyższych stanowisk w Państwie, i nikt się nie żdziwił, że Bauowi wypłacono 50 miliardów marek. I wszyscy uważali, że chociaż w normowaniu ceny domu należało oprzeć się na pewnym mierniku — na dolarze — to jednak panu B. dano tylko ówczesne biedne marki polskie. I dopiero trzeba było jakichś 2 lat, żebyśmy się domyślili, że wtedy kiedy p. B. dostał marki polskie, które leżąc w P. K. O. zostałyby temi samymi markami polskimi, jak poprzednio, zostałyby tym

samym towarem, wprawdzie tylko co do zewnętrznego swojego wyglądu, gdyż z dnia na dzień traciły na wartości, to w istocie otrzymał on dolary dlatego, że był on człowiekiem przemysłnym i rozumiał, że nie warto w naturze tych pieniędzy trzymać, choć tego rodzaju polecenia od Lindego nie dostał. Wystarczy zatem mu dziś powiedzieć: „jeżeliś ty, człowieku, pracował, a nie tylko pracował, lecz i ryzykował, jak tu już podkreślił słusznie kolega Szurlej, to w tym wypadku proszę oddać zarobek nam”. Rzeczywiście, to takie proste. Gdyby to powiedział „pachciarz” Bau, to byśmy go zrozumieli. Ale kiedy mówi się w imię interesów potężnego Państwa, to ja takiego stanowiska, wybaczenie pp. sędziowie, ani z punktu widzenia obywatela, ani z punktu widzenia moralności, ani z punktu widzenia prawa, pod żadnym pozorem wyrozumieć nie mogę. Czy P. K. O. to giełdowy spekulant? Czy P. K. O. grała na walucie? Czy P. K. O., nie mając wówczas uprawnień dewizowych, nabywała i handlowała walutami zagranicznymi? Nie. P. K. O. miała markę polską. Onaby ją miała nadal i nic innego by nie posiadała. I czy te marki polskie leżały w kasie P. K. O., czy leżały w biurku czy kieszeni p. Bau, czy gdziekolwiek w innem miejscu, one pozostawały zawsze dla P. K. O. tylko tym jednym pieniądzem, tylko tą sumą 520 miliardów marek polskich i ani grosza więcej. Ale Bau miał tę nieostrożność, że on, który chciał okraść P. K. O., zamiast robić spekulacyjne rachunki, zamiast pokumać się z tymi panami w Łodzi i zamiast, korzystając z wyjątkowego zaufania, jednocześnie oszukać P. K. O. i jej prezesa Lindego, ten Bau wytrwał do końca w tym swoim sentymencie, tak wyśmianym przez p. prokuratora, w stosunku do Kasy Oszczędności. I chociaż on w rzeczywistości uzyskał ze sprzedaży marek na własne ryzyko pewną sumę dolarów, to jednak mógł w tym momencie przyjść i powiedzieć: potrzeba mi na kupno dla was domu 68000 dolarów, t. j. około 700 miliardów marek, otrzymałem 520 miliardów, proszę mi dołożyć resztę. A gdyby mu na to oświadczone, że on wszak posiada dolary, mógłby odpowiedzieć: „skąd panowie wiecie, że ja mam w Banku dla Handlu

i Przemysłu wasze a nie moje pieniądze; proszę mi dać albo 68000 dolarów. albo odpowiednią ilość miliardów marek polskich“. Jeśli Bau chciał się narazić na przykrości, to mógł w ten sposób zachować dla siebie znacznieszą różnicę, powiedzmy 170 miliardów marek wzamian tych skromnych 50 kilka miliardów marek, o które p. powód cywilny w swoim powództwie cywilnem zapomniał się dopominać i w ostatniej dopiero chwili zwiększył to powództwo, żądając zasądzenia 5419 dolarów tytułem równowartości 53 miliardów mp. Ale mniejsza o to. Dzisiaj powiada się Bau'owi: proszę dać nam taką sumę, jaką jest równowartość 53 miliardów mp. a on mógł mieć sumę daleko większa w kieszeni, gdyby chciał być złodziejem, gdyby chciał kogokolwiek oszukać i gdyby chciał tak pasorzytować, jak twierdzi p. prokurator, czy to na Państwie Polskiem czy to na skórze swojego kontrahenta P. K. O. Doskonały zrobił interes Wilhelm Bau! Bo nie wiadomo, ile razy jeździł on w tym interesie do Łodzi; nie wiadomo, ile razy listy pisał; gdy dostał czeki dolarowe, to musiał je spieniężyć i na tem stracił kilkaset dolarów, musiał zapłacić 300 dol., bo to powiedział nam adwokat Fogel, temuż adwokatowi tytułem honorarjum. Proszę zajrzeć do skoroszytów, w tych aktach, gdzie Bau zwraca miliard dwieście milionów marek, co p. prokurator uważa za dowód rozrachunku, tamwyraźnie zostało napisane że on dlatego zwrócił tę kwotę, iż zmniejszył prowizję pośredników. Więc Bau miał pośredników. Wszyscy zatem w P. K. O. wiedzieli, nietylko p. H. Linde, że p. Bau korzystał z usług pośredników. Panu Bauowi wolno pracować dla pięknych oczu oskarżonego H. L., dla pięknych oczu Państwa Polskiego, ale czy równie obowiązani są ci, którzy pracują z ramienia p. B., ci którzy są w Łodzi i którzy nie chcą się przyznać do tego, że oni też pieniądze otrzymali! I nikt nie może nam zarzucić, żeśmy skomponowali nazwisko Olszera, Szukałem w aktach sprawy, czy się nie natknę na to nazwisko, nie dlatego by tą drogą udowodnić, że Olszer istnieje i znajduje się w bezpośrednim stosunku do Goldheilów i Warchiwke-

rów, że to jest człowiek, który się koło nich kręci, a taki człowiek nie chce cudzym sprawom darmo czasu swego poświęcać. Akt z d. 28 lutego 1924 r., akt ten znajduje się w skoroszytach, i na ten akt pozwolę sobie się powołać, zawiera w sobie obchodzące nas nazwiska. Na wstępie czytamy: „notariusz... w obecności świadków.... Natana Kempnera”. — Mamy zatem już pierwszego świadka, tego, który około interesu się kręci, i przyznaje się, że otrzymał wynagrodzenie od strony przeciwnej; Bau zaś twierdzi, że nie tylko strona przeciwna była dobra dla p. Kempnera, lecz Kempner się wstydzi, albo może uważa, że tam, gdzie jeden pełnomocnik, jak Bau, w myśl żądań powoda cywilnego ma coś płacić, to może i drugiemu pełnomocnikowi z ramienia pełnomocnika grozi proces karny, czy zwrot wynagrodzenia za pośrednictwo. On nie chce ryzykować. Ja mu nie mam tego za złe, zbyt gorzkie doświadczenie ma p. Bau, bo gdyby nie ta operacja, to byłby odpowiadał tak samo z wolności, jak odpowiadają dwaj pozostali oskarżeni. Otóż, Panowie Sędziowie, akt ten brzmi dalej w ten sposób: „Stawili się... Kaszub jako negationum nestor, w imieniu Bau'a i osobiście mi znani... Izrael Olszer i wspomniany wyżej Natan Kempner“.

Panowie Sędziowie! Gdy sporządzano ten akt notarialny w dn. 28 lutego 1924 roku, gdy nikomu a tembardziej oskarżonym Lindemu, Bauowi i Hryniewiczowi nie śniło się, że kiedykolwiek może być na tle normalnej uczciwej tranzakcji handlowej jakikolwiek proces karny, to już wtedy figurował w tym akcie Olszer. Co to za nadzwyczajne zainteresowanie się, co za bliskość do danego domu? Świadczenie nam powiedzieli, że p. Olszer, technik budowlany, teść Goldheila, chciał ten dom budować. Mógł na nim zarobić, może obliczył już swój zysk na 10 tysięcy dolarów, dajmy na to, że na budowie miał zarobić około 10% czyli conajmniej 6.000 dolarów. Więc jeżeli Bau mu te pieniądze dał, jeżeli Bau sam jeździł do Łodzi, jeżeli dla B. działali inni ludzie, jeżeli Bau chodził do Banku i tam kupował dolary, to Bau już musi być takim lojalnym obywatelem

Państwa Polskiego i tak lojalnym względem P. K. O., że nawet złamanego szeląga zarobić mu nie wolno. Toć przecież normalna przyzwoitość chociażby ze strony powoda cywilnego wymagałaby powiedzenia: Dobrze. Bau wziął pieniądze na kupno domu, ale my jesteśmy dobrzy ludzie i dajemy mu 5%, te normalne 5%, które się daje za pośrednictwo. I to, co powiedział p. biegły Dobkiewicz, nie jest wysane z palca. Jako biegłego nie chciałem pytać o to, co musiałby mi powiedzieć jako świadek, mianowicie, że znana instytucja bankowa w Warszawie przez podstawioną osobę, p. F., żyda, kupiła od żyda dom za Żelazną Bramą i jako podstawionej osobie, temu panu F., zapłaciła te 5%, o których mówił p. Dobkiewicz. To samo było tutaj, analogicznie do wypadku, kiedy się chce wykupić dom chrześcijański, i podstawia się chrześcijanina, którego później niekiedy plakatuje jak nieboszczyka na klepsydrach, na rogach ulic. Tak samo tutaj P. K. O. wyręczyła się Bauem. W Łodzi żądano za domy większych cen, on jednak to zrobił, iż ten dom oddał P. K. O. zamiast marek, które nie przedstawiały żadnej wartości — P. K. O. nie ma marek, lecz ma dom. Zdaje mi się, że dom na placu Krasieńskich, gdzie mamy dzisiaj wspinały pałac, gdzie mamy Sąd Apelacyjny, jest kupiony za marki polskie i wstydzilibym się, gdyby dzisiaj ktoś miał badać, ile marek on kosztował, czy przypadkiem nie za drogo, bo wiem, że gdybyśmy byli przezorni i wykupywali domy, toby dzisiaj urzędnicy państwowi nie potrzebowali tułać się po różnych zakamarkach, gdyż mieliby dzisiaj swój dach nad głową, jak go mają dzisiaj urzędnicy p. Huberta Lindego. A jeżelibyśmy mieli kupować dom, zamieszkały przez lokatorów, to pp. sędziowie, nie potrzeba nam opinii województwa, nie potrzeba ekspertów, bo i bez nich wiem dobrze, że wtedy trzeba byłoby tym wszystkim lokatorom zapłacić znaczne sumy tytułem odstępnego. Ten dom w Łodzi p. Szmidтови, obecnemu prezesowi, nie bardzo się podoba, chociaż widzieliśmy te piękne fotografie i możemy z nich sądzić jak cudownie ten gmach wygląda, który obecnie mieści pod swoim dachem 80 rodzin urzędniczych.



Przypuścmy, że byłoby to 80 prywatnych mieszkań, jeżeli każdemu z tych lokatorów dam tylko 500 dol., żeby lokal opuścił, a dzisiaj jest to drobiazg, i pomnożę tę cyfrę przez 80, to otrzymam 40.000 dolarów, jako sumę, którą należałoby zapłacić za pozbycie się lokatorów. Więc mamy dom bez mieszkańców, który kosztował raptem 520 miliardów marek, które Prokuratorja Generalna wbrew faktowi przelicza na 55.000 dol., a musielibyśmy zapłacić 40.000 dolarów tytułem samego tylko odstępnego. Znamy przecież nieskończoną ilość procesów, gdzie trzeba często upartych lokatorów pozywać do sądu, gdzie ich trzeba latami eksmitować, a toby przetrzymało budowlę nie przez jeden sezon, ale przez kilka sezonów i byłyby gruszki na wierzbie z tego interesu. A tu i pieniądze są i rezultat do pozazdroszczenia. więc gdzież tu jest wynik niedbalstwa z jednej strony, a z drugiej nadużycie ze strony Bau. Pytam się teraz, jaka była więź prawna, która wiązała oskarżonego W. B. z p. H. L. Gdybyśmy szukali nomenklatury w słowach oskarżenia, to doprawdy, przyznam się, odpowiedzi prostej byśmy nie znaleźli. Bau—to pasorzyt, pasorzyt—to nie zajęcie, to ma być rodzaj egzystencji. Bau—totumfacki, to określenie już zbliża się do tego Bau'a faktora, do tego pachciarza. To jest jedna serja epitetów, któremi został obdarzony oskarżony Bau. A następnie: obywatel z pod Rzeszowa, Lodzermensch, a ja dodam obywatel z Warszawy, jednym słowem człowiek z nieokreślonym obywatelstwem. Następnie p. powód cywilny uważa go za komisjonera, za pośrednika, bo wyraźnie pisze w swem powództwie: dom został sprzedany za pośrednictwem Bau'a. Innego słowa tam nie ma. W powództwie cywilnem traktuje się przez cały czas Bau'a wbrew poglądom aktu oskarżenia, jako pośrednika, tu w czasie sprawy już go powód cywilny zrobił komisjonerem i przeniósł go na grunt art. 91 kodeksu handlowego, choć to jest specjalny stosunek do handlu towarowego, bo taki komisant nawet nic nie kupuje, tylko ma towar na składzie i sprzedaje go na rachunek mocodawcy. Następnie zrobiono z niego rodzaj radcy prawnego, co też słyszeliś-

my od p. prokuratora. Jednym słowem, kiedy ja gubiłem się w tych określeniach i szukałem jaką nomenklaturę dać Bau'owi, to doprawdy byłem w wielkim kołpocie, bo musimy się zgodzić na jedno, że albo to jest faktor-pośrednik, albo to jest pomocnik, albo to jest radca prawny. I to jest dziwna rzecz: na wiosnę 1924 r. Bau jest mężem zaufania, pełnomocnikiem, na jesieni już jest oszustem, a na wiosnę 1925 r. jest klientem, kontrahentem, sprzedającym P. K. O. obligacje kolejowe. Otóż takich metamorfoz dla p. Bau mogę naliczyć całe mnóstwo, całe quod libet. To samo dotyczy p. H. Lindego. W ustach p. Prokuratora jest on jednocześnie samowładnym panem, autokratą, w jednej osobie Napoleonem i Mikołajem II, a kiedy idziemy dalej, to jest to mały człowiek, którego jakieś żyjątko — Bau wciąga w bagno, w końcu jest porównanie z niezapomnianej pamięci Stanisławem Szczepanowskim czy też z tym dyrektorem Kasy Oszczędności Zimą, który się pozbawił życia. Sądzę, że tu była nawet pewnego rodzaju dowolność w stosunku do ś. p. Zimy, bo p. prokurator powiedział, że gdyby Zima był sądzony przez przysięgłych, to byliby go skazali napewno i tylko śmierć go uratowała. Nie wiem, czy który z przysięgłych powiedział to p. prokuratorowi, czy wyczytał on to w aktach, bo o ile mi wiadomo, wyroków sądów przysięgłych się nie motywuje, więc skąd pochodzi ta wiadomość. Ale jeżeli tak jest, jeżeli Zima, który nie żyje, byłby skazany, to Hubert Linde, który żyje, powinien być uniewinniony. To jest prosty wniosek z tego oświadczenia p. Prokuratora i innego wniosku być nie może. Otóż na tem tle tej sprawy ja również dochodzę do wniosku, że nie bawmy się we wszelkie porównania, bo wszelkie porównania mają ryzyko i mogą się częstokroć obrócić przeciwko temu, kto te porównania wysuwa. I jeżeli będziemy robili z tego B. wszędobylskiego, „Figaro ci, Figaro là“, to musimy zbadać, na jakim gruncie, gdzie i kiedy on się pojawia w P. K. O. Trzy razy tylko go tu spotykamy, bo przecież to, co się mówi o udziale Bau'a w interesach Marjana Lindego, to jest tylko stosunkiem jego do tego ostatniego i nic więcej. Ale zara-

zem nie zapominajmy o jednej rzeczy: że wtedy kiedy Marjan Linde nabywał Petrykozy, wtedy kiedy umieszczał w P. K. O. rentę rumuńską, to Bau'a przy tem nie było. Ak ja bez niego się odbywa. Przynajmniej do tej pory nikt nie dowiedział, że B. tam był. Interwencja Bau'a zaczęła się od tego momentu, kiedy p. Marjan Linde znalazł się w potrzebie pieniędzy, nie dlatego, żeby ich nie miał, lecz dlatego, że i najbogatszy czławiek może się znaleźć w trudnościach płatniczych, choć może mieć kolosalny majątek, którego ugryść wprost nie może. Otóż p. Marjan Linde potrzebował pieniędzy. Do kogo ma się zwrócić? Do posłańca na rogu, do wysokiego dygnitarza, do średniego urzędnika czy lekarza? Nie, on się naturalną koleją rzeczy zwrócił do człowieka, który w życiu przemysłowem tkwił i handlem się zajmował. On się zwraca do p. B. i prosi go o to, żeby się dowiedział, czy nie ma gdzie kredytu dla niego. A p. B. się podjął i stał się przestępcą, bo zrobił wywiad na mieście, czy p. Marjan Linde może dostać pieniądze. Wypadkowo w cukierni Ziemiańskiej spotkał się Bau ze św. Keyem, który jest vice-dyrektorem banku, i w rozmowie Key pytał się go, czy nie potrzebuje kredytu. Bau narazie odpowiedział odmownie, a w dwa dni później na skutek rozmowy z Marjanem Linde telefonował, że pieniądze są mu potrzebne i odrazu powiedział, że dla Marjana Lindego. I tu się zaczął interes, i dlatego Bau przyniósł Keyowi tę gwarancję, o wydanie której oskarżony jest Hubert Linde. Ale mimo to, że aktu oskarżenia w tym punkcie co do Bau'a niema, od samego początku pomawiamy go tą jakąś dziwną naprawdę metodą, że każdą rzecz, każdy drobiazg wysuwa się na pierwszy plan i chce się wykazać, że to mają być nici, wiążące tych ludzi.

Wróćmy do tej normalnej tranzakcji, do tej tranzakcji, która jest imputowana oskarżonemu B. przez akt oskarżenia i zastanówmy się, teraz już naprawdę na serjo, czy o pełnomocniku w danym wypadku mówić można. Ponieważ zwykłem zawsze mówić prawdę, a zwłaszcza mówię tę prawdę w sądzie, rozumiejąc że szacunek tego miejsca tego wymaga, że tu nie można

nic spaczyć, że tu wszystko powinno odpowiadać bezwzględnej rzeczywistej prawdzie, muszę wyznać, że p. prokurator ma rację, iż w pewnych dziełach autorów francuskich, a między innymi u Planiola, spotykamy ten pogląd, że osoba podstawiona jest uważana za pełnomocnika. Sam Planiol nie jest zupełnie ze sobą w zgodzie. W jednym miejscu on powiada, że na tle podobnych tranzakcji wynika coś w rodzaju pełnomocnictwa, w drugim miejscu prawie identyfikuje oba pojęcia, ale jeżeli weźmiemy innych komentatorów, to ci w swych zdaniach różnią się bardzo. Jeżeli sięgniemy np. do Garçona Code pénal, to pod art. 408, który mówi o nadużyciu zaufania i który odpowiada art. 577 kodeksu karnego 1925 r., znajdziemy tam cały las najrozmaitszych zdań i poglądów, takich, które się przydadzą p. prokuratorowi i takich, które się przydadzą mnie. Wiemy, że wycieczki do Francji są bardzo miłe, kiedy się jedzie na odpoczynek, a zwłaszcza kiedy się ma ulgowy paszport, ale kiedy się bada prawo obowiązujące u nas, to lepiej pozostać na gruncie naszym. Choć to jest kodeks rosyjski, to jednak on jest recypowany i musimy się na nim opierać. I p. prokurator myli się, kiedy mówi, że Tagancew ustawy komentuje, bowiem jego książka zawiera tylko dosłowny przedruk tego, co zawierają motywy prawodawcze. Dlatego, żeby korzystać wprost z naszego języka, biorę do ręki kodeks karny w wydaniu prof. Makowskiego, gdzie pisze prof. Makowski na str. 320 pod art. 577 — w wydaniu 1922 r.: „zastanawiając się nad wymienionymi w tekście ustawy formami takiego stosunku prawnego, w którego granicach staje się możliwe nadużycie zaufania, jako przestępstwo z art. 577, motywy ustawodawcze wypowiedają szereg uwag“ i tu między innymi autor cytuje z tych motywów t. zw. „objaśnitelnej zapiski“ (O. Z.), co następuje: „Pełnomocnictwo rozumieć należy jako pisemną umowę, przekazującą sprawcy rozporządzenie, zarządzanie lub nadzór nad mieniem lub dobrami majątkowymi innej osoby i w jej interesie“... I dalej: „wreszcie ustawa wymienia w sposób ogólny inne upoważnienia prawne, które wymagają sporządzenia aktu

na piśmie, podobnie jak pełnomocnictwo“. To jest wola prawodawcy, tak prawodawca chciał w czasie układania kodeksu nie tylko dla Rosji, nie tylko dla wewnętrznych gubernij, ale tworzył go i dla ówczesnego kraju Przywiślańskiego — dla Polski, albowiem myślał, że on tu po wieki wieczne siedzieć będzie, i wtedy' kiedy tworzył ten kodeks karny, miał na oku i kodeks cywilny. Wtedy kiedy nam p. prokurator cytuje art. 1985 kodeksu cywilnego, kiedy powiada, że pełnomocnictwo dane być może albo ustnie, albo go się można domniemywać z wykonania go przez pełnomocnika, to niech p. prokuratorowi się nie zdaje, że to obala tę tezę, która jest zarówno w motywach prawodawczych, jak i w cytatach prof. Makowskiego. A gdybyśmy nawet się pospierali z p. prokuratorem, wtedy kiedy to dotyczyłoby transakcji ruchomościami, to nie ulega żadnym wątpliwości, że zasada pełnomocnictwa na piśmie jest jasna, nie nastęrczająca żadnych sporów, nie mogąca wywołać żadnych zastrzeżeń, kiedy ona dotyczy nieruchomości. Art. 1988 ust. 2 tegoż kodeksu opiewa: „jeżeli idzie o zbycie lub obciążenie hipoteką lub o inny czyn własności, pełnomocnictwo powinno być wyraźne“ i to się wiąże z art. 1-ym prawa o przywilejach i hipotekach 1818 r., który brzmi wyraźnie, że „wszelkie czynności z przelewem nieruchomości związane mogą być zawierane przez pełnomocników tylko szczególnie i urzędownie umocowanych“.

Niech mi teraz p. prokurator dowiedzie, że B. był przy nabywaniu nieruchomości pełnomocnikiem, szczególnie, wyraźnie i urzędownie umocowanym. Takiego aktu p. prokurator nie znajdzie, bo go nie było. Umocowanym specjalnie do tego aktu był p. Kazimierz Krasicki, albowiem akt sporządzony 3 marca 1924 r. Za Nr. repertorium 1780 przed notariuszem Kahlem w Łodzi i ten akt jest w skrószycie, brzmi tak: „Stawili się... 1) Wilhelm Bau i 2) Kazimierz Krasicki, Zastępca Dyrektora Adm. P. K. O., na mocy pełnomocnictwa, udzielonego mu przez Prezydium P. K. O. i na mocy uchwały Komitetu Dyrekcyjnego tejże Kasy z d. 21/22 listopada 1923 r.“. Tu był pełnomocnikiem p. Krasicki,

gdyż miał akt pełnomocnictwa, odpowiadający warunkom ustawowym. On był tym, który w imieniu P. K. O. nabywał dla niej nieruchomości, był tym, o którym mowa w decyzji Komitetu Dyrekcyjnego, że załatwi tę transakcję, przeprowadzi ją w rzeczywistość — desygnowany pełnomocnik. I z tem się wiąże zagadnienie jeszcze ciekawsze. Ten akt nosi datę 3 marca 1924 r. Panowie Sędziowie znajdują takie same pełnomocnictwo w aktach pod datą 17 stycznia 1924 r., a więc wtedy, kiedy się te pertraktacje w Łodzi jeszcze toczyły, i tam Panowie znajdują, że tam było z początku napisane 65000 dolarów, a potem ta cyfra 65000 jest przerobiona na 70000, dlatego że tak toczyły się pertraktacje, to odpowiada temu, co mówił św. Kempner. Otóż na mocy tego pełnomocnictwa stanął do aktu p. Krasicki. I tam jest powtórzone, że P. K. O. wypłaci sprzedawcom równowartość 70000 dolarów. Gdyby chciał p. Linde wspólnie z Bau działać na szkodę P. K. O., gdyby byli tymi szubrawcami, za jakich chce ich przedstawić oskarżenie, to nic prostszego nie było, jak za 70000 dolarów można było zapłacić 700 miliardów marek i można było ukryć te wszystkie transakcje, dotyczące nabywania dolarów i do nich się nie przyznać. Ale wtedy kiedy Bau przyszedł do P. K. O. i mówił do Krasickiego i Bülowa, że ma rachunki bankowe, że może wylegitymować się z kupna dolarów, to spotkał się z odpowiedzią, że to ich nic a nic nie obchodzi, mało tego, oni mu dołożyli sumę brakującą do 520 miliardów po akcie, więc jakże Bau mógł nadużyć zaufania P. K. O.? Ci panowie uważali, z tych czy innych powodów, że żądanie od Baua zwrotów byłoby niesprawiedliwością. A czyż my możemy mówić o nadużyciu wtedy, kiedy zakończono zgodnie rachunki po akcie. Więc dlatego, że p. prezes L. siedzi obecnie na ławie oskarżonych, dlatego, że P. K. O., która miała swoją osobowość prawną i oddzielną pomoc prawną a z Prokuratorją Generalną się nie parała, musi Bau ponieść skutki tego, i ze stosunku cywilnego robi się dziś czyn karny? Na tle ówczesnego działania czynu karnego nie było. Toć jeżeli jest pełnomocnik i jest mocodawca, i mocodawca

zaakceptował czyn pełnomocnika, to wątpię, czy można mówić o pretensji cywilnej, ale stanowczo nigdy nie będziemy mówili o czynie karnym. Będę szukał, pp. sędziowie, rozwiązania i u tego ulubionego przez p. prokuratora prawodawcy francuskiego. Ten prawodawca powiada, że gdzie rzecz została już oddana na własność, choćby za podstawę tego służył rachunek, nie odpowiadający prawdzie, tam niema nadużycia zaufania (u Garçona ibid). A cóż dopiero w danym wypadku, jeśli rachunki już oddawna zakończono, jeśli Bauowi oddano resztę pieniędzy już wtedy, kiedy żadnej więzi prawnej pomiędzy stronami nie było, kied<sup>a</sup> nawet z tym pełnomocnikiem skończono, kiedy można byłoby go oszukać nawet na umówionem honorarjum, bo on nie miał żadnego dowodu w ręku, on nie miał pisma, nie miał świadków. Figę malowaną mógł mu Linde pokazać. Kończy się jednak tem, że mu dopłacają, bo nikt nie chce, bo pierwszy prezes H. Linde nie chce, żeby nawet ten „pasorzyt“ ucierpiał na tem, a przecież nie mówi nikt o tem, żeby H. Linde był zainteresowany, bo tę jego bezinteresowność swojemi własnymi słowami podkreślił już p. prokurator, więc wypłacono Bauowi to, co mu się rzeczywiście należało, ponieważ on powinien otrzymać za swoje pośrednictwo, ponieważ innym ludziom też musiał dać za współpracę. Więc wtedy była taka sytuacja. I jeżeli to wszystko, co uczynił Bau dla P. K. O., było zrobione bez formy i nie w tej formie, której wymaga prawodawca dla pełnomocnika przy zawarciu aktu notarialnego, to nie można mówić o nadużyciu.

A teraz, dalej, drugi błąd prawny ze strony p. prokuratora. Z olbrzymiem zdumieniem słuchałem tego rodzaju twierdzenia, że gdyby Bau po nabyciu nieruchomości na swoje imię był nie stanął do aktu i byłby nie odsprzedał tego domu P. K. O., to P. K. O. miałyby, jak się wyraził p. prokurator, doskonałą akcję cywilną. Konia z rzędem, panie prokuratorze, temu, co taki proces cywilny wygra. Nie ma takiego prawnika na świecie, nie ma takich sądów cywilnych, któreby zasądziły komukolwiek nieruchomość, nawet gdyby on, jako

podstawiona osoba, nabył ją na swoje imię, a potem powiedział: zwrócę panu pieniądze, a domu panu nie oddam. Może powstać akcja o szkody i straty, ale nigdy nie powstanie akcja o oddanie domu. Nieruchomości siłą odebrać nie można, jeżeli ktoś jej dobrowolnie nie odda. I dlatego mylimy się najzupełniej, jeżeli powiadamy, że to mogłoby mieć taki skutek. Otóż tu jest drugi moment, który świadczy o tej kolosalnej nieuczciwości Bau'a, o tem, że Bau, mogąc wziąć 70.000 dolarów równowartością w markach polskich, mogąc się pokumać z tymi sprzedawcami, a to już powinno być ponad wszelką wątpliwość, że zapłacił on za dom 68.000 dolarów, bo to nam powiedział człowiek porządny, człowiek uczciwy, znany adwokat p. Fogel, Bau nic nie zataił przed swym kontrahentem. Jego grzechem miał być jego zysk z ryzyka giełdowego. Jeżeli tak jest, to nie robimy przestępstwa z normalnej tranzakcji, nieopatrzenie rzucając głośne słowa, które mogą wywołać fałszywy oddźwięk w duszach ludzi wprawdzie usposobionych obywatelsko, lecz którym może się zdawać, że dobrze jest tylko wówczas, gdy jaknajlepsze interesy robi Państwo i te instytucje, które to Państwo posiada. Ale jeżeli nie znajdzie się taki obywatel, który zechce robić prezenty Państwu, jeżeli znajdzie się taki nieużytek, który dojdzie do kolosalnego majątku przez cały ciąg swojego żywota i ani jednego złamanego grosza nie da na cele dobroczynne, to czy z tej racji mamy go postawić w stan oskarżenia. Jeżeli będziemy mieli sprawę o przestępstwo karne i powiedzielibyśmy, że ten człowiek nigdy nie dał w życiu biednemu i dlatego należy uważać go za zdolnego do popełnienia oszustwa, dlatego on jest złodziejem, to mi się zdaje, że takie ujęcie kwestji możnaby wytłomaczyć chyba tylko słabością oskarżenia. I tu przez wysuwanie kwestji obligacji zdradza oskarżenie słabość samych argumentów, które p. prokurator wypowiedział z całą sumiennnością, z całą dokładnością, z całą znajomością wiedzy prawniczej, lecz tak jak ze zbutwiałej cegły. której próbkę widzieliśmy, nie można było wybudować domu w Łodzi, tak samo nie można ze zbutwiałego materiału wybudować



wać gmachu oskarżenia. I dlatego jest w akcie oskarżenia ta dziwna konstrukcja, która każdego z nas uderzyć mogła.

Pierwsze miejsce na ławie oskarżonych, zarówno ze względu na swój urząd i godność, ze względu na swoje chwalebne czyny, nieskalaną przeszłość, która mu przyświeca, zajmuje p. Hubert Linde i wymieniony on jest w nagłówku oskarżenia. I kiedy czytam konkluzję aktu oskarżenia, to ta konkluzja nie brzmi tak jak początek aktu oskarżenia i pierwszy punkt konkluzji bynajmniej nie dotyczy tego, kogo pierwszego na ławie oskarżonych posadzono, lecz zmieniony w tym wypadku jest porządek. Ja nikogo nie oskarżam i nie twierdę, że się czyni rzeczy zamaskowane, które z natury rzeczy są jawne, zwłaszcza dla prawnika, i dlatego mam prawo tylko powiedzieć, że ta konstrukcja aktu oskarżenia mimowoli mogłaby wprowadzić w błąd. I że tak jest, widać z tego, że p. Prezes, stawiając pytania oskarżonym, racjonalnie ujął kwestję, zmieniając początek punktów oskarżenia, a jednocześnie ten przywrócony porządek w mojem przedświadczeniu, rozstrzyga całe zagadnienie prawne: „Hubert Linde—brzmi ten punkt trzeci, który powinien być i stał się pierwszym — zajmując stanowisko prezesa P. K. O. i będąc upoważniony decyzją Komitetu Dyrekcyjnego do nabycia nieruchomości w Łodzi za równowartość 70.000 dolarów, użył swego stanowiska służbowego świadomie na szkodę interesu majątkowego P. K. O.,.. nabywając dom za pośrednictwem Wilhelma Bau“.

Tam w dawniejszym 1-ym punkcie aktu oskarżenia Bau jest pełnomocnikiem, a tutaj czytamy: „za pośrednictwem Wilhelma Bau“. A tak zredagowane pytanie wypadnie postawić w myśl aktu oskarżenia i przy rozstrzygnięciu sprawy. Więc panowie sędziowie mają rozstrzygać w jednym wypadku, że to jest pośrednik, a w drugim, że to jest pełnomocnik. Przyznaję się, że kiedyś czytałem pierwszy raz akt oskarżenia, to mi się zdawało, że śnię. Rada zawiadowcza, Komitet Dyrekcyjny, który ma pełnię władzy nad gospodarką P. K. O., Komitet Dyrekcyjny, który na ławie oskarżonych nie zasiada, upoważnia Prezesa Lindego do na-

bycia domu za 70.000 dolarów, Linde nabywa dom przez Baua za 68.000 dol. pomimo, iż Komitet przeznaczą na ten cel 70.000 dolarów, i to ma być przestępstwo.

Jeżeli można kupić dom za 70 tysięcy dolarów, jeżeli się go nabywa za 68.000, to dlaczego się oskarża Wilhelma Bau'a o to, że działał on na szkodę interesów majątkowych, gdy działał z ramienia osoby upoważnionej do takiej tranzakcji. Więc jest jeden pełnomocnik—Komitet Dyrekcyjny, jego substytut p. Linde, substytut substytutu p. Bau, w tym jednym wypadku dajmy na to nie pośrednik p. Bau, i p. Bau ma być duchem świętym i wiedzieć, że Komitet Dyrekcyjny pomimo swej decyzji nie chce lub nie powinien chcieć tyle zapłacić i p. W. B. powinien przyjechać i powiedzieć: nie wolno, ja, Wilhelm Bau, obywatel z pod Rzeszowa, totumfacki, żyjątko, etc. etc., ja zabraniam, nie wolno, proszę tego domu nie kupować; panowie chcą, ale ja nie pozwalam i kwita. Możeby tak postąpił na sejmiku jakiś szlachcic w dawnej Rzeczypospolitej, ale nie wolno tak postąpić temu „pachciarzowi“, bo jego obowiązkiem jest słuchać pana. Tu nie była tylko fantazja p. H. L., bo jego pokrywała nietylko jego własna autokratyczna wola, ale i wola stojącego nad nim Komitetu Dyrekcyjnego. To jest clou tego wszystkiego. Nie potrzebujemy szukać dalej, można dalej aktu oskarżenia nie czytać. I teraz się dziwię, jak dziwiłem się przedtem i z podziwu wyjść nie mogłem. Wszystko rozumiem, tylko jednej rzeczy zrozumieć nie mogę: nie mogę prawa zmieniać, nigdy prawa naginać nie będę, nigdy prawem frymarczyć nie będę, dla mnie jest jedno: popełnił podsądny przestępstwo, niech ponosi za to karę, mogę starać się o złagodzenie wymiaru tej kary, ale nie powinienem i nie będę żądał dla niego uniewinnienia tam, gdzie mamy czyn karny; ale tam, gdzie przestępstwa niema, tam mam prawo i obowiązek powiedzieć: należało nie pisać tego aktu oskarżenia, należało albo sprawy nie wszczynać, a jeżeli się ją wszczęło, to należy poczekać, aż „część“ tych rzeczy, objętych aktem oskarżenia, ustali się i nie będziemy tylko bujali w jakichś mgławicach i nie będziemy mówili o rzeczach przyszłych dlatego

tylko, żeby za rzeczy niepopelnione, przed widmem rzeczy przyszłych, choć może popelnionych w istocie, ugięło się sumienie sędziowskie.

Panowie Sędziowie! Chciałbym skończyć właściwie z tą kwestją, który tyle tu wywołała już debat, mianowicie z kwestją pełnomocnictwa, ażeby raz nareszcie już ta kwestja legła w niepamięci piasku, jednak nie mogę pominąć jeszcze kilku argumentów, które muszę wydobyc z mego kołczanu obrończego, mianowicie tych argumentów, które są wsparte nietylko słowem, nietylko powoływaniem się na cudzoziemskich autorów, ale i na dwie powagi, na tych, którzy stykali się z prawem obowiązującym. Otóż, między innymi, znany komentator kodeksu dawnego kar głównych i poprawczych i ubocznie kodeksu z 1903 r. Fojnicki, w swojej pracy, między innymi, powiada: „nadużycie zaufania różni się w każdym razie zasadniczo od korzystania z cudzego zaufania“. Otóż, kiedy się mówi wciąż, że miał Bau korzystać z zaufania innych, to korzystanie z zaufania a nadużywanie zaufania to są dwie różne rzeczy, a bez nadużycia zaufania nie może być mowy o nadużyciu pełnomocnictwa. Mamy jeszcze jedno pomieszanie pojęć. Jeżeli mówimy o tem, co miał Bau z tej tranzakcji dolarowej, co zostało w jego kieszeni, jeżeli cokolwiek zostało, a jaką z tego tytułu poniosła stratę P. K. O., to znowu mamy pomieszanie pojęć. Mianowicie prawo przedewszystkiem powiada: „Jeżeli strata nastąpiła“. Czy strata P. K. O., a zysk Bau to jedno i to samo? To nie jest jedno i to samo. I faktycznie, jak rozumieć p. powoda cywilnego wtedy, kiedy on w końcu 1-go ustępu konkluzji powództwa żąda, ażeby zasądzić na rzecz P. K. O. 48.507 dol. (nawiasem mówiąc nie wiem czy 507, bo w konkluzji jest 57, w treści jest nawet inna suma, ale mniejsza o to, to jest kwestja obojętna) jednym słowem, żąda tej sumy, „stanowiącej bezprawny zysk Bau“, jak się wyraża powód cywilny w przedostatnim ustępie przed częścią 2-gą. Czy art. 577 karze za zyski tego, który nadużył zaufania, czy też za szkody, wyrządzone mocodawcy? Tylko za szkody, wyrządzone mocodawcy, i to trzeba ustalić i tu trzeba

dowieść, że P. K. O. straciła pewną część swych funduszów na danej operacji. P. K. O. wypłaca Bauowi 520 miliardów. Czy one leżały u niej, czy, jak się powiada, w kieszeni Baua, to one się przez to nie zmieniły. One mogły się conajwyżej dla P. K. O. zdeprecjonować, ale nigdy swojej wartości nie powiększyłyby i P. K. O. ani jednego feniga, ani jednego centa, ani jednego grosza więcej by z tego nie miała, dostałaby tylko swoje 520 miliardów marek. I mylił się wczoraj p. prokurator, kredy czynił porównanie z tą paczką banknotów, któreby leżały na biurku w P. K. O., któreby się zapaliły i popaliły, a któreby Bau uratował, wziął, schował do kieszeni i ukradł. On nic nie ukradł. Jemu to dano. On wyniósł te 520 miliardów marek polskich z P. K. O. i one leżały u niego w domu. I wyobraźmy sobie, że Bau składa te pieniądze u siebie w domu, czy w Banku dla Handlu i Przemysłu, i że Bau jest takim cudotwórcą, że przychodzi z różdżką czarodziejską i robi to, że na tych pieniądzech wyrosła cudowna perła. Więc P. K. O. przysłałaby pana powoda cywilnego i powiedziałyby, że dlatego, że te pieniądze leżałyby u B., u niego w kasie, dlatego że on ma czarodziejski sposób i że dzięki temu na tych pieniądzech wyrosła perła, to należy ją zabrać i zasądzić na rzecz P. K. O.? Takiego sądu cywilnego na świecie byśmy nie znaleźli, któryby to uczynił, a nie znaleźliśmy i sądu karnego, któryby za to potępił Baua i któryby go za to ukarał.

Teraz, jeżeli będziemy dalej badali tę rzecz i zastanawiali się nad kwestją aktu, wtedy, kiedy powiada p. prokurator, że gdyby Bau nie był przekazał domu P. K. O., to P. K. O. byłaby od niego ten dom wyprocesowała, to nie wiem dlaczego tej samej miary nie stosuje się wtedy, kiedy mówi się o hotelu „Ritz“, bo dosłownie wczoraj wyraził się mój sz. przeciwnik w ten sposób, że co będzie z tego, że są akcje w portfelu, jeżeli dom sprzedadzą, jaka akcja będzie przeciw tej osobie, która dom nabędzie. Rozumie p. prokurator, że to, co jest hipotecznie przepisane, bez woli kontrahenta na drugą stronę przejść nie może. Bez względu na

stosunek prawny, który strony łączy, musi być akt dobrej woli i bez aktu dobrej woli żadne prawo do nieruchomości zrealizowane być nie może.

Dalej powiada się: wyście ten dom kupili za drogo. Znowu mamy odpowiedź prawodawcy cywilnego. Prawodawca cywilny powiada, że jeżeli dom jest sprzedany za tanio, to może występować i bronić się tylko sprzedawca. Art. 1674 kodeksu cywilnego broni sprzedawcę z powodu pokrzywdzenia więcej, niż o <sup>7</sup>/<sub>12</sub> ceny. Natomiast art. 1683 powiada: „zerwanie z powodu pokrzywdzenia nie jest dopuszczalne na korzyść nabywcy“. Niema pokrzywdzenia dla nabywcy. Nabywca zawsze zapłaci tę cenę, jaką zapłacić chciał. Nikt nie będzie badał, nikt nie będzie stał na straży jego interesów, kupił, dał tę cenę, widocznie to mu się podobało, to było dla niego tyle warte. I prawodawca powiada: może być sto najrozmaitszych skarg ze strony nabywcy, że zapłacił za drogo, a mimo to nie ma akcji, nie ma rozwiązania umowy, to jest mur, to jest pewne, to musi być wykonane.

I dlatego właśnie prawodawca cywilny ujmuje tę kwestję tak, gdyż rozumie, iż może być pokrzywdzenie tylko po stronie sprzedawcy. Człowiek zmuszony okolicznościami życia, a takim zmuszonym okolicznościami życia był np. św. Lewit, sprzedaje dom za bezcen, i Lewit nie tylko ratował swego przyjaciela, a gdyby nawet uczynił to kosztem sprzedaży swego domu, to byłby piękny rys jego charakteru, ale pozatem on ratował także siebie, bo powiedział, że był zmuszony oddać pieniądze wierzycielom. I wtedy się za bezcen kosztowne, drogie, rodowe pamiątki sprzedaje. Więc jeżeli jest tak i ktoś jest zmuszony, to nie można mówić, że sprzedał zbyt tanio, dlatego, że to było więcej warte według oceny biegłych, albo, że inny zapłacił tak drogo, dlatego, że był oszustem. I żeby z kwestją pełnomocnictwa skończyć i raz skończyć z francuzami i mówić o polakach, wziąłem dzieło p. Marjana Kurmana, znanego prawnika, notariusza w Warszawie, p.t. „Notariat i hipoteka“, gdzie czytamy na str. 166 odbitego jako rękopis egzemplarza: „podług kodeksu Napoleona

pełnomocnictwo... w niektórych wypadkach może być udzielone i ustnie, gdy prawo do samej umowy, zawartej na zasadzie pełnomocnictwa, nie żąda formy pisemnej“.

Czy do nabycia nieruchomości prawo nie żąda formy pisemnej, czy ja mogę przenieść prawo własności tak sobie, ot, w rozmowie, czy to będzie miało jakiegokolwiek skutki? Gdyby nawet 100 razy p. Bau umawiał się z Warchiwkerami, że oni dom mu sprzedadzą, a oni do aktu nie staną, gdyby nawet ta umowa została poprzedzona zadatkiem, to w myśl art. 1590 K. C. może mogłaby im grozić zapłata podwójnego zadatku, lecz i w tym wypadku nie możnaby ich siłą fizyczną przez prokuratora sprowadzić do aktu, bo przede wszystkim kardynalną zasadą prawa cywilnego jest wola stron, wola kontrahentów, wola niczem nieskrępowana. Tam, gdzie zachodzi podstęp, zła wola, przyczyna aktu niegodziwa, tam w myśl art. 1108 akt jest nieważny, albo ulega rozwiązaniu. Gdyby za podstawę aktu przyjęto dolary i w akcie by się dolary znalazły, to byłaby ze względu na ówczesne przepisy dewizowe przyczyna niegodziwa i taki akt byłby nieważny lub w każdej chwili obalony, ale w akcie było powiedziane: 520 miliardów marek i te 520 miliardów marek, to jest ta suma, którą P. K. O. musiało mieć w swoich książkach. Była dobra wola Bau, że on przyszedł z tym miliardem marek, który zaoszczędził na pośrednikach. On mógł ani grosza nie przynieść i byłby w porządku, dlatego, że bez względu na to, jaki byłby jego zysk, nie ma żadnej szkody ze strony P. K. O., bo ta szkoda nie tylko nie nastąpiła, ale ta szkoda, nastąpić nie mogła, bo to, co było dane za dom przy akcie, jest niższe, niż to, co powinno było być dane. Nie wolno w aktech zatajać rzeczywistej ceny—powiada prawo. Więc jeżeli jako cena sprzedażna domu była przyjęta suma 68.000 dolarów, to ten akt, według wszelkich prawideł sztuki, powinien był opiewać na 680 miliardach marek w/g ówczesnego kursu. Nie wiem, może powód cywilny sprobuje na podstawie tego zatajenia rzeczywistej ceny kupna akt obalić i może zechce od sprzedawcy otrzymać z powrotem 68.000 do-

larów i te koszty, które P. K. O. dała na sporządzenie aktu i wyłożyła na przebudowę domu. Jeżeli dostanie Prokuratorja Generalna taką dyspozycję, to może taką akcją wytoczyć, ale dzisiaj ten dom należy do P. K. O., był kupiony za godziwą cenę, był kupiony właściwie, według wszelkich prawideł sztuki i akt był sporządzony według obowiązującego prawa, choć tam powinno figurować 680 miliardów marek. Jeżeli celem uzgodnienia z rzeczywistym stanem kasy i z zamierzonym wydatkiem wynagrodzono Baua po akcie dodatkowo, a na to była wola jego mocodawcy, jeżeli jego uważać za pełnomocnika, to jest to najlepszy dowód dobrej wiary Bau'a i ta okoliczność Bau'a najlepiej broni.

Ta kwestja, zdaje się, jest wyczerpana i ta kwestja, zdaje się, narazie rozważań większych nie wymaga. Jeżeli jeszcze powracam do kwestji dolarów, to w tym celu, by dowieść, jak mylnem jest przypuszczenie oskarżenia, że Bau to jest pasorzyt, to jest spekulant, to jest ten człowiek, który cudzą krzywdą się tuczy, i dowieść, że on dopiero wtedy zaczął te pieniądze składać do banku, w celu zamiany ich na dolary, kiedy po temu możność nastąpiła. 50 miliardów zostało wypłacone Bauowi w dn. 23 listopada. To jest bezsporne, to jest dowiedzione. Mamy dalej buchalteryjne odzwierciedlenie w księgach banku tego momentu, kiedy zaczęto kupować dla Baua dolary, bo nie Bau je nabywał, tylko bank. Musimy zważyć wszystkie trudności. Wtedy były prawa dewizowe. Może je trzeba było obejść — ja nie pochwalam tego — ale fakt jest faktem. Pierwsza data nas obcho-dząca jest dn. 12 grudnia, jako pierwsza data zakupu dolarów, a pieniądze do rąk Bau'a właściwie wpływają dopiero od tego momentu. Tam niema żadnych przerw, można zbadać wszystkie rachunki, wszystkie wyciągi, można się przekonać, że te wyciągi idą jeden za drugim i one są dowodem, że oskarżony B. ani na jedną chwilę nie trzymał ani jednego grosza u siebie. Te wyciągi świadczą, że wtedy kiedy B. dostał te pieniądze, zostały one przekazane do Łodzi na rachunek do P. K. K. P., i z tej sumy 50 miliardów marek w d. 24 listopada było podniesione wszystkiego

2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miljarda, które wpłynęły z powrotem 3 grudnia. Suma 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miljarda była wtedy sumą tak znikomą, że nawet nie warto o niej mówić, choć ona kilka dni leżała u Baua. W d. 6 grudnia jest zapis na 230 miliardów. 7 grudnia te 230 miliardów było przekazane na rachunek Kryłowieckiego — razem było przekazane 280 miliardów. I cóż widać? One były przekazane w dniu 7 grudnia, zapisane zaś zostały na rachunek Kryłowieckiego w P. K. K. P. w Warszawie dopiero 11-go. Wobec przekazania przez P. K. K. P. w Łodzi bezpośrednio na rachunek Kryłowieckiego w Warszawie i wobec faktu przesyłki pieniędzy przez P. K. O. w Warszawie do P. K. K. P. w Łodzi, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że te pieniądze w rękach oskarżonego nie były — a wpłynęły one dopiero na jego rachunek 11-go grudnia i tegoż dnia 11 grudnia mamy w wyciągu rach. żyrowego Kryłowieckiego podjęcie 2 czeków na Bank dla Handlu i Przemysłu po 20 miliardów, razem na 40 miliardów marek i jednocześnie pod tą samą datą w wyciągu rachunku przechodniego W. B. mamy wpłatę 11 grudnia tych samych 40 miliardów.

Jest to dowód, że Bau z nich nie korzystał. Następnie 14 grudnia jest zapisane na rachunku żyrowym Kryłowieckiego w P. K. P., że Bau podniósł za czekami, po 20 miliardów marek każdy, ogółem sumę 200 miliardów marek i z akt sprawy widać, że 14 grudnia P. K. O. otrzymała z powrotem od Baua 200 miliardów, które on tego samego dnia podniósł za czekami, co jest widoczne na rachunku żyrowym Kryłowieckiego tom II str. 66. To też zupełnie słusznie wczoraj odpowiedział p. biegły Dobkiewicz, do czego przyłączyli się wszyscy pp. biegli, na pytanie p. powoda cywilnego, jak Bau obracał sumą 200 miliardów. Bau temi pieniędzmi *nie* obracał, Bau tego samego dnia je otrzymał i tego samego dnia je wpłacił. Otóż, proszę panów sędziów, widać najdokładniej z tych akt, gdy będziemy je śledzili krok za krokiem, że Bau nie przetrzymywał u siebie otrzymanych z P. K. O. pieniędzy. Jedyne sumy, która w międzyczasie rzeczywiście u niego pozostała, to jest suma 20 miliardów 680 milionów marek, które obliczone tu-



taj stanowiły 3.000 dolarów. Ja wierzę, że te pieniądze były potrzebne. Wierzę, że były one potrzebne dla pośredników, żeby przyspieszyć akt, i gotów jestem nawet uwierzyć, że na to, żeby dolary w banku można było kupić, bo niech w banku wypiszą jak najdogodniejsze ceny na dolary i niech klient wie, że nie może dostać dolarów bez obejścia pewnych przepisów dewizowych, to musi się zgodzić z tem, że nikt mu grzeczności darmo nie zrobi, i także wynagrodzony być musi. Więc pieniądze u Baua nie zostały, a jeżeli zostały, to u kontrahentów, czy to był sprzedawca czy pośrednik. Linde zaś wszedł z Beuem w tego rodzaju porozumienie, że mu wyasygnował pewną sumę w markach i powiedział, że więcej o niczem wiedzieć nie chce, bierze za to dom, ile to Baua kosztuje — to go nie obchodzi, bo miał prawo dać nawet 70.000 dolarów. To jest clou tej całej kwestji i tem się cała rzecz wyczerpuje.

W ten sposób po przejściu tego, że tak powiem, zrębu oskarżenia umieszczonego na samym wstępie aktu oskarżenia, i w zasadzie udzielił najwięcej uwagi temu punktowi oskarżenia Pan Prokurator, mogę przejść śmiało do drugiego punktu, mianowicie do tego punktu, kiedy mówimy o oszustwie. Oszustwo wymaga przede wszystkim nadużycia zaufania, wprowadzenia kogoś w błąd. Pan prezes Linde powiada, że on żadnemu błędowi nie uległ, nikt go nie oszukał, on doskonale wiedział, co robi, że kupuje rzecz, która istnieje, drzewo i cegłę, która istnieje tak, jak powiedzmy istniałaby libra papieru przeznaczona na wyrób kajetów. I czy powiedziałby Pan Prokurator, że ktoś oszukuje, gdy mając libkę papieru, powiedział, że ma już gotowy kajet, i czy to jest oszustwo? Nie, on ma i może zrobić kajet, a jeżeli skłamał, że kajet już jest gotów, to kłamstwo takie nie jest karalne, jak niekaralną jest wszelka obietnica. Obietnica nie jest oszustwem, obietnica dostarczenia gotowej rzeczy, gdy ta rzecz nie jest gotowa, nie jest oszustwem, bo w ten sposób trzeba było mieć wszystko gotowe na składzie. I jeżeli udam się do stolarza i dam mu pieniądze, a on mi powie, że ma już gotową szafę,

a zrobi ją dopiero za trzy dni, to czy podam go do sądu za oszustwo, bo dopiero zrobił tę rzecz. Ja takich oszustów nie widziałem i jeżeli Pan Prokurator tak lubi kodeks francuski, to mam tutaj przed sobą cytowanego już Garçon, który powiada: „Sprzedaż nie jest umową, której pogwałcenie pociągałoby za sobą odpowiedzialność, jak za nadużycie zaufania. Niewykonanie jej, nawet gdy ona krzywdzi jednego z kontrahentów, nawet gdy nosi na sobie piętno podstęp, pociąga za sobą tylko skutki cywilne“.

Nawet jeżeli ktoś przyrzekł sprzedać rzecz, a potem woli odsprzedać ją komuś innemu, to to nie jest czyn karny, to jest niewykonanie zobowiązania, rzecz jeszcze nie przeszła na własność, tu jest potrzebna traditio rzymska, tu musi być objęcie w posiadanie, dopóki się w posiadanie nie objęło, niema karygodnego wycofania rzeczy. Jeżeli ja się rozporządzam rzeczą sprzedaną niezgodnie z sumieniem, odpowiadam cywilnie za szkody i straty. Zdaje mi się, że to jest jasne, że ta rzecz nie wymagałaby tak długiego tłumaczenia. Przypominam tylko to pytanie, które zadał biegłemu p. prokurator, mianowicie biegłemu Stawiskiemu, czy na podstawie specyfikacji, na podstawie próbki cegły, można było orzec o jej zdolności i czy transakcja dochodzi do skutku, czy też nie. I biegły odpowiedział, że to wystarczało najzupełniej. Jeżeli mamy tak umiłować biegłych, to umiłujmy chociaż pana Stawiskiego, ale najlepiej ich wcale nie miłować, bo gdzie jest czyn karny, tam jest odpowiedzialność, gdzie nie ma czynu karnego, niema odpowiedzialności i żaden biegły nie zastąpi wymogów prawa, nie zastąpi luk w sprawie. Dlatego musimy szukać rozwiązania kwestji tylko w kodeksie, w naszych umysłach, w tych aktach, które mamy, we wzajemnym stosunku stron, i musimy sobie powiedzieć, że tam, gdzie od początku do końca budujemy rzecz na tem, że niemal wiążemy oskarżenie Lindego i Hryniewicza jako urzędników państwowych z oskarżeniem Baua za pomocą art. 51 K. K., gdzie niemal żałujemy, iż nie możemy art. 51 postawić, to tam gdzie prawo karne na to nie pozwala, nie twórzmy rozmaitych fikcji. Bo tu nie

o fikcje chodzi, tu chodzi o prawo, tu chodzi o życie i przede wszystkim o wymiar sprawiedliwości, który nam wszystkim jest drogi, bo rozumiemy, że tam, gdzie niema sprawiedliwości, tam państwo pada, tam jest zaczątek ruiny i jeżeli my chcemy, aby Polska wyrosła jeszcze tak, jak siły jej na to pozwalają, to przede wszystkim budujemy i gruntujemy sprawiedliwość. I to jest pierwszy punkt naszych wymogów.

Jeżeli dotykam kwestji, poruszanej przez oskarżenie — kwestji obligacji kolejowych, sprzedanych przez Baua P. K. O., choć nie było możliwości postawienia mu z tego zarzutu w akcie oskarżenia, to dlatego, iż rozumiem, jaką w oczach Sądu może odegrać ta potężna cyfra, którą podkreślił już kolega Szurlej; Bau uzyskał ze sprzedaży swych obligacji 200000 złotych. Jaki? uczciwie dostał? Pewnie nieuczciwie, pewnie ukradł. A jednak nie. Bo Bau tych papierów nie ukradł, jest ich prawnym posiadaczem, i bez względu na to, skąd je wziął, ma prawo je sprzedać temu, kto zechce kupić, a czy tamten kupił dobrze, czy źle, to nie jest rzecz Baua i on nie jest obowiązany to rozważać. Nietylko Bau ale żaden kontrahent. Już tak się w końcu ułożyło, że każdy chce najdrożej sprzedać, a inny jaknajtaniej kupić. Na przykład poszła kucharka na miasto i miała kupić pęczek rzodkiewek i zapłaciła żądane 60 groszy, podczas kiedy było można targując się kupić za 50 groszy, a więc ponieważ ona miała polecenie (upoważnienie do nabycia), więc w myśl teorii o pełnomocnictwie powinna zasiąść na ławie oskarżonych i pójść do więzienia zapobiegawczego. W ten sposób możemy powiększać liczbę tych pełnomocników, możemy powiększać, nie wiem jak, ilość ludzi, których będziemy pełnomocnikami nazywali tylko dlatego, że oni w pewnym momencie życia wykonali jakąś czynność z polecenia innych osób. Ale wróćmy do tych papierów. Bau sprzedaje je tylko w maju. I dziwna rzecz, człowiek, który chce wyzyskać swego kontrahenta, pierwszą partję sprzedaje po 48 groszy, następną po 47, potem po 46, a potem po 43, przy czem bywa tak, że przy droższej cenie jest mniejsza partja, a przy niższej jest partja większa. I to wszystko

jest złe, dopóki robi to Bau. Ale powiedział Pan Prokurator: i inne osoby to robią, ale ja nie mam do nich pretensji. Czy dlatego, że zrobił to np. pan generał Sawicki, od pana powoda cywilnego dowiedziałem się, że to był generał, więc jak generał sprzedał, to już dobrze, jak sprzedał Pomerski albo Bau, to jest złe. Dlaczego? Czy to jest jakaś inna tranzakcja? Jeżeli to jest zupełnie bezwartościowy papier, jak chce przedstawiciel powoda cywilnego, to nawet i trzy grosze są przepłacone, więc dlaczego 31 groszy i 30 groszy są dobre, a czterdzieści i parę mają być złe. I wtedy gdy panu Skowronkowi płaci się 28, a następnie Bankowi Hipotecznemu Ziemskiemu 29 i posłowi Hausnerowi, dr-owi Kulczykiemu 30, wtedy kiedy płaci się panu Sawickiemu i Pomerskiemu jednakowo po 31, to to, co jest złe dla pana Pomerskiego, jest dobre dla pana Sawickiego i innych. Ja takiej polityki i takiego stosunku do ludzi i do sprawy nie mogę zrozumieć. Dla mnie jest sąd jeden i albo są nieuczciwi ci wszyscy, którzy to robili, albo żaden z nich. I to powiadam, abstrahując od wszystkich osobistych ans lub osobistych wycieczek pod adresem oskarżonego Baua, bo wierzę, że wszyscy dbamy jednakowo o wymiar sprawiedliwości i nie mam powodu ukrywać się z tem co myślę, tu jest sala, która musi być szanowana, tu nie wolno nic zamilczeć, i muszę rzeczy tak przedstawić, jak je widzę i rozumiem. I dlatego mnie się wydaje dziwnem, że gdy było ustalone, że wszelkie papiery szły do skarbcza, nawet gdy były przyniesione w walizce Baua, to nie wiem, dlaczego Pan Prokurator mówił, że to była walizka z Wiednia. Czy tam był znak komory celnej, czy pieczętka zagraniczna?

Ja tej walizki nie widziałem, wiem tylko jedno, że w aktach spraw w tomie drugim na stronicy 91 mamy rachunek wiedeński, który wykazuje, że Bau w dniu 20 maja 1924 r. posiadał na swoim rachunku 11 milionów koron w obligacjach i półtora miliona w akcjach. Mniej sprzedał w P. K. O., niż posiadał w Wiedniu. Mógł, jeżeliby chciał wyzyskiwać, nie czekać na tańszą cenę, a korzystać z tej najwyższej ceny po 48 groszy

i wpakować panu Lindemu wszystkie papiery, gdyby pan Linde chciał faworyzować Baua i gdyby pan Bau był tym, który chciał wykorzystać P. K. O. Nie rozumiem tej delikatności formy, o której mówił Pan Prokurator, jeżeli ta delikatność przede wszystkim bije po kieszeni samego Baua. Albo w założeniu swem była to transakcja zła, to odpowiedzialność grozi jedna, czy za 40 miliardów, czy za 4 miliardy, albo jest to rzecz uczciwa a Bau osiągnął taką cenę, jaką osiągnąć można było, to z tego powodu nie można mu robić zarzutów. I wtedy, kiedy pan Bau, jeżeli cofnę się znowu do drzewa, pisze w swoim liście, że posiada gotowe drzewo kantowe, to to ma być czyn karny, a kiedy pisze pan Marjan Linde, kłamliwie, jak powiada Prokurator, że renta rumuńska jest warta 60%, to pan Marjan Linde znajduje się w tym samym gmachu sądowym i u tego samego sędziego śledczego i pan Marjan Linde pozostaje świadkiem, a pan Wilhelm Bau za list analogicznej treści idzie do więzienia. Ja tego również nie rozumiem. Dla mnie niema ani Bauów, ani Lindów, dla mnie jest tylko oskarżony, dla mnie jest sprawa, dla mnie jest proces, dla mnie jest taki a nie inny przepis prawa i to jedno jest, co muszę szanować. Sprawiedliwość jest jedna, jednakowa dla wszystkich i dlatego powiadam jeszcze raz, że wielu rzeczy tu nie rozumiem. Nie przypuszczam na jedną chwilę, zawsze jestem daleki od myśli, żeby coś się ukrywało, ja tylko widzę grube nieporozumienie i tylko proszę, ażeby panowie sędziowie rozwiązali tę kwestję pod kątem nieporozumienia. Było nieporozumienie pomiędzy stroną oskarżającą, właściwie sędzią śledczym, a oskarżonym, było nieporozumienie w tym sensie, że nie mieli oni możliwości porozumiewać się ze sobą językiem prawnym, dlatego, że z oskarżonym ani sędzia śledczy ani prokurator językiem prawnym rozmawiać nie mogą. Kiedyś, gdy będzie u nas wprowadzony instytut obrony w czasie śledztwa wstępnego, nastąpi owa lojalna zwykła rozmowa prawnicza, tak jak my rozmawiamy teraz językiem prawniczym. Jabym chciał tylko, żeby w tej płaszczyźnie była rozstrzygnięta ta sprawa. Jeżeli Panowie dojdą do wniosku,

że oskarżony Wilhelm Bau był pełnomocnikiem, że on nadużył zaufania i wyrządził szkodę P. K. O., jeżeli Panowie dojdą do przekonania, że on na tym tle zabrał coś bez wiedzy swego mocodawcy, czy kontrahenta, czy strony, jeżeli Panowie odpowiecie, że on nie dostał od nich jeszcze tytułem premii czy dodatku pewnej kwoty pieniężnej po zakończeniu transakcji, jeżeli Sąd odpowie mi dalej, że Bau oszukiwał w tym momencie, gdy mówił, że ma drzewo, podczas kiedy ani takie drzewo istnieć nie mogło, ani on go zakupić nie mógł, ani co ważniejsze nie miał żadnego źródła, że lasy w Borownie, które miał w posiadaniu i które chciał wycinać i wycinał, że to wszystko fikcja, że fikcją jest świadek Rajchert, że to nie jest obywatel ziemski, że to nie jest właściciel cegielni, że to jest człowiek, którego można wyrzucić poza nawias, jako tego, który chce Sąd wprowadzić w błąd, jeżeli na te wszystkie pytania Panowie Sędziowie dacie odpowiedź ujemną dla oskarżonego, to skazujcie Baua. Jeżeli zaś w swoim sumieniu podzielicie moje zapatrywanie, jeżeli wasza wiedza prawnicza Wam podpowie, że to com powiedział w obronie podsądnego nie jest pozbawione słuszności, że jeżeli mogą być kontrowersje, to są to kontrowersje, które powinny być rozstrzygane na łamach pism fachowych, ale tutaj one nie mogą być rozstrzygane przeciwko oskarżonemu i nie mogą walić się całym ciężarem na jego barki, to w tym wypadku jestem przekonany, że wyrok może być tylko jeden: że Bau jest niewinien. I o ten wyrok mam zaszczyt Wysoki Sąd pokornie prosić.

#### REPLIKA ADW. WACŁAWA BROKMANA.

Panowie Sędziowie, być może, że Sąd zwrócił wczoraj na to uwagę, iż ja właściwie o powództwie cywilnem nawet nie mówiłem. Nie wówiłem dlatego, że chciałem być konsekwentnym. Skoro uważałem, że czyn podsądnego Baua, ten czyn, który mu jest imputowany, nie podpada pod wymogi przepisów karnych i prosiłem

o uniewinnienie, to zdawało mi się, że prostym i logicznym wnioskiem jest prosić o pozostawienie powództwa bez uwzględnienia, a zatem nie poruszałem tej materji. Jeżeli jednak dziś p. powód cywilny powiedział, że jest bezwzględnie przekonany, iż Bau wszystko zapłaci, to znaczy iż Bau ma zapłacić to wszystko, cokolwiek będzie zasądzone nietylko od niego, ale od kogokolwiek siedzącego na ławie oskarżonych — nie dziwicie się pp. Sędziowie, że mnie to cokolwiek przeraziło, bo przypuszczam, że na tę sumę, którą Prokuratorja Generalna dziś wyliczyła, może nawet dość znaczny majątek Baua nie wystarczyć. Jednocześnie było to dla mnie dowodem, że Bau w rozumieniu p. przedstawiciela Prokuratorji Generalnej jest tak bogatym człowiekiem, iż podziela on stanowisko p. Huberta Lindego, który ufał słowu Baua, który znał go jako człowieka bogatego i nie miał potrzeby inaczej go szacować, niż to czyni dziś p. przedstawiciel powództwa cywilnego.

A zatem wszystko jest w porządku i bynajmniej nie należy się przerażać tem, co jest wytoczone w powództwie cywilnem i w akcie oskarżenia. Ponieważ tylko bałem się jednocześnie, żebyśmy zamiast tej obiecanej przez powoda cywilnego symfonji nie doczekali się kakofonji w tej sprawie, dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę na jedną rzecz z powództwa cywilnego. Ja nie wiem w tej chwili jeszcze, czego żąda p. powód cywilny. Bo kiedy dziś przemawiał, to słyszałem, że żąda różnicy pomiędzy idealną sumą 55790 dolarów, stanowiącą równowartość tych marek, które otrzymał Bau na cele tej transakcji, a sumą 39 tysięcy dolarów, t. j. tą sumą, która padła z ust pewnych ekspertów — czyli 17 tysięcy dolarów. Kiedy formułowano to powództwo cywilne w czasie przewodu sądowego, to wyrażało się ono sumą 44719 dolarów. Kiedy czytaliśmy powództwo cywilne zgłoszone do sądu, to ono wyrażało się sumą 103866 dolarów, co wywołało w trakcie przewodu sądowego moją, może nawet uszczypliwą uwegę, że Prokuratorja Generalna chce dostać od nas i dom i 103 tysiące dolarów, a nie uważam, by oskarżony, gdyby nawet zrobił ten lub inny interes nawet w kolizji z ko-

deksem karnym, był obowiązany jeszcze stronie przeciwnej dopłacać i czynić prezenty. Dziś, w czasie przewodu sądowego dowiedzieliśmy się, że żąda się 43719 dolarów, t. j. różnicy pomiędzy sumą idealną 55 tysięcy, która przedstawiała równowartość 530 miliardów marek, a tą sumą, jaka z wszystkich operacji walutowych Bauowi przypaść miała, czyli w gruncie rzeczy chce się mieć dom, 2 lata z niego korzystać — może nie tak długo, bo dom pono był gotowy na jesieni zeszłego roku, ale wynajęty przynosi 3<sup>o</sup>/<sub>o</sub> — za cenę 12 tysięcy dolarów. Więc mieć obiekt, który miał kosztować zdaniem biegłych 38 tysięcy dolarów, korzystać z niego 2 lata, czy 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> roku, czy jeden dzień, to jest dla mnie obojętne, dostać ten obiekt i jeszcze sumę 12 tysięcy dol.! Rozumiem, że nietylko Państwo, nietylko Przedstawiciel Prokuraturji Generalnej, ale każdy poszczególny obywatel chciałby tego rodzaju interesu robić. Bau natomiast miał być przestępcą, gdy chciał uzyskać odpowiednią sumę za papiery, obligacje kolejowe, które stanowiły jego własność w d. 20 maja 1924 r., a zatem leżały conajmniej przez rok bez procentu, w które on włożył kapitał, kiedy je nabywał, (nie wiemy dokładnie, kiedy je nabywał, lecz w owym czasie był jeszcze obywatelem austrijackim), od szeregu lat posiadał je, jako swój majątek, i gdy dziś chce dzieciom zostawić równowartość tego, co sam włożył, to jemu tego robić nie wolno. Dlaczego on ma dziś robić prezenta? On ma prawo robić prezenta ale nie obowiązek. Są ludzie o tak obywatelskim sumieniu, o tak rozwiniętym poczuciu obywatelskim, że chcą na rzecz Państwa lub prywatnych instytucji, przeważnie kulturalnych, czynić koiosalne zapisy, ale to jest rzeczą ich dobrej woli, ale to nie może być rzeczą przymusu. Zatem nie możemy powiedzieć, że skoro Bau nie dopełnił swego rzekomego obowiązku obywatelskiego, skoro brak mu tej ideowości, o co go pomawia i co mu wytykał p. prokurator, to za to samo należy go ukarać, albowiem za brak ideowości nikogo się nie karze. Karze się za czyny skonkretyzowane w kodeksie karnym. Jeżeli przechodzę do tego kodeksu karnego, to naczelną zasadą kodeksu karnego, jest art. 1, który powiada,



że nikt nie może być ukaranym za czyn, który nie jest wyraźnie przewidziany w prawie karnym, jako zakazany pod groźbą kary. Jeżeliśmy z prokuratorem prowadzili długą dyskusję co do tego, co to jest pełnomocstwo i jak rozumieć art. 577 K. K., jeżeli p. prokurator i przedstawiciel powództwa cywilnego przyznają, że w tej sprawie są poważne wątpliwości, to przecież nie można kwestji stawiać w ten sposób: skoro jest poważna wątpliwość, to należy rozstrzygnąć ją tak: wątpliwość—skazać oskarżonego. Czekałmy tak długo, aż kiedyś się wyjaśni ta wątpliwość i może kiedyś Sąd Najwyższy opowie się albo po stronie prokuratora albo po stronie oskarżonego. Jeżeli mamy kwestję wątpliwości prawnych, jeżeli nawet staniemy na tym stanowisku, że kwestja ta ani w literaturze prawa, ani w wykładni nie była w należyty sposób wyjaśniona, że ona wymagałaby kolosalnych studjów karnych, to trzeba zająć stanowisko in dubio pro reo, czy to będzie strona faktyczna czy prawna, bo nie może ktoś cierpieć za to, że będzie się 2 teoretyków spierało, jak należy daną kwestję rozumieć: ja mam argumenty, pan ma argumenty, ale jeszcze obaj dokładnie nie wiemy, jak rozstrzygnąć. Bo jeżeli staniemy na gruncie czysto formalnym, to źródłem prawa są motywy tego prawa. Motywy prawodawcze wypowiedają się co do treści i wykładni art. 577 K. K., dzielają to zdanie, cytując je dosłownie, Tagancew i prof. Makowski, podziela to samo zdanie ze stanowiska cywilistycznego rejent Kurman, a jednak my powiadamy nie, trzeba to przeinaczyć, dlatego, że inaczej Bau wyjdzie z sądu wolny. Ja takiego stanowiska nie mogę zrozumieć, ono mi się wydaje dziwne i dlatego muszę przeciw niemu stanowczo oponować.

Do tej całej litanji określeń, które istniały dla Baua w przemówieniu pp. oskarżycieli dziś przybyło nowe: locator operarum. To ma się równać w języku powództwa cywilnego, żądającego kary dla Baua, lokatorowi więzienia. Co to jest locator operarum? To jest nowe pojęcie, które wziął dziś p. powód cywilny żywcem z kodeksu francuskiego, z § 408, tam gdzie jest powiedziane: travail salarié. Otóż tego locatio conductio operarum w artykułach kodeksu karnego 1903 r. niema,

w art. 408 kodeksu francuskiego ono jest. Otóż tam się również zastanawiano, czy w tym wypadku będzie *abus de confiance* i komentatorowie też nie są pomiędzy sobą zgodni. Dziś mamy brać owo nowe pojęcie, mamy zaszczerpić je naszemu kodeksowi, *ad usum Delphini*, ażeby oskarżony mógł się stać lokatorem więzienia. Ja takiej logicznej dedukcji nie mogę przeprowadzić i przeto wydaje mi się to niesłusznem.

Następnie, skoro chcę odpowiedzieć na wszystkie zarzuty, to przedewszystkiem kiedy będę badał ten pierwszy zarzut aktu oskarżenia czy Bau, będąc pełnomocnikiem zapłacił za dom drogo czy nie, to ja poproszę p. Prokuratora, żeby jutro, przy niedzieli, kiedy będzie miał więcej czasu, otworzył 2-gi tom „Ziemi Obiecanej” Reymonta i zobaczył tam, jak się placami w Łodzi przed wojną handlowało, ile się żądało, jakie tam były nadzwyczajne ceny, gdy się wiedziało o tem, że ktoś pragnie kupić, jakie mu się robiło figle, żeby jak największą cenę od niego uzyskać. Mamy doskonałego eksperta, znającego duszę ludzką, a zwłaszcza znającego duszę polską, duszę ludności miejscowej. Możemy sobie powiedzieć: gdy mamy szukać ekspertyzy na tle gruntu łódzkiego, tej ziemi obiecanej Reymonta, to mamy gotową odpowiedź na tle najlepszej ekspertyzy, na jaką nas w tym momencie stać.

Jeżeli będziemy dalej badali tę kwestję, czy Baua uważać za pełnomocnika czy nie, to musimy sobie odpowiedzieć, że w litanji artykułów kodeksu cywilnego posiadamy jeszcze jeden artykuł, art. 1119, który jest podstawą do rozwiązania tej kwestji i który stwierdza, że właśnie to nie jest ten pełnomocnik: „przyjmować lub zastrzegać zobowiązanie w swem własnem imieniu, można w ogólności tylko za siebie samego”.

Otóż: za siebie samego tylko można przyjmować zobowiązanie. Bau przyjmował zobowiązanie tylko za siebie, za kogoś innego przyjmował je p. Krasicki wtedy, kiedy był specjalnie do danego aktu umocowany.

Mówi się dalej, że wziął Bau gotówkę, wszystko jedno kiedy. Wziął. Czy on miał p. Warchiwkerowi zapłacić za dom przedtem, niż akt był zrobiony? Przecież

płaci się zawsze przy akcie. Można zapłacić przed aktem hipotecznym, ale trzeba być pewnym, że tamten pieniądze nie zabierze i że stanie do aktu. Jaka gwarancję miał Bau i coby zresztą powiedział p. Prokurator, stojąc na gruncie pełnomocnictwa, gdyby Bau otrzymawszy w miesiącu grudniu 520 miliardów zapłacił był p. Warchiwkerowi te pieniądze, a on by te pieniądze wziął i nietylko w lutym, nietylko w marcu, ale do dnia dzisiejszego nie stanąłby do żadnego aktu, mało tego— nazajutrz sprzedałby ten dom. Bo Ritz daje nam chociaż pakiet akcji, a kto zna prawo akcyjne, to wie, że jeśli ja jestem posiadaczem całego pakietu akcji, to ja jeden mogę zwołać zebranie, obalić cały Zarząd i mogę zrobić zapis kaucyjny, a bez tego żaden akt hipoteczny nie dojdzie do skutku. I p. Silberman miał słuszność, kiedy tu powiedział: kiedy oddałem cały pakiet akcji 100%, to tem samem oddałem dom, bo nic nie można było zrobić, bo to już nie była nasza własność, ani aktu kaucyjnego nie zrobiliby się, ani nie można było zwołać żadnego prawomocnego zebrania, ani wydać żadnych prawomocnych uchwał, bo mógłby przyjść posiadacz tych akcji i wszystkich powyrzucać, poczynając od prezesa aż do ostatniego funkcjonariusza. Taka jest logika faktów. To jest daleko pewniejsze, bo można mieć, panie prokuratorze, weksle, pochodzące nawet od bezspornego dłużnika i nic nie wskórać, bo on zamelduje spór o fałsz w sądzie cywilnym i będzie włókł swego wierzyciela z pół roku albo i rok i w końcu może przepaść cała wierzytelność. Tak nie można ujmować kwestji, trzeba stać na gruncie i prawa i życia.

Następnie, jeśli dostał Bau pieniądze. Powiada p. prokurator: skoro dostał marki i zrobił z nich dolary, umieściwszy je w banku, to powinien oddać dolary, ponieważ to był czas, kiedy marka deprecjonowała się. Ale my nie możemy stać na gruncie rzeczy dokonanych, bo musimy sobie powiedzieć: coby było, gdyby Bau zamienił marki na dolary, a marka poszłaby w górę, i taki cud byłby możliwy, odrazu waluta polska poprawia się, bo otrzymujemy kolosalną, nadzwyczajną pożyczkę zagraniczną, niespodziewanie marka idzie w górę

rę i Bau, który kupował za nią dolary, dostałby mniejszą sumę marek, wymieniając je wtedy, niższą od otrzymanych od P. K. O. 520 miliardów. I powiedziałyby potem P. K. O., że nie zgodziła się, a przynajmniej nie akceptowała tego kupna, że on będzie kupował dolary na jej rachunek i P. K. O. powiedziałyby: proszę nam oddać 520 miliardów marek. Bau odpowiada: nie, ja kupiłem dolary, bo spekulowałem, i ja mam teraz nie 520 miliardów, tylko przypuścmy 450 miliardów, proszę mi 70 miliardów darować. P. K. O. odpowiada: nie, nie chcemy, Bau, też nie chce, i idzie P. K. O. do p. prokuratora, Prokurator wytacza Bauowi proces, sporządza akt oskarżenia: Pan dostał 520 miliardów, a kto pana upoważnił do spekulowania temi pieniędzmi. Odpowiada Pan za przywłaszczenie 70 miliardów mkp. Z jakiej więc zasady Bau odpowiada nie za marki a za dolary? Czy to jest przyrost naturalny, czy to się krowa w majątku ocielila, czy coś w tym rodzaju?

Nie, trzeba było pójść i grać. Otóż skoro to jest gra giełdowa, to w kodeksie cywilnym mamy odpowiedź, w art. 1964 i 1965, dotyczących umów losowych i gry.

Prawo nie daje obrony z gry. Ja nie mam prawa dochodzić tego rodzaju pretensji na drodze cywilnej, co więcej, nawet taka gra upaństwowiona, jak totalizator, ta kwestja nietylko w wyrokach senatu rosyjskiego, ale i w orzeczeniach naszego Sądu Najwyższego już znalazła rozwiązanie, nie ma żadnej obrony sądowej, pomimo że jest statut, pomimo że jest towarzystwo wyścigów konnych, pomimo że jest powiedziane, że za tyle złotych płaci się tyle i tyle w razie wygranej—nikt sądownie nie ma prawa dochodzić tego, bo to pochodzi z gry, bo gra jest niemoralna sama przez się.

Prawo cywilne stoi na stanowisku, że to, co jest niemoralne, nie ma żadnej opieki prawnej. Otóż tu mamy tranzakcję z gry; mamy w zamianie marek na dolary pierwiastek ryzyka. Bau poszedł do P. K. O., dostał tam marki, spekulował niemi, mógł wygrać, mógł kark skrócić na tej spekulacji, to jest jego rzecz, nikt nie ma prawa z tej jego spekulacji korzystać, a tembardziej nie ma prawa dochodzić różnicy, ani w sądzie cywilnym, ani w sądzie karnym.

Następnie szukałem także rozwiązania, jak rozumieć osobę podstawioną i znalazłem w słowniku języka polskiego słowo „wyręczyciel”—ten, co mnie wyręcza. Ten, co mnie wyręcza, to przypadkowy zastępca, to jest np.: służąca, posłaniec, dozorca domowy, może mnie wyręczać dependent, przyjaciel, ale to nie jest pełnomocnik, to nie jest ten, kto jest zastępcą w najszerszym znaczeniu tego słowa. Tak że mówić o uppełnomocnieniu nie możemy, bo nawet zastępca nie jest pełnomocnikiem; to jest ten, kto chwilowo reprezentuje moją osobę, ale reprezentuje nie jako ten, który obejmuje zakres mojej władzy.

Następnie musimy stać na gruncie kodeksu. Jeżeli prawodawca powiada w art 577, „pełnomocnik“, to tem słowem obejmuje pojęcie człowieka, który i w stosunku do trzeciej osoby jest tym pełnomocnikiem, a więc na zewnątrz występuje jako pełnomocnik, jako ten, którego kontrahent również uważa za pełnomocnika; to nie jest ten statysta, to nie jest ten figurant, to nie jest kompars, to nie jest „Strohman“ niemiecki, to musi być ktoś, kto na zewnątrz reprezentuje mnie, ten co powiada: Ja jestem, ale nie jako osobowość własna, ja mam upoważnienie, pełnomocnictwo od trzeciej osoby. I jeżeli ten ktoś będzie występował jako kontrahent i będzie kontrahentem, a my mu powiemy: jesteś kontrahentem a jednak jesteś pełnomocnikiem w obliczu kodeksu karnego, to ja takiej logiki nie rozumiem i nie mogę zrozumieć. Jeżeliby można było w pewnym momencie zażądać jakichkolwiek rachunków od oskarżonego Baua, to tych rachunków można byłoby zażądać na innym gruncie, gdyby ta zasada miała obronę prawną w sądzie cywilnym, gdyby sąd cywilny nie był władny powiedzieć, że to pochodzi ze spekulacji giełdowej, zwłaszcza zakazanej przez prawo, że to zawiera w sobie element ryzyka, że to niema opieki prawa, i że jedynie mogłaby być kwestja żądania zwrotu tej rzeczy, która się nie należy, mogłaby być zasada, powiedzmy, niesłusznego wzbogacenia się, ta sama zasada, która ma również rozwiązanie w kodeksie cywilnym, ta zasada, która mówi w art.

1376 K. N. że: „Kto skutkiem błędu lub świadomie otrzymał, co mu się nie należy, obowiązany jest zwrócić to temu, od kogo nienależnie otrzymał“.

Otóż po akcie P. K. O. asygnowała pewną sumę pieniężną p. Bau. Może powstać pytanie, czy to mu się wtedy należało, czy nie. Jeżeli on otrzymał nienależnie, można tego dochodzić w drodze cywilnej na mocy art. 1376 K. C. i nigdy powód cywilny nie będzie pozbawiony tego prawa i będą zawarowane jego interesy, ale, przepraszam, na gruncie cywilnym i w sądzie cywilnym, a nie w sądzie karnym. Dlatego nie możemy stwarzać fikcji i nie możemy na tej zasadzie dochodzić od oskarżonego Bau pieniędzy.

Wreszcie pozostaje jeszcze kilka słów co do tego Centralnego Zarządu Borowna. Powód cywilny jest niezadowolony, że taka nomenklatura była przyjęta; według mnie ona jest lepsza, bo centralny zarząd Borowna to nie sam Bau, to są dwie osoby, to Bau i Sowilski. Tu się zwiększa jeszcze gwarancja dla powoda cywilnego czy to w procesie karnym, o ile sąd mu cośkolwiek zasądzi, czy też—o ile się on tam zwróci—w sądzie cywilnym. I w tym wypadku, panowie sędziowie, nie możemy operować dowolnymi rzeczami. Zastanówmy się nad tem, co tu było. Mamy list P. K. O. z podpisem już nowego prezesa p. Szmida, gdzie pisze on do magistratu m. Łodzi i domaga się wyegzekwowania w trybie należności bezspornej sumy, udzielonej tytułem kredytu. To nie jest wzięte z powietrza. W statucie P. K. O. (Dz. Ust. Nr. z 1924 r. poz. 545) Sąd znajdzie § 22, który powiada, że w trybie należności bezspornej można dochodzić tylko długów powstałych z kredytu. Więc jak to? P. K. O., ta rzekomo poszkodowana instytucja, do ostatniego momentu powiada: to jest kredyt i ja mam prawo domagać się zwrotu w trybie należności bezspornej i w ten sposób ściągać należność. Prokurator natomiast powiada: nie, wierzyciel mówi, że to jest kredyt, a ja mówię, że on został oszukany i że kara się należy za oszustwo. Bywają różne rzeczy na świecie, ale ja tego stanowiska podzielić nie mogę.

Następnie jeżeli mówimy o odsetkach, to albo bę-

dziemy traktowali je jako odsetki umowne, i w takim razie to nie jest oszustwo, to jest korzystanie z kredytu i niema już podstaw do żadnej akcji karnej. Jeżeli zaś staniemy na gruncie przymusu, że pieniądze nie były dane z dobrej woli, że to jest oszustwo, to w takim razie nie wolno żądać więcej jak 15% do pewnego momentu, a nie 24%, bo przecież nie darmo jest prawo pisane i jeżeli kogokolwiek obowiązuje, to zwłaszcza tak wysoką instytucję, jak Prokuratorja Generalna. Otóż z Dziennika ustaw Nr. 9 z roku 1925 poz. 72 dowiadujemy się, że od dnia 1 lutego 1925 roku nie wolno liczyć więcej w stosunku umownym jak 15%, że tylko za czas przeszły wolno obliczać więcej. Więc albo jest tak, jak pisze p. prezes Szmidt i należy się w takim razie prawnie tylko w stosunku 15%, umownie 24%—godzę się, ale to nie był czyn karny — to w takim razie myśmy już dawno wszystko zapłacili, albo jeżeli się coś jeszcze należy P. K. O. za czas przeszły, to w takim razie trzeba zrobić dokładny rachunek i wyliczyć, że maximum należałoby się 111.000 zł., nie więcej, a zatem pozostaje do uiszczenia nie 19 czy 20, a wszystkiego 10.000 zł. Może być że to jest drobiazg w stosunku do tak bogatego człowieka, za jakiego powód cywilny uważa Bau'a, czy dostanie się od niego parę tysięcy złotych więcej czy mniej, ale za transakcję niezabronioną prawem, transakcję sprzedaży mojej własności, nie wolno karać, jak nie wolno żądać większej sumy z innego rachunku, ani większych procentów, bo wolno dostać tylko to, co się należy, a nie więcej.

Kiedy dzisiaj p. powód cywilny mówił o wewnętrznym przekonaniu to ja zrozumiałem, że ma na myśli artykuł bodaj czy nie 706 ustawy postępowania cywilnego, który powiada zdaje się pod cyfrą 1) — może się mylę co do cyfry, ale zdaje mi się, że to jest ten przepis,— który powiada, że sąd może decydować na mocy wewnętrznego przekonania. Ale kiedy? Wtedy kiedy szkody nie dają się ściśle ująć i określić. To obejmuje niejako szkody moralne, ale tam, gdzie mamy cyfry, gdzie mamy operować cyframi, nie możemy powiedzieć tak:

w powództwie cywilnem to ja pozwalam ten dom szacować na 16 tys. dol., w toku sprawy, kiedy ekspert powie 38 tys. dol., to ja przyznaję — 38, trzeci powie 24, dobrze—24, ja wreszcie wymienię fikcyjną cyfrę giełdową 55, dobrze — 55, byle coś wyrwać. Tak nie można ujmować kwestji. Jeżeli ma być powództwo cywilne, to ono powinno się opierać przedewszystkiem na ścisłym rachunku, wyliczeniu, bo nie mogę sobie wyobrazić innych podstaw w traktowaniu tej sprawy. Dlatego mimowoli musiałem tę kwestję także poruszyć.

To są, zdaje się, zarzuty na tle natury karnej, które były dotychczas postawione przez oskarżenie. Do tych zarzutów doszły zarzuty natury moralnej. Jeżeli oskarżenie wytacza przeciw podsądnemu zarzuty natury moralnej i zastanawia się bardzo długo nad tą kwestją, to ja mam jedno głębokie przekonanie: sprawa jest przegrana ze strony prawnej, ze strony oskarżenia, skoro oskarżyciel musi z gruntu prawnego zejść na stronę moralną, czyli chce usposobić sąd nieprzychylnie w stosunku do oskarżonego i spodziewa się, że nieprzychylny stosunek do strony moralnej oskarżonego w barwach oskarżenia może wpłynąć na decyzję sądu i na wyrok. Ponieważ ja mam to głębokie przeświadczenie, że sąd nawet najwstrętniejszego, najohydniejszego pod względem moralnym człowieka uniewinni i nawet człowiek sto razy karany sądownie wyjdzie uniewinniony z sądu, o ile po raz setny pierwszy nie dopuścił się przestępstwa, to ja tego osądu się nie boję i nie dlatego przemawiam w tej kwestji, ale przemawiam dlatego, że te nieszczęsne obligacje, które były tylko normalnym stosunkiem kupna—sprzedaży pomiędzy dwiema stronami, przywołały w mej pamięci jeszcze jedną rzecz.

Mówił tu tyle p. prokurator o niezapomnianej sprawie człowieka, który zasiadał nieszczęśliwym trafem na ławie oskarżonych, a mianowicie o ś. p. Stanisławie Szczepanowskim. Może ta asocjacja była wywołana i przez to, że w tomie III jego pism i przemówień mógł p. prokurator znaleźć pewne bardzo długie przemówienie na temat kolei Karola-Ludwika, Tam to przemowie-



nie nosi tytuł: „Historja kolei Karola-Ludwika jako ilustracja naszych usiłowań, a raczej zaniedbań u steru spraw narodowych“. Ja się boję, żeby to, co p. Hubert Linde uważał właśnie za usiłowanie stania na straży steru spraw narodowych, nie stało się w końcu zaniebdaniem na skutek tej polityki, którą się prowadzi obecnie i w której odsądza się od czci i wiary człowieka za to, że on źle zrozumiał, przypuśćmy nawet, swoje zadanie. I wtedy kiedy dziś od powoda cywilnego dowiadujemy się, że już Urząd Pożyczek Państwowych wykupił obligacji za 90 milionów złotych, tośmy słyszeli dwa czy trzy dni temu wręcz coś innego, mianowicie, że te pożyczki są wogóle nic nie warte. Więc za cóż właściwie Państwo obecnie płaciło? Za rzecz nic nie wartą? Co ona jest warta, ile ona jest warta, to jest inna rzecz, ja nie wiem, ile zapłacono, nie wiem ile i komu, nie wiem jak obliczano tę konwersję, musiałbym znowu wołać giełdjarzy, specjalistów, ekspertów, fachowców, bankierów, żeby mi powiedzieli, ile to jest warte i czy Skarb dobrze płacił. Ja nie chcę badać traktatu w Saint-Germain, nie chcę badać tych wierzycieli, oni mnie nie obchodzą, ja tylko wiem jedno, że tam, gdzie są rzeczy jeszcze nieuregulowane, gdzie z obligacji wartości kilkuset milionów złotych wykupiliśmy ich dopiero za 90 milionów, gdzie każdy wierzyciel może nas zmusić do prowadzenia z nim procesu dla wykreślenia wpisu z hipoteki kolejowej,—tam muszę sobie powiedzieć, że wykupienie tego, dostanie tego dla Polski w drodze dobrowolnej ugody będzie zawsze plusem. Ja tak to rozumiem, a inna rzecz czy zapłacono trochę więcej czy trochę mniej. Ja nie bronię p. Lindego, do tego nie jestem powołany, ale zdaję sobie sprawę z sytuacji: nie spaczajmy nigdy perspektyw, nie spaczajmy rzeczy, które są proste, naturalne i takie być muszą, bo zawsze mi przychodzi na myśl ta przestroga ze strony Montesquieu, kiedy on powiedział, że prosta linja nosa daje nos najpiękniejszy, trochę pochylona, zgarbiona może dać nos orli, ale jeżeli nos zadarty będziemy coraz bardziej podnosili ku górze, to jest obawa, że ten

nos zupełnie zniknie, a ja się w końcu boję, że jeżeli tę linię zupełnie połamiemy, to otrzymamy karykaturę nosa, jak otrzymaliśmy mimowoli — nie z winy p. prokuratora, bo on spełnił swój obowiązek i należycie go rozumiał — karykaturę oskarżenia na gruncie art. 520 ustawy postępowania karnego.

Obawiając się tego, mam zaszczyt prosić Wysoki Sąd o wydanie wyroku uniewinniającego p. Bau, o co w swej replice prosił również mój kolega.

## PRZEMÓWIENIE ADWOKATA SZURLEJA.

Kiedy byliśmy w niewoli,, łatwo było znaleźć przyczynę wszystkich naszych nieszczęść — byli nią zaborcy. Ale kiedy spadła na nas wolność, wraz z nią spadł również wielki ciężar — odpowiedzialność. I przyzwyczajeni do zrzucania odpowiedzialności za to, co nieprzyjemnego nas spotkało, zawsze na innych, nie mogliśmy się z odpowiedzialnością własną długi czas pogodzić. A tymczasem życie nasze polskie, piętrzyło przed nami coraz nowe przeszkody i coraz cięższym był jego trud. Nerwy wojną, biedą i niepewnością jutra stargane nie są w stanie tego znieść, bo cierpliwość i wytrwałość nie są polskimi zaletami. Więc przy każdej sposobności wracamy do dawnych przyzwyczajzeń i szukamy winnych poza sobą, a że szukamy z nerwami starganymi, szukamy niecierpliwie, chwytamy pierwszą lepszą przyczynę, która nam się nasunie. Jak Kserkses, który chłostał morze, gdy mu okręty zatopiło, jak dziecko, które bije stół, jako przyczynę swojego uderzenia. Na zniszczonych warsztatach naszego życia ekonomicznego przewrót wojną spowodowany rwie co chwila te cienkie nici, jakie prąść usiłujemy, ale my widzimy tylko miejsce, gdzie się nić urwała i tego, kto w tem miejscu właśnie przy krosnach siedział i nań zaraz wszystkiemi kamieniami potępienia rzucamy. Lecz za chwilę ze zdumieniem widzimy, że warsztaty przędą dalej słabo i spostrzegamy, że to nie zawsze ten, który przypadkowo pracował w tem miejscu, gdzie się nić urwała, jest przyczyną złego. Tak powstają oskarżenia niesłuszne, krzywdzące, zrodzone z biedy polskiej i bezradności wobec głębszych tej biedy przyczyn. Tak powstały te naj-

szlachetniejsze, ale z naiwności zrodzone, związki osób i stowarzyszeń, które posądzeniem każdego o złodziejstwo chcą załatwiać się ze skomplikowanymi zycia ekonomicznego zagadnieniami.

Wytworzyła się na tem tle szczególna podejrzliwość do ludzi, którzy rządzą, podejrzliwość, idąca tak daleko, że największe dobra ludzkie — cześć i honor nie ostoją się przed atakami. Kalumniatorstwo, obdzieranie ludzi z czci stało się w Polsce nagminne. Nawet ludzie, których się nazywa kryształowymi, którzy są sławieni, jako zbawcy narodu, nawet ci zostają po pewnym czasie obryzgni błotem. Jeśli więc opinia publiczna kogoś potępia, kogoś zasądza, kogoś jako zbrodniarza wskazuje, to nie wolno jej bezkrytycznie zaraz uwierzyć, bo opinia publiczna u nas jest chora.

To jest psychoza polska. A utrzymuje się dlatego, bo ona większości myślenie upraszcza dając im, zamiast mozolnego szukania przyczyn zła, gotowych kilka nazwisk. A ponadto stawia tłum wysoko pod względem moralnym — jako tych co karzą zło w imię wysokich ideałów! I to wszystko miłość własną głaszcze, bo znalazłszy już winnych każdy widzi, że on jest bezwiny i im bardziej czuł się dawniej niepewnym moralnie, tem większym krzykiem potępienia chce swoje wyrzuty sumienia przygłuszyć.

A równocześnie z tym prądem od dołu, który za winy wspólne woła o karę dla jednostek, idzie prąd z góry od tych, którzy rządzą. Warstwa, czy klasa która nami rządzi, rządzi źle — tak źle, jak każda inna warstwa i klasa, która po tej rządy obejmie. I taki prąd jest jej na rękę, bo można od czasu do czasu kogoś z tej warstwy, na którym jej mniej zależy, rzucić tłumowi na pożarcie i powiedzieć: to nie my, to on, my jesteśmy sprawiedliwi, bo jeśli wśród siebie parszywą owcę znajdziemy, w tej chwili ją wydajemy. W ten sposób tłum chwilowo uspakaja się, bo znajduje aprobatą swoich poglądów u warstwy rządzącej, a rządzący uzyskują — moratorium. Tak się ma z Hubertem Lindem. Sprawa Lindego jest wynikiem takich właśnie prądów.

Jest wielką tragedją każdego oskarżonego, że z chwi-

lą, gdy stanie w sali sądowej, przykłada się do niego znacznie większą miarę wymagań moralnych. Człowiek, poza salą sądową, żyjący na wolności, może tysiące uchybień popełnić i nikt na niego nie zwróci uwagi, może nieudolnie bilans zestawić, może nawet zgoła zbankrutować — może nawet wystawiać czeki, na które niema pokrycia i niema żadnej rady, aby go schwycić i udowodnić mu, że to — wyrażając się łagodnie — jest niewłaściwe. Ale z chwilą, gdy przyjdzie do sali sądowej, zamiast traktować go jako człowieka, który przecież rzekomo spadł poniżej normalnego poziomu etycznego, stosuje się wymogi i skalę względem niego znacznie większą; wymaga się od niego, aby on nietylko robił, co do niego należy, ale robił znacznie więcej. Szuka się nietylko w zakresie karnym, czy jakiego błędu nie zrobił, ale nawet czy się zachował w życiu prywatnem należycie i wszystko, co tylko źle, niezręcznie i niemądrze zrobił, to wszystko w sali sądowej mu się dodaje na rachunek jego przestępstwa. To jest niesprawiedliwością, bo sprawiedliwość żąda, ażeby przenieść oskarżonego w te czasy i w te warunki, wśród jakich czyn jego został popełniony. Nie możemy oceniać przeszłości pod kątem dnia dzisiejszego w chwili obecnej, zwłaszcza kiedy stosunki są nieustalone, płynne. Dziś każda chwila inne wymogi ludziom stawia i w każdej chwili wartość człowieka staje się inną — w jednej może być człowiek bardzo odpowiedni, w drugiej jest już niedostateczny, a w dalszym rozwoju życia publicznego może być nawet szkodliwy. Ale dlatego, że życie obecnie idzie w tak zawrotnym tempie, jest prawie niepodobieństwem dla natury ludzkiej do tych wszystkich wymogów chwili się przystosować.

To wymaganie sądenia z perspektywą jest konieczne, zwłaszcza że rozpatrujemy sprawę, która nie ma posmaku wieczności. Tu nie są rozpatrywane czyny takie jak zabójstwo, morderstwo, które są zawsze i wszędzie występne. Tu rozpatrujemy stosunki płynne, rozpatrujemy kwestje na tle marek, na tle inflacji, na tle obligacji kolejowych, na tle lombardu, kwestje nowe,

które wczoraj były dobre, dziś obojętne, a jutro złe, lub odwrotnie.

A potem uwaga dalsza. Nie należy przesadzać tych wszystkich przestępstw, które rzekomo Linde popełnił. Zdawałoby się, że jeżeli ściąga się na ławę oskarżonych byłego ministra poczt, byłego ministra skarbu, prezesa jednej z największych instytucji państwowych to musiał popełnić bardzo wielkie przestępstwo!—Może zachwiał podstawami naszego bytu, może zrobił coś tak złego, że cała opinia społeczna, cała Polska buntuje się przeciw temu i żąda żeby nie zważać na wszelkie dostojęstwa, tylko pognać go i dać odstraszący przykład społeczeństwu. Tymczasem on nie targnął się na żadne świętości ani narodowe, ani rodzinne, on nie burzył żadnych ideałów religijnych, czy społecznych, tu chodzi o pieniądze, o mieszek, o który tak drży każdy obywatel i podnosi go do znaczenia świętości. I oto dlaczego taki chór potępienia podniósł się na Lindego, dlatego że dotknął najboleśniejszego, najczulszego miejsca, jakie ma każdy człowiek — kieszeni.

Dawno już po wojnie uznano to miejsce za nietykalne i święte, kieszeń obywateli obstawiono żandarmami z nabitymi karabinami i powiedziano: Ukradniesz coś za 10.000 — śmierć! Stworzono ustawodawstwo wyjątkowe, którego na szczęście i na nasz wstyd nikt na świecie nie naśladował. Stworzono ustawę wyjątkową, i stracono nie tych co byli najwinniejsi, lecz tych, najmniejczniejszych, tych którym przypadek nie sprzyjał. Ale wkrótce potem okazało się że nic się przez to nie polepszyło, że dalej tak samo życie ekonomiczne szło, że nic nie wytepieno i zmieniono to ustawodawstwo, i nie zostało śladu po ustawach wyjątkowych, przeciw oficerom i przeciw urzędnikom. Ale został osad w społeczeństwie w formie poczucia tej wyjątkowości, jaką mają przestępstwa, w które jest wmieszany pieniądź.

Ostatecznie na tle pieniądza mogą być rzeczy brzydkie i na tle pieniądza może natura ludzka okazać się marną. Ale czy my mamy tu z tym objawem do czynienia? Czy mamy tu do czynienia z kradzieżą, oszustwem,

sprzeniewierzeniem — temi typowymi formami rzucenia się na majątek ludzki? Nie. Oskarżony Linde jest oskarżony o to, że robił złe interesy — on za drogo kupił dom w Łodzi, za drogo kupił obligacje, on bez formalności i za dużo dał za lombard pod zastaw renty, on nie zabezpieczył pożyczki należycie. Co to wszystko znaczy? — To wszystko wskazuje, że nie została przecież żadna norma etyczna tak głęboko dotknięta, aby można z takim oburzeniem odnosić się do oskarżonego i jego rzekomych przestępstw. Trzeba tu mieć się na baczności, aby rozstrzygania o czynach oskarżonego nie zamaścił ten pogląd ogólny, że tu chodzi o pieniądze, a tam, gdzie chodzi o pieniądze, musi być zaraz brudna rzecz. Można się dotknąć pieniędzy, a jeszcze się nie zbrudzić — i tu właśnie ten wypadek zachodzi. Przystąpić należy do tej sprawy bez uprzedzenia do człowieka, który nie popełnił przestępstwa pieniężnego, choć z pieniędzmi było ono związane. Gdy się te wszystkie kamienie odwali, jakie przytłaczają prawdę w tej sprawie, wtedy dopiero istotny sąd będzie można wydać.

Otóż jak się przedstawiają te błędy, te niedomagania, te, jak mówi oskarżenie, przestępstwa oskarżonego?

Co do pierwszego zarzutu oskarżenia — sprawa pod względem faktycznym jest dostatecznie omówiona. Oskarżenie mówi o kupnie domu w Łodzi za 520 miliardów i zarzuca Lindemu, że samowolnie podwyższył cenę z 70.000 na 77000 dolarów, że polecił wypłacić bez potrzeby na znaczny przeciąg czasu przed, częściowo po transakcji, 520 miliardów, których równowartość przewyższała 77 tysięcy dolarów i że nabył za tę cenę nieruchomość wartości 24000 dolarów.

Z tych trzech punktów pierwszy odpadł, i oskarżenie nie popierało go nadal. Mianowicie okazało się, że było przeznaczonych na tę nieruchomość 77000 dolarów. Były bowiem dwie uchwały, jedna z 21 listopada, która upoważniała do zakupienia domu w równowartości 70000 dolarów; a druga uchwała dodatkowa, z 5 grudnia, upoważniająca do zapłacenia 7000 dolarów na spłatę długu hipotecznego. Jest to

zresztą zrozumiałe, że druga uchwała z 5 grudnia była samoistną, gdyż nie potrzeba było osobnej uchwały do podjęcia sum, na które ogólne pełnomocnictwo do wypłaty, zawarte było w uchwale z 21 listopada. Następnie oczywiście nie potrzeba było specjalnej uchwały do podnoszenia sumy na koszty rejentalne, bo to w pierwszej uchwale było zastrzeżone. Przejrzenie zatem tych uchwał uzasadnia twierdzenie, że przekroczenia sum na kupno przeznaczonych nie było.

Jest jednak zarzut ważniejszy, że Linde zapłacił więcej jak 77000 dol., bo 520 miliardów wynoszą przeszło 100 tysięcy dolarów, a nawet gdyby zapłacił 77000 dolarów, to zapłacił za drogo, bo dom wart 28 tysięcy dolarów.

Aby obliczyć, ile dolarów wynosiło 520 miliardów marek, trzeba najpierw odpowiedzieć na pytanie? Według czego Linde miał obliczyć wartość 520.000.000 marek? Wszyscy, zgadzamy się, że według dolara, bo tak brzmiała uchwała Komitetu Dyrekcyjnego, ale podczas, gdy oskarżenie żąda obliczenia w chwili wypłaty marek Bauowi, lub przynajmniej w chwili, kiedy Bau kupił dolary, to obrona twierdzi, że Linde mógł wziąć przeciętny kurs dolara w czasie skutecznego wypłat Bauowi, a nawet w chwili kupna nieruchomości. Która z tych ewentualności obowiązywała Lindego?

Tranzakcja polega na tem, że Bau oświadczył gotowość kupienia domu dla P. K. O. a Linde powiedział — zgoda. Bau dodał, że sprzedający chce cenę kupna w dolarach, ale on jako kupiec ma możność legalnego nabycia dolarów i te dolary obróci na kupno nieruchomości. Co on zrobił, jak on to zrobił, to już Lindego nie obchodzi, bo Linde nie popełnił tej wielkiej nieostrożności, jakiej żąda od niego oskarżenie — mianowicie Linde nie żąda Baua rachunku, gdyż Lindemu przepisy dewizowe zabraniają operacyj dolarowych. Jeżeli więc Linde nie miał możliwości ani prawa rozliczenia się w dolarach w chwili wypłaty marek ani w chwili kupna dolarów przez Baua, to jak mógł obliczyć, że nie przekroczył sumy 77.000 dolarów? Linde uważa markę za towar, który zresztą psuł się bardzo prędko, i trze-



ba było ten towar przewartościować i kupić za niego dom. Linde obliczał w realnych wartościach, a notowania giełdowe dolara były fikcją, bo nikt nie mógł kupić po tej cenie, a z drugiej strony tylko ograniczona część ludzi miała prawo wogóle dolary kupować. Zatem Linde, trzymając się jako wskazówki tego, co uchwała Komitetu Dyrekcyjnego podała, a mianowicie dolarów, musiał znaleźć życiowy miernik dolara. A że cena istotna dolara była wyższa od giełdowej, więc wziął przeciętną cenę dolara między pierwszą a ostatnią wypłatą marek dla Baua. Jeżeli popatrzymy na tabliczkę dolarów, to tą przeciętną ceną — od 19 grudnia, kiedy zaczęły się większe wypłaty, do 10 stycznia — jest mniej więcej 7 milionów marek za dolar, co dałoby sumę większą od 520 miliardów.

Ale Linde mógł wziąć nawet za podstawę obliczenia chwilę kontraktu, kiedy dolar stał około 10 milionów marek.

Mógł bowiem Bau 28 lutego, a więc w dniu kontraktu powiedzieć, że dopiero w ostatniej chwili udało mu się nabyć za marki dolary, a że dziś dolar kosztuje 10000000, więc mógł za te marki nabyć tylko 55000 dol. A na pytanie Lindego dlaczego wcześniej tych pieniędzy nie oddał, mógłby odpowiedzieć, że ciągle się starał o kupno, ale nie mógł wcześniej kupić. I byłby p. Linde zupełnie bezsilny i byłaby P. K. O. bezsilna. Linde mógłby się usprawiedliwić, że nie było możliwości wykonania uchwały Komitetu Dyrekcyjnego w inny sposób, jak tylko przez znalezienie pośrednika, któremu na ten cel dano pieniądze, a pośrednik oświadczył, że za te pieniądze może kupić tylko 50000 dolarów, zatem trzeba mu jeszcze dopłacić. I dopłaconoby z pewnością, aby dom kupić. Gdzie więc tu jest świadome działanie na niekorzyść P. K. O., gdzie jest świadomość szkody, jeżeli Linde wykonuje uchwałę w warunkach, jakie były możliwie najlepsze. Mógł tylko jedną rzecz zrobić, mógł powiedzieć: ja nie kupię tej nieruchomości. Być może, że to byłoby dla niego wygodniejsze, gdyż lepiej jest czegoś nie zrobić, rzadko bowiem bywa pociągany do odpowiedzialności ten, który nic nie robi, ponieważ tylko ten, co czyni,

błądzić może. Linde miał to wyjście łatwe, mógł powiedzieć: nie kupię tej nieruchomości, to się zbyt długo przeciąga, to jest za drogie i t. d. Ale to nie byłby Linde i to nie byłaby transakcja dyrektora banku, to byłaby transakcja człowieka nieodpowiedzialnego, człowieka, który chce się uwolnić od wykonania uchwały, dlatego że sprawa jest skomplikowana i człowieka, któryby za cenę tej bezczynności zostawił naszemu Państwu 520.000.000.000 marek zamiast realnej wartości. A więc jego błąd polega tylko na tem, że nie poszedł łatwiejszą drogą, nieodpowiedzialnej bezczynności.

Mówi w końcu oskarżenie, że cena domu przewyższa jego wartość. To nie jest wyrażenie ekonomiczne, gdyż cena nie jest temsamem co wartość. Są dwa rodzaje wartości, wartość użytkowa i wartość zamienna.

W tym wypadku chodzi o wartość użytkową dla Kasy, a nie o wartość zamienną, sprzedażną. I dlatego straciliśmy z biegłymi kilka godzin. Nieporozumienie polegało na tem, że biegli mówili, za ile można kupić i sprzedać nieruchomość, a my mówiliśmy, co dla P. K. O. nieruchomość była warta. I moglibyśmy do końca życia tak rozmawiać, bo szliśmy rozbieżnymi drogami.

Ale biegli nie liczyli się nie tylko z potrzebą kupującego, oni nie liczyli się i z wolą sprzedającego. Oni obliczali nie realne stosunki, za ile istotnie w danych warunkach konkretnych t. j. za ile P. K. O. mogło od Godheilów kupić dom, lecz stawiali kwestję raczej jak moralisci—za ile powinno się kupić i sprzedać ten dom. Obliczał nam biegły Olszakowski, że ta nieruchomość była warta 24.000 dolarów, może nawet i mniej. Ja się zupełnie temu nie sprzeciwiam, tylko życzę p. biegłemu Olszakowskiemu, aby po cenie własnego szacunku nabywał nieruchomości. Byłoby to dla niego złotym interesem. Chciałbym tylko, aby mi odpowiedział na pytanie, czy Godheilowie chcieliby sprzedać swoją nieruchomość za taką sumę? Okazało się bowiem, że Godheilowie szacunku p. Olszakowskiego nie uznają, lecz mają swój własny szacunek. Kupno jest umową, a we wszystkich umowach trzeba zgody dwóch, nietylko tego, ktoby chciał kupić, ale i tego, który chce sprzedać.

Zawsze ten, kto kupuje, chciałby kupić tanio, a ten, co sprzedaje, chciałby sprzedać drożej. Nie podejrzrywajmy jakichś machinacji wobec tego, że, jak zeznaje niepodejrzany świadek—adw. Vogel, ci sprzedający w ostatniej chwili robili trudności, nie chcieli nawet czeków dolarowych przyjąć, tak dalece im się nie śpieszyło do sprzedaży tej nieruchomości. Zarzut taki, że chcieli kiedyś sprzedać taniej, nie jest zarzutem poważnym. Zdarzają się sytuacje, w których człowiek pozbywa się za grosz najcenniejszych rzeczy. Czyż niema ludzi, którzy obrączki ślubne i pamiątki po rodzicach sprzedają, — ale czy z tego wynika, że po tej samej cenie sprzedadzą te obrączki i te pamiątki, jeżeli fortuna się odwróci? Po co więc czas tracić i po co obliczać z ołówkiem w rękę — tyle Godheilowie w swoim czasie powiedzieli, a potem chcieli jeszcze mniej, a potem chcieli więcej. Cóż nas obchodzą te przemiany duchowe i ekonomiczne Godheilów. Nas obchodzi chwila, kiedy kupował Bau względnie P. K. O., a ta chwila nie sprzyjała szacunkowi p. Olszakowskiego. Ten moment był korzystny dla Godheilów, dla P. K. O. zaś niekorzystny. P. K. O. chciała nabyć, Godheilowie robili trudności i sprzedać nie chcieli. Z walki subiektywnych momentów wynikła ta cena, a choć może być, wyższa od wartości zamiennej, to jednak leży na linii wartości użytkowej dla P. K. O. i wskutek tego niema mowy o jakimś drogim kupnie.

Powiedział nam tu jeden świadek i jeden biegły, że oni takiej polityki nie prowadziliby, że nieruchomości takiej nie kupowaliby. P. prokurator, chcąc podnieść znaczenie tych scen, wyraził się, że jeden z biegłych w świetnym wykładzie wyłożył całą politykę, jaką należałoby w danym wypadku w instytucji finansowej, podobnej jak P. K. O., prowadzić. Zgadzam się z p. prokuratorem, że był wykład, mniej się zgadzam, że był świetny. Wykład ten miał jeden wielki błąd — był wygłoszony zapóźno. Bo że p. biegły nie kupiłby dziś tej nieruchomości, że dziś zrobiłby to lub owo, to nie jest wielką filozofją. Mam wrażenie, że i Linde tego dziś nie zrobiłby. To tłumaczenie zrobio-

ne było chyba tylko poto, aby przypomnieć nam słowa biblijne, które powiedział taryzeusz widząc celnika:

„Dzięki Ci, Panie, że nie jestem, jako jeden z nich“. Więc to było chyba dlatego, aby pokazać, o ile mądrzejszy jest każdy z biegłych. W takim razie bardzo żałuję tego siedmiodniowego trudu, jaki biegli w swą olbrzymią pracę włożyli, bo jeżeli istotnie tak świetnie, jak mówi oskarżenie, ujęli przyczyny naszej biedy ekonomicznej, to czy nie lepiej byłoby, żeby ten czas obrócili na poprawę złotego, który się chwieje. Sądzę, że byłoby to daleko korzystniejsze. To wszystko mówię dlatego, aby głos biegłych nie był uważany za nieomyślny, aby trochę tego nimbu, jakim biegli są otoczeni, zdjąć, gdyż podstawy na których biegli się opierają są niesłuszne. Biegli mówią rzeczy spóźnione i błędne. Mieli oni, a zwłaszcza jeden z nich, sposobność do zastosowania swych świetnych teorii, kiedy byli na wysokich stanowiskach rządowych, ale wtedy z tej sposobności nie skorzystali i dziś używają sali sądowej do wykładów na temat poprawy ekonomicznej państwa!

Przypuśćmy jednak, że to kupno jest złym interesem, że Linde powinien był kupić nieruchomości tak jak ją ocenił p. Olszakowski, a Godheil powinien ją tak sprzedać, ale przecież to wszystko zostało przez komisję rewizyjną zatwierdzone i w budżet wstawione. Sprawa ta została przeprowadzona przez ksiązkę, sprawę tę wszyscy znali. Art. 11 Statutu P. K. O. mówi: „Rządowym organem kontroli nad P. K. O. jest komisja rewizyjna, która składa się 5 członków i 2 zastępców, mianowanych przez Ministra Skarbu. A więc Rząd o tem wiedział, Skarb wiedział, władze P. K. O. wiedziały i wszystko zatwierdziły. Czy się tu ktoś tłumaczy, że w błąd został wprowadzony? Czy Hubert Linde zataił jakieś daty? Czy nie można było wszystkiego stwierdzić? Sprawa została załatwiona przez wszystkie władze i przez władze P. K. O. i przez władze nadzorczą i przez Ministerstwo Skarbu i przez Rząd. A w końcu nikt się nie zgodzi ze zdaniem biegłych, aby to było szkoda, że Linde zamiast marek zostawił dom. Nie tylko w Polsce nikt się na to nie zgodzi, ale poza Polską każdy

wyśmiałyby takie twierdzenie i taki pogląd ekonomiczny. Ten więc zarzut oskarżenia uważam za chybiony.

Drugi zarzut: Linde zawarł z Bauem umowę o dostawę materiałów budowlanych, nie sprawdzwszy uprzednio należycie nie tylko wartości nabywanych materiałów, ale nawet ich istnienia, i możliwości dostawy i nie zabezpieczywszy wykonania umowy, z czego wynikła poważna szkoda 90000 zł., zapłaconych za nieistniejący towar.

Otóż przedewszystkiem uważam za zupełnie chybione oskarżenie o to, że Linde kupował towar nie przekonawszy się, czy ten towar istnieje, jaki jest i t. d.

Gdyby to zapatrywanie oskarżenia utarło się i przyjęło, to biada giełdom towarowym, biada giełdom zbożowym i do pewnego stopnia biada giełdom pieniężnym, gdyż sprzedający na giełdzie zbożowej musieliby rano przyjeżdżać z workami albo z wagonami zboża. Na szczęście kupujący nie są tacy ostrożni. Kupujący nie potrzebują widzieć towaru, nie potrzebują się przekonywać o jego istnieniu, bo towar można kupić, wierząc w zdolność kredytową, w kwalifikacje moralne sprzedającego. Na zaufaniu bowiem życie kupieckie jest oparte. Przy pożyczkach wekslowych jeszcze większe zaufanie jest potrzebne, niż przy umowach o dostawę, a jeżeli jeszcze żaden dyrektor banku nie został pociągnięty do odpowiedzialności za to, że dłużnik pożyczki nie oddał, to tem mniej można mówić o kwalifikacji karnej — dyrektora banku, który zawarł umowę o dostawę na podstawie zaufania do klienta. To zapatrywanie oskarżenia nie jest kupieckie, to są reminiscencje poglądów polskich ziemiańskich, które w zakresie handlu miały z konkretnymi rzeczami do czynienia. Jeżeli brat szlachcić kupił konia, to widział go, jeżeli kupił zboże, zważyć je mógł, a przynajmniej na pniu mógł je obejrzeć. Dziś jednak nie potrzeba, aby towar był na składzie, a jednak można go sprzedać. I nie potrzebował p. Bau bronić się Reichertem i swojemi dobrami, że miał ten towar przygotowany, wystarczała sama możliwość kupna i gdy tę możliwość mógł Bau uzasadnić — już jest wolny od odpowiedzial-

ności i on i Linde. Jest to moment, tak widoczny, że nad nim niema się co zastanawiać.

Ważniejszą rzeczą jest — niezabezpieczenie umowy. Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że Linde względnie P. K. O. zawarła umowę nie kupną, tylko zawarła umowę o dostawę, zawarła więc nie umowę realną, lecz kontrakt obligatoryjny. Strony zaciągnęły wzajemne zobowiązania i dlatego obowiązkiem P. K. O. było zbadać nie tyle przedmiot umowy, ile wartość osobistą kontrahenta, bo z chwilą, gdy zobowiązanie jest przedmiotem umowy, to decyduje wartość moralna człowieka, moralna oczywiście pod względem kupieckim — to znaczy, czy kontrahent będzie mógł i czy będzie chciał zapłacić. Jeśli Linde uzasadnioną świadomością tego miał, to nie potrzebował badać towaru.

Bau dla Lindego był człowiekiem znanym i zaufanym. Trzeba tu odtrącić wszystkie osobiste poglądy na tę sprawę. Zapewne, gdy dzisiaj widzimy te wszystkie transakcje nieszczególnie wykończone, może nie mielibyśmy do Baua zaufania, może nie użylibyśmy go do pośrednictwa, ale znowu trzeba sprawę oceniać, tak jak ona wtedy była, i zapytać, czy wtedy Linde miał prawo nie wierzyć Bauowi. Linde wierzył w to, że Bau kupił nieruchomość dla P. K. O. dobrze i tanio, Linde otrzymał od Baua na cele ogólne cały szereg świadczeń—była tu poruszona sprawa koców, które Bau ofiarował dla Czerwonego Krzyża—Linde wiedział, że Bau jest odpowiedzialny majątkowo. A ponieważ majątki położone pod Rzeszowem nie cieszą się szczególnem zaufaniem p. prokuratora, więc można poprzestać na majątku Baua w Łodzi, który był oceniony na kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Więc mąż zaufania, człowiek pewny majątkowo, ten człowiek daje weksel, daje zobowiązanie dostawy i daje jeszcze zapis kaucyjny. Czy to są na udzielenie zaliczki w stosunkach z klientem stałym, zaufanym i, jak wówczas, zupełnie pewnym majątkowo, czy to są niedostateczne gwarancje? Czy można było jakiejś większej gwarancji żądać, czy Linde mógł czegoś więcej

chcieć, a jeśli mógł, to proszę powiedzieć, bo dotąd oskarżenie określić te niego umiało.

Zresztą Hubert Linde, mając budować Sejm i gmach na Filtrowej, nie wiedział, jakiego towaru będzie potrzebował, jakiej cegły i jakiego drzewa i w tych warunkach zawarł umowę, że czas, miejsce i ilość towaru będą określone później. Cała dążność Lindego polegała na tem, aby ogólnikową umową związać Baua, ale wtedy nie mógł Linde żądać zabezpieczenia co do ilości i jakości dostawy, bo istotą rzeczy było właśnie uchylenie się od określenia szczegółowych warunków, a zawarcie ogólnej umowy. Ale może silniejszym jest zarzut prokuratora, że zaliczka 90.000 nie została zabezpieczona? Muszę przedewszystkiem podkreślić, że udzielanie zaliczek na kontrakty jest rzeczą powszechną i nie potrzeba tego dowodzić. Mamy zresztą dowody, że bardzo często daje się te zaliczki przy zupełnym braku zabezpieczenia, mieliśmy nawet dowód w niedawno odbytym procesie, gdzie słyszeliśmy o olbrzymich zaliczkach udzielonych na niebardzo istniejące objekty. Fakt zaliczek jest koniecznością naszego życia ekonomicznego, gdyż prywatni ludzie nie mają gotówki, a więc Skarb Państwa musi umożliwić wykonanie umów przez danie zaliczek. Tak więc danie zaliczki nie jest niczem zdrożnem, a jeśli brak zabezpieczenia mógłby być nazwany niedbalstwem, to tylko wtedy gdyby kontrakt zrobiono z człowiekiem zupełnie obcym, nieznanym i niepewnym. A Bau nim nie był. Ale gdyby nawet i w takim wypadku niezabezpieczenie zaliczki było niedbalstwem, to kogo ono obciąża?

I tu widzimy bardzo charakterystyczną rzecz, — W całej tej sprawie nie istnieje ani P. K. O., nie istnieje żaden wydział, ani prawny, ani obrachunkowy, nie istnieje nic — tylko Hubert Linde. Hubert Linde budował, Hubert Linde daje zaliczki, Hubert Linde wypłaca, Hubert Linde ma zabezpieczyć, Hubert Linde ma zahypotekować, Hubert Linde ma zrobić wszystko. Ale od czegoż były inne wydziały, od czegoż był w szczególności wydział prawny? Do niego to należało zabezpieczenie zaliczki. I jeżeli Hubert Linde nie chowa

zapisu kaucyjnego, tylko dołącza do akt i daje wydziałowi prawnemu, pierwszym i zasadniczym obowiązkiem wydziału prawnego jest ten zapis zahipotekować. A tymczasem wydział prawny nic w tej sprawie nie zrobił. Czy to Lindego ma obciążać? Czy to, że wydział prawny zaniedbał swego obowiązku i nie zabezpieczył kaucji, to Linde ma poprawiać, od swego radcy prawnego żądać akt z powrotem i pisać do hipoteki? Nie widzę żadnego zaniedbania ze strony Huberta Lindego, zaniedbania niema ani w zawarciu umowy, która była jego zdaniem konieczna, zaniedbania niema ani w braku zabezpieczenia, bo zabezpieczenie w tych warunkach było możliwe największe; a i nie było zaniedbania w tem, że on się sam nie wziął do pisania podania do hipoteki.

Zresztą trzeba raz wreszcie wyjść z tego koła, zamykającego wszystkie czynności, jakie na terenie P.K.O. się rozgrywały, dokoła osoby Lindego. W tak olbrzymiej instytucji, z taką masą różnorodnych czynności i wydziałów wszystko jest oparte, na jednym człowieku, wszystko jest na głowie Huberta Lindego. Przecież ten człowiek nie mógł dotrzeć do wszystkich szczegółów i zakątków P. K. O., przecież zasób sił człowieka umysłowych i fizycznych jest ograniczony.

A tu na barki jednego człowieka składa się wszystko, i to co wydział prawny miał zrobić i to co miała kontrola techniczna zrobić i to czy źle badano cegłę, i czy zapis zahipotekowano. Trzeba ograniczyć odpowiedzialność tego człowieka, i zakres jego czynów zwięzić do tych, które były mu powierzone logiką rzeczy i ustawą.

W tych warunkach życzyłoby sobie należało, aby tylko takie zaniedbania były ze strony wszystkich dyrektorów banków!

A teraz szkoda. Szkoda oceniona jest tu na wysokość kilkunastu tysięcy złotych. Szkoda ta jest najzupełniej zabezpieczona, a byłaby zabezpieczona jeszcze wcześniej, gdyby wydział prawny funkcjonował w P. K. O.

Zresztą rzekoma szkoda powstała z powodu przerwanej transakcji. Jeżeli się zamyka jednego kontrahenta, a drugiemu wytacza się śledztwo, to naturalnie nie mo-



zna mówić o prawidłowem rozwikłaniu sytuacji. Gdy się najuczciwszą transakcją przerwie, można w niej doszukać się zbrodni. Ktoś naprzykład wraca z banku z pieniędzmi, wstępuje na chwilę do domu i w domu z tych pieniędzy robi jakiś wydatek, mając zresztą obok w kasie pieniądze i wiedząc, że odniesie dalej te pieniądze w całości. Gdyby wtedy policja weszła nagle do mieszkania i obszukała go, stwierdziłaby przywłaszczenie. Więc rozbić transakcję, nie pozwolić jej zakończyć, mimo całego szeregu usiłowań, o których tu mówiono, a potem z tego skonstruować zarzut bezczynności władzy, jest conajmniej przedwczesne. Bezczynność władzy z art. 639 wymaga, żeby nie wykonano pewnej czynności, która szkodzić mogła zapobiedz, a tą czynnością zdaniem oskarżenia, miało być wciągnięcie do hipoteki. Pomijając już to że ta czynność nie należała do prezesa, ale przedewszystkiem, nie zmieniliby to w niczem sprawy, gdyż zapis kaucyjny istnieje, można go zahypotekować, a może już zahypotekowano, a mimo to oskarżenie mówi o szkodzi, widać więc, że szkoda powstała nie z zaniedbanego zahypotekowania zapisu.

\* \* \*

Do Huberta Lindego przychodzi brat — Marjan i mówi: „Pragnąłbym w Polsce zostawić ślad po nazwisku naszym, jestem bezdzietny, pieniędzy mam dość, trzeba je zużyć nietylko dla siebie, lecz i dla społeczeństwa — mam zamiar wybudować sierociniec“. Niejeden słysząc to dzisiaj, uśmiecha się, bo dziś wielu ma wątpliwości co do dobrych zamiarów Marjana Lindego, czy zrobiłby to, co obiecywał, ale obawiam się, że nawet ci, którzy dziś uśmiechają się, jeśliby wtedy przyszedł do nich Marjan Linde i oniby nic więcej o nim nie wiedzieli, jak tylko to, że jest człowiekiem bogatym, bezdzietnym i mającym duże zasługi dla polskośći, położone w czasie wojny w Rumunji wobec uchodźców, nie zdziwiliby się i przyjęliby jego słowa za dobrą monetę. Więc jakże się dziwić, że mógł to przyjąć za dobrą monetę Hubert Linde, brat jego. Nie trzeba być

sceptykiem bezwzględny, i chociaż dzisiaj jeszcze może ten, kto się na to zapatruje nieufnie, ma słuszość, ale może jej i nie mieć, bo ten rozdział jeszcze nie zamknięty i może Marjan Linde myśl swoją jeszcze w życie wprowadzi. Zapewne, najłatwiej nie wierzyć nikomu, to potrafi każdy; i tanią jest rzeczą we wszystko wątpić.

Ale, mógł w słowa brata śmiało uwierzyć Hubert Linde. Ucieszył się widząc tego, który 30 lat był poza Polską, powracającego do Ojczyzny aby w niej postawić pomnik choćby sobie. I uwierzył Hubert Linde, może źle zrobił, bo lepiej nie wierzyć nikomu, i zapytał brata jak to chce przeprowadzić. A Marjan Linde odpowiedział, że chciałby zastawić rentę rumuńską i uzyskane pieniądze obrócić na kupno majątku pod Warszawą. Oto geneza zastawu renty rumuńskiej. W tej genezie jest dobra wiara oskarżonego Huberta Lindego, dobra wiara, która dziś trudniejszą jest do oceny, bo dziś mamy pewien materiał, uprawniający do sceptyzmu, ale zważmy to pod kątem stosunku Huberta Lindego do Marjana Lindego, rozmów braterskich, poufnych i pełnych zaufania.

I Hubert Linde dał pożyczkę na lombard renty rumuńskiej, wydając polecenie p. Hertzowi aby wypłacił 75000, potem 115000 i t. d., poczem zaczął służyć najzupełniej prawidłowy lombard, a pieniądze na ten lombard wypłacono w kilku ratach. To jest stan faktyczny. Zarzut oskarżenia na tem tle jest taki: 1) Linde winien jest, że w ogóle udzielił pożyczki pod zastaw renty rumuńskiej, 2) w sumie przewyższającej jej wartość, 3) wbrew statutowi i radzie zawiadowczej, 4) z nieodłączną jak zwykle szkodą 19000 zł.

Przedewszystkiem, czy Linde miał prawo do udzielenia pożyczki pod zastaw renty rumuńskiej? W dzienniku Ustaw poz. 545 na str. 792 są wyliczone uprawnienia P.K.O., mianowicie „P.K.O. wydaje pożyczki i otwiera kredyty do wysokości każdorazowo określonej przez radę zawiadowczą pod zastaw papierów procentowych i akcji“. A zatem w statucie niema ograniczeń do „papierów procentowych państwowych lub akcji krajowych czy notowanych na giełdzie“, jest tylko określenie ogólne,

bo statut nie chciał ograniczać zakresu działania instytucji, która miała bardzo wielkie zamierzenia i cele przed oczami. Na tle tego brzmienia statutu powzięła Rada zawiadowcza trzy uchwały, pierwsza uchwała upoważnia prezesa do wydatkowania na cele pożyczek tego rodzaju, miliona złotych, przede wszystkim na lombard papierów państwowych, druga uchwała mówi wyłącznie na lombard papierów państwowych. Dlatego też z początku są tylko lombardy papierów państwowych. Ale nie było chętnych do kupna i do lombardowania papierów państwowych, wskutek tego nie została wyczerpana suma kredytu i kapitał leżał nie sfruktyfikowany. Co musi zrobić dobry gospodarz? Musi sfruktyfikować kapitał, bo inaczej nie będzie miał pokrytych kosztów na prowadzenie przedsiębiorstwa. Linde miał zatem dwie drogi. Przede wszystkim wytłumaczyć radzie zawiadowczej, że papierów państwowych nikt nie kupuje i nie lombarduje i zostawić kapitał nieużyty. Takby zrobił dyrektor instytucji państwowej, któremu nie zależy na rozwoju i bycie instytucji, lecz Hubert Linde zrobił inaczej. Postarał się o uchwałę, która go nie ograniczała w kredycie i trzecia uchwała z 29 stycznia—to jest data przełomowa — daje mu bez ograniczenia do lombardu papierów państwowych ten ostatni milion. I zapytuję, czy Hubert Linde miał prawo uważać, że może wobec braku ograniczenia lombardować obce papiery, Hubert Linde ze swoją psychologią, stanowiskiem w P. K. O. i stanowiskiem w radzie zawiadowczej, której był prezesem. Bo pamiętać należy, że Linde jest nie tylko prezesem P. K. O., ale i prezesem rady zawiadowczej, który zatem jest do pewnego stopnia uprawniony do interpretacji uchwały, jaka z jego udziałem i pod jego kierownictwem jest powzięta, a więc że on nie jest tylko dyrektorem, któremu rada zawiadowcza może tylko rozkazywać, a on ma niewolniczo słuchać.

Ta uchwała jest częścią składową jego postanowienia także, bo on jest tej Rady Zawiadowczej szefem i on wie jak ją interpretować, ma prawo wczuć się w intencje tej Rady, będąc sam twórcą tej uchwały.

Ta uchwała powstała właśnie poto, ażeby go nie ograniczać, bo inaczej byłoby powtórzone, że na cele w poprzednich uchwałach wymienione przeznacza się jeszcze jeden miljon. Każda uchwała była samodzielną i Linde miał prawo za samodzielną ją uważać, dlatego że Rada Zawiadowcza ciągle obradowała w innym składzie np. na jednym posiedzeniu był p. Zaczek, na drugim nie, więc mogły się poglądy zmienić. To są postanowienia, wywołane wymogami chwili i obowiązujące znowu na chwilę, do następnej uchwały. Zatem znaczenie takiej uchwały mierzy się tylko czasem od chwili jej powzięcia aż do chwili jej zmiany, ale nie można jej traktować jako uzupełniająca poprzednią i jako kierowniczą na przyszłość. To ma wielkie znaczenie, bo jeśli się pojmie tę uchwałę jako samoistną, odpowiadającą potrzebom chwili, to w takim razie nie będą jej obciążały żadne poprzednie ograniczenia, jak np. co do wysokości 75% pożyczek na lombard papierów państwowych względnie 40% na lombard papierów dywidendowych. Czuł się zatem zupełnie uprawnionym Hubert Linde i nie mógł mieć świadomości szkody, wyrządzonej P. K. O., jeśli w myśl statutu i w myśl tych uchwał działał.

Jednakże zarzuca się, że udzielał pożyczek w sumie przewyższającej wartość. Hubert Linde mówi znowu to samo, co w innych wypadkach, gdzie chodziło o wykonawczą stronę pewnych uchwał; — wykonywanie uchwał dyrekcji w tym przedmiocie nie należało do mnie, wykonywanie uchwał Rady Zawiadowczej, odnoszących się do papierów procentowych, należało do odpowiedniego wydziału—Wydziału papierów wartościowych, na czele którego stał p. Hertz. Jest to rzecz notoryczna, jest to rzecz we wszystkich statutach wszystkich banków przyjęta zawsze i wszędzie, że nie do prezesa danej instytucji należy czuwanie nad wysokością lombardu, nad oprocentowaniem, nad pilnowaniem terminów i realizacja lecz do odpowiedniego wydziału— a zatem do wydziału prawnego. Przyznał to p. H. na moje pytanie, czy realizacja lombardu do niego należy „tak jest, należy“; jednakże p. H. dodał, że wszystko,

co robił, robił na rozkaz p. prezesa Lindego. Lecz tu rodzą się we mnie bardzo poważne wątpliwości.

P. H., jeżeli jest odmiennego zdania niż prezes Linde, to — jak to już słusznie p. prokurator zauważył — gwarantuje się, zapisuje każdy krok. Tak było w sprawie hotelu Ritza. Tam H. każde swoje votum separatum uznał za stosowne zapisywać, ale tu nie ma śladu, aby wskazywał Lindemu na jego obowiązki. Nie wystarcza zaś takie załatwienie sprawy, aby przyjść z rentą i zapytać prezesa, czy dać pożyczkę, a gdy prezes powie dać, uznać się za zwolnionego od wszelkiej kontroli nad tą pożyczką, wszelkiego zabezpieczenia, a w razie potrzeby potem powiedzieć: prezes mi kazał. To jest beczynność i uchylanie się od spełnienia obowiązku, jeżeli na kogoś zrzucam odpowiedzialność w sprawie, która nie do niego, ale do mnie należy. To nie jest rozkaz Lindego, to jest wyłudzenie jego podpisu i aprobaty. Jeżeli p. H. chce być w porządku z sobą i z nami, to powinien pozostawić ślad po swoich wątpliwościach, zwłaszcza jeżeli był do tego przyzwyczajony i robił to na każdym kroku. Tutaj nie mamy notatek co do dnia i w tej sprawie p. H. się poprawia, z początku mówi, że to było 16-go i choć widział z akt u sędziego śledczego, że 15-go, upierał się, przy dacie 16-go, a tymczasem 16-go Huberta Lindego wcale w Warszawie nie było. I właśnie w takim wypadku, jeżeli Linde jest nieobecny i pod nieobecność wydaje polecenia, trzeba tembardziej to zapisać, bo potem może być ciekawe, w jaki sposób to polecenie zostało zatwierdzone i wykonane. Tymczasem później, kiedy się okazało, że data 16-go nie da się utrzymać, oświadcza świadek H. nagle, że to było 15-go i to rano przed samym wyjazdem Lindego. Świadek zmienia swoje zeznanie i to powinno być wzięte pod uwagę. Gorszem jednak jest to podsuwanie Lindemu przez całe otoczenie wszystkiego do zrobienia, co do niego nie należało i to jest tragedia tego człowieka, że czując się wyższym od otoczenia i widząc jak ono uchyla się od spełniania swoich obowiązków, sam wszystko chciał lub musiał załatwiać. Ale wszystko za wszystkich zrobić jest nie-

możliwością, mimoto każde zaniedbanie idzie na rachunek prezesa Lindego. Lecz poco reszta ludzi w P. K. O. siedziała? Przyszli oni tu, aby powiedzieć, że wszystko dobrze robili, a co było złego, to dlatego, że prezes tak kazał. Jak może naczelnik jakiegoś wydziału w ten sposób się tłumaczyć? A można tak łatwo mówić, bo Linde nikomu już nic nie robi, żadnej posady nie da, z nicości do bytu nie powoła, jest nieszkodliwy, więc bać się go nie trzeba. Okazało się więc, że ta olbrzymia instytucja ze setkami funkcjonariuszy była bez urzędników, i tylko Hubert Linde trzymał ją na swoich barkach. Lecz odpowiadać ma nie za to, że dźwiगाł ciężar za innych, tylko za to, czy ciężar na niego przypadający udźwignął. Za bezczynność swych urzędników Linde nie odpowiada. Jeśli p. H. pisał do Banku dla Hndlu i Przemysłu i jeszcze jednego banku dowiadując się jak stoi renta rumuńska, to stwierdził tem samem, iż do niego należało dowiadywać się co bierze w zastaw. I po tej drodze powinien był dalej kroczyć i to było jego obowiązkiem, aby za każdym razem, kiedy wypłacał Marjanowi Lindemu dalsze zaliczki, dopytywać się tych banków, jak renta stoi. Pano wie z wydziału papierów wartościowych powinni mieć cedułę giełdową zagraniczną i dowiedziawszy się z tej ceduły, jak renta stoi, zwrócić Lindemu uwagę, jeżeli Linde wbrew tej cedule chciałby coś rozkazać. Tymczasem wydział papierów wartościowych ceduły zagranicznej nie miał, o tę cedułę się nie starał, i we wszystkim broni się gołosłownie przed sądem rzuconem twierdzeniem: „pan prezes kazał“. Takie stwierdzenie dojrzałego człowieka usprawiedliwić nie może. P. H. powinien był zbadać co i dlaczego wypłaca.

Zbliża się wreszcie wypłata 60000, która przepeliła czarę, która dopełniła rentę do wysokości przewyższającej jej wartość. I co się dzieje? Znowu wprowadzenie w błąd przez Marjana Lindego i znowu bezczynność p. H. Marjan Linde pisze: giełda londyńska notuje rentę rumuńską nie 34, lecz 62—i brat wierzy. Brat wierzy nadal i daje tę rzecz do rozstrzygnięcia naczelnikowi wydziału. A gdy nawet powiedział „proszę wypłacić“, to jeszcze

p. H. przed wypłatą powinien zbadać najpierw cedułę giełdy londyńskiej. Wtedy byłby Marjanowi powiedział, panie doktorze, ja panu nie mogę dopłacić, chociażby p. prezes mi kazał, dlatego, że pan już wziął za dużo; p. prezes nie znał ceduły i był w błędzie, a jeśli Pan chce, to proszę zaczekać na przyjazd brata. — Co by mu się za to stało? Ale lepiej powiedzieć że to prezes kazał, bo to uwalnia od obowiązku zbadania ceduły giełdowej, badania wartości renty.

A w końcu jeszcze jedno zaniechanie w tej sprawie, ale zaniechanie nie Huberta Lindego. Nadchodzi 9 grudnia, kiedy ma być wykupiona renta. Huberta Lindego niema już w P. K. O. Marjan Linde renty wykupić nie może i poleca ją sprzedać. Gdyby to zrobiono, osiągnięto by cenę, pokrywającą całe zobowiązanie. P. K. O. przyznaje to, lecz tłumaczy nam, że byłoby się to uzyskało nie z powodu zwyżki renty, lecz tylko z powodu zniżki złotego. Co to za argument? Jeżeli markę bierze się jako miarę wartości w punkcie pierwszym aktu oskarżenia, to dlaczego nie brać tutaj złotego, jako miary wartości, tembardziej że złoty jest miarą pewniejszą od marki.

Ale zgódźmy się z oskarżeniem i powiedzmy, że złoty to nie jest pieniądz, i że miernikiem ma być zawsze obca waluta. Czy nie nakazywałyby tu zwykła kupiecka bankowa ostrożność spieniężenia renty na giełdzie londyńskiej? Jest przecież niebezpieczeństwo szkody, a w niebezpieczeństwie trzeba działać szybko i wtedy się nie mówi, że nie było okazji do Londynu, wtedy nie mówi się, że z Min. Spraw Zagranicznych nikt nie jechał. — Trwało tygodnie, a przez ten czas korzystna sytuacja zmieniła się. Tak nie może bank powiedzieć; to instytucja, władza państwowa może tak powiedzieć, władza, która musi się pośrednictwem Min. Spraw Zagranicznych w swojej korespondencji dyplomatycznej posługiwać, ale władza bankowa ma inny sposób, a specjalnie P. K. O. miała już podany sposób. Nikt nie żąda nowych dróg od P. K. O.; jeśli się sięgnie w rzeczach zasadniczych do dawnej gospodarki, można dobre wzory znaleźć, a nawet i do złych

można zajrzeć i z nich naukę zaczerpnąć. Otóż taką samą drogą, jaką papiery dostały się do kraju, mogły z kraju się wydostać. Dyr. Stein, który przywiózł papiery, mógłby pojechać do Londynu z papierami renty rumuńskiej, byłoby to trwało dwa dni, a sytuacja korzystna dla funtów, a niekorzystna dla złotego trwałaby więcej jak tydzień i w ciągu tygodnia renta rumuńska byłaby spieniężona z zyskiem. W rezultacie jednak renta rumuńska jest i tak pokryta, bo jest zahypotekowana na nieruchomości „Koliba“ w wysokości 100.000 zł.

Były podnoszone wątpliwości co do wartości Koli-by. Chyba jednak P. K. O. za obecnych rządów lekko-myślną nie jest i nie sędzę, aby się zgodziła na zahypotekowanie kaucji 100.000, jeśli wartość „Koliby“ nie przewyższa tej sumy, bo byłoby to oszukiwaniem samej siebie. Tak wnioskując, uważam że kaucja jest najzupełniej pokryta. Korzyść z lombardu tej renty jest dla P. K. O., korzyść jest i dla Państwa. To nie było tylko prywatnym interesem p. Marjana Lindego, to nie jest tylko bałamuceniem się przez Huberta Lindego wzniosłymi ideami, to było naprawdę interesem.

Wzięcie renty rumuńskiej było jednym ze sposobów sfruktyfikowania przyznanych kredytów i to sfruktyfikowanie szło na utrzymanie instytucji, czyli ta renta spełniała cel, jaki miała spełnić wobec P. K. O. Oprócz tego jest jeszcze druga korzyść — Skarb Państwa dostawał 9.000 funtów, Skarb Państwa dostawał obcą walutę, i w ten sposób były zaspokojone dwie potrzeby państwowe, nie licząc trzeciej, gospodarczej, że Linde kupił majątek, podniósł go gospodarczo, gdyż jak słyszeliśmy od świadka Madeyskiego włożył w niego 100 tysięcy dolarów. Prócz tego wszystkiego była jeszcze nadzieja stworzenia w tym majątku instytucji społecznej. Czy tych korzyści nie dość, aby zrównoważyły rzekomą stratę, polegającą na tem, że 19.000 nie zostało jeszcze zapłacone? Czy 19.000 stanowi taki brak w obrocie P. K. O., że bez tego nie może się obejść? Nie dość, że dług jest zabezpieczony i oprocentowany? Gdzie są momenty szkody, zwłaszcza wobec korzyści, o których mówiłem? Wprawdzie p. prokurator



w incydentalnem przemówieniu powiedział, że kompensować szkody tak łatwo nie można, bo jeśli ktoś życie uratuje kobiecie, a potem ją zgwałci, to nie może się tłumaczyć tem, że mógł to robić, bo przecież jej życie uratował. To porównanie jest jeszcze jednym dowodem, jak mało porównanie może być argumentem. W tym wypadku trzeba się tej zgwałconej zapytać, co ona o tem sądzi, czy mianowicie woli żyć mimo doznanej przykrości, czy też mimo wszystko napowrót chce się rzucić w objęcia śmierci. Sądzę, że jej odpowiedź nie brzmiałaby dla p. prokuratora pomyślnie. I w naszym wypadku trzeba się spytać, czy te szkody są tego rodzaju, aby nie mogły wytrzymać porównania z korzyściami. Ale przy odpowiedzi na to trzeba nie tylko mówić o 19 tysiącach, lecz ująć całość sprawy i na zapytanie, jak została rozwikłana sprawa renty rumuńskiej odpowiedzieć, że P. K. O. zyskała na procentach, zużytkowała przyznane jej kredyty, a Państwo zyskało na dewizach w wysokości kilku tysięcy funtów.

Przechodzimy do sprawy gwarancji.

Na początku była gwarancja na 10000 funtów. I znów geneza jej jest podobna do genezy renty rumuńskiej. Przychodzi tenże sam Dr. Marjan Linde i widząc, że dobre wrażenie zrobił jego argument społeczny, prosi Huberta Lindego o pieniądze na wkłady w majątek. I znów Hubert Linde, który już zżył się z myślą stworzenia fundacji, widząc przed sobą brata bogatego i wiedząc, że brat jest w przededniu sprzedaży Sanatorium Dłuskich, za co dostanie  $1\frac{1}{2}$  do 2 milionów złotych — podpisał gwarancję. Świadomość jego władzy w P. K. O. nie nasuwała mu wątpliwości, czy ma do tego prawo, w statucie ograniczeń co do tego nie ma, a zresztą analogiczne gwarancje dawał, więc i na taki cel tembardziej dać mógł. Całym posmakiem tej sprawy jest tylko to, że to była gwarancja dla brata, a choć p. prokurator z wielką lojalnością, podkreślił, że brat nie może stworzyć „privilegium odiosum“ dla siebie, to jednak przyznaję, że w sprawach z bratem należy być bardziej ostrożnym, jak z kim innym. Jednak, Hubert Linde nie widział różnicy między ludźmi, którzy

się do niego zbliżali, on naprawdę ludzi oceniał nie według ich osobistej wartości, lecz według swojego odnoszenia się do nich, a że do wszystkich dobrze się odnosił, więc dla niego czy brat czy obcy, katolik czy żyd — wszyscy byli jednakowi. Dobrze zrobił temu, tamtemu, kto mu wpadł pod rękę. On musiał dobrze robić, taka była jego psychika. A że obawiał się analogicznych prośb (miał prawo bać się, ponieważ był znany z tego, że nikomu nie mógł odmówić), przeto zrobił to dyskretnie, nie rozgłaszając tego w P. K. O. zapisał to tylko w notesie, który jest w aktach sędziego śledczego. Nie było to zapisane na wielkim papierze, w protokule, ale nie trzeba sądzić, że tylko w urzędowych papierach jest prawda, a gdy w takim malutkim notesiku jest coś nabazgrane ołówkiem, to musi być kłamstwo. Nie trzeba być pod urokiem formy, bo w istocie forma nie wiele znaczy. Z pierwszej gwarancji szkoda nie urosła, 10000 funtów zostało zapłacone — narazie nie zastanawiam się zupełnie skąd. W ten sposób ślad po pierwszej gwarancji zginął i okazuje się, że Hubert Linde istotnie miał rację, przewidując, że szkody nie będzie, że dług będziez apłacony. Ale teraz widzę tryumfujący uśmiech oskarżyciela. Tak, ale skąd dług zapłacono? Dług zapłacono z lombardu akcji Ritza, które zastawił Goldfeder, a uzyskawszy lombardową pożyczkę w sumie 700000 zł, pożyczył je Marjanowi Lindemu, aby zapłacił pierwszą gwarancję. Jest tu to niebezpieczeństwo dla Huberta Lindego, że można wątpić, czy o całej tranzakcji dokonanej poza jego plecami nie wiedział

Gdyby tu nie było jednego świadectwa, to naprawdę byłoby trudno uwierzyć w przypadek, który połączył datę spłacenia pierwszej gwarancji z datą lombardu akcji Ritza. Ale jest tu świadectwo generała Zwierzchowskiego. Stwierdza ono, że Hubert Linde o hotelu Ritza myślał dawniej, że chciał go nabyć, że o ten hotel toczyły się pertraktacje, bo Linde chciał w Białymstoku stworzyć filję P. K. O. Leżało to na linii jego polityki decentralizacyjnej, o czym świadczą filje P. K. O. we Lwowie, Krakowie, Łodzi i pro-

jektowane filje w Białymstoku i w Wilnie. Że to były poważne pertraktacje, świadczy fakt, iż używano do pośrednictwa wysoko postawionych osobistości. Zapewne, trudno dziś od tych wszystkich ludzi dowiedzieć się, jaką odgrywali rolę, ale że tam były pertraktacje, że się o tem poważnie mówiło, to przeecież zostało stwierdzone.

Więc gdy na linii zainteresowań Huberta Lindego leżało otworzenie oddziału w Białymstoku i gdy byli poważni ludzie u niego z ofertami sprzedaży hotelu Ritza, to na tych dwóch filarach można oprzeć wiarę w słowa Huberta Lindego, że sprawę hotelu Ritza traktował zupełnie niezależnie od wszystkiego, co potem się kryło.

Racja lombardu akcji Ritza jest ta sama, co była przy rencie rumuńskiej, zużytkowanie kapitałów przeznaczonych do obrotu. Ale tu znowu zarzut,—że pożyczka była za wysoka. Zarzut niesłuszny. Szacunek wojewódzki hotelu opiewa na 570.000 nie mówiąc o szacunku Handzelewicza czy Tokarza, którzy ocenili nieruchomość na 700.000. Wolno było prezesowi P. K. O. oprzeć się na tym szacunku, bo jeśli go rzeczoznawcy w błąd wprowadzili, to oni odpowiadają, nie Linde, który miał prawo uważać cyfrę przez nich podaną za prawdziwą. Ale weźmy tylko cyfrę 570.000, którą województwo podało, i odtrącimy od niej 133.000 długu, jaki obciążał nieruchomość, to zostanie nam 440.000, a więc na lombard, można było dać,  $\frac{3}{4}$  tej sumy, co proponuje nawet tak ostrożny człowiek jak p. Hertz, a więc można było dać 330 tys. a było dane 300.000. Zatem nie przekroczono wniosku p. Hertza, który oskarżenie uważa za uzasadniony.

Nie ma więc dla pożyczki żadnego niebezpieczeństwa i nie ma przekroczenia władzy, bo statut pozwalał prezesowi na lombard akcji. W tym samym Dzienniku, na który się powołałem, niema mowy o „akcjach notowanych na giełdzie“, tylko wogóle o akcjach. Tak więc Linde, nie będąc ograniczonym co do rodzaju papierów, mając podstawę prawną do udzielenia takiego lombardu w uchwałach rady zawia-

dowczej i w statucie, mając podstawę ekonomiczną w potrzebie zużytkowania kapitału, mając podstawę co do wysokości lombardu w ocenie przez województwo i przez swoich architektów i mając zabezpieczenie — udzielił, tego kredytu. I gdzie tu niebezpieczeństwo, gdzie tu świadome działania na szkodę i gdzie tu szkoda? Ale oskarżenie zapytuje, dlaczego zapisu kaucyjnego nie było? Wiara w wartość zapisu kaucyjnego jest mojem zdaniem, mocno przesadzona; zapisy kaucyjne mają niesłychaną niedogodność, nie tylko dlatego, że je trzeba przede wszystkim zamienić na czysty wpis, ale że je trzeba realizować zapomocą sprzedaży nieruchomości, co jest bardzo uciążliwą rzeczą i może trwać lata, a w ciągu tego czasu może i wartość nieruchomości i stosunki walutowe ulec takim wahaniom, że to zabezpieczenie może się okazać złudnem. I w stosunku do zapisu kaucyjnego nie jest mniejszem zabezpieczeniem pełny pakiet akcji, który można od ręki sprzedać. Jeżeli nieruchomość jest warta 600, 700 tysięcy, to pakiet akcji za 300000 każdy kupi, zwłaszcza, że nieruchomość jest znana i pierwszorzędna. Cały pakiet akcji zastawiony, to jest niejako zastawienie całego domu, to jest daleko korzystniejszy dla oskarżonego zastaw niż zastaw części akcji, bo mając cały pakiet może sprzedać akcje częściowo i w całości. A więc Linde ma do dyspozycji weksel bankiera i odpowiednie zobowiązanie, a nawet później P. K. O. dostała i zapis kaucyjny. W stosunkach bankierskich jest dostatecznem to, co tak oskarżenie kwestjonuje, mianowicie osobiste zaufanie. Wekslowe tranzakcje odbywają się na sumy niesłychanie wielkie, a czemże jest weksel, jak nie przyrzeczeniem zapłaty? To nie jest żadna realna wartość. To nie jest jeszcze pieniądz, to nie jest zastaw, to jest tylko ubezpieczone pewnymi normami prawnymi zobowiązanie do zapłaty, a mimo tego na to zobowiązanie, nie pokryte niczem innem jak tylko moralnością kupiecką danego osobnika, daje się znaczne sumy pieniężne. Dlaczego kwestjonować dobrą wiarę Huberta Lindego, który znanemu bankierowi zaufał, na jakiej podstawie możemy powiedzieć, że weksle Goldfedera albo

akcje Zylbermana były bez wartości? Nawet pomylić się było wolno Lindemu, bo ilu dyrektorów banku się myli, wiedzą najlepiej rejenci, którzy protestują weksle. Lecz sam fakt, że weksel poszedł do protestu, że weksla nie zapłacono, że weksel trzeba skarżyć, nie jest zaniedbaniem, ani nadużyciem władzy. Być skrajnie ostrożnym i nie wierzyć ludziom, wtedy wogóle prawa wekslowego nie może być, trzeba weksle wyrzucić z obiegu, zwłaszcza obecnie; ale jeśli raz się wierzy, to gdzie jest ta granica, do której Lindemu wierzyć wolno, a poza którą wierzyć nie powinien?

A teraz jaki jest rezultat tej gwarancji? Na sanatorium Dłuskiego jest zahypotekowanych 70000 dolarów. 70000 dolarów dziś równa się blisko 700000 złotych, Co one zabezpieczają — pożyczkę hotelu Ritz — 300000 i drugą gwarancję na 4 tysiące funtów czyli 20000 dolarów, które obliczam nawet na 200000, t. j. razem 500000. Pożyczka faktycznie była dana w wysokości 300000 zł. i 100000 zł., bo 20000 dolarów wtedy, kiedy je zapłaciła P. K. O. wartyły 100000. P. K. O. zapłaciła więc 300 tys. + 100 tys. = 400 tys. złotych, a za to dostanie 700 tys. zł. Więc jeśli P. K. O. za 400 tys. dostanie 700 tys. zł., to jest ta wielka szkoda? To że P. K. O. nie miała przez pewien czas tych pieniędzy w obrocie, nie jest argumentem, bo przedtem trzeba by udowodnić że P. K. O. brakowało środków obrotowych, i że ważniejszym było dla niej trzymać kapitał nieoprocentowany w kasie, niż go zużytkować na oprocentowaną pożyczkę. Takiego dowodu niema. Z bilansu widać, że P. K. O. płynnych kapitałów ma dość, że wprost niema gdzie lokować tych kapitałów, a zresztą i nie może z powodu niepewnych naszych stosunków. Więc wysunięcie tych pieniędzy z obrotu, nie przyniosło żadnej szkody, najmniejszego uszczerbku, zaś pewnośc wypłaty jest, bo dług jest zabezpieczony na sanatorium ocenionym na milion złotych, wtedy kiedy dolar był notowany 5 zł. 18 gr.

Tu jeszcze zastanowić się trzeba nad istotą i niebezpieczeństwem gwarancji. Istotą gwarancji jest zobowiązanie do zapłaty długu za osobę trzecią, o ile ona

nie zapłaci. Chwila płacenia jest tylko realizacją tego zobowiązania, natomiast szkoda następuje dopiero wtedy, gdy poszukując zwrotnie zapłaconej sumy na dłużniku, nie znajdzie pokrycia.

A tutaj do tego nie doszło, zatem szkody nie ma.

A może tu jest nadużycie z powodu wykroczenia przeciw jakimś przepisom? Ale w statucie, ani w instrukcjach, ani w regulaminie niema tej kwestji rozwiązanej—statut nie mówi wogóle o gwarancji. Biorąc zaś pod uwagę psychologję twórcy instytucji, twórcy statutu i wykonowczych do niego rozporządzeń nie można żądać od Lindego, aby brak jakiegoś przepisu tłómaczył sobie, jako hamulec dla siebie. Psychologja twórcy musi to tłómaczyć w sensie rozszerzającym, jeżeli czego niema, muszą stworzyć, bo ja buduję i ja budowę rozszerzam. Do tego we wszystkich bankach, gwarancji się udzielało i udzielał jeden człowiek. dyrektor, względnie dyrekcja, a że Linde był jedynym dyrektorem, pomimo jego próśb, żeby stworzyć wieloosobową dyrekcję, zatem uważał siebie za uprawnionego. To też dawał gwarancję, nie tylko bratu.

Zarzut że gwarancja dana sędziemu Sokalskiemu, nie jest ściśle biorąc gwarancją, jest rozumowaniem czysto prawnem i jako prawne ma cechy słuszności, ale tu chodzi o życie, a życiowa gwarancja jest zupełnie tem samem co każda inna, mianowicie jest zapewnieniem osobie trzeciej wypłacalności dłużnika. Życiowo te gwarancje są zupełnie podobne, prawnie może zupełnie odrębne, ale tu Linde występuje jako dyrektor banku, nie jako radca prawny. Ale i jemu dawano gwarancje. Świadek dyr. Zaczek powiedział, że Ministerstwo Skarbu dawało listy gwarancyjne. Min. Skarbu jest władzą, urzędem, a mimo tego dawało gwarancje, tak samo jak i inne ministerstwa, np. Ministerstwo Spraw Wojskowych, Ministerstwo Oświaty. Oskarżony wnioskował z tego logicznie: „Jestem szefem instytucji centralnej, i prowadzę do pewnego stopnia politykę finansową; jeśli szofowie urzędów centralnych mając mniejsze finansowe uprawnienia, dają takie gwarancje, to ja jako prezes P. K. O. i dyrektor banku — bo od 10 lip-

ca P.K.O. miała prawa banku dewizowego, mam prawo to zrobić. Jeśli świadek dyr. Zaczek powiada wyraźnie, że Linde mógł interpretować statut w ten sposób, to niema podstaw do posądzenia Lindego o złą wolę.

A dalej powiedział nam tu świadek p. premier Grabski, że uważa to tylko z punktu formalnego za niedopuszczalne, ale nie dopatruje się w tem nic tak dalece zdrożnego, aby sięgnąć do arsenału jakichś środków dyscyplinarnych. A to zdanie winno być miarodajne. Bo jeśli p. prokurator jest pełen podziwu dla p. Premiera Grabskiego, a ja się z nim najzupełniej zgadzam, to ten nasz podziw znalazł uzasadnienie w jego zeznaniu. Było to zeznanie człowieka, który sam dużo zrozumiał, sam dużo cierpiał i nauczył się innych tłómaczyć i przebaczać. Odbija on od całego szeregu świadków, którzy mówili o tych samych rzeczach z pewnością siebie, pychą nieuzasadnioną, odbija bardzo silnie swoją dobrocią, swoim przebaczeniem, swoim zrozumieniem. Ten człowiek dlatego, że sam cierpiał z powodu niesłusznych zarzutów, zrozumiał, jak łatwo jest rzucać na kogoś kalumnje, bo widział i swoje najlepsze nawet zamiary z błotem zmieszane. Zbłądzić może każdy, może i Linde zbłądził, ale nie popełnił nadużycia, ani nie wyrządził szkody, conajwyżej popełnił błąd dyscyplinarny skwalifikowany przez właściwego człowieka i za ten błąd dostateczną poniósł karę.

\* \* \*

Art. 203 traktatu w St. Germain nakłada na Polskę obowiązek wykupienia obligacji kolejowych. Artykuł ten jest dzisiaj bezprzedmiotowym wobec rozporządzenia Prez. Rzplitej z 27 grudnia 1924 r. które jest jakby rozporządzeniem wykonawczem do art. 203. Otóż rozporządzeniu Prez. Rzpolitej z 27 grudnia 1924 r. obchodzą nas w tej sprawie 3 paragrafy: par. 5, par. 7 i par. 10. W par. 5 jest mowa o obligacjach kolejowych, zabezpieczonych na kolejach państwowych b. dzielnicy austryjackiej, które będą wymieniane na emitować się mającą specjalną pożyczkę konwersyjną kolejową

po kursie 15 zł. za 100 koron nominalnych. To odnosi się tak do obligacji Karola Ludwika jak i do obligacji kolei arcyksięcia Albrechta. Inne pożyczki są ujęte w par. 10, gdzie jest mowa o obligacjach pożyczek zaciągniętych przez b. kraj Galicję i one mają być wymieniane na obligacje pożyczki konwersyjnej po kursie 20 zł. za 100 koron. Te 2 paragrafy obejmują wszystkie te papiery, które P. K. O. kupowała od Baua, od Skowronka, od posła Hausnera i t. d. Ale w tem rozporządzeniu obchodzi nas jeszcze § 7: Także niezanotowane i nieostemplowane obligacje kolejowe, zabezpieczone na tych linjach kolejowych, które w całości znajdują się na terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej (są to właśnie te dwie linje kolejowe: linja Karola Ludwika i arcyksięcia Albrechta) będą wymieniane na obligacje kolejowe pożyczki konwersyjnej po kursie 15 względnie 30 zł za 100 koron. Jednak obligacje ostemplowane stemplem zagranicznym stwierdzającym przynależność do obywateli państw obcych, których dotyczą postanowienia rozporządzenia o przerachowaniu zobowiązań prywatno-prawnych, będą wymieniane w takim stosunku, jaki wynika z zastosowania tych postanowień! Taki jest stan prawny. Z niego wynika, że obligacje kolejowe wykupić trzeba będzie bezwarunkowo i nasza ustawa nie robi żadnej różnicy między obligacjami ostemplowanymi i nie ostemplowanymi, zarejestrowanymi czy niezarejestrowanymi, wykupione muszą być wszystkie z jednym tylko ograniczeniem co do obligacji zagranicznych stemlowanych innym stemplem, co do których wchodzi w zastosowanie § 43, mówiący o zasadzie wzajemności i odwetu.

O ile chodzi o Czechosłowację, to obligacje tam się znajdujące, będą nas kosztowały tyle co nasze. Odnośnie do Austrii sprawa nie jest zdecydowana. Narazie przedstawia się dla nas korzystnie, bo w Austrii dotąd niema waloryzacji, w każdym razie Austrija ma zawsze możliwość swoje obligacje przedstawić nam do wykupu, czy to w ten sposób, że przemyci je do innych krajów i da stempel zagraniczny, czy przez nacisk dyplomatyczny choćby za pośrednictwem obcych państw.



Teraz stan faktyczny. Od maja do października kupuje prezes Linde obligacje. Pomiędzy temi dwoma datami wychodzi rozporządzenie z 20 lipca 1925 r., a raczej 29 lipca, poz. 532. To rozporządzenie Ministra Skarbu nakłada obowiązek rejestracji i uprawdopodobnienia obywatelstwa polskiego tych obligacji. Rozporządzenie to nakazuje, aby ten kto chce zrealizować swoje obligacje i uczynić je przydatnymi do przyszłej konwersji, zarejestrował je i ostemplował w kraju. To rozporządzenie ścieśnia niejako rozporządzenie Prezydenta, wprowadza bowiem zmianę z artykułu siódmego, który nie zaliczał tych obligacji do ostemplowanych i zarejestrowanych. Ale to ograniczenie nie jest uzasadnione, albowiem rozporządzenie wykonawcze Ministra Skarbu nie może ograniczać rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej, które jest ustawą. Wobec tego czy obligacje będą zarejestrowane, czy nie ostemplowane, mają to samo prawo do wykupna i do zastosowania art. 43. Wniosek więc: obligacje wykupić się musi. To nie jest sprawa z polskim obywatelem, którego wywłaszczyć można w różny sposób, ale zagraniczni posiadacze tych obligów nie dadzą się wywłaszczyć, i nadzieja, że Austria, zgodzi się na zapłacenie jej obligów tak, jak nam się podoba, jest oczywiście nadzieją bardzo złudną.

Na tle takiego stanu prawnego Linde dowiaduje się od dyr. Steina, któremu to mówił nasz radca handlowy w Wiedniu Smolka, że dobrze byłoby kupować obligacje kolejowe, bo to dobry interes dla Polski. Nie sam więc Linde wpadł na ten pomysł, a więc i nie dlatego aby forytowyc p. M. Lindego i nie dlatego aby Bauowi dać ciągnąć zyski. Widzimy drogę, po jakiej ta sprawa idzie do jego umysłu i wywołuje jego postanowienia. Mało tego, on z tą sprawą nie załatwia się sam, idzie do Ministerstwa Skarbu i rozmawia z p. Premierem. Premier z tą uczciwością i z tym ogromnym liberalizmem, który go cechuje, opowiadał nam całą sprawę, a więc rozmowę z L. na ten temat. Rozmowa toczyła się w ten sposób, że premier wypowiedział swoje zdanie, z którego jednak Prezes L. nie musiał wysnuć wniosku,

że jest przeciwny kupowaniu tych obligacji, przeciwnie było bardzo możliwe, że Linde zrozumiał oświadczenie p. Grabskiego jako jego zgodę, gdyż radził Lindemu tylko ostrożność. To jest istotne dla sprawy zeznanie, które powinno posłużyć za podstawę zeznań biegłych. Jeżeli Prezydent Ministrów i Minister Skarbu mówi, że nie kazał ani nie zakazywał, lecz tylko wypowiedział swoje zdanie, a nie było obowiązkiem Lindego tem się powodować, a nawet wolno było Lindemu mniemać, że minister nie jest temu przeciwny, to wogóle cała ta sprawa upada. Ale co więcej, p. Lipiński opowiada na posiedzeniu Rady Zawiadowczej z 24 Listopada 1925 r., iż Premier nawet zgodził się na kupno obligacji, i choć to może była zbyt szeroka interpretacja słów Premiera przez Lipińskiego, to jednak p. Lipiński utrwała tem Radę Zawiadowczą i Prezesa w ich poglądzie. P. Lipiński dziś sobie tych rzeczy nie przypomina, ale św. Żelechowski stwierdził je ponad wszelką wątpliwość. A teraz dalsze pytanie, czy kupno obligacji było celowe? Hubert Linde opierał się na tem, że w dniu 1-ym Lipca będzie wydana pożyczka konwersyjna, o czem p. Hertz dowiedział się w Urzędzie Pożyczek Państwowych, dokąd w tym celu umyślnie chodził. Sprawa zatem była już w toku, kiedy Linde zaczął skup obligacji. Skup zaczął się w maju, a więc był do tego najwyższy czas, skoro pożyczka miała się pojawić 1-go Lipca.

Korzyść dla Państwa polegała na tem, że kiedy Państwo musiałoby za obligacje płacić po 15 zł i płacić procent, to Linde kupował je dla Państwa za 7 zł, i nie trzeba już było opłacać procentów. Ponadto obligacje te są zahipotekowane na kolejach galicyjskich i ta hipoteka tylko wtedy będzie skreślona, jeżeli te obligacje znajdą się w naszym ręku. To może mieć znaczenie dla Państwa, gdy będziemy zaciągali pożyczkę, zapewne bowiem wierzyciele przedewszystkiem zażądadą hipoteki na kolejach małopolskich, a hipoteki nie będziemy mogli dać póki cały dług nie będzie wykreślony. Dziś łatwo jest być mądrzejszym wobec tego, że Urząd pożyczek zmienił zdanie; być może

i Linde dziś nie kupiłby tych obligacji, ale czyż można jego rozumowaniu coś zarzucić?

Postawił sąd biegłym pytania co do szkód i zapytał się ich, jaką wartość mają obecnie obligacje kolejowe. I na to odpowiadają biegli: wartość obecna obligacji kolei Karola Ludwika i Albrechta, zależy od tego, czy będą one przyjęte do konwersji, jako własność Polski, czy też jako własność Austrii. W pierwszym wypadku P. K. O. może otrzymać 3.684.000, a w drugim wypadku około 3000 zł. A więc biegli nie odpowiedzieli, jaką jest wartość obecna obligacji, lecz tylko jaką będzie wartość przyszła, a i to uwarunkowali, bo przyjęli jedną wartość, jeżeli te obligacje będą polskie, a drugą wartość, jeżeli obligacje będą austriackie, na to jednak nie odpowiedzieli, które z tych obligacji będą uznane jako polskie, a które jako austriackie. Może nie mieli materiału, nie wiedzieli, to jest zupełnie obojętne, faktem jest, że przyszłość dopiero okaże, jaka jest wartość tych obligacji. Ale przypuszczają nietylko tę możliwość, że one nie będą nic warte, lecz przypuszczają także możliwość, że one będą warte przeszło 3 razy tyle, ile Linde za nie kazał zapłacić. A ta ostatnia możliwość jest bardzo prawdopodobna, gdyż p. prezes Szmidt powiedział, że będzie w procesie uzasadniał swoje prawa. Zatem dziś nie można wiedzieć, czy obligacje będą warte 3 miliony, czy 3 tysiące.

W drugim wypadku, jeżeliby się okazało, że to będą obligacje austriackie, to jeszcze także pytanie, czy państwo austriackie tak łatwo się na nasz pogląd zgodzi. Ale gdyby nawet jakiś optymista przypuszczał, że Austrija na stratę się zgodzi, to znowu będzie to obracanie się w granicach przypuszczeń. Tak więc szkoda nie została ustalona przez biegłych, i ustalona być nie może, a nawet z ich orzeczenia wynika, że nie musi być szkoda, może być także i zysk, zależnie od tego, czy obligacje będą uznane za polskie, czy nie, co się przewidzieć nie da. Czyli wszystko jest pod znakiem zapytania.

Jeśli powód cywilny wbrew temu wszystkiemu

przypuszcza na podstawie opinii biegłych, że należy obligacje oceniać jeszcze niżej od giełdy wiedeńskiej po szylingu za 100 kor, to dlaczegoż Państwo Polskie nie idzie za świetnym wykresem biegłego i Prok. Gen. i nie zakupi za 30 tys. zł wszystkich obligacji w sumie 300 milj. kor. Dlaczegoż tak świetnego interesu nie robi Państwo Polskie, aby kupić po 10 groszy to za co giełda płaci 2 do 3 złotych, za co Czesi płacą 15 zł., i my taksamo 15 zł płacić będziemy musieli, i za jednym zamachem dług 300 milionów koron drobną sumą 30 tys. zł. będzie spłacony i hipoteki Kolei Galicyjskiej będą z pod długu uwolnione.

Czyż to nie jest bezczynność władzy?

Najniższą ceną, jaką można było zapłacić za te obligacje, może być kurs giełdy wiedeńskiej, gdyż w razie słuszności zapatrywania biegłych, że obligacje warte były 1 szyling za 100 k. nie możnaby wytłómaczyć tego, że na giełdzie wiedeńskiej płacono 2 — 3 zł. za 100 k. Widać giełda miała swoje podstawy do przyjęcia takiej ceny i gdyby można było kupić taniej, nikt nie płaciłby drożej, lecz kupno w Wiedniu z przeznaczeniem na wywóz papierów do Polski nie wyraża się w cenie giełdowej, byłoby ono znacznie droższe z całego szeregu innych powodów. Przedewszystkiem było niedopuszczalne, gdyż w Wiedniu trzebaby papiery kupić za obcą walutę, której z Polski na taki cel wywieźć nie było wolno, a powtóre samych papierów z Wiednia wywozić nie było wolno. Gdyby zaś kto przyjął na siebie ryzyko przekroczenia obu tych zakazów, to kazałby sobie dobrze za to zapłacić, bo musiałby popełnić podwójne przestępstwo.

Ponadto przy zakupie w Wiedniu dochodzą do ceny giełdowej konta prowizji, stempla, podatku giełdowego, a to wszystko razem tak utrudniłoby i podrożyło całe kupno, że byłoby droższe niż kupno w kraju po cenie jaką płacił Linde. Więc Linde postanowił kupować w kraju, a jeśli mu ktoś zarzuca, że nie kupował w Wiedniu, to z pewną sumiennością mógł mu nakazać organizować kupno w innych krajach, bo może w Berlinie, w Pradze lub gdzieindziej te obligacje były jeszcze

tańsze. A ileżby kosztował taki aparat organizacyjny obejmujący całą Środkową Europę?

To wszystko prowadzi do wniosku, że kurs, jaki Linde ustalił dla obligacji kolejowej, nie mógł się opierać na kursach zagranicy, ale na zasadach rynku wewnętrznego, dla którego miarodajną był kurs pożyczki konwersyjnej, albowiem i obligacje miały być wykupione pożyczką konwersyjną. Lecz i na rynku wewnętrznym cena obligacji nie była jednakowa. Skowronek sprzedawał za 28, Bau po 40 kilka, zapytuje więc oskarżenie dlaczego Bau nie wziął tyle, ile Skowronek? Odpowiedź na to jest bardzo prosta: Bau nie chciał wziąć tyle, ile wziął Skowronek, bo Bau chciał więcej, a że tragedją wszelkich umów jest to, że do nich potrzeba dwóch, zatem inaczej byłaby umowa nie doszła do skutku i Linde nie mógłby przeprowadzić swej myśli, którą raz uznał za słuszną.

P. Hertz spróbował kupić od Baua taniej po tej cenie co kupował od Skowronka. Ale gdy Bau o tem się dowiedział, że za kupione obligacje zamiast umówionych 36 gr. przelano na jego ruchunek 28 gr., z miejsca zaprotestował i to w podwójny sposób.

Przedewszystkiem udał się do Lindego z zażaleniem, a ten rozpatrzywszy sprawę oświadczył, że uczciwa instytucja z chwilą, gdy się umówiła wypłacić 36 — musi je wypłacić, a powtóre z tą chwilą skończył Bau wszelkie transakcje obligacjami z P. K. O.

Jest to nie do wiary! Ten Bau uprzywilejowany, otrzymujący za obligacje potworne sumy po 40 kilka punktów, przy pierwszej scysji, już się odsuwa od tego wspaniałego dobrego interesu. Jedna wątpliwość wystarczyła, ażeby go zniechęcić. Czy byłoby to możliwe, gdyby interes cały, jak oskarżenie twierdzi, polegał na tem, że Bau przewoził tylko z Wiednia do Warszawy walizki pełne obligacji i za taką przejażdżkę dostawał 3 razy tyle, jak w Wiedniu za obligacje zapłacił.

Ale oprócz szkody jest w art. 636—a tylko z nim się tu można liczyć—jeszcze nadużycie władzy, polegające na tem, że Linde bez upoważnienia, bez podstaw prawnych te obligacje skupował. Otóż na podstawie

zecznań św. Zaczka, śmiem twierdzić, że Linde miał podstawę do zakupu. Według statutu P. K. O. ma prawo skutecznie zakup i sprzedaż papierów państwowych—obligacje mogły być uważane za papier państwowy dlatego, że miały być wymienione od 1-go lipca na państwową pożyczkę. Gdyby ta interpretacja była nawet błędna prawnie, to błąd taki nie może podlegać sankcji karnej. Dalej statut wymaga, aby zakup i sprzedaż papierów na rachunek własny odbywał się z upoważnienia Rady Zawiadowczej. Otóż nie był to zakup papierów na rachunek własny, lecz na rachunek Państwa, przy którym P. K. O. tylko Państwo wyřęcało zakupując dlań papiery, których Państwo musiało 1-go lipca, względnie później wykupić. Ale gdyby P. K. O. zakupowała je nawet na własny rachunek, w takim razie miała na to pozwolenie Rady Zawiadowczej. To pozwolenie nie musi być pisemne, przy 2 świadkach i t. p., może być ustne, może być takie, że papier krąży on od jednego do drugiego członka Rady Zawiadowczej i każdy podpisem stwierdza z góry i t. p. różne formy mogą być, bo forma nie jest statutem ustalona.

Jak tu się dokonała ta zgoda Rady Zawiadowczej? Według zeznań św. Zaczka, była w gabinecie Ministra Skarbu, w obecności Huberta Lindego, posłów Ździechowskiego i Cruszki umowa, aby stan papierów państwowych równał się sumie pożyczek prywatnych. Trzeba więc było papiery państwowe skupować do wysokości pożyczek prywatnych, bo tylko za tę cenę zgodził się Premier Grabski na odstępstwo od swojej zasady, ażeby P. K. O. nie rozszerzało zbyttno twojej działalności kredytowej. Tymczasem, papierów państwowych na rynku nie było. Trzeba je było skupować w inny sposób i wtedy przyszedł ów pomysł Steina względnie Smolki, zakupów papierów kolejowych. To jest geneza zakupna tych papierów i to jest wynik zastosowania się do polecenia premjera: z chwilą gdy delegat Sejmu do Rady Zawiadowczej, Minister Skarbu, mający 2 delegatów w Radzie Zawiadowczej i prezes Rady Zawiadowczej Linde, a więc większość Rady widziała o postanowieniu Lindego, że papiery będzie kupował, nie

można mówić, że Rada, o tem nie wiedziała. A jeżeli było to zbyt ogólne zawiadomienie Rady, to potem jeszcze Lipiński to samo Radzie zakomunikował, co mu przypomniał św. Zelechowski, który dwukrotnie powtarza z całą stanowczością, że ta rzecz była wypowiedziana na Radzie Zawiadowczej. Jeżeliby jednakże jeszcze miał ktoś jakieś wątpliwości, to następnie działalność komisji rewizyjnej i Rady Zawiadowczej usuwa wszelką wątpliwość:

Rada Zawiadowcza, Komisja Rewizyjna, w której jest reprezentowany Rząd, w której siedzą przedstawiciele Ministerstwa Skarbu, ta Rada Zawiadowcza i Komisja Rewizyjna zatwierdzały wykazy Lindego, z wyszczególnieniem kupionych obligacji kolei Karola Ludwika. W ten sposób mamy na początku i na końcu okresu, w którym kupował Linde obligacje, pewien akt prawny ze strony Rady Zawiadowczej, tam zezwalający, tu zatwierdzający czynności Lindego. Zezwolenie to jest niewątpliwe. Od maja do października trwa skup obligacji. Wie o tem p. Premier Grabski, wie o tem Ministerstwo Skarbu, wie Komisja Rewizyjna, bo ma przedkładane raporty, jakie miałem zaszczyt Sądowi przedstawić. W tych raportach są wyszczególnione obligacje kolei Karola Ludwika, obligacje kolei arcyksięcia Albrechta. Wiedzą i widziały wszystkie czynniki powołane, wiedzą w P. K. O., wie Rząd, wie Minister Skarbu, wie Premier, wiedzą w Radzie Zawiadowczej, i nikt nie zwraca uwagi L., że popełnia nadużycie, mało nadużycie, zbrodnię. Przeciwnie! Wszyscy mówią, że to człowiek z inicjatywą, wszyscy go utrwalają w jego pomysłach. Pierwszym człowiekiem, który zwrócił mu uwagę, że ta transakcja jest zbrodnią, pierwszym człowiekiem po pół roku, był sędzia śledczy. Czy to jest sposób oceniania finansowych przedsiębiorstw i bankowych szynności?

Oprócz zarzutów aktu oskarżenia były czynione podczas rozprawy próby wykazania, iż H. L. jest człowiekiem małym, gospodarzem złym. Dowodem tego miały być wiadomości zaczerpnięte z popularnych piśemek, które zwalczając Lindego z przyczyn politycznych czy finansowych, zarzucały mu, że pochłonał wszystkie

dolarowe oszczędności amerykańskich emigrantów. I pan prokurator gazetkom tym uwierzył.

Ze słów jednak ministra Skarbu Grabskiego okazało się, że nie prezes L. ograbił emigrantów, tylko Skarb Państwa — wziął pieniądze od emigrantów. Pan prokurator chciał to nazwać przestępstwem i miałby może słuszność gdyby to zrobił L., ale to zrobił Skarb Państwa. I jak to nazwie teraz p. prokurator. Skarb Państwa wziął dolary, a za dolary dał emigrantom marki do P. K. O. i później wypłacała P. K. O. emigrantom marki, ale z ramienia Państwa, które sobie dolary wzięło. Dobrze się stało, że to się publicznie wyświetliło.

A potem był zarzut sfałszowania bilansu za rok 1924. Ale i fałszywym bilansem atak się nie udał, bo jeśli bilans fałszywy, to nie Linde winien, licz ci, co go poza plecami Lindego sfałszowali. Bo nie on bilans układał. Tu już buchalter nie wymawiał się, że to „prezes kazał“, to już nie było żadnej wątpliwości, że za bilans odpowiada buchalter i Komisja Rewizyjna z p. Lipińskim na czele. I coś tu mówiono, że komisja rewizyjna przykrawała ten bilans do życzeń Ministerstwa Skarbu, ale reprezentant Ministerstwa Skarbu, względnie komisji rewizyjnej, ale p. Lipiński uspokoił nas oryginalną teorią, że w bilansie można wstawić większe, albo mniejsze zyski, albo nawet straty, i nigdy nie będzie bilans fałszywym, a tylko będzie to różnica poglądów. Z tego wynikałoby, że jakiegokolwiek cyfry zostaną do bilansu wstawione, to w oczach komisji rewizyjnej nie znajdą potępienia! To się nazywa optymizm bilansowy!

Oskarżenie wogóle podjęło się bardzo trudnego zadania. Podjęło się udowodnić pewne psychologiczne nieprawdopodobieństwo, a mianowicie że Linde działał świadomie na niekorzyść instytucji, którą stworzył, z której był dumny i która go wyniosła na szczyt dostojęstw w Rzeczypospolitej. Podjęło się trudnej rzeczy, chcąc dowieść, że Linde podcinał gałąź, na której siedział, że był Ugolinem, pożerającym własne dzieci, że starał się zniszczyć to, co stanowi jego chlubę i chwałę. Gdyby oskarżyciel publiczny powiedział, że Linde zrobił to, w celu własnej korzyści, byłoby



wszystko w porządku, bo byłaby w tem logika faktów, ale nikogo nie było, nawet z pośród świadków oskarżenia, ktoby Lindemu zarzucał, że przysporzył sobie jakieś osobiste korzyści, Pierwsze jego słowa w tym Sądzie brzmiały wysoce tragicznie: „Nazywam się Hubert Linde, — b. prezes P. K. O. — lat 58, — bez majątku“. To są słowa smutne i rzadkie. W Polsce nie każdy, kto otrze się o żłób złotodajny może powiedzieć o sobie: lat 58, bez majątku. I gdy nie ma momentu osobistej korzyści, nasuwa się pytanie, dlaczego on to robił, czego robić nie musiał, a przez co narazić się mógł na podejrzenia?

Jest jedno zeznanie, które rzuca tu pewne światło, zeznanie świadka Lipińskiego. Oczywiście zeznanie to jest przesadne wtedy, gdy świadek Lipiński posądza Lindego aż o niepoczytalność, ale może jest słusznem w tem, co uważa za podstawę tej rzekomej niepoczytalności. Zeznanie świadka Lipińskiego było najbliższe psychologii Lindego. Mogę je przytoczyć dosłownie, bo na nich można się oprzeć przy odtworzeniu psychologii oskarżonego. Świadek Lipiński powiedział: „To człowiek bez skazy, który nic dla siebie nie żądał, który wszystkim chciał dobrze robić, który nawet swoją pensję i te wielkie zaliczki trzymiesięczne oddawał biednym studentom, który w swojej dobroci i chęci czynienia dobrze dla drugich przekroczył granicę prawa i naraził się na odpowiedzialność karną.“ — Otóż to jest wskazówka, po której można dojść do głębi duszy oskarżonego. To jest rzadki wypadek, bo zwykle konflikt z prawem dokonywa się na podstawie sprzecznych interesów jednostki i społeczeństwa, na podstawie rozrostu egoistycznych pragnień, na podstawie degeneracji egoizmu.

Tu zaś widzimy coś zupełnie przeciwnego, zupełny zanik egoizmu, natomiast zupełne oddanie się dla drugich, aż do zapomnienia o swoich obowiązkach, o przepisach, jakie go wiązały. Ten człowiek nic dla siebie nie chce, chciałby tylko dobrze czynić dla drugich. I tu jest tragedia, w jego dobroci, w jego uspołecznieniu, posuniętym do zapomnienia o granicach, jakie mu-

szą być nawet w dobroci. Jest to degeneracja altruizmu i ona go tutaj zaprowadziła.

Nierealnym więc jest oskarżenie Lindego o świadome działanie na niekorzyść instytucji i jej spraw majątkowych, zwłaszcza, jeżeli ta szkoda nie nastąpiła. Realniejszym staje się rozpatrywanie kwestji nadużycia władzy, a z chwilą, gdy nie istnieje szkoda, pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie, czy to było nadużycie z niedbalstwa, a więc niekaralne, czy to było nadużycie umyślne, które nawet w braku szkody jest wykroczeniem. Przed odpowiedzią na to trzeba przedstawić sobie ramy, w jakich obraca się działalność ludzka. Więc najpierw jest taki zakres indywidualnego działania, gdzie człowiekowi wolno się poruszać tak swobodnie, jak tylko zechce i niema żadnej sankcji za jego czyny prócz oceny opinji lub odpowiedzialności materialnej. Konflikt z prawem karnem zaczyna się wtedy, gdy czyny albo pod względem nasilenia złej woli, albo pod względem szkody zagrażają interesowi publicznemu. Wtedy, o ile chodzi o urzędnika, rodzi się kwestja, kiedy kończy się dyscyplinarna odpowiedzialność, a kiedy się zaczyna przestępstwo karne. I tu normy są bardzo rozciągle, a w tym wypadku wszystko będzie przemawiać za tem, aby je jak najprzychylniej dla oskarżonego tłumaczyć, bo żaden jego czyn nie może dosięgać tej granicy, gdzie się zaczyna represja karna, gdzie się zaczyna art. 636. Czynniki odróżniające zakres dyscyplinarny i zakres karne są w grubych zarysach w odniesieniu do oskarżonego następujące. Szeroki zakres władzy nienależycie określony, bo, jak stwierdziliśmy zapomocą zeznania św. Michalskiego, przyczyną nieprawidłowości był w głównej części wadliwy statut. Więc pierwsza rzecz usprawiedliwiająca rozmach Lindego, jego rozszerzanie się, tkwi poza nim, nie w nim, tkwi w wadliwym statucie i w tym braku dobrze skonkretyzowanych uprawnień. Oskarżony tych uprawnień nie chciał, oskarżony sam, jak nam tu św. Żelechowski przedstawił, wprowadził komisję rewizyjną w r. 1922, której w statucie z r. 1920 nie było, on pragnął wprowadzić wieloosobową dyrek-

cję, ale tego statutu nie zatwierdzono, a więc on nie chciał, tylko jemu dano tę nieokreśloną władzę. Przepisy odnośne były różnie interpretowane, nie tylko przez oskarżenie i obronę, ale nawet biegli, nawet świadkowie inaczej je rozumieli. Świadkowie Ministerstwa Skarbu Żaczek, Żelechowski są w interpretacji statutu w zupełnej niezgodzie z biegłymi. Jeżeli więc statut dopuszcza możliwość najrozmaitszych interpretacji, to Linde najbardziej jest uprawniony do szerokiej interpretacji, bo był twórcą instytucji i miał w stosunku do niej do pewnego stopnia uczucie własności. Człowiek, który instytucję stworzył i doprowadził do rozkwitu, ma w stosunku do niej uczucie właściciela i nie będzie sam siebie ograniczał! Jest to psychologicznie niedopomyślenia, bo jeżeli cała działalność człowieka idzie w kierunku uzewnętrznienia jego myśli i pomysłów, to musi iść z natury rzeczy w kierunku rozszerzającym, a nie ścieśniającym, inaczej te pomysły musiałyby się ciągle cofać, kurczyć, aż do zupełnego zaniku, a gdyby Linde do tego dopuścił, nie byłby sobą.

Zarzuty, postawione Lindemu z art. 578 k. k., są zarzutami, jakie się stawia dyrektorom banku. Ale Linde nie był nigdy dyrektorem banku, on był Ministrem Skarbu, Ministrem Poczty i Telegrafów, był Naczelnym Kierownikiem instytucji państwowej, i z tego tytułu nie może ani się znać, ani odpowiadać za nienależyte spełnianie czynności bankowych. A nie można mu zarzucić, aby się na te stanowiska narzucał. To nie jakiś urzędnik, który za wszelką cenę chce się wydobyć na wierzch, to nie jest poseł, ani polityk, który ambicją gnany dobija się godności, to jest człowiek skromny i cichy, który chce powierzone sobie zadania jaknajlepiej wypełnić i w tem szuka sławy i uznania. Następnie muszę zaznaczyć, że czynnik poczucia prawnego był inny u niego, niż u człowieka wychowanego w pojęciach prawnych kodeksu z 1903 r. Ani zabór niemiecki, ani zabór austriacki nie znają nadużycia władzy w znaczeniu art. 636 punkt 1. Austriacki zabór zna zbrodnię nadużycia władzy wtedy, kiedy świadomie w tym celu się nadużyło władzy, aby przynieść szkodę, zaś zabór nie-

miecki wogóle takiego pojęcia nadużycia władzy nie zna. Ujęcie urzędników w karby organizacyjnej dyscypliny w obu tych państwach było tak silne, że wystarczyły przepisy dyscyplinarne. Dla rosyjskiego czynownika potrzebna była jeszcze i sankcja karna i dlatego znalazły się w kodeksie sankcje karne tego rodzaju, jakie powinny być w przepisach dyscyplinarnych. Z całego toku przygotowywania tego kodeksu, z debat komisji redakcyjnej, z debat w różnych Ministerstwach widzimy, ile wątpliwości te sprawy budziły. Biorąc to wszystko pod uwagę oskarżony, nie mógł mieć świadomości, że przekracza swoje uprawnienia. Nikt nie wskaże drogi, po jakiej mogłyby mieć do niego dostęp wątpliwości, czy to co robi, robi dobrze. I dlatego nie można mu w niczem zarzucać umyślności.

W kwestjach nadużycia władzy powinna być stosowana bardzo szeroka skala. Nadużycie władzy tam, gdzie władza jest już skryształizowana, gdzie kompetencje władz są rozgraniczone, gdzie praktyka życia wytworzyła kamienne granice między władzami—tam nadużycie władzy trzeba interpretować ścieśniająco. Ale u nas, gdzie nadużycie władzy i władza sama jest pojęciem nie skryształizowanym, gdzie kompetencje wzajemne urzędów i władz nie zostały jeszcze ustalone i rozgraniczone, gdzie zwłaszcza, w tym wypadku, te kompetencje również nie były rozgraniczone, bo statut był wadliwy i nie wiadomo było, co to była za instytucja, jeżeli to był urząd państwowy, a jednocześnie Minister Skarbu nie miał prawa rozkazywać—to na tym żywym przykładzie widzimy, jak dalece trudno ustalić ten zakres władzy, w obrębie którego Linde mógł się swobodnie poruszać.

Wysunął tu oskarżyciel, żądając kary dla Lindego, względ na społeczeństwo, które jakoby oczekuje, czy istnieje sprawiedliwość dla wielkich tego świata.

Niebezpieczny to argument, bo robi ze społeczeństwa sędziów, a ze sądu tylko wykonawców wyroku, A do społeczeństwa nie trzeba się ustosunkować jak służa do Pana—słuchać jego rozkazów i płynąć z falą. Zła to służba dla społeczeństwa, bo utrwala je w błę-

dach i zarozumiałości. Inny stosunek bardziej moralny należy ustalić wobec społeczeństwa. Można starać się własnymi siłami moralnymi i umysłowymi społeczeństwu tem opinię narzucić i to społeczeństwo sproszkowane, nieskrystalizowane zbić w jedną masę kamienną i pchnąć je tam, gdzie dobra wiara i siła danych ludzi, rządzących Państwem, chce je pchnąć. Bo błędnem jest to przekonanie, że gdy się ukarze jednego z tych wielkich, to ludzie odetchną i powiedzą, że sprawiedliwość panuje na świecie! Inaczej wtedy tłum mówi, tłum mówi, cóż to znaczy, że jednego skazali, a ilu tu jeszcze złodziei zostało? Albo jeszcze gorzej, jeżeli tacy są złodziejami, to co dopiero mówić o innych! Tylko takie wnioski i tylko demagogiczne są rezultaty z takiego schlebienia tłumowi. I dlatego sędzę, że co do taktyki, trzeba być niezależnym od społeczeństwa, i nie słuchać codziennych wskazówek jakie społeczeństwo chce narzucić swym kierownikom.

Ale nie mogę odmówić znaczenia głosowi społeczeństwa w innej ważniejszej dziedzinie, w dziedzinie instynktu moralnego. Tam, gdzie całe społeczeństwo wyczuwa, że jest coś niemoralnego, tam, gdzie wyczuwa jakąś trwałą szkodę dla siebie i dla swojego instynktu samozachowawczego, tam trzeba mieć baczne oko i trzeba słuchać, co to społeczeństwo mówi, bo tylko z instynktu danej rasy, tylko z instynktu moralnego tego narodu, w którym się żyje, można zaczerpnąć wskazówki postępowania. I w tym wypadku instynkt moralny, wskazywałby na to, że społeczeństwo nie żąda represji w stosunku do Lindego, a odbicie tych nastrojów słyszeliśmy w zeznaniach świadków, nawet nieprzchylnie dla Huberta Lindego usposobionych. Rezultat tych zeznań był, że: Hubert Linde jest człowiekiem uczciwym, jest człowiekiem czystych rąk. I gdy popatrzymy, czego społeczeństwo szuka, wołając kary na zbrodniarzy, to widzimy, że ono nie Huberta Lindego szuka, że jeżeli nawet początkowo wskazywano na niego, to dziś już wiadomo, że to nie on, to nie on jest jednym z tych gwałcicieli podstaw moralności publicznych, których szuka opinia publiczna.

Zresztą mam wrażenie, że to badanie w Polsce i ustawiczne szukanie, gdzie ktoś coś złego zrobił, jest bezwzględnie objawem patologicznym. Czy to pochodzi z beczynności, z przysłowiowego polskiego lenistwa, czy to pochodzi z chęci zrzucenia odpowiedzialności na kogoś—faktem jest, że nigdzie w Polsce, nikt nie bada, czego ktoś nie zrobił, dlaczego ktoś do pracy jakieś nie idzie, dlaczego beczynnie patrzy na to, co się złego dookoła niego dzieje, a tylko patrzy się na tych, którzy przeważnie, z dobrmi chęciami i z dobrą wolą, zabierają się do pracy, ale z powodu mnóstwa piętujących się trudności w naszym polskim biednym życiu łamią się zupełnie, lub częściowo. I wtedy cała czereda wszystkich próżniaków, którzy myślą tylko o tem, ażeby szukać u drugich usprawiedliwienia swojej beczynności, wtedy ta czereda znajduje usprawiedliwienie, że nic nie robiła, bo robić coś—macie skutki. Doszło do tego, że dziś jest największą ofiarą i największem poświęceniem, jeśli ktoś ma odwagę iść do służby państwowej. Boć przecież niema nic łatwiejszego, nic bliższego, jak zrobić z niego czy złodzieja czy łapownika. Ktokolwiek się otrze o fundusze publiczne lub o władzę, jest zaraz obrzucony błotem!

Oskarżenie porównało Lindego z wielkim Polakiem, Szczepanowskim. I porównanie wypadło na niekorzyść Lindego. Mimo to — podejmę je. Było ono w tem charakterystyczne, że trzeba było aż o jedno pokolenie wstecz się cofnąć, ażeby kogoś zestawić z Lindem, widać, nie można było tak łatwo znaleźć porównanie z dnia dzisiejszego.

Nie mówię przecież, że na przestrzeni całego pokolenia niema większych ludzi od L., przeciwnie, jest ich cały szereg w dzisiejszych warunkach, gdzie jest żyć trudno i pracować trudno, a zwłaszcza na stanowiskach naczelnych, dzisiaj proszę ich wskazać! Nikt nie uniknie swego przeznaczenia w Polsce, nikt, ktokolwiek tylko stanął na naczelnym stanowisku, choćby nawet chciał siebie poświęcić, nie uniknie oszkalowania. Jest człowiek, co do którego uczciwości raz w Polsce jest zgoda, a mimo to do domu tego człowieka włązo-

no brutalnie i obliczano, czy jego tapety nie są za drogie! My dziś — oskarżamy łatwo! Nie potępiam społeczeństwa mego, to nie ze złej woli są te oszczerstwa, to biedny polski człowiek, który nie może sobie znaleźć wytłumaczenia swej biedy, a wie tylko, że chciałby dobrze i wie, że nic nie może zrobić. To jest bezradność biednego skołatanego życia polskiego, ale ta bezradność krzywdy wyrządza. Są jednak ludzie, którzy chcieliby krzywdy oskarżeniem naprawić. Tak jak w procesie Szczepanowskiego, znaleźli się dwaj ludzie, którzy dali za niego materialną porękę, tak znajdzie się i tutaj wielu, co za Lindego porękę moralną dadzą.

Słyszeliśmy tu głosy świadków, którzy mówili o Lindem w słowach najwyższego uznania, a źle o nim nie mówił nikt. A że mimo to zasiadł na ławie oskarżonych, to pochodzi stąd, że się go nikt nie bał, bo nie należał do żadnej partji politycznej, nie należał do żadnego politycznego klanu. I nie miał go kto bronić, bo u nas poza partją niema życia ani oparcia. On należał do wszystkich. Wszyscy ściskają ręce i mówią, to dobry, uczciwy człowiek, ale nikt nie ma odwagi głośno tego powiedzieć, bo Linde nie jest straszny, nie zmobilizuje w swojej obronie żadnego stronnictwa. Kiedyś historyk będzie bezstronnie i sprawiedliwie te rzeczy oceniał i opowie: „za co Linde był sądzony“. Lecz nikt wierzyć nie będzie. Nie trzeba nawet historii czekać, dziś zagranicą, nie uwierzą, aby w Polsce, posadzono na ławie oskarżonych, ministra za to, że za polskie marki, pośmiewisko całego świata, trwałą wartość nabył! Historyk naszego życia ekonomicznego zapomni o tem, że Linde lombardował rentę rumuńską, zapomni o gwarancjach, zapomni o zaliczkach, bo z nich śladu szkody dla P. K. O. nie zostanie, ale będzie pamiętał o Lindem, który na rozłogach naszego życia ekonomicznego, zniszczonego wojną, postawił bastjon ekonomiczny — P. K. O. To mu nigdy nie będzie zapomniane, to będzie wieczne. U nas, gdzie życie publiczne i ekonomiczne nie jest skryształizowane, gdzie to co dziś Minister Skarbu robi, jutro może być złe, a pojutrze jeszcze gorsze, trzeba patrzeć na dobrą wolę,

a nie na to, czy się coś udało, czy nie. Ci, którzy dziś kamienie na Lindego rzucają, przyjdą później do przytomności i powiedzą, że zaszła pomyłka, że sądenie takich jak ów stwarza przywilej dla tych rzezimieszków, co w cieniach gabinetów na różnych stanowiskach pozostają w spokoju i mogą myśleć, że są lepsi, bo nie są oskarżeni. A panowie biegli nie wytłumaczą tym, którzy mieszkają w domach przez Lindego postawionych, że on tych domów nie powinien był budować, niech wytłumaczą biedakom, którzy dzięki Lindemu mają dach nad głową, że to jest zła polityka, dawać marki na to, aby ludzie mieli gdzie mieszkać. Panowie Sędziowie, siła narodu składa się nietylko z dobrej i urodzajnej ziemi ale z kapitału moralnego narodu! Niszczyć ludzi takich jak Linde, jest marnowaniem tego kapitału.

Tu siedzi człowiek błędzący, ale nikt w Polsce nie jest bez winy, więc winy nie wolno tak sądzić jak zbrodni!

A już zupełnie nie wolno sądzić fragmentarycznie. Trzeba zbadać całość człowieka i całość sprawy. Lindego nie można podzielić i powiedzieć, to nas nie obchodzi, kim ty jesteś i kim ty byłeś, my mamy ocenić tylko twoje błędy. Nas nie obchodzi co zrobiłeś wogóle dla P. K. O., tylko to co złego dla niej zrobiłeś. A więc nie to, że ją stworzyłeś, żeś ją rozwinął, lecz to, dlaczego kupowałeś niepotrzebnie obligacje, a i wśród obligacji zdasz nam rachunek tylko z tych, na których można stracić.

Wyobraźmy sobie, że tak oskarżanoby jakiegoś dyrektora banku przed radą zawiadowczą!

Nie ma takiego banku, nie ma takiej rady zawiadowczej, któraby w takim wypadku kazała dyrektora oddać pod sąd, albo nawet wytoczyć mu dochodzenie dyscyplinarne.

Może zwróciłaby mu uwagę na nieprawidłowości, może w najgorszym razie zobowiązałaby go do odpowiedzialności pieniężnej. Ale jeżeli ten dyrektor założył bank, w tym banku pełnił doskonale swoje funkcje, bo stworzył z niego potęgę, to nie ma takiej Rady zawi-



dowczej, któraby go usunęła ze stanowiska za to, co akt oskarżenia Lindemu zarzuca!

To mogło się stać tylko w instytucji państwowej. A gdy się już raz stało, na tem się powinno skończyć. I premier Grabski chciał na tem skończyć—ale niektóre gazety nie chciały.

Panowie Sędziowie! Cokolwiek będzie się mówić o Lindem poniżającego, pomniejszającego, to wszystko zginie wobec jednego: wymowy kamieni. Kamienie będą za niego mówić, kamienie, które on w domy wstawił. I nawet ci, którym przy tych domach dał pracę, i ci, którzy mieszkają w tych domach — przejdą, ale domy jak pomniki dla Lindego zostaną! Jeśli wasz wyrok nie uwzględni stosunków w jakich się znalazł i człowiek i instytucja, nie uwzględni tej płynności naszego życia, gdzie z dnia na dzień zmieniają się stosunki pieniężne i ekonomiczne — to może być w tym wyroku surowość, to może być polityka kryminalna, ale nie mogłoby być w nim sprawiedliwości, bo sprawiedliwość wymaga wyrozumiałości, nie tej wybaczącej wszystko, ale tej rozumiejącej wszystko. I o nic więcej nie proszę, panowie sędziowie, tylko abyście raczyli wszystko w tej sprawie zważyć, a wtedy, wszystko wytłumaczycie i przebaczyście.

Pamiętajmy, że jest w oskarżonym część dostojęstwa publicznego, bośmy go dwukrotnie godnością ministerjalną obdarzyli. A jeżeli zrobiliśmy źle, to my winni jesteśmy i nie jego pociągajmy do odpowiedzialności, a jeśli zrobiliśmy dobrze, to nasz szacunek, jakiego objawem było powierzenie mu tej godności — powinien go choć trochę osłaniać. A zresztą on już karę swoją odcierpiał. Siedem dni ciężkiego więzienia na tej ławie, siedem dni pod pręgierzem. Dostateczna to kara i przerwać ją czas — uniewinnieniem.

Po dziewięciodniowych rozprawach Sąd w dniu 17 kwietnia ogłosił głosy stron za ukończone i oznajmił, że wydanie wyroku nastąpi w poniedziałek 19 t. m. W kilka godzin po zamknięciu posiedzenia sądowego Hubert Linde, wracając do domu, zabity został na ulicy przez sierżanta W. P. Wacława Trzmielowskiego \*).

Wobec śmierci Lindego postępowanie karne przeciwko niemu uleść musiało umorzeniu, jednakże wobec zgłoszonego m. i. również i w stosunku do niego powództwa cywilnego Sąd Okręgowy rozważył, czy i w jakiej mierze udowodnione zostały zarzuty aktu oskarżenia w tych jego częściach, z którymi związane było powództwo cywilne przeciwko Lindemu, a mianowicie zarzuty związane z nabyciem nieruchomości w Łodzi, z nabyciem materiałów budowlanych od Wilhelma Bau'a oraz z zakupieniem na rachunek P. K. O. Galicyjskich obligacji kolejowych.

W dniu 19 kwietnia Sąd ogłosił wyrok skazujący: Wilhelma Bau'a na jedną łączną karę zamknięcia w więzieniu, zamieniającego domu poprawy, na przeciąg lat dwóch i miesięcy sześciu, zaś Hryniewicza — na zamknięcie w więzieniu na przeciąg jednego roku.

Ponadto tytułem powództwa cywilnego Sąd zasądził: od Wilhelma Bau'a na rzecz Pocztovej Kasy Oszczędności 19148 złotych oraz 25940 dolarów, wzgl. równowartość w złotych, zaś od Huberta Lindego na rzecz tejże Pocztovej Kasy Oszczędności 1427503 złotych.

Mocą tegoż wyrazu Wilhelm Bau uniwinniony został z oskarżenia go z art. 577 K.K., zaś powództwo w kwocie 17779 dolarów zgłoszone solidarnie w stosunku do wszystkich podsądnych Sąd pozostawił bez rozpoznania.

---

\*) W dwa miesiące potem Trzmielowski wyrokiem Sądu Wojskowego skazany został za zabójstwo Lindego na 10 lat ciężkiego więzienia.

## T R E Ś Ć.

	Str.
Korsarstwo przemysłowe. Sprawa o bezprawne używanie nazwiska	2— 13
Skarga kasacyjna w sprawie zakresu działania ustawy z dnia 1-go lipca 1921 r. o rozszerzeniu praw mężatki . . . . .	16— 35
Sprawa „Teatru Małego“ ze skargi Magistratu m. stoł. Warszawy na decyzję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych . . . . .	38— 48
Imunitet sądowy przedstawicieli dyplomatycznych . . . . .	49— 61
Stosunek adwokata do klienta . . . . .	62— 70
Sprawa Michała Glücksberga przeciwko Skarbowi Państwa o odszkodowanie za zabór mienia przez organy władzy wojskowej	72— 82
Sprawa Huberta Lindego i innych o nadużycie w Pocztowej Kasie Oszczędności w Warszawie.	
Akt oskarżenia . . . . .	84— 97
Mowa prok. Kazimierza Rudnickiego . . . . .	98—161
Mowa adw. Henryka Ettingera . . . . .	162—183
Mowa adw. Wacława Brokmana . . . . .	184—232
Mowa adw. Stanisława Szurleja . . . . .	233—279
Wyrok . . . . .	280



BADAŃ ICH PAN  
 BIBLIOTEKA  
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
 Tel. 26-68-63

F

23.739





KT/17  
2/18

F

23 739